

West Morris

# Arcydzieło

Obcowanie z pięknem to pojedynek,  
w którym artysta krzyczy z trwogi  
nim padnie pokonany

Baudelaire, Confiteor artysty

(przekład Joanny Guze)

Ludzie myślą zawsze człowieka z artystą,  
bo w jednym ciele połączył ich przypadek

Jules Renard, Dziennik

*Moim dwu ostatnim wnuczkom Siobhan i Nataszy Luizie*

## **UWAGA AUTORA**

Kupowałem obrazy i żyłem wśród nich dłużej niż pamiętam.

Książka ta zamienia doświadczenia tych lat na wątek, którego bohaterowie istnieją jedynie na jej stronicach.

M.L.W.

## ROZDZIAŁ 1

Trzydziestopięcioletni Maxwell Mather uważał się za szczęśliwego człowieka. Zdrowie mu dopisywało, ciało miał w świetnej formie i wciąż wyglądał młodo. Jego konto bankowe opiewało na okrągłą sumę. Długotrwałe przebywanie wśród bogatszych nauczyło go oszczędności i umiejętnego gospodarowania pieniędzmi. Miał niezłą reputację jako naukowiec, zarówno w dziedzinie badań nad starymi rękopisami, jak i historii malarstwa europejskiego. Jego hojna opiekunka otoczyła go dyskretnym luksusem w zabytkowej wieży, będącej przyległością jej willi. Praca w charakterze kustosza i konserwatora archiwów rodu Palombinich nie wymagała od niego wielkiego wysiłku. W przepastnym pomieszczeniu, będącym niegdyś stajnią i zbrojownią domowej straży, piętrzyły się w rzędach tysiące książek i papierów oraz pliki pożółkłych akt.

Na samym początku jej istnienia wieżę nazywano „Torre Merlata”, gdyż ze swoim zębatym zwieńczeniem murów i strzelnicami dla łuczników i kanonierów, była wieżą obronną. Z biegiem czasu jej surowe imię uległo skróceniu i zdrobnieniu na „Tor Merla” - Wieża Kosów.

Nazwa była wyjątkowo trafna. Na dziedzińcu rósł bowiem wielki kasztanowiec, rozśpiewany kosim śpiewem, osłaniając ptaki od chłodnych górskich wiatrów i chroniąc je przed prażącym upałem tokańskiego lata. Rankiem Pia Palombini przyjeżdżała na elektrycznym wózku inwalidzkim ze swojej willi i sadowiła się na szezlongu w słonecznym zakątku, skąd mogła obserwować Mathera przy pracy. Wspólnie zagłębiali się w opowieści, spisane na postrzępionych i pożółkłych kartach papieru - procesy, zdrady, intrygi i spiski wysoko urodzonych Florencji, nie wyłączając rodziny Palombini...

Wieczorami jadał kolacje w willi, w sklepionym refektarzu. Sosnowe kloce płonęły w wielkim kominku pod rzeźbioną tarczą herbową Palombinich: „krzyżem czerwonym na błękitnym tle, na cztery części lejącymi gołębiami podzielonym”. Później, kiedy służba była już odesłana, kochali się w ogromnym *letto matrimonio*, ozdobionym brokatową materią ze złożonymi frędzlami i pamiętającym wiele namiętnych zbliżeń. Czasami, bez żadnej zapowiedzi, Pia znużona monotonnym rytmem dnia codziennego, porywała go do Wenecji, Paryża, Londynu czy Madrytu, na ekstrawaganckie zakupy i szalone rozrywki.

Było to całkiem przyjemne życie i Mather przyjmował je bez poczucia winy i bez pytań. Był dobry w łóżku, łagodnego usposobienia, przystojny, był dobrze wychowanym, inteligentnym rozmówcą i gościem mile widzianym na każdym przyjęciu. Spełniał wszystkie warunki stawiane przed historycznym *damigello* - szarmanckim towarzyszem zamożnej damy. Był uczonym zatrudnionym w rezydencji, który zarabiał na swoje utrzymanie i znał swoje miejsce. Nie stanowił żadnego zagrożenia dla spadkobierców - milady mogła go kochać, lecz nigdy poślubić.

Pewnego pięknego wiosennego dnia, Pia nie czując się dobrze, wybrała się do Florencji na konsultację ze swoim lekarzem, w wyniku której została natychmiast wysłana do Mediolanu na dokładne badania kliniczne. Diagnoza była jednoznaczna: zanik nerwu ruchowego, wyniszczająca choroba systemu nerwowego. Rokowania zdecydowanie negatywne - przypadek nieuleczalny. Jedyną niewiadomą pozostawało pytanie, czy koniec nastąpi szybko, czy będzie procesem długotrwałym. Stwierdzono, że postępujące spustoszenie organizmu będzie nieubłagane: zanikanie mięśni i tkanki, pogłębiające się niedomaganie systemu nerwowego i zwiększające się ryzyko śmierci przez uduszenie lub udławienie.

Kiedy Pia powiedziała o tym Matherowi, spytała go wprost, czy zamierza pozostać czy wyjechać. Odpowiedział, że zostanie. Gdy spytała dlaczego, zdobył się na najbardziej czarujące kłamstwo w swoim życiu, twierdząc, że ją kocha. Pocałowała go, wybuchnęła płaczem i uciekła z pokoju.

Tej nocy miał makabryczny sen. Śniło mu się, że leżał w starym łożu z baldachimem, przywiązany do czyjegoś martwego ciała. W pierwszym odruchu, zaraz po przebudzeniu, obłany potem i przerażony pomyślał o spakowaniu rzeczy i ucieczce. Po chwili już wiedział, że nie umiałby żyć z hańbą podobnej dezercji. Lenistwo i interesowność utwierdziły go jeszcze w tym przekonaniu. Przecież żył w cieplarnianych warunkach. Dlaczego miałby wychodzić stąd na mróz? Pia była rozrzutna w okazywaniu swojej wdzięczności. Okazanie jej trochę czułości i współczucia, wynikających chociażby ze zwykłych nakazów przyzwoitości, nie było wielkim wysiłkiem.

W czasie posiłków siadał koło niej, gotowy do pomocy, gdyby się nagle zakrztusiła, upuściła widelec czy nie mogła złapać oddechu. W miarę jak ataki powtarzały się coraz częściej i jej stan się pogarszał, Mather ją kąpał, ubierał, woził na spacerach w wózku inwalidzkim i czytał na głos, dopóki nie zasnęła przy kominku. Służące, które do niedawna nazywały go pieskiem salonowym, zaczęły wychwalać go pod niebiosa. Nawet zrzędlawy i zazwyczaj naburmuszony zarządca domu - Matteo, zaczął tytułować go *professore* i określać wobec swoich przyjaciół w składzie win jako człowieka zacnego serca i honoru.

Pia odwzajemniała się desperacką miłością kobiety, zdającej sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia: z dnia na dzień gasnącej urody, zanikających sił i policzonych dni. Obdarowywała Mathera kosztownymi upominkami. Raz był to zegarek marki Tompion, niegdyś należący do jej angielskiego dziadka, innym razem szesnastowieczny sygnet z wyciętym w szmaragdzie herbem Palombinich, czy też komplet spinek do mankietów i ozdobnych szpilek, wykonany przez Buccelattiego. Do każdego prezentu dołączona była karteczka, zapisana jej ręką. Pismo, niegdyś wyraźne, było chwiejne i niezdecydowane: „Kochanemu Maxowi, kustoszowi mojej rezydencji,

którego domem jest moje serce... Pia.” „Maxowi, dzięki któremu będę wciąż żyć i kochać... Pia.”  
Wszystkie dedykacje związane były z różnymi świętami - Wniebowzięciem, Wielkanocą, imieninami Pii i jego urodzinami. Zatrzymywał karteczki, chowając je wraz z innymi pamiątkami, protestując jednocześnie przeciw przyjmowaniu prezentów.

- Jest ich za dużo i są stanowczo za kosztowne! Stawiają mnie w bardzo trudnej sytuacji. Słuchaj, płacisz mi dużo, ale pracuję na swoje pieniądze. Nie jestem i nie chciałbym być utrzymankiem. Kiedy pojawiłem się tutaj, archiwa Palombinich były w kompletnym nieładzie. Już dużo się zmieniło. Z czasem doprowadzę je do takiego stanu, że będą powodem do dumy całej rodziny Palombinich. Tylko w taki sposób będę mógł, choćby częściowo, spłacić swój dług... Chyba się na mnie nie gniewasz?

Gniewać się? Jak ona mogłaby się gniewać? To pytanie wywołało nową falę uczuć. Często, całymi dniami nie potrafiła spuścić z niego oka. Nocami błagała, aby wziął ją do łóżka - nie tyle dla seksu, co poczucia bezpieczeństwa, potrzeby przytulenia się, jaką odczuwa chore dziecko. Kiedy leżała w jego ramionach, szybko ogarniało ją rozdrażnienie i łzy napływały jej do oczu. Jej bliskość nie wywoływała już w nim, tak jak kiedyś, żadnego podniecenia.

Weekendy na szczęście miał wolne. Wizyty składała rodzina Pii - wujkowie, ciotki, kuzyni, bratankowie, siostrzenice oraz najróżniejsi powinowaci. Przychodzili, by okazać swój szacunek i troskę o chorą, pilnie bacząc, aby ich imiona, pokrewieństwo i prawa własności były odpowiednio odnotowane w jej testamencie. Nigdy nie akceptowali skandalicznych szaleństw Pii, ale teraz, kiedy romans z Matherem był praktycznie skończony, byli gotowi traktować go jako zaufanego przyjaciela rodziny, jak lekarza czy spowiednika. Podobało im się, że oficjalnie Pia zajmuje całą willę, zaś Mather skazany jest na celibat i samotność w pobliskiej Tor Merla.

W rzeczywistości weekendów nie spędzał ani w samotności, ani w celibacie. We Florencji przebywał w towarzystwie długonogiej blondynki z Nowego Jorku, Anny-Marii Loredon, córki znanego licytatora u Christie's, która studiowała we Włoszech w ramach stypendium Belle Arti. Mieszkała w drogim, jak na studentkę, apartamencie koło Teatru Pergola. Spotkali się kiedyś w barze Harry's - dobrze im się rozmawiało, miło spędzili wspólną noc i szybko zawarli niepisaną umowę. Mather mógł gościć w każdy weekend, partycypując w kulinarnych zakupach z okazjonalną butelką wina i dzieląc się wiedzą z zakresu historii sztuki. Seks, jak obydwójce stwierdzili, miał być miłym dodatkiem - bez zależności i bez pytań.

Układ był jasny: stanowili parę otwarcie i wzajemnie wykorzystujących się egotyków. Po zakończeniu studiów Anna-Maria miała zostać, tak jak jej ojciec, znawcą i licytатorem dzieł sztuki.

Teraz miała przystojnego towarzysza i ułatwiony dostęp do artystycznych elit Florencji, starych rodów rzemieślniczych: rzeźbiarzy, brązowników, kamieniarzy, snycerzy i rymarzy, malarzy, rytowników i garncarzy.

Mather, poza bezpiecznym seksem, zyskał wygodną bazę w mieście, punkt kontaktowy i związek akceptowalny towarzysko. Obecność Anny-Marii pozwalała mu zapomnieć o pogrążonym w smutkach domu Pii, a w towarzystwie florentyńczyków mógł przedstawiać się jako czynny naukowiec, bibliotekarz i archiwista znanej arystokratycznej rodziny. Taka pozycja okazała się wkrótce ogromnie dla niego ważna. Jego chlebodawczyni stała na progu śmierci i czekały go poszukiwania nowego miejsca w akademickim świecie.

Dobierał więc sobie rozważnie swoich florenckich przyjaciół. Najważniejszym wśród nich był kustosz działu rękopisów Biblioteki Narodowej, siwowłosy uczonego o wyglądzie Toscaniniego. Jego to właśnie Mather otaczał specjalnymi względami. W każdą sobotę przynosił jeden czy dwa dokumenty z kolekcji Palombinich, aby podyskutować nad ich wartością i wyjątkowością, wzbudzając szczerą sympatię starszego wiekiem i stażem człowieka. Wśród artystów jego najbliższym przyjacielem był Niccolo Tolentino, drobnej budowy mężczyzna z garbem na plecach i czarującym, czystym uśmiechem na twarzy. Był neapolitańczykiem z pochodzenia, który w młodości praktykował u modnego malarza w Sorrento. Cieszył się sławą jednego z najlepszych kopistów i konserwatorów w biznesie i piastował stanowisko starszego konserwatora w Galerii Pittich. Właśnie jego Mather poprosił o odrestaurowanie w prezencie urodzinowym dla Pii bardzo zniszczonego tryptyku, przedstawiającego Zaśnięcie Matki Boskiej. Mały człowieczek zwrócił mu piękną imitację Duccia - z błękitnym niebem i złoceniami listkami złota. Mather był zachwycony i natychmiast zapłacił mu gotówką. Tolentino w ramach rewanżu zaprosił go na obiad i uraczył mrozącymi krew w żyłach opowieściami o falsyfikatach i oszustwach, oraz o podejrzanym milionerach z Grecji, Brazylii czy Szwajcarii, reżyserujących kradzieże i wywóz dzieł sztuki.

Tymczasem, wraz z Anną-Marią, pracowicie zabiegał o względy najważniejszych uczonych i koneserów Florencji. Wytrwale odwiedzali wszystkie liczące się galerie. Mather rozповідаł, że rozpoczął pracę nad małą monografią: „Lokalna gospodarka we Florencji na początku XVI wieku”. Miała być oparta na jednej z mniej wybitnych pozycji archiwum Palombinich - serii ksiąg rachunkowych z lat 1500-1510, które prowadził zarządca posiadłości. Rejestrowały one sprzedaż i kupno wszystkich możliwych rzeczy: wina, oliwy, tkanin, lin, łoju, bydła, mebli, uprzęży i ozdób dla koni. Te właśnie tomy najczęściej pokazywał kustoszowi działu rękopisów, wypytując go o interpretację archaicznych nazw i nie znanych skrótów. Charakter zadania, które wybrał, pasował jak

ulał do wizerunku dobrze sytuowanego, dociekliwego badacza, który cierpliwie zgłębia nie kończący się labirynt historycznych zagadek.

Jego wolność kończyła się w niedzielę o ósmej wieczorem. Pia oczekiwała go zmęczona i rozdrażniona najazdem krewnych. Wspólnie jedli kolację w stylu angielskim - kanapki z herbatą. Pia czekała na relację ze spotkań i wydarzeń minionego weekendu. Musiały być w miarę dokładne, gdyż w chwilach szczególnej desperacji potrafiła sprawdzać jego informacje przez swoje kontakty w mieście. Nazwisko rodziny, noszącej sztandar rodu Medicich, wciąż czyniło cuda we Florencji. Wiedziała, że mieszkał u Anny-Marii Loredon i nie była zachwycona tym faktem. Akceptowała jednak wersję, że ojciec Anny-Marii był starym przyjacielem Mathera i że ani on nie interesował się dziewczyną, ani ona nim. Oczywiście Pia nie wierzyła, że żył w całkowitym celibacie. Wytłumaczył jej, że dla cielesnych potrzeb odwiedza czasem znany, ekskluzywny dom schadzek, w którym seks jest bezpieczny i nie ma nic wspólnego z żarliwą i bezinteresowną miłością, jaką żywi do niej - Pii Palombini. Nie było więc hańbiącej rywalki i Pia gotowa była przyjąć istniejący stan rzeczy za zło konieczne. Czasem namawiała go do opowiadania zabawnych i sprośnych historyjek z życia domu publicznego. Słuchała jego opowiadań do późnych godzin wieczornych. Potem zanosił ją do łóżka, układał wśród poduszek i ciężkim krokiem odchodził do czarnej, groźnie wyglądającej na tle nieba wieży. Wewnątrz nie musiał już kłamać. Był sam z sobą - kiepskim naukowcem, człowiekiem leniwym i przekupnym, odpracowującym swój kontrakt u umierającej kochanki, gorączkowo zastanawiającym się, jakby tu dobrze zorganizować resztę swojego życia.

Życie Pii tymczasem, z dnia na dzień zbliżało się ku końcowi. Była wciąż przytomna, ale ataki duszności i trudności z oddychaniem powtarzały się coraz częściej. W szybkim tempie traciła na wadze - gdy wziętą ją na ręce, była lekka jak drezdńska lalka. Mather wymógł teraz na rodzinie Pii zorganizowanie całodobowej opieki pielęgniarskiej i codziennych wizyt lekarza. Nie mógł patrzeć na jej cierpienia i upokorzenie chorobą. Pocieszenia dla Pii szukał w najbardziej nieoczekiwanych zakątkach swojej duszy. Jej błagania o szybkie zakończenie męki okazały się silniejszą, niż kiedykolwiek mógłby przypuszczać, pokusą. Posunął się nawet do rozmowy na ten temat z lekarzem, który przeszywszy go przenikliwym, lecz współczującym wzrokiem, odpowiedział ostrzegawczo:

- To nie jest Holandia, panie Mather, w naszym prawie jest więcej chrześcijaństwa niż współczucia. Niech pan zaniecha wszelkich pomysłów przyspieszenia śmierci. Uwolniwszy chorą, nas obydwu wtrąciłby pan do więzienia. Proszę ją jeszcze przez chwilę otoczyć miłością. Pewnego dnia, już niedługo, ona po prostu przestanie oddychać.

Dokładnie tak się stało. Jednego zimowego wieczoru, kiedy pielęgniarka dziergała coś na drutach przy kominku, a on siedząc na sofie trzymał Pię w swoich ramionach, wyciągnęła drobną

dłoń, aby dotknąć jego policzka. Po chwili, jakby zmęczona nieziemskim wysiłkiem, westchnęła ciężko, zwróciła głowę do jego piersi i umarła. Zaniósł ją na górę i patrzył jak pielęgniarka układa ciało na łóżku. Zadzwoił do lekarza, do rodziny, do księdza i usiadł, wpatrując się w gasnący ogień. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak samotny. W końcu udało mu się od niej wyzwolić - przecież tak długo na to czekał... Ironia sytuacji polegała na tym, że to ona wyzwoliła go od siebie. Od dawna była w centrum jego życia i teraz nagle pozostał sam z niejasnym wizerunkiem samego siebie.

W czasie pogrzebu, aby zaoszczędzić rodzinie Pii niezręcznych sytuacji, przyłączył się do grupy pracowników posiadłości. Gdy trumnę złożono w grobowcu i zamknięto za nią drzwi z brązu, nie potrafił opanować płaczu. Poczł wóczas na swoich barkach ciężkie ramię i usłyszał głos starego Mattea, wygłaszającego litanie pocieszeń:

- No już, profesorze! Tak jest dla niej lepiej. Nic ją nie boli. Jest znowu piękna i chce, żeby taką ją pan pamiętał.

W to wszystko łatwo było uwierzyć. Nie mógł za to zrozumieć, skąd wzięła się przerażająca, czarna pustka w jego duszy. Kiedy parę miesięcy wcześniej powiedział, że ją kocha, odnosiło się to do konwencji, w jakiej zachowywał ich związek. Kochali się, byli uznawani za kochanków, byli tymi, którzy mieścili się w ramach tego słownika. Ale samej miłości doświadcza się tylko w męczarni, w szarpiącym bólu serca.

W wili złożył zwyczajowe kondolencje wszystkim członkom rodziny i gdy tylko pozwoliła na to przyzwoitość, powrócił do Tor Merla. Nalał sobie dużą porcję brandy i usiadł na podwórzu, obserwując tańczące na zimnym wietrze pierwsze jesienne liście. Po godzinie odwiedził go tam Claudio Palombini, bratanek Pii, wyznaczony na wykonawcę jej testamentu. Był to przystojny florentyńczyk o chłodnym spojrzeniu, który operował słowami tak oszczędnie, jakby to były co najmniej złote floreny. Wręczył Matherowi kopię testamentu Pii, napisaną zgodnie z włoskim zwyczajem jej własną ręką. Po chwili oznajmił poważnym głosem:

- Wydaje się, że zasługuje pan na więcej współczucia niż rodzina mojej ciotki.

- Czuję się tak... - Max Mather powoli dobierał słowa - jakby to mnie zamknięto w grobowcu, a Pia uleciała w nieznane.

Claudio napełnił kieliszek koniakiem i przysiadł na brzegu wiejskiego stołu. Krótco przekazał wyrazy współczucia.



- Muszę przyznać, panie Mather, że dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, jak bardzo pana podziwiam. Dał pan tyle szczęścia cioci Pii. Rzadko którego męża stać by było na takie oddanie, z jakim pan ją pielęgnował. Wszyscy jesteśmy panu za to niesłychanie wdzięczni.

Mather w milczeniu przyjął komplementy i odpowiedział chłodno:

- Nie oczekuję żadnych podziękowań. Kochałem pana ciotkę. Będzie mi jej bardzo brakowało.

- Czy wie pan, że jest uwzględniony w jej testamencie?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Otrzymuje pan sumę wielkości dwóch rocznych pensji, zatrzymuje pan samochód oraz wszystkie ofiarowane panu przedmioty. Ponadto ma pan wybrać dla siebie na pamiątkę dowolną rzecz z archiwów, nad którymi pan pracował. Myślę, że jest to godziwy zapis.

- Więcej niż godziwy - odpowiedział szorstkim tonem Mather. - Byłem hojnie wynagradzany za swoją pracę i nie oczekiwałem żadnych dodatkowych korzyści.

- Cieszyłbym się bardzo - i bardzo by mi pomogło - gdyby zechciał pan rozważyć pozostanie i kontynuowanie u nas badań nad archiwami.

- Dziękuję, ale nie. Teraz, kiedy zabrakło Pii, samotne życie w tej wieży byłoby nie do zniesienia. Ale, czy chciałby pan usłyszeć pewną propozycję?

- Oczywiście.

Mather zaprowadził swojego gościa w głąb wieży i jak przewodnik w muzeum zaczął pokazywać mu sterty książek, manuskryptów i foliów, rozmieszczonych w starych, sklepionych komnatach. Powiedział:

- Dopóki pan tego nie zobaczy na własne oczy, nie będzie pan w stanie zrozumieć, jak wiele pracy wymaga archiwum tych rozmiarów.

Podniósł zwój papierów, związany rozsypującą się tasiemką, zdmuchnął z niego kurz i podał Palombiniemu.

- To na przykład. Na pierwszej stronie widnieje data 1650 roku. Nie miałbym odwagi na otwarcie tego pakunku, mógłby rozsypać się w drobny pył. - Może zawiera bardzo cenne informacje, a może nie. Niezbędna jest fachowa konserwacja w odpowiednich warunkach... Chciałbym uzmysłowić panu historyczne znaczenie tego archiwum oraz fakt, że wymaga ono ciągłej i bardzo

kosztownej pracy. Nawet jeśli bym tu pozostał, sam nie dałbym sobie z tym rady. Skatalogowanie jest samo w sobie ogromnym przedsięwzięciem. Konserwacja to oddzielny problem - zajęcie tylko dla ekspertów. Czyż nie lepiej byłoby przekazać całe zbiory na rzecz Biblioteki Narodowej? Byłby to iście królewski gest, a jednocześnie rodzina uwolniłaby się od spoczywającej na niej kulturalnej odpowiedzialności i olbrzymich kosztów. Palombini zamyślił się i po chwili ochoczo przytaknął.

- Świetnie, wspaniały pomysł! Kto wie, może poza pożytkiem dla prowincji będą też pewne korzyści podatkowe dla naszej posiadłości.

- Podatkowy aspekt sprawy będę w stanie szybko wyjaśnić - powiedział Mather. - Kustosz działu rękopisów jest moim przyjacielem.

- Czy byłby pan gotów pozostać tutaj na tyle długo, aby wprowadzić w ruch całe to przedsięwzięcie? Nie mam nic przeciwko, jeśli wolałby pan zamieszkać z kimś do towarzystwa. Prawdę mówiąc, miałbym do pana jeszcze jedną prośbę.

- Jaką?

- Potrzebujemy profesjonalnie opracowanego katalogu dzieł sztuki znajdujących się w willi, oraz ich wyceny. Czy mógłby pan się tego podjąć?

- Osobiście, nie. Ale mogę to dla pana zorganizować... Polecałbym panu Niccola Tolentina z Galerii Pittich.

- Z przyjemnością zaakceptuję pana rekomendację. Jest to sprawa wielkiej wagi dla ustalenia sytuacji majątkowej naszej posiadłości. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby pan zgodził się na jej poprowadzenie.

- Dobrze, ale mogę temu poświęcić tylko sześć tygodni. Później będę musiał stąd wyjechać. Muszę zacząć budowanie własnego życia.

- Dziękuję panu.

- Moja cena - dodał Mather - to podwojenie obecnej pensji oraz pokrycie kosztów powrotu do Stanów Zjednoczonych. Oczekuję też wypłacenia należności, zapisanej testamentem, przed moim wyjazdem i w nie zmienionej formie.

- Zgoda. - Palombini ożywił się nieoczekiwanie. - Jest pan świetnym biznesmenem. To mi się podoba. Żałuję, że wcześniej nie poznaliśmy się bliżej.

- Ot, ironia życia - odpowiedział Mather, uśmiechając się zdawkowo. - Zaledwie podaliśmy sobie ręce i już się rozstajemy. Czy zamierza pan zatrzymać obecny personel willi?

- Chwilowo tak. A dlaczego pan pyta?

- Jeśli nie sprawi to panu różnicy, przeprowadzę się do miasta i będę codziennie dojeżdżał. Myśl o nocowaniu tutaj przyprawia mnie o dreszcze.

- Wiem, co pan czuje. - Claudio Palombini nagle spowaźniał. - To stare i skrwawione ziemie. Winorośl wyrasta tu z ust zmarłych.

Tego samego wieczora Mather wyjechał do Florencji i wynajął pokój w małym *pensione*. Nie zadzwonił do Anny-Marii. Ich umowa dotyczyła wyłącznie weekendów. W połowie tygodnia mogli być u niej jacyś goście. Nie był w nastroju, aby spotykać nie znane towarzystwo, czy znaleźć się w niezręcznej sytuacji.

Zatelefonował do kustosza działu rękopisów, aby poinformować go o decyzji Palombinich przekazania zbiorów, oraz o swoich planach opuszczenia posiadłości. Stary człowiek wyraził swój żal i współczucie przyjacielowi z powodu śmierci Pii i wyraźnie ucieszył się na wiadomość rychłego otrzymania archiwum dla swojej instytucji. Obiecał przedyskutowanie sprawy z zarządem i zbadanie zagadnienia ulg podatkowych dla ofiarodawcy. Zastrzegł, że jak wszystkie tego typu oficjalne sprawy może to zająć dużo czasu, ale że zrobi co w jego mocy, aby nadać jej szybkie tempo.

Drugą osobą, do której zadzwonił, był Niccolo Tolentino, który, aby odwrócić uwagę Mathera od smutnych wydarzeń, natychmiast zaprosił go na kolację do restauracji Gallodoro.

Był to ulubiony wodopój Tolentina - duża piwnica, której białe ściany i sklepienie stropy florency artyści pokryli rysunkami. Nad drzwiami do kuchni górował wielki złoty kogut w wyniosłej pozie, od którego wzięta się nazwa restauracji. Niccolo Tolentino, który go namalował, siadał zawsze na honorowym miejscu w rogu. Stolik wyposażony był w podwyższone krzesło ze specjalną podpórką pod stopy, aby nikt z maluczkich nie mógł spoglądać z góry na siedzącego, który, choć niepozorny z wyglądu, uważany był przecież za kogoś wielkiego. Gdy pojawił się Mather, Tolentino urzędował już w najlepsze w restauracji z kieliszkiem *punt e mes*, orzeszkami i blokiem rysunkowym.

Ich spotkanie, jak zwykle, nie obyło się bez egzaltacji.

- Ach, Max!

- Ach, Nicki!

Długi uścisk i nowe, głośno wykrzykiwane zdania, które zamilkły dopiero z pojawieniem się pełnego kieliszka przed Matherem. Potrawy były już wybrane, wino nalane do karafki - wspaniały rocznik, którego pewną ilością obdarował malarza sam producent. Tolentino wzniosł kieliszek w toaście.

- Za twoją damę, Max. *Requiescat*.

- Niech spoczywa w pokoju - powtórzył Mather. Wypili do dna. Starszy człowiek odstawił swój kieliszek i przemówił łagodnie.

- Trzeba trzymać się starych, dobrych zwyczajów. Po czyjejś śmierci trzeba pić, jeść, pamiętać same dobre rzeczy i próbować znowu się uśmiechać. Smutek nikomu nie przyniesie korzyści, a już najmniej tym, którzy odeszli ze świata i są na zawsze od niego wyzwoleni. Cierpisz, prawda?

- Bardziej niż kiedykolwiek bym przypuszczał, Nicki, dużo bardziej.

Tolentino obrzucił go przenikliwym spojrzeniem i zadał trochę dziwne pytanie.

- Czy byłeś kiedyś w więzieniu, Max?

- Jeszcze nie - Mather roześmiał się mimowolnie. - Dlaczego pytasz?

- Podobno najtrudniejszy jest dzień, kiedy człowiek znajduje się ponownie na ulicy... Byłeś przywiązany do Pii przez długi okres czasu. Ona już jest wolna, ty musisz się jeszcze wyzwolić. Urządzisz sobie życie na nowo, z inną kobietą - nie dzisiaj, nie za tydzień, ale wkrótce nadejdzie moment, kiedy zaczniesz się rozglądać. Ciesz się, że nie jesteś na moim miejscu - ja mogę już tylko się rozglądać! Powiedz mi, ta dziewczyna, którą odwiedzasz we Florencji... ta, która chce zostać dealerem, licytатorem dzieł sztuki?

- Anna-Maria Loredon? A o co chodzi?

- No właśnie o to pytam, Max. Co z nią? Wiem, że mieszkacie razem w czasie weekendów. Wspólnie odwiedzacie pracownie i galerie. Przecież wrogami nie jesteście, to chyba jasne.

- Jesteśmy parą przyjaciół. Uwielbia moją kuchnię, a poza tym uważa mnie za dobrego nauczyciela.

- A co ty o niej myślisz, Max?

- Wydaje mi się, że dla niej najważniejsza jest kariera i mnie nie bierze pod uwagę. Ale zmieńmy temat. Czy wolno ci przyjmować prywatne zlecenia?

- Oczywiście. Jak każdy pracownik państwowy we Włoszech, z tego się utrzymuję. A co masz na myśli?

- Claudio Palombini chce, aby wszystkie obrazy, znajdujące się w willi, zostały skatalogowane i wycenione. Zasugerowałem mu, że ty byłbyś najlepszą osobą do wykonania tej pracy.

- I co powiedział?

- Że zostawia sprawę w moich rękach.

Niccolo Tolentino wpatrywał się w niego z totalnym niedowierzaniem i po chwili wybuchnął rechoczącym śmiechem. Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Śmiał się tak długo, aż łzy spłynęły mu na policzki, i Mather zaczął obawiać się, czy nie dostał jakiegoś ataku. Kiedy doszedł do siebie, natychmiast zamówił kolejne wino i wstrzymując nowe fale wesołości stwierdził:

- Stary, jest to... najśmieszniejszy dowcip, jaki słyszałem od lat. Myślisz, że Claudio nie wie, kim ja byłem?

- Nie wydaje mi się.

- Oh, mój drogi Maxie, to właśnie ja wykonałem tę kolekcję. Znam na pamięć każdy podrobiony obraz i te nieliczne, prawdziwe, schowane po kątach!

- Chyba nie jesteś z tego powodu dumny?

- Czasami myślę, że jestem. Czy twoja pani Pia nigdy nie opowiadała ci o Luce Palombinim - o tym, którego nazywali *l'ingannatore* - Luką Oszustem?

- Nie, nigdy.

- W takim razie... wróćmy do tych opowieści, jak przystało na prawdziwych dżentelmenów, przy owocach i serach. Jedzenie tutaj jest zbyt dobre, by psuć je rozmową. Dania, zgodnie z zapowiedzią, okazały się wyśmienite, ale historia opowiedziana przez Niccolò Tolentina była niewątpliwie najlepszą pozycją menu.

- W czasach faszystowskich, aż do końca drugiej wojny światowej, głową klanu Palombinich był dzielny rozbójnik, którego nazywano w okolicy Luca *l'ingannatore* - Luca Oszust.

Niccolo Tolentino kiwnął ostrzegawczo palcem.

- Niech cię nie zrazi jego przydomek. Był nie tylko zwierciadłem swoich czasów; był przykładem dawnego florentyńskiego kupca, króla kupców. W którymkolwiek stuleciu przyszłoby mu żyć, zawsze byłby człowiekiem wysokich lotów. Fuggerowie pożyczaliby mu pieniądze. Cosimo i sam Lorenzo mieliby go w wielkim poważaniu. Francuzi, Rzymianie i Wenecjanie robiliby z nim interesy - ale po każdym uścisku dłoni liczyliby swoje palce. Bezwzględny w realizowaniu własnych ambicji, miał jednak Luca swoisty czar i zawsze stalowe nerwy hazardzisty. Plac targowy był, jego zdaniem, najbardziej naturalnym miejscem dla ludzkiej istoty. Każdy mężczyzna, każda kobieta, każde stworzenie, owoc czy warzywo miały tam swoją cenę. Każda cena była do wynegocjowania i Luca robił interesy na przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dzieła sztuki - przez co rozumiał wyłącznie sztukę sprzedawalną - należały do przeszłości. Ich wartość polegała na ich wyjątkowości, patynie lat, wytrzymałości materiału, oraz fakcie, że były skatalogowane przez instytucje w rodzaju Galerii Uffizich czy Muzeum Watykańskiego. Koniunkturę na przedmioty zabytkowe tworzyli, zdaniem Luki, nowobogacy turyści - zamożni przemysłowcy i potentaci naftowi, nafaszerowani podejrzaną wiedzą przez Duveena, Berensona i im podobnych.

- W odróżnieniu od produktów naturalnych, dzieła sztuki nie dało się zasiać i wyhodować. Można je za to było powielić przez skopiowanie. Luca wynajął więc pewnego młodego i utalentowanego neapolitańczyka do namalowania kopii najwartościowszych obrazów z kolekcji Palombinich. W owych odległych czasach byłem nim ja - młody, zdolny i tani. Wkrótce, wraz z rozlicznymi transportami wina, owoców, jedwabi i wyrobów skórzanych w różne strony Europy, Luca zaczął wysyłać oryginały obrazów. Trafiały one do bezpiecznych składów w Szwajcarii. W tym samym czasie wywiózł również część moich kopii, słusznie skądinąd rozumując, że jeśli nabywca nie potrafi odróżnić jedwabnej sakiewki od świńskiego ucha, to otrzyma dokładnie to, na co zasługuje.

- Któż wtedy wiedział, co może się wydarzyć? Kto by się przejmował w dobrych, faszystowskich czasach, kiedy Morze Śródziemne było „Mare Nostrum”, nasze pociągi kursowały punktualnie, chłopci kalabryjscy okupowali Erytreę, a Hitler wkroczył do Austrii? Luca wiedział. Luca się przejmował. Luca posiadał znaczne udziały w neutralnej Szwajcarii, w Portugalii, Brazylii i Argentynie. Caravaggio czy Perugino mieli dużo większą wartość w Rio i Nowym Jorku, niż we własnej ojczyźnie. Wystrój willi Luki i apartamentów jego kochanek nie ucierpiał ani trochę.

Mały garbus z Neapolu - Niccolo Tolentino był przecież wspaniałym malarzem i geniuszem w kopiowaniu... Ale, mój drogi Maxie - Tolentino przerwał ciąg swoich opowieści dla podkreślenia ważnego zdania.

- Nigdy nie byłem oszustem. Nigdy w życiu nie sprzedałem falsyfikatu jako dzieła mistrza. Gdy faszyci proponowali Luce duże sumy lub opiekę w zamian za moje kopie, nie przejmowałem się ani trochę. Przecież i tak ich nienawidziłem. Interesy robił Luca, nie ja. Chcę, żebyś to pamiętał. Jest to dla mnie sprawa honoru.

- Będę o tym pamiętał, Nicki - zapewnił go Mather - ale nie mogę się doczekać dalszego ciągu opowieści.

- Na przekazanie wszystkiego nie starczyłoby całej nocy, Max. Idźmy dalej. Otóż, zaraz po wybuchu wojny w 1939, Luca wysłał żonę wraz z dwoma małymi synkami do Szwajcarii, pod opiekę swoich bankierów i zaufanych pracowników w Genewie. Sam pozostał w willi, gdzie pozostawał w towarzystwie licznych, kolejnych kochanek. W miarę jak losy wojny toczyły się coraz gorzej, zawierał układy ze wszystkimi: z faszystami, z Niemcami, z Kościołem, z partyzantami, z podziemiem komunistycznym i aliantami, którzy jak krety na łące, pokazywali się w Toskanii i Romanii. Po upadku reżimu Mussoliniego, kiedy Niemcy rozpoczęli swój długi i krwawy odwrót z półwyspu, Luca Palombini wykupił dodatkowe ubezpieczenie.

- W ciągu trzech dni, z pomocą grupy partyzantów, ogołocił willę ze wszystkich wartościowych przedmiotów, które następnie ukrył w podziemiach Tor Merla. Zbudowano nową ścianę z kamienia i pokryto ją sztukaterią, której trochę wody i błota dodało patyny. Partyzanci otrzymali hojną zapłatę w gotówce oraz pozwolenie na korzystanie z wieży w charakterze kryjówki i magazynu żywności. Gdy w okolicy wzrosła liczba wojsk niemieckich, partyzanci zniknęli, a Tor Merla zamieniła się w punkt obserwacyjny żołnierzy Wehrmachtu. Oficerowie spożywali posiłki w willi w spartańskich warunkach w towarzystwie Luki Palombiniego, wraz z jego aktualną kochanką, Camillą Dandolo - koloraturową śpiewaczką z La Scali, której ciało było zdecydowanie lepsze od jej głosu.

- Po ogłoszeniu zawieszenia broni Luca otworzył podziemia wieży i zabrał się do sprzedawania prawie wszystkich oryginalnych dzieł sztuki, aby za uzyskaną gotówkę odbudować majątek rodzinny. Chociaż ściany willi były zawieszane moimi kopiami i trzeciorzędnymi oryginałami, których nie warto było sprzedawać, interesy Palombinich w kraju i za granicą prezentowały się imponująco.

- Luca postanowił wezwać swoją rodzinę do powrotu ze Szwajcarii, lecz zanim zdążyli przyjechać, umarł - w trakcie miłosnego duetu z właścicielką sopranu. Żona Luki narobiła mnóstwo hałasu twierdząc, że wiele cennych przedmiotów zniknęło bez śladu, chociaż nie umiała powiedzieć których. Opowiadała na prawo i lewo, jak to dziwka z La Scali ograbiła jej męża, zanim zdołała go wykończyć. Wkrótce jednak zamilkła, za wyraźną namową krewnych. Zdaniem spadkobierców, Luca Oszust dla swoich spadkobierców spisał się wspaniale. Jeśli musiał po drodze, tu i tam pójść na

kompromis... No cóż, Florencja zawsze była miastem kupców i handlarzy. Więc... *sta zitta Madonna!*  
Trzeba ograniczać swoje straty, policzyć rany i trzymać język za zębami!

- I na tym koniec, Max. Chociaż niezupełnie. Siedzimy tutaj, tyle lat później i ty proponujesz mi pieniądze za wycenę resztek kolekcji Luki. *C'è una pazzia*, to szalone!

- Jedno pytanie, Nicki.

- Pytaj, mój drogi Maxie.

- Jeżeli kolekcja była, jak ją opisywałeś, mieszaniną oryginałów i falsyfikatów, dlaczego Luka zadał sobie tyle trudu, aby ją ukryć w Tor Merla?

Tolentino zarechotał i zaczął żywo gestykulować.

- Czyżbyś już zdążył zapomnieć o jego przydomku? Luca Oszust. Nic, co robił, nie było takie jak się wydawało. Sam fakt zamurowania zbiorów w podziemiach wieży podniósł ich wartość. One musiały być cenne. Jeśli sprawa by się wydała, nie miałby wiele do stracenia. Jeżeli natomiast, tak jak się zresztą stało, kolekcja została triumfalnie wydobyta na światło dzienne - każdy przedmiot, nawet moje kopie, zyskały *ipso facto* miano arcydzieł. W taki właśnie sposób Luca zbudował powojenne imperium rodzinne w kraju i za granicą...

- A więc... podejmiesz się tego zlecenia, Nicki?

- Dla ciebie i za pieniądze Palombiniego, oczywiście podejmę się. A teraz, jeśli obiecasz doprowadzić mnie szczęśliwie do łóżka, wypijmy jeszcze jedną brandy.

Wczesną porą następnego ranka Mather powrócił do Tor Merla - z bolącą głową, ale uwolniony od swoich zmor. Claudio Palombini był jeszcze w willi. Ucieszył się na wiadomość, że odpowiedzialność za archiwa będzie najprawdopodobniej zdjęta z jego barków i że możliwe są korzyści podatkowe. Upoważnił Mathera do rozpoczęcia pertraktacji z Biblioteką Narodową i polecił mu nadzór nad wyceną kolekcji przez Nicola Tolentina. Wręczył Matherowi czek w wysokości jego sześciotygodniowej pensji, poinformował go, że spadek Pii zostanie wypłacony w ciągu trzydziestu dni i udał się do Szwajcarii.

Mather pokręcił się przez godzinę po archiwum, notując co należałoby zrobić, żeby w sensownym porządku udostępnić zbiory do inspekcji zarządowi Biblioteki Narodowej. Potrzebne były



wysokie stoły i półki, aby papiery leżące na podłodze uratować przed zjedzeniem przez robaki i karaluchy. Zdawał sobie sprawę, choć nie wspomniał o tym Palombiniemu, że biblioteka, cierpiąca na brak funduszy i powierzchni magazynowej, może odmówić przyjęcia nie skatalogowanego archiwum.

Wstąpił do willi i przez Mattea zamówił stolarza na następnego dzień. Po chwili zrobił sobie kawę i usiadł pod kasztanowcem z książkami i nie skończonym tekstem monograficznym. Dzień był pogodny i ciepły. W czasie pracy nad rocznikiem 1505 ksiąg rachunkowych natknął się na niecodzienny wpis. Pod datą ósmego października znajdowała się wzmianka o wypłaceniu 80 florenów malarzowi z Urbino, mistrzowi Raffaello, w charakterze wynagrodzenia za dwa portrety - jeden donny Delfiny Palombini, żony *Gonfaloniere* imieniem Andrea - drugi ich córki, panny Beaty. Ponadto zanotowana była wypłata 60 florenów za pięć rycin do *pala*, malowidła ołtarzowego w kaplicy Świętego Gabriela, znajdującej się na terenie posiadłości. Notatka potwierdzała dostarczenie zamówień i całkowite uregulowanie rachunków.

Mather był zafascynowany swoim odkryciem. O takie szczęście błagają niebios wszyscy badacze i historycy sztuki. Nie przypominał sobie wzmianki o portretach Palombinich, ani o rycinach w *catalogue raisonne* dzieł Rafaela. Przejrzał kolejne tomy w swojej bibliotece, znalazł Passavanta i Carli. Żaden z nich nie wspominał o portretach ani rycinach. Czyżby więc była to nowa zagadka, ekscytująca naukowców i badaczy? Czy dzieła przetrwały tyle stuleci? Jeśli tak - gdzie znajdują się teraz?

Nasuwały się nowe pytania: czy są jeszcze podobne wpisy w starych księgach rachunkowych - ślady zakupu innych obrazów? Kawa wystygła mu zupełnie. Z uwagą zagłębił się w lekturę starożytnego pisma, odgadując niejasne skróty. Był właśnie w połowie 1506 roku, gdy pojawił się zarządca posiadłości, stary Matteo wraz ze stolarzem Luigim.

Przyszli wziąć miarę na półki i stoły. Było to poważne zajęcie i Mather musiał poświęcić im pełną szacunku uwagę przez całe pół godziny. Dobry obyczaj nakazywał zaoferowanie kawy i kieliszka grappy. Ze spokojem wysłuchał lamentów falegname Luigiego, że nie powinno się wymagać fachowej stolarskiej roboty w tak krótkim terminie. Doskonale wiedział jak się ma zachować. Przecież nie dało się walczyć z apenińskim wiatrem; można się było odwrócić do niego plecami, zastonić uszy i poczekać aż ucichnie. Włożył długopis między karty księgi, spakował swoje notatki i oddał się całkowicie, ciałem i duszą, dyskusjom nad półkami i stołami, oraz wyższością drewna heblowanego nad nie heblowanym. Jeśli byłby gotów przyjąć deski nie heblowane, wszystko byłoby gotowe na jutro. Jeżeli natomiast spodziewał się prawdziwej, fachowej roboty, musiałby uzbroić się w cierpliwość na dwa tygodnie. Właśnie miał się poddać z okrzykiem rozpacz, gdy zadzwonił telefon. Anna-Maria Loredon mówiła z pretensją w głosie:

- Max, przed chwilą dowiedziałam się o twojej żałobie. Czujesz się z pewnością okropnie. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Czułem się niezręcznie, jeśli chcesz znać prawdę.

- Zupełnie niepotrzebnie, przecież jesteśmy przyjaciółmi. Cóż warta jest przyjaźń, jeżeli nie umie się dzielić smutków? Nicki Tolentino powiedział mi, że nocowałeś gdzieś w mieście. Czy nie odpowiada ci moje mieszkanie?

- Ależ wręcz przeciwnie, ale przecież mam tam wstęp tylko w weekendy.

- Nonsens! Koniecznie przyjdź do mnie dziś wieczorem. Jeśli masz poczuć się lepiej, to kup coś do jedzenia i przyrządź kolację. Musimy porozmawiać, a poza tym mam pewien pomysł do przedyskutowania. Bądź o siódmej trzydzieści.

- Dobrze, będę.

Gdy odkładał słuchawkę poczuł ulgę i nagły przyptyw wdzięczności. Mężczyzna pogrążony w smutku jest prawie tak słaby, jak mężczyzna zakochany - w jednym i drugim przypadku, choć z różnych powodów, obawia się śmieszności. W tym samym momencie zauważył, że Matteo i *falegname* Luigi wciąż oczekiwali na jego odpowiedź i... na drugi kieliszek grappy. Dolewając im ognistego napoju stwierdził:

- Użyjcie takiego drewna, jakie macie. Ja po prostu potrzebuję wystarczająco miejsca na sterty papierów i książek leżących na podłodze. Przecież nie budujemy apartamentu dla papieża.

- Ale my mamy swój honor. - Luigi nagle okazał się wymowny. - Kiedy przyjdą panowie z Biblioteki nie możemy wprowadzić ich do chlewu! Pana zdrowie, *professore*.

\* \* \*

Tego wieczora Mather przyrządził uroczystą kolację dla Anny-Marii. Ceremonia przygotowań nie pozwalała na intymną rozmowę. Anna-Maria postanowiła poczekać na stosowną chwilę. Kiedy jedzenie było już gotowe, usiedli w ciszy blisko siebie, patrząc na księżyc wędrujący ponad dachami dzwonnicy. Delikatnie i powoli zaczęła nakłaniać go do mówienia.

- Co będzie z twoją posadą, Max?

- Zgodziłem się na pozostanie przez najbliższe sześć tygodni. Tyle czasu potrzebuję na zorganizowanie przejścia archiwum i wycenę kolekcji obrazów. Któż wie, co będzie później. Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia byłem uzależniony od Pii, jak bardzo liczyłem na wieczne trwanie naszego związku.

- Nigdy mi nie mówiłeś, co to był za związek.

- Sam nie zadawałem sobie tego pytania. Przyjmowałem wszystko za dobrą monetę... aż do końca, kiedy Pia stała się całkowicie uzależniona ode mnie. Karmiłem ją, kąpałem, ubierałem, i nosiłem z miejsca na miejsce jak chore dziecko. Umarła dosłownie w moich ramionach.

- Pewnie bardzo ją kochałeś.

- Pewnie tak. - Mather uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem. - Czy jesteś zdziwiona?

- Trochę. Musisz być silny psychicznie, jeśli byłeś w stanie zaoferować tego typu oparcie. Szczerze mówiąc, nigdy nie podejrzewałam w tobie takiego mężczyzny. Cała reszta zdawała się tworzyć logiczną całość - bogata wdowa, przystojny naukowiec, związek opłacalny i wygodny.

- Jakikolwiek by był, dziś należy do przeszłości... *finita la comedia!* Ale dosyć o mnie... może ty powiesz mi coś o swoich planach.

- Wracam do siebie i zaczynam szukać odpowiedniego pomieszczenia na własną galerię. Muszę zgromadzić grupę dobrych artystów i stworzyć własną klientelę. Mój ojciec obiecał pożyczyć mi sumę niezbędną do wystartowania.

- To świetnie!

- Pomyślałam Max, że może chciałbyś pracować dla mnie?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę i przecząco pokręcił głową. Dla ciebie nie. Być może mógłbym pracować z tobą, pod warunkiem, że działałbym z wolnej stopy. Czy nie lepiej zostawić tę sprawę otwartą, dopóki nie znajdę się w Nowym Jorku?

- Oczywiście, ale powiedz mi szczerze, dlaczego nie zgodziłbyś się pracować dla mnie?

- Dlatego - odpowiedział Mather - że mam po dziurki w nosie czyjegoś patronatu. Całe moje życie spędziłem w ten sposób: fundacje, stypendia, subwencje i finansowy protektorat zamożnych kobiet w rodzaju Pii. Wobec niej, na szczęście, nie mam dużych wyrzutów sumienia, gdyż byłem w stanie spłacić część swojego długu wdzięczności. Od dzisiaj, moja droga, czeka mnie samotny lot. Jeśli przyjdzie mi runąć na ziemię z dużej wysokości - pech! Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jakie to dla

mnie ważne; sprawa życia lub śmierci. Mam dobre podstawy naukowe, ale zawsze byłem zbyt leniwy by osiągnąć perfekcję. Teraz lub nigdy, muszę wystawić się na próbę, sprawdzić z jakiej gliny jestem ulepiony.

- I za to wznoszę toast, Max. Ciekawa będę wyniku twoich prób. Ale powiedz mi coś jeszcze.

- Co?

- Co powiedziałaś Pii o mnie?

- Niewiele. Wiedziała, że mieszkałem tutaj w czasie weekendów, że uczyłem cię historii sztuki i wyceny dzieł - nic poza tym.

- Czy wierzyła, że nie było czegoś więcej?

- Postanowiła uwierzyć.

- Podczas jej choroby nie było chyba wiele miejsca na seks.

- Nie, nie było. Godziła się z faktem, że swoje potrzeby zaspokajałem gdzie indziej i dopóki nie przedstawiłem jej konkretnej, namacalnej rywalki, mogła o tym zapomnieć.

- Bardzo wątpię, czy mnie stać by było na taką uprzejmość.

- Z pewnością! Jeśli nie chciałybyś stracić dobrego kucharza i bezproblemowego towarzysza w łóżku.

- Nareszcie mówisz jak Max, którego znałam dotychczas.

- Ach, ten. Jakoś ostatnio nie jestem pewien czy jeszcze tam jest. Pojawia się i znika.

- Trzeba to koniecznie sprawdzić - zasugerowała Anna-Maria. - Głupio zmarnować taką księżycową noc.

Długo spali następnego ranka i dopiero w południe Mather pojawił się w Tor Merla. Stolarz Luigi dotrzymał danego słowa. Półki były już gotowe. Obok, na skończonej ramie stołu leżała kartka z informacją, że wyszedł w poszukiwaniu materiału na blat i wróci później. Na podłodze stała otwarta skrzynka z jego narzędziami.

W pierwszej kolejności Mather zamierzał ułożyć na półkach dokumenty. Praca w ciepłym i kurzu wywołała u niego atak kataru siennego. Gdy wszystkie papiery zostały przeniesione, odkrył że nie leżały one, jak mu się wydawało, na kamiennej podłodze. Spoczywały na drewnianej palecie, na jakiej zazwyczaj ustawia się sterty cegieł lub jednakowej wielkości paczek. Po obejrzeniu z bliska, paleta okazała się metrowej długości skrzynką z drewnianych listew szerokości sześćdziesięciu centymetrów i głębokości piętnastu centymetrów, wyłożoną wewnątrz słomianą matą.

Bardziej zwykła ciekawość niż nadzieja interesującego odkrycia spowodowała, że zdecydował się na podważenie wieka i odwiniecie maty. W środku znajdował się spory pakunek z grubego płótna, zaszyty żeglarskim ścięciem i zabezpieczony przed światłem i wilgocią brązowym, pszczelim woskiem. Na moment serce przestało mu bić, zadrżał z emocji i próbował złapać oddech. Zamknął na klucz drzwi wejściowe, dokładnie spakował ochronną warstwę słomy, wcisnął listwy skrzynki na miejsce i zaniósł zawiniątko do swojej sypialni na szczycie wieży.

Przymknął okiennice, tak że światło w pokoju stało się przyćmione. Po chwili, za pomocą żyłki, zdrapał wosk z krawędzi pakunku i zaczął bardzo delikatnie rozpruwać szwy wykonane szewskim szpagatem. Robił to w pełni profesjonalnie, pracując powoli i rytmicznie. Cokolwiek było wewnątrz pakunku, musiało być bardzo cenne. Opakowanie zrobione było z wielką starannością, aby ochronić zawartość przed powietrzem i wilgocią. Uszkodzenie jej nieostrożną manipulacją byłoby niepowetowaną okropnością. Jego palce natrafiły najpierw na dwa twarde przedmioty zawinięte w aksamit i coś jeszcze zawiniętego w jedwab.

Ostrożnie wyciągnął dwa twarde przedmioty - dwie deski ze starego drewna: dwa portrety, jeden kobiety, drugi dziecka, głowa, ramiona i biust na tle tokańskich wzgórz i letniego nieba. Zostały niewątpliwie oczyszczone przed zapakowaniem, bo nie było śladu retuszu. Obie miały staniki z epoki, pomiędzy guzikami jednego i na koronkach drugiego namalowany był podpis „RAFAELLO URBINAS FEC”.

Mather poczuł naraz zawroty głowy. Upadł na kolana przy łóżku, oparł obrazy o poduszkę i klęczał długo, wpatrując się w nie z adoracją jak mnich. Jego mózg pracował jak maszyna. Te cholerne rzeczy musiały być prawdziwe. Wyglądały jak prawdziwe, w dotyku były jak prawdziwe... mistrzostwo, pociągnięcia pędzlem... paleta. Oczy mu się zamgliły, zamknął je i pochylił głowę na kapę.

Zawroty minęły. Wyciągnął resztę skarbu - ryciny, wyblakłe przez stulecia, ale nadal wyraźne, nadal wibrujące mistrzowskimi liniami, pierwsza była projektem całego ołtarza, przedstawiała Chrystusa, wjeżdżającego na ośle do Jerozolimy i ludzi, wymachujących liśćmi palmowymi jak flagami,

wołających hosanna. Pozostałe były studiami poszczególnych elementów, zwierząt, architektury. Wszystkie postaci, oprócz Chrystusa, były przedstawione we florenckich ubiorach z epoki i pasowały do wiejskiego krajobrazu Toskanii. Mężczyźni byli młodymi Palombinimi, dworzanami Medicich, a kobiety ich żonami.

Wszystko wyglądało prawdziwie. Dzieła odpowiadały opisowi w starej księdze rachunkowej. Papier z wyglądu i dotyku zdawał się prawdziwy. Rysunek wydawał się charakterystyczny dla młodego mistrza. Zapakowane były z wielką starannością. Schowane pośpiesznie w nagłej wojennej potrzebie, przeleżały pod papierami przez czterdzieści lat. Jedyny człowiek, który mógłby wiedzieć o ich utracie nie żył. Tylko Max Mather wiedział o ich istnieniu. A drogą spadku po zmarłej kochance, mógł legalnie wystąpić o ich własność.

Włoskie prawo różniło się od anglosaskiego w jednym, istotnym szczególe: kładło większy nacisk na formę dokumentu niż na jego intencję. A forma zapisu Pii dla niego była bardzo jasna. Po pierwsze, był to ręcznie spisany dokument. Testatorka napisała go własną ręką, była więc to bardzo silna przesłanka pełnego wyrażenia jej woli. Po drugie, w specyficzny sposób wyrażone to było po włosku:... *la sua propria scelta d'un oggetto ricordo dal archivio...* pamiątka z archiwum według jego własnego wyboru.

Pozostali spadkobiercy - gdyby wiedzieli - niewątpliwie zakwestionowaliby jego prawo. Argumentowaliby, nie bez racji, że pakunek wartości dziesiątków milionów dolarów nie może być chyba uznany za *oggetto ricordo*. Z pewnością interweniowałyby Belle Arti, domagając się rozstrzygnięcia sądowego, co trwało by lata. A nawet potem mogłyby zabronić wywozu skarbów narodowych.

Tak więc zwyczajny zdrowy rozsądek nakazywał mu, ażeby natychmiast zabezpieczył swoje prawa do arcydzieł - i tak szybko jak to możliwe wywiózł je z Włoch i umieścił w sejfie depozytowym w Szwajcarii. Jednakże, dokonując tego musi zadbać, żeby nie uszkodzić ani nie zniszczyć dowodów doskonałego pochodzenia dzieł.

Zostały one zamówione u Rafaela przez i dla rodziny Palombinich. Tutaj, w autentycznej księdze rachunkowej z epoki, pod datą z października 1505 był zapis dotyczący tej transakcji. Pozostawały niewątpliwie w posiadaniu rodziny aż do dnia dzisiejszego, zaś w czasie, gdy Luca Oszust zarządzał posiadłością, znalazły się w archiwum i przez ponad czterdzieści lat pozostawały zagrzebane pod zakurzonymi papierami.

...W końcu przybył Max Mather i szperał w archiwum w poszukiwaniu pamiątki według własnego wyboru - zapisanej w testamencie przez Pię Palombini. Natrafił na dziwne płócienne

zawiniątko, będące niewątpliwie częścią archiwum. Kaprys spowodował, że wybrał jako swoją pamiątkę ów pakunek z niespodzianką. Nie otworzył go od razu, nie wiedział więc, co zawiera. Dopiero na gruncie neutralnym odkrył arcydzieła i skojarzył je z wpisem w księdze rachunkowej.

Nawet wówczas nie miał pewności, czy są to oryginały. Wiedział, że Luca Oszust kazał wykonać kopie wielu arcydzieł. Dzieła te więc muszą być zbadane przez ekspertów. Do czasu uznania ich za autentyczne nie ma podstaw do sporu. Nie ma więc w tym wszystkim żadnej winy ani podejrzenia w stosunku do Mathera. Działał całkowicie zgodnie z przyzwoitością. Gdyby w przyszłości jego prawa do tych dzieł się zmieniły, mogłoby się to stać w cywilnym, a nie kryminalnym zakresie.

Wszystko to wydawało się doskonale legalne. Max mógł mieć prywatnie wątpliwości co do moralności, ale nie można było oczekiwać, aby wyrażał to publicznie i piętnował siebie jako człowieka chciwego i nieuczciwego. A poza tym Palombini też prowadzili chaotyczne rozgrywki. Mieli tylko jedną zasadę: niech przeciwnik się pilnuje. Nie było niemożliwe, że będą chcieli zawrzeć umowę o zwrot obrazów. Byłaby to inna sprawa do rozważenia, gdyby rozgrywka stała się zbyt brutalna.

Sumienie zostało więc szybko uśpione, następnym krokiem było wywiezienie dzieł z Włoch. Krótkie zastanowienie przekonało Mathera, że powinien to zrobić natychmiast. W ciągu dwóch i pół godziny dojechałby do Mediolanu, aby złapać ostatni samolot do Zurychu, pójść rano do swojego banku, zostawić obrazy do przechowania w sejfie i przylecieć z powrotem po południu. Potem mógłby spać spokojnie i śmiało planować pomyślną przyszłość.

Ułożył obrazy i ryciny na stole i przy użyciu flesza zrobił serię kolorowych zdjęć. Potem z ogromną ostrożnością zawinął je i zapakował z powrotem w płócienne zawiniątko. Niezgrabnie zszył ponownie pakunek i uszczelnił go, rozgrzewając wosk zapalniczką. Zmieścił się on świetnie w podróźnej torbie z wieszakami na ubrania, w której zostało jeszcze miejsce na marynarkę i spodnie. Wraz ze zmianą bielizny i koszulą zupełnie to wystarczało na jednodniową wyprawę. Sprawdził portfel - pieniądze, paszport, karty kredytowe, czeki podróźne. W dawnych czasach z Pią przyjął zwyczaj zachowywania gotowości do wyjazdu w każdej chwili.

Przewiesił torbę przez ramię i zszedł na dół. Wychodząc minął Luigiego i jego pomocnika, długonogiego młodzika ze wsi. Mather podziękował za wykonaną już pracę i dał im pół butelki grappy dla zachęty, aby skończyli pracę następnego dnia. Był już prawie w drzwiach, gdy zadzwonił telefon. Był to bardzo podniecony kustosz działu rękopisów.

- Max, przyjacielu, bardzo dobre i ważne wieści! Nasz dyrektor jest bardzo zainteresowany przejściem archiwum. Chciałby je obejrzeć ze mną w przyszły wtorek o dziesiątej rano.

- Świetnie. Będę tutaj, aby was obu powitać.

- I powiedz signorowi Claudio Palombiniemu, że będą zniżki podatkowe dla donatora. Opisane są w liście, który wyślę do ciebie jutro.

- To najważniejsze. Coś masz jeszcze? Spieszę się na samolot.

- Musisz jeszcze usłyszeć ostatnią wiadomość. Jeżeli archiwum przejmie Biblioteka, pewnie zostaną mianowani na kuratora, ty z pewnością zostaniesz wpisany złotymi zgłoskami do księgi dobroczyńców!

- Jestem bardzo wzruszony, mój przyjacielu. Żałuję tylko, że muszę tak szybko wyjechać, ale zadzwonię zaraz po powrocie. Tymczasem do wtorku, o dziesiątej. Przygotuję czerwony chodnik. A presto! *Ciao!*

Trzasnął słuchawką i wybiegł do garażu. Trzy minuty później był w drodze, kierując się do wjazdu na autostradę.

Ostatnie tygodnie pracy, według umowy z Palombinim, miały Matherowi powoli. Przekazywanie archiwum do Biblioteki Narodowej wymagało od niego niekończących się dyskusji z dyrektorem i irytujących telefonów do Palombiniego. Bibliotece brakowało miejsca do przechowywania i urządzeń do konserwacji. Na razie więc dokumenty miały pozostać w Tor Merla. Powstały więc kwestie zabezpieczenia, ubezpieczenia, odpowiedzialności za nadzór i kto podpisuje rachunki. Ulgi podatkowe dla Palombiniego były mniejsze niż się spodziewał, jego prawnicy zalecali mu zwrócenie się do innych instytucji i tak dalej, i tak dalej, aż Mather miał ochotę wysłać ich wszystkich do diabła, a sam wyjechać na odpoczynek gdzieś w tropiki.

Z Niccolem Tolentinem było łatwiej. Chodził po pokojach i korytarzach willi z notatnikiem, mierzył obrazy, robił notatki, komentował swoje czynności kilku co najwyżej słowami. Jego zachowanie było tak szorstkie, że Mather odczuł potrzebę zapytania, czy go ktoś nie obraził. Tolentino zmarszczył się ze zdziwieniem.

- Obraził! Jak mógłbyś mnie obrazić? Jesteśmy przyjaciółmi... Pytasz mnie, dlaczego jestem nerwowy, zawsze jestem taki, gdy pracuję. Muszę być sam, nie mogę rozpraszać się pytaniami i komentarzami. Pomówimy o wszystkim później.



Potem nadszedł czas wyjazdu Anny-Marii z Florencji. Mather urządził na jej cześć wielkie przyjęcie pożegnalne w Gallodoro. Przyszli wszyscy jej przyjaciele - stypendyści, rzemieślnicy, malarze, rzeźbiarze, ludzie z galerii - i ten tłum nie rozszedł się aż do drugiej nad ranem. Potem Mather szedł z nią do domu przez śpiące miasto - był to dla nich obojga niezwykle i nostalgiczny spacer, oznaczający koniec dawnego i początek nowego życia.

- To było piękne zakończenie pięknego okresu - powiedziała Anna-Maria. - Dziękuję ci, Max!

- To ja ci dziękuję, że spędziliśmy ten piękny czas razem.

- Będziemy mieli go znowu w Nowym Jorku.

- Na pewno. Jak się czujesz wracając?

- Cieszę się - ale boję również. Mam nadzieję, że będę potrafiła przetrwać wśród chciwców.

- Na pewno. Nie powinnaś w to wątpić. Nie pozwól, aby obawy tłumity twoją pewnością siebie. Tutaj żyłaś wszystkim co najlepsze, poiaś się tradycją wraz z poranną kawą. Teraz nie przypuszczasz, teraz wiesz! Bądź silna tą wiedzą.

- Słucham, mistrzu. Nie zawiodę cię. A jakie są twoje plany?

- Najpierw jadę do Szwajcarii. Mam sprawy do załatwienia w Zurychu. Potem zrobię sobie wakacje na śniegu. Prawdopodobnie objadę parę miejscowości, spotkam się ze starymi przyjaciółmi, poznam nowych... a tego mi potrzeba. Spodziewam się przyjechać do Nowego Jorku z końcem stycznia.

- A pomyślisz o naszej współpracy?

- Właśnie przetrawiam kilka nowych pomysłów. Z pewnością będziemy mogli coś razem zrobić. A w jakim stadium są twoje sprawy?

- Dzieją się interesujące rzeczy. Pośrednik od nieruchomości oferuje mi dzierżawę pomieszczenia na galerię w SoHo. Należy do człowieka, który nazywa się Bayard i jest adwokatem, pracującym dla Amerykańskiego Stowarzyszenia Dealerów Dzieł Sztuki. Jego żona była artystką, która zginęła w tragicznych okolicznościach jakiś czas temu, a on sam jest znanym kolekcjonerem. Kto wie, może zostanie od razu właścicielką nieruchomości i klientką.

- Brzmi to obiecująco.

- I jest obiecujące... ale co z tobą? Co naprawdę chcesz robić, Max?

- Zawodowo, czy osobiście?

- Jedno i drugie.

- Już ci mówiłem. Mam dość zależności. Muszę wziąć swoje życie we własne ręce. Żeby to zrobić, muszę zarobić duże pieniądze, jeśli będę umiał. Jak mogę to zrobić? Nie jestem twórcą. Nie jestem artystą ani pisarzem, który ma pieniądze w głowie, muszę sprzedawać to, co zdobyłem w formie wiedzy i doświadczenia. Dlatego jadę do Szwajcarii, po prawną i finansową poradę, jak zacząć.

- Zostaniesz w Europie?

- Rozważam to. Jestem poliglotą, czuję się dobrze po obu stronach sadzawki. Dlaczego pytasz?

- Bo gdybyś był tutaj, a ja w Nowym Jorku, moglibyśmy razem robić dobre interesy - wymiana artystów, kupno i sprzedaż w obu kierunkach, import i eksport wystaw. Pomyśl o tym, Max. Obiecujesz mi, że przemyślisz to bardzo starannie?

- Obiecuję.

- Nie wiem, czy wiesz, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało? - Zatrzymał się, skierował jej twarz ku księżycowi i pocałował ją lekko w usta.

- Na pewno będzie ci mnie brakowało. Mnie będzie brakowało ciebie. Ale bądźmy szczerzy, kochanie. Żałoba nie będzie trwała długo na Manhattanie. Będziesz miała tłum mężczyzn do wyboru i po uszy nowych ambicji. Ale zawsze będziemy przyjaciółmi, ponieważ umiemy wypowiadać słowa, do tłumaczenia których nie potrzebny nam jest słownik. Może to za mało, aby zrobić z nas najlepszych kochanków świata, ale więcej, niż niektórzy znajdują przez całe życie. Chodźmy więc szybko do domu, zanim dotrze do nas chłód i ulotni się miłe ciepło przyjęcia!

Wyjazd Maxa z Florencji był znacznie mniej uroczysty. Parafował ostateczny akt darowizny archiwum i wysłał go przez kuriera do podpisu Palombiniemu do Szwajcarii. Potem wziął od Tolentina inwentarz i wycenę dzieł sztuki, aby je doręczyć do biura prawnego posiadłości. Gdy zobaczył, jaka liczba pozycji opatrzona jest uwagami: „przypisywany”, „szkoła”, „kopia nieznanego pędzla”, „kopia”, „być może współczesne”, Tolentino wytłumaczył mu dobrodusznie:

- To wszystko, co mogłem, Max, mając na uwadze to, że stary Luca zapłacił mi przede wszystkim za ochronę swoich interesów. Te notatki oznaczają czerwone światło dla każdego szanującego się domu aukcyjnego. Poza tym, kupujący może wyciągnąć wnioski dla siebie.

- Rozumiem, Nicki. Nie powinienem być w ogóle pytać, to nie moja sprawa. Ty jesteś ekspertem, to twój dokument. Ale interesuje mnie jedna rzecz. Czy zauważyłeś brak jakichś starych znajomych w kolekcji?

- Bardzo niewiele, Max. Ale gdybyś mnie zapytał, to ci nie powiem których. Pamiętaj, że istnieją co najmniej dwie wersje każdego: oryginał i moja kopia. Byłoby niebezpiecznym szaleństwem spekulowanie, gdzie znajduje się każda z nich i jak do jej posiadania doszedł obecny właściciel.

Mather roześmiał się.

- Czy nie przesadzasz?

- Wcale nie. - Mały człowieczek powiedział to bardzo stanowczo. - Załóżmy że, jak to się często zdarza, właściciel wielkiego arcydzieła zastawił je w banku za pożyczkę. Załóżmy, że ty lub ja nieostrożnym słowem zasugerujemy, iż może to być fałszerstwo. Bank domaga się zwrotu pożyczki. Wiarygodność dłużnika zostaje zniszczona, a co najmniej nadwyrężona... Załóżmy bardziej skrajny przypadek. Nabywca zapłacił wielkie pieniądze za śmieć, idzie więc i zabija człowieka, który mu go sprzedał... A kto może ostatecznie rozstrzygnąć, co jest prawdziwe, a co kopia? Niewielka liczba ekspertów, używających nowoczesnych technik laboratoryjnych - i oczywiście ja. Mój monogram jest namalowany na każdej kopii, którą wykonałem.

- Mógłbym wiedzieć jaki?

- Nie możesz. Jest to mój osobisty znak, który tylko ja mogę rozpoznać.

- Wybacz mi, Nicki. Zapomnij, że pytałem.

- Zapomnę i wybaczę, jeśli tylko spowodujesz, że ci cholerni prawnicy wypłacą mi od razu moje honorarium.

- Mam dzisiaj podjąć u nich mój spadek. Spróbuję wymóc na nich, żeby wypisali od razu twój czek.

- Dobry z ciebie człowiek, Max. Będzie nam ciebie brakować.

Przyjemnie było to usłyszeć, ale w głębi duszy wiedział to, czego we Włoszech każdy cudzoziemiec prędzej czy później się dowiadywał, że na pierwszym miejscu jest rodzina, na drugim

najbliżsi przyjaciele, a cudzoziemscy przyjaciele to zbyteczny luksus, ponieważ pozostają poza zawiłą pajęczyną praw i obowiązków, winien i ma, które razem wiążą społeczeństwo. Więc... uścisk, pożegnanie, wymiana podarków - ołówkowy szkic od Tolentina, osiemnastowieczne wydanie Petrarcki od Mathera - i było po ceremonii.

W biurze prawnika wszystko odbyło się z szorstką uprzejmością. Oczywiście czek dla Tolentina zostanie wysłany wieczorną pocztą. Oto dla pana, panie Mather, czek w dolarach ze spadku, który proszę pokwitować. Rozumiem, że opuści pan rano Tor Merla, a klucz pozostawi u zarządcy, Mattea.

- Czy oczekuje pan czegoś jeszcze ode mnie?

- To wszystko, panie Mather. Pozostaje mi przekazać panu w imieniu rodziny podziękowanie za oddane usługi i życzyć pomyślności na przyszłość.

- Dziękuję panom i do widzenia.

Nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Nikomu nawet na myśl nie przyszło zapytać, jaką pamiątkę wybrał sobie z archiwum, ani zażądać za nią pokwitowania. Dopiero w połowie drogi do willi zrozumiał łacińską logikę tego przeoczenia. Archiwum przeszło, praktycznie biorąc, od rodziny we władanie państwa, które powinno odtąd nim się zajmować i nie interesowało już rodziny. Palombini szkolili się od stuleci zgodnie z maksymą, że o wszystkim, co nie przynosi ani florena - mężczyźnie, kobiecie czy drzewie oliwkowym - nie było warto było nawet wspominać.

Znaczyło to, że Max Mather był legalnym posiadaczem dwóch portretów oraz kompletu rycin, przypuszczalnie Rafaela, o niepodważalnym pochodzeniu. Jedyne cieniem, wiszącym nad portretami było to, że mogły być kopiami, wykonanymi przez Niccolò Tolentina.

Max Mather wybuchnął śmiechem, jadąc w gęstniejącym mroku w stronę ciemnego garbu Tor Merla. To był smak gry, która przy pewnym szczęściu i starannym planowaniu mogła przynieść na zakończenie fortunę.



## ROZDZIAŁ 2

Adwokat Edmund Justin Bayard miał spotkanie w Frick Collection przy Fifth Avenue w pierwszą rocznicę śmierci swojej żony.

Nie było to daleko, dziesięć przecznic w stronę dzielnic rezydencyjnych od jego mieszkania przy Park Avenue, dwie przecznice od Siedemdziesiątej Ulicy. Było to o wiele bardziej odległe w czasie, dwanaście miesięcy istnienia w samotności, ponurych pustych dni, podczas których działał jak maszyna, precyzyjnie, w zupełnie beznamiętnym rytmie.

Tego jasnego zimowego dnia jednakże maszyna przemieniła się nagle w człowieka wyraźnie ożywionego na widok, głos i dotyk kolegów. Pielgrzymka do Fricka była kompromisem pomiędzy nim a bóstwem, jakiegokolwiek by rządziło tym przypadkowym wszechświatem.

Zespół kameralny od Juillarda grał koncert A-dur Mozarta na klarnet. Cicha muzyka klasyczna odpowiadała jego elegijnemu nastrojowi. Madeleine lubiła to miejsce i jego elegancką stabilność.

„To takie niezmiennie”, mawiała tym swoim spokojnie stanowczym tonem. „To jak zatrzymany w bezruchu proszony obiad. Możesz przyjść w przyszłym roku, albo w jeszcze następnym i kontynuować go od dowolnej pozycji w menu”.

W gruncie rzeczy całe to miejsce było wspaiałym anachronizmem: italianizująca willa, arogancko umieszczona na pierwszorzędnym skrawku pośród nowojorskich nieruchomości. Wnętrza zaprojektowane przez edwardiańskiego Anglika zapełniała kolekcja obrazów, rzeźb, mebli i ozdób, oddająca nie tyle książęcy styl życia jej fundatora, co smak wielkiego Duveena, domokrażnego sprzedawcy przedmiotów sztuki.

Henry Clay Frick, którego popiersie zdobiło hall wejściowy, swoją fortunę zrobił na węglu i stali w Pittsburghu. Strzelano do niego i próbowano go zasztyletować jako wroga ludu, ale przeżył i pośmiertnie został dobroczyńcą dzięki tym wszystkim parkom, szpitalom, fundacjom oświatowym, no i tej kolekcji arcydzieł.

Z milczącym pozdrowieniem dla lśniącego marmurowego wizerunku Bayard przeszedł szybko przez Salę Południową do sali Głównej, która dla Madeleine zawsze była sercem kolekcji. Sama, jako malarka, tak jak Holendrzy miała obsesję wnętrza i komponowała małe improwizacje słowne dla utrwalenia swojej wizji ich charakteru.

Mogę sobie wyobrazić, jak siedziało się w tym pokoju w zimowy wieczór przy płonącym ogniu, po podaniu kawy i brandy, gdy służba już została odesłana. Na samego Henry'ego Claya Fricka

spod kominka spoglądał św. Hieronim, a dwaj śmiertelni rywale, Tomasz Moore i Tomasz Cromwell mierzyli się wzrokiem z obu stron ognia. Zza jego pleców zaglądały dwa Tycjany: Aretino, umierający ze śmiechu ze sprośnego żartu i młody człowiek w czerwonej czapce, śniący młodzieńcze sny, podczas gdy św. Franciszek Belliniego wpatrywał się w ekstazie w niebiosa. Z zewnątrz, z powodu śniegu nie dochodził żaden głos. Ludzie tak spokojni muszą być szczęśliwi. Pan Frick, filantrop, jest tak pełen życzliwości, że może nawet wybaczyć anarchiście, który chciał go zabić...

Madeleine nie dano czasu na wybaczenie. Została zasztyletowana w swojej pracowni, urządzonej w magazynie w SoHo. Było to bezsensowne, okrutne morderstwo, popełnione - policja zdaje się w to wierzyła - przez narkomana, desperacko potrzebującego swojej działki. Ani mordercy, ani narzędzia nigdy nie odnaleziono.

Wspomnienie tego dnia wielokrotnie doprowadzało Bayarda niemal do szaleństwa, ale dzisiaj mógł o nim myśleć z dziwną obojętnością, jak o ilustracji z książki historycznej, odległej od kontekstu jego osobistego życia. Dramat odsunął się od niego - odgrywany ciągle i ciągle aż do znudzenia. Za długo znajdował się poza powszedniością. Był już czas, aby zająć się znowu życiem.

- Pan Bayard? Pan Edmund Bayard?

Odwrócił się do pytającej. Na pierwszy rzut oka wydała mu się zastanawiająca podobna do Lady Meux z portretu Whistlera w owalnym pokoju. Odpowiedział szorstko:

- Tak, jestem Bayard.

- Anna-Maria Loredon. Był pan uprzejmy zaproponować mi tutaj spotkanie.

- Córnka Hugh'a Loredona - oczywiście! Długo go nie widziałem. - Wykonał nieznaczny, odzegnujący gest. - Zgubiłem się całkiem od czasu, gdy moja żona umarła. Dzisiaj jest rocznica jej śmierci.

- To uprzejmie z pańskiej strony, że zechciał się pan ze mną spotkać. Po raz pierwszy uśmiechnął się i uśmiech ten odmłodził go o dziesięć lat.

- Ależ nie, bardzo mi miło w pani towarzystwie. Przejdziemy się w koło?

Gdy doszli do owalnego pokoju, odprężył się już na tyle, że mógł porównać ją z portretem Walerii, Lady Meux i sprawdzić, czy rzeczywiście istniało podobieństwo. Anna-Maria protestowała:

- Ona jest dużo ładniejsza ode mnie.

- Nie myślałem o piękności - powiedział z uśmiechem Bayard. - Ona była szalona, jak myślę, że pani może być. Przybyła znikąd, wyszła za magnata od piwa i wzbudzała szal radości gdziekolwiek się pojawiła. Opowiadano mi, że raz zjawiała się na okręgowym polowaniu na lisy, jadąc na słoniu.

- I myśli pan, że ja mogłabym tak zrobić?

- Mogłaby pani - rzeczowo powiedział Bayard. - Myślę, że pani mogłaby.

- I wszystko to może pan wyczytać z portretu?

- No, rzeczywiście to nie. Ja tylko pokazuję mój zbiór bezużytecznych informacji. - Uśmiech zniknął z jego twarzy i pociągnął ją z powrotem, by stanęła obok niego i razem przyglądali się obrazowi. - Zastanawiam się, ile pozostało z tego, co Whistler naprawdę zrobił. Niektóre z jego materiałów były nietrwałe, a niektóre z jego technik są wątpliwe. Czas nie obszedł się łaskawie z wszystkimi jego obrazami. Proszę spojrzeć na przykład na Montesquieu - przerwał naraz, zażenowany własną pedanterią. Anna-Maria pobudziła go:

- Niech pan mówi, interesuje mnie to. Wzruszył ramionami.

- Moja żona była malarką, ja jestem tylko kolekcjonerem. Użyczała mi swoich oczu i wycucia. Razem gromadziliśmy naszą kolekcję.

- Bardzo bym chciała ją zobaczyć.

- Zobaczy pani, obiecuję. Zostawmy Whistlera i chodźmy porozmawiać z paroma wielkimi do Galerii Zachodniej. Powie mi pani po drodze, co pani ode mnie potrzebuje.

- To bardzo proste. Posiada pan budynek z pracownią w SoHo.

- Skąd pani to wie?

- Powiedział mi pośrednik od nieruchomości, z którym mam kontakt. Chciałabym go wydzierżawić od pana.

- W jakim celu?

- Aby założyć własną galerię.

- To ambitny plan.

- Myślę, że stać mnie na to. Całe moje życie po studiach zajmowałam się dziełami sztuki. Praktykowałam u Sotheby's, pracowałam w Agnew's i w Marlborough i brałam udział w letnich kursach, sponsorowanych przez Belle Arti w Rzymie i we Florencji. Jestem ciągle nowicjuską, ale sądzę, że mam lepsze kwalifikacje, niż tych wielu z mosiężnymi tabliczkami na drzwiach przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, zgodzi się pan?

- Za mało mam informacji, żeby móc opiniować.

Jego ton był suchy i obojętny. Gdy z pewnym zdziwieniem spojrzała na niego, zobaczyła innego Bayarda, adwokata o chłodnym spojrzeniu, trzeciego na prestiżowej liście merkantylnych praktyków, którego opinie wymagały wysokich honorariów i głębokiego szacunku. Anna-Maria sprowokowała go:

- Pan się asekuruje, panie mecenasie. Dlaczego nie miałabym być dobrym dealerem?

- Nie ma żadnego powodu, by pani nie była. Ja tylko wykazuję, że wykształcenie w dziedzinie sztuki jest pierwszym dopiero stopniem, tak jak w moim zawodzie tytuł prawnika jest tylko początkiem. Widzi pani, w obu przypadkach występuje element zaufania. Pani jest swatką pomiędzy sprzedającym i kupującym. Obaj muszą pani ufać. „Niech się martwi nabywca” jest złym mottem w dziedzinie sztuki. Za dużo jest fałszerstw, za dużo obrazów nieprawdziwie „przypisanych” wybitnym twórcom, za dużo handlarzy sprzedaje świńskie uszy jako jedwabne sakiewki. Ceny idą w górę, a pieniądze tracą na wartości.

- Co za przemówienie, panie Bayard. Tak bardzo pan się tym przejmuje?

- Muszę. Zapewne pani ojciec wspominał, że nasza firma reprezentuje Amerykańskie Stowarzyszenie Dealerów Dzieł Sztuki. Jesteśmy chociaż w części zobowiązani do dbania o ich uczciwość.

- Jestem pod wrażeniem.

- Nie ma powodu. Może porozmawiamy o tej pani galerii - jestem pewien, że zdaje sobie pani sprawę z tego, jak dużo czasu potrzeba na zgromadzenie własnej klienteli i stworzenie sobie reputacji, zapewniającej poważne traktowanie przez prasę i wielkich nabywców.

- Mój ojciec obiecał mi pomóc. Wyłoży pieniądze na kosztą dzierżawy lokalu.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem z boku.

- Czy pani ojciec oglądał ten budynek?



- Nie. To moja sprawa. On nie będzie się w nic wtrącał. Pieniądzy mam niewiele, ale to nic. Najważniejsze, że mogę robić dokładnie to, co chcę i ogromnie mnie to bawi.

Bayard aprobująco skinął głową.

- Oto cała tajemnica - dobrze się bawić. Jeśli człowiek znajduje przyjemność w wykonywaniu swojej pracy, można się spodziewać, że będzie w niej bardzo dobry. Niestety, ja nie mam wiele radości w życiu odkąd moja żona została zamordowana.

- Słyszałam o tym, gdy byłam we Włoszech. Bardzo panu współczuję.

- Och, niech pani o tym nie myśli. To już historia. Wspomniałem o tym, gdyż nie chciałem podstępnie wchodzić w układy towarzyskie. Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Dziwne rzeczy pan mówi.

- Nie bardzo wiem, jak to wyrazić. Chyba straciłem umiejętność grzecznego porozumiewania się.

- Czy przez cały czas mieszkał pan sam?

- Sam? Nie. Samotnie? Tak. Małżeństwo Filipińczyków prowadzi mój dom. W ciągu dnia jestem zajęty w biurze, chodzę do teatru, na koncerty i wystawy. Przebywam codziennie wśród ludzi, ale unikam bliższego towarzystwa. To jakby egzystencja lunatyka.

- Z wyboru?

- Oczywiście, że nie! - Nagle stał się porywczy. - Musi pani zrozumieć, że taka zbrodnia jest klątwą, rzuconą na osobę, która przeżyła. Trzymałem się z dala od ludzi, bo czułem się jak trędowaty z dzwonkiem zawieszonym na szyi, zobowiązany do deklarowania swojej nieczystości.

- Tak jak to pan właśnie wobec mnie?

- Tak.

- W takim razie był to dla mnie komplement. Bardzo dziękuję.

- Jakie są pani plany na resztę dnia?

- Już niewiele z niego zostało. Nie mam żadnych planów.

- Chodźmy do mnie. Pokażę pani moją kolekcję jak i Madeleine. Moglibyśmy przedyskutować sprawę dzierżawy i wybrać się na wczesny obiad do *Le Cirque*. Co pani na to?

- Z przyjemnością.

Gdy szli spacerem wzdłuż Madison, zadał jej tradycyjne pytanie:

- Czy jest pani mężatką?

- Nie.

- Jest pani z kimś związana?

- Nie. Mam dużo pracy i jestem z tym szczęśliwa. W czasie budowania mojej kariery wolę być niezależna.

Skręcił w stronę starego lecz wciąż modnego budynku mieszkalnego, wprowadził ją do foyer i pod zaciekawionym spojrzeniem portiera weszli do windy.

Spodziewała się ciężkiego, staroświeckiego wnętrza: dębowej być może boazerii, na pewno stylowej, natłoku starych i cennych przedmiotów, atmosfery kawalerskiej drobiazgowości. Zamiast tego ujrzała jasne i przestronne wnętrza z minimalną ilością mebli, zaaranżowanych w wygodny, niewymuszony sposób. Wszystkie ścianki działowe zostały wyburzone tak, że poszczególne przestrzenie przechodziły niepostrzeżenie jedna w drugą, nie tracąc nic ze swojego indywidualnego kształtu i charakteru. Rozmieszczenie książek, obrazów i rzeźb dobrane było do rytmu przestrzeni i światła, można je było swobodnie podziwiać i kontemplować. Anna-Maria nie ukrywała zaskoczenia.

- Nadzwyczajne - całkiem inne od tego, czego się spodziewałam. Kto projektował to wnętrze?

- Madeleine. Miała świetne pomysły aranżacji wnętrz mieszkalnych. Zwykła była mówić: „Drzwi i ściany wcale nie tworzą prywatności. Jeśli tylko potrafisz rozwiązać sprawę ogrzewania i klimatyzacji dużych przestrzeni - a możesz - to po co dzielić je na małe klitki?” Początkowo jej nie wierzyłem, ale pozwoliłem zrobić wszystko tak jak chciała. A oto rezultat. Jedyna zmiana, jaką wprowadziłem, to przerobienie jadalni na galerię jej obrazów. To olbrzymi pokój, jak pani zaraz zobaczy - ja nie urządzam już uroczystych przyjęć. Zostawiam obejrzenie tej galerii na koniec.

Przez moment, obecność w pokoju nie żyjącej od roku Madeleine stała się prawie namacalna. Anna-Maria poczuła nagły przypływ strachu. Umarli powinni pozostać w grobie i pozwolić żywym pędzić spokojne życie. Z udaną obojętnością zapytała.

- Gdzie Madeleine wystawiała swoje prace?

- Nigdy nie miała wystawy. Sprzedawała obrazy prywatnie u Lebruna. Prawdę mówiąc, wielokrotnie zastanawiałem się nad zorganizowaniem pośmiertnej ekspozycji. Posiadam około pięćdziesięciu jej prac. Gdy je pani obejrzy, byłbym bardzo ciekawy pani opinii... W każdym razie, zrobimy najpierw szybką wycieczkę.

- Pan prowadzi, idę za panem.

W nagłej potrzebie fizycznego kontaktu, który wykluczyłby ducha, wyciągnęła do niego rękę, aby wziął ją za nią i oprowadził po swoim królestwie.

- Tutaj zaczyna się nasza wspólna kolekcja. To jest płótno pędzla Annibale Caraciego, jednego z trzech braci, malujących na terenie Emilii w drugiej połowie szesnastego i z początkiem siedemnastego wieku. Jak się pani prawdopodobnie orientuje, cały zbiór Caracich został sprzedany za grosze w Londynie w roku 1947. Ten obraz znalazłem w sklepie z antykami w hrabstwie Devon. Następny był zdobyczą Madeleine, wczesna wersja „Wodorostów i niebieskiego morza” Miliona Avery’ego. Wszystkie obrazy amerykańskie to jej wybór. Ja specjalizowałem się w cudzoziemcach.

- Jak pan to tłumaczy? Czy każde z państwa miało prawo komentować wybór drugiego? Kto miał decydujący głos w sprawach finansowych?

Bayard obrzucił ją szybkim, taksującym spojrzeniem i uśmiechnął się.

- Teraz już widzę, że będzie pani dobrym dealerem. Najpierw trzeba wiedzieć, kto dokonuje wyboru w sprawach gustu, a potem, kto podpisuje czek.

- To było rozsądne pytanie, prawda?

- Ależ oczywiście. Spróbuję na nie odpowiedzieć. Artystyczną wizją Madeleine była wielkomijska Ameryka. Bez względu na to jak wiele podróżowała, Manhattan w myślach był dla niej zawsze domem. Historia interesowała ją tylko na tyle, na ile upiększała lub tłumaczyła współczesność. Poświęcała jednakże wiele uwagi artystom i rzemieślnikom, którzy próbowali wyrazić inne aspekty kontynentu. Korespondowała z nimi, jeździła po kraju, aby się z nimi spotykać, kupowała ich prace, pomagała im w znajdowaniu rynków dla ich twórczości. A przede wszystkim miała dla nich szacunek. To były bardzo specyficzne stosunki, w które nigdy nie chciałem się wtrącać. Ja byłem, ja jestem ulepiony z innej gliny.

- Bardzo chciałabym się dowiedzieć - Anna-Maria celowo przybrała prowokacyjny ton - z jakiej gliny jest pan ulepiony.

- Dlaczego więc nie przygląda się pani moim obrazom zamiast mnie? - Jego przygana tylko w połowie była żartobliwa. - To jest Klimt, którego udało mi się dostać pewnego niezbyt ruchliwego dnia u Sotheby's.

- Piękny. Uwielbiam te jego kobiety o gorączkowo kuszącej obfitości... Ma pan oko do dobrych rzeczy.

- Wiem, ale moja kieszeń nie jest już wystarczająco głęboka, abym mógł sobie pozwolić na tak dobre rzeczy. Niech pani spojrzy na to... szkic do późniejszego portretu Madame Riviere, pędzla Ingresa. Znalazłem go dziesięć lat temu za dwa tysiące dolarów. Miałem dwadzieścia pięć lat, gdy zacząłem zbierać obrazy. Teraz mam pięćdziesiąt. Ceny dzieł sztuki poszły ogromnie w górę, co znacznie przewyższyło inflację najślabszych walut. Piętnasty wiek jest więc poza moim zasięgiem, a impresjoniści tak niedostępni jak Mars...

- Wydaje mi się, że osiągnął pan bardzo dużo. To jest ważna i bardzo cenna kolekcja. Co skłoniło pana do jej zapoczątkowania? Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Myślę, że bardzo wczesne odkrycie mojego braku odporności.

- Brak odporności? To dziwne stwierdzenie.

- Jestem prawnikiem, człowiekiem przywiązany do biurka. Łatwo mogłem stać się człowiekiem o równie skrępowanym mózgu. Wobec tego musiałem poszukiwać innych obszarów dla mojej wyobraźni - odległych czasów, egzotycznych miejsc, a nawet wymyślonej rodziny.

- To brzmi raczej niebezpiecznie.

- W istocie. Może prowadzić do całkowitego oderwania od rzeczywistości, do czego niemal doszło w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Na szczęście mój ojciec nauczył mnie innego sposobu używania wyobraźni. Był wielbicielem przodków i wierzył w ciągłość dziejów. Od niego nauczyłem się, jak odczytywać historię w galeriach sztuki poprzez stroje, architekturę i szczegóły codziennego życia. Sam był lekarzem i opowiadał mi dzieje sztuki medycznej od Eskulapa po australijskie plemię Arunta. Mawiał zawsze: „Wczoraj, dziś i jutro tworzą jedną rzekę czasów. Tam i tutaj to ten sam kraj, gdyż współlistnieją one w naszej świadomości”.

- Mądry człowiek. Szkoda, że nie było mi dane go poznać.

- Kochałem go. Nie mogę sobie darować, że nie udało nam się z Madeleine dać mu wnuka przed jego śmiercią.

Pękły śluzę i zgromadzone wspomnienia wylały się wartkim potokiem słów. Obrazy na ścianach nabierały nowego życia, gdy każdy z nich zostawał wzbogacony osobistymi wspomnieniami.

- Oto ołówkowy szkic przedstawiający moją babkę - Francuzkę, narysowany przez Tissota w czasie, gdy malował w Londynie. Była piękną kobietą, w młodości cieszyła się ogromnym powodzeniem; ale ja pamiętam ją tylko jako groźną staruszkę, niezbyt zadowoloną z nieogłodzonego wnuka. Wydaje mi się, że po prostu nie lubiła dzieci. Przypominały jej o podeszłym wieku. Tissot świetnie umiał malować kobiety, prawda? Niech pani spojrzy na uniesienie głowy i ten subtelny grymas ust. Miał znacznie więcej subtelności niż przyznawali mu mądrze. Jego obrazy zawsze były wykończone z wielką pedanterią. Miało by się ochotę przyglądać im godzinami.

- Podoba się to panu, prawda? To wykończenie?

- Nie tylko. - Zapragnął się wytłumaczyć. - To talent, mistrzostwo wykonania czegokolwiek by się chciało - chwilowa brawura czy pracochłonna faktura, które pozostaną błyskotliwe przez wieki. Proszę spojrzeć na to małe cacko. Na pierwszy rzut oka można by dać głowę, że to Monet. A w rzeczywistości jest namalowane około roku 1912 przez Japończyka, Seiki Kusodę. Otrzymałem go w prezencie od japońskiego klienta w Kyoto, dla którego zorganizowaliśmy amerykańską filię. Był on sam w sobie bardzo interesującą postacią. Jego ojciec zajmował się produkcją klocków drzeworytniczych do kolorowych książeczek dla dzieci. Przekazał swoje rzemiosło synowi, który je przekształcił w jedną z najlepszych w Japonii drukarni offsetowych. Zaoferował mi wykonanie ilustrowanego katalogu, jeśli kiedykolwiek dojdzie do skutku planowana wystawa Madeleine.

Nagle poczuła się nieswojo. Kolekcja robiła na niej takie samo wrażenie jak jej właściciel - rozproszona i niespójna, chaotyczna mieszanina wartościowych przedmiotów bez związku. Powiedziała mu nagle.

- Jest tego zbyt wiele, jak na jeden wieczór dla mnie. Chciałabym przerwać na dzisiaj i zobaczyć prace Madeleine.

- Ależ oczywiście. Jestem całkiem bezmyślny i obawiam się, że jestem raczej nudnym przewodnikiem.

- Wcale nie jest pan nudny. Nie zdaje pan sobie po prostu sprawy, jak bardzo emocjonalnie oddziałuje pan pośród zbiorów, które tak mocno odzwierciedlają pańskie życie. Jeśli mam nacieszyć się malarstwem pana żony, na nim powinienam skoncentrować uwagę.

- Jeżeli pani woli, możemy odłożyć to na inny dzień.

- Nie. Wolałabym zrobić to teraz.

- Czy zgodziłaby się pani w takim razie obejrzeć te obrazy sama?

Od razu ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie.

- Dlaczego?

- Już nie potrafię patrzeć na obrazy Madeleine - widzę tylko brutalną przemoc. Chciałbym, aby spojrzała pani na jej prace krytycznym okiem, okiem dealera. Niech pani się uczciwie zastanowi, czy mogłaby pani wejść z nimi na rynek jak przedsiębiorca. Niech mi pani przedstawi swoją prawdziwą opinię - nie ważne czy dobrą czy złą, najważniejsze aby była uczciwa.

Intuicja jej mówiła, że był to niebezpieczny moment, od którego mógł całkowicie zależeć wynik pertraktacji. Mniej lub więcej świadomie wystawiał ją na próbę, przykładał do niej sobie tylko znaną, prywatną miarę, której skala nie była jej znana. Zawahała się w poszukiwaniu odpowiednich słów i po chwili bez ogródek zadała pytanie.

- Co zależy od mojej odpowiedzi?

Bayard odpowiedział krótko i dokładnie.

- Każde z nas ujawniło własny interes. Pani - start w roli dealera i otwarcie galerii. Ja - zorganizowanie pośmiertnej wystawy prac Madeleine. Próbuję sprawdzić czy nasze interesy mogą być wzajemnie korzystne, czy też powinny być prowadzone oddzielnie.

- Nie. - Nagle ogarnął ją gniew. - Nie, nie, nie! Już w tej chwili postawił mnie pan w bardzo trudnej sytuacji. Pan wie, że potrzebuję galerii. Ja wiem, że pan może się zgodzić lub nie na dzierżawę. Jeśli powiem, że nie podoba mi się malarstwo Madeleine, śmiertelnie pana obrażę. Mówiąc, że jest dobre, automatycznie podejmuję decyzję... Najlepiej będzie, jeżeli na tym zakończymy naszą rozmowę.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę i niczego nie była w stanie odczytać ani z jego zimnych oczu ani z kamiennej maski, w jakiej były osadzone. W końcu odezwał się.

- Teraz, gdy udało się pani obrazić i mnie i siebie, może spróbowalibyśmy wyjaśnić sytuację? Proszę obejrzeć obrazy Madeleine i zatrzymać opinię dla siebie.

- Pan mną manipuluje.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. Czuję się jakbym otwierała ostatnie, fatalne drzwi do zamku Sinobrodego.

Roześmiał się, odrzucając w tył głowę.

- Gdy odkryje pani już sekret Sinobrodego, będzie on na panią czekał, oferując coś do wypicia i zaproszenie na obiad.

Otworzył drzwi, zapalił światło i cofnął się, umożliwiając jej wejście do jadalni.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Annę-Marię ogarnęła panika. Przymknęła oczy i oparła się plecami o boazerię, wykrzykując do siebie szeptem polecenie opanowania rozdygotanych nerwów.

- Czego się, do cholery, spodziewałaś? Miałaś negocjować dzierżawę, a nie wkopywać się w koktajle z wdowcem w podeszłym wieku, który wygląda jak Cary Grant, mówi jak postać z Henry'ego Jamesa, ma za sobą ponurą historię rodzinną oraz problemy emocjonalne. Ma co najmniej sześć milionów dolarów w rozmaitych dziełach sztuki, wiszących na jego ścianach i wpycha cię do wielkiego, białego pomieszczenia, gdyż potrzebuje - jak twierdzi - niezależnej oceny talentu swojej nieżyjącej żony. Proszę, kontynuuj. Dostarcz mu jej. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej wydostaniesz się z tego domu wariatów...

Otworzyła w końcu oczy i spróbowała skupić wzrok na obrazach, uszeregowanych wzdłuż ścian jak chorągwie starożytnej armii. Raz jeszcze przeraziła ją i przytłoczyła sama ilość tych dzieł. Do odebrania jakiegoś wrażenia potrzebny był długi, powolny spacer. Madeleine Bayard była przede wszystkim tradycjonalistką w stylu i plastycznym przygotowaniu.

Jej rysunek był nieskazitelny. Pociągnięcia jej pędzla były w pełni kontrolowane. Harmonia jej palety barw zachowała styl klasyczny. Na pierwszy rzut oka wszystko na płótnie było tak skrupulatnie wykonane, że oglądający był całkowicie nie przygotowany na szok dominującego tematu.

Każdy z obrazów przedstawiał jakieś manhattańskie wnętrze: wytworne mieszkanie, dom czynszowy w Harlemie, sklep, kolej podziemną, zadaszone uliczki, chatkę zbudowaną ze skrzynek, kabinę holownika na rzece. Na pierwszy rzut oka wnętrza zawierały tylko epizod z miejskiego życia - pięknie uchwycony, a jednocześnie, w specyficzny sposób wnoszący niepokój i niepewność. Po chwili stawało się jasne, że wszystkie postacie są uwięzione we własnym otoczeniu i desperacko próbują się z niego wydostać. Przyciągane są - jak i wzrok oglądającego - do jakichś fragmentów zewnętrznego

świata: pelargonii w skrzynce na oknie; dalekiej perspektywy miejskiego kanionu z odrobiną tylko nieba i wody na końcu; krążącej nad morzem samotnej mewy. Jeden wspaniały obraz, nasuwający podobieństwo do „Zaśnięcia Matki Boskiej” przedstawiał zamrożoną na śmierć żebraczkę w bramie kościoła, patrzącą łagodnie niewidzącymi oczyma na dziewczynkę, idącą zaśniętą ulicą.

Pomimo mrocznej tematyki, widoczne było skierowanie uczuć malarki na zewnątrz, wznoszących się ku amerykańskim marzeniom: nadal widocznej nadziei, niebu na ziemi i wolności wciąż w zasięgu ręki.

Madeleine Bayard sama musiała czuć się więźniem, w przeciwnym razie nie byłaby w stanie w tak przekonujący sposób przekazać cierpienia uwięzionej duszy. Ale co i gdzie ją krępowało? Małżeństwo z Bayardem? Wielkomięski świat, betonowy horyzont, światło zmieszane ze spalinami, falujący tłum ludzi, zalewający ulice Manhattanu? Cokolwiek by to było, szalony morderca uwolnił ją od tego. Teraz, uwikłany we wspomnienia jej męża, posługując się dziwną i przewrotną logiką, starał się uwolnić siebie za pomocą artystycznego dorobku jej życia. Doprowadziło to Annę-Marię do kolejnej, bezgłośnej rozmowy z samą sobą.

- Co powiesz, gdy wyjdiesz z tego pokoju? „Dziękuję za udostępnienie mi prac pańskiej żony, panie Bayard. Zrobiły na mnie wrażenie. A teraz, jeśli pan pozwoli, podziękuję za obiad i pójdę do domu umyć głowę...”. Wiesz, że nie wolno ci tego zrobić. To obraza twojej własnej inteligencji. Masz przed oczami talent, jaki zdarza się ujrzyć raz na ćwierćwiecze. Ten talent nie może, nie wolno mu gnąć w tym mauzoleum. Tylko nie przesadz z altruizmem, moja droga. Węszysz tu pieniądze - dużą forszę - i reputację, możliwą do zdobycia w mgnieniu oka. Wyjdiesz, i jak córka szanującego się licytatora zaproponujesz to, co masz i to czego nie masz. Jeśli Edmund Justin Bayard będzie zainteresowany - wspaniale. Jeśli nie, przynajmniej będziesz wiedziała, gdzie ukryte są zapasy skarbów sztuki, a ta wiadomość w dowolnym momencie warta będzie okrągłej sumki.

Taka scena była łatwa do niemego odegrania w samotności, ale dużo trudniej było ją przedstawić z bardziej skomplikowanym aktorem w roli głównej. Ociągała się więc jeszcze trochę, wpatrując się w nie dający spokoju wizerunek żebraczki, otulonej w zamrożone fałdy, pod normańskim łukiem modnego kościoła. Im dłużej patrzyła na obraz, tym bardziej nabierała przekonania, że ma do czynienia z arcydziełem, o wspaniałej rzeźbie woskowych rysów, zsuniętym ubiorze subtelnie przechodzącym w całun, wspaniałym wykorzystaniu szarego kamienia i zimowego światła i niewinności samotnego dziecka.

Poczuła nagle ponowny dreszcz strachu. Kobieta, która namalowała ten obraz, była zbyt groźna, aby mieć w niej wroga, nawet po śmierci. Należało ją rozślawić, obłąkać, przemienić w



przyjaciela i sojusznika. Cóż mogło być lepszego, niż mianowanie się jej pośmiertną patronką, rozumiejącą i współczującą duszą, która obwieszcza światu istnienie geniuszu? Wzięła głęboki oddech, podeszła do drzwi i wkroczyła do hallu na konfrontację z Bayardem.

Jego powitanie było w wystudiowany sposób banalne.

- Czego pani się napije?

- A co pan wybiera?

- Wódkę z Martini.

- Bardzo dobrze, poproszę.

- Telefonowałem do *Le Cirque*. Przed dziewiątą nie znajdą dla nas miejsca.

- To będzie już bardzo późno. Może poprzestaniemy na naszych drinkach?

- Jak pani sobie życzy.

Jeśli był niezadowolony, to nie dał tego po sobie poznać.

- Oliwkę, czy kroplę cytryny?

- Oliwkę, proszę. Chciałabym powiedzieć panu jasno i otwarcie: jestem bardzo poruszona obrazami pana żony. Ona była i jest wielkim talentem. Nasuwa się pytanie, co zamierza pan z tym zrobić. W skrócie: czy planuje pan zachować kolekcję w stanie nienaruszonym, czy byłby pan gotów podzielić ją i sprzedać?

- Utrzymywanie kolekcji samemu nie miałyby sensu. Chciałbym znaleźć dla niej miejsce w jakiejś instytucji. Instytucja ta powinna stworzyć jej pośmiertną sławę i wydać mnóstwo pieniędzy na ruchome wystawy. Gdybym miał zostać powiernikiem takiej instytucji, odmówiłbym grzecznie na korzyść bardziej znanych kolekcji. Nie... - Naraz stał się napięty i stanowczy. - Kochałem moją żonę. Ona nie żyje, ale jej obrazy powodują, że nadal jest żywa. Muszę usunąć je z mojego mieszkania, a jej ducha z mojego łóżka.

Był to krzyk czystej rozpacz, ale Anna-Maria nie odpowiedziała nań. Powiedziała spokojnie:

- Niech pan więc wybierze obrazy, które chciałby pan zachować, a resztę niech pan wystawi na sprzedaż. Jeżeli tak pan postąpi, chciałabym jako pierwsza zaoferować przygotowanie wystawy. Zanim pan jednakże cokolwiek zrobi, musi pan podjąć jedną jeszcze decyzję.

- Jaką?

- Jeżeli ruszą prace nad wystawą, sprawa morderstwa pańskiej żony wróci znów na łamy gazet. Czy pan temu sprostą?

- Wydaje się, że nie mam większego wyboru. Może na koniec publiczna konfrontacja z przeszłością stanie się dla mnie lekarstwem.

- Jak wiele mógłby pan znieść dla takiego celu?

- Nie rozumiem.

- Wystawa tak nagłośniona jak ta, wprowadzi morderstwo Madeleine do historii sztuki, tak jak się to stało z uchem van Gogha.

- To bezlitosne.

- Ale to prawda. Może pan to akceptować lub nie, wybór należy do pana. W grę wchodzi pańskie życie.

- A co wchodzi w grę z pani strony?

- Moja kariera. Ta wystawa może być startem do lotu. Ale zanim do tego dojdziemy, są jeszcze inne sprawy.

- Niech pani mówi.

- Powiedział pan, że pańska żona sprzedawała zwykle za pośrednictwem Lebruna. Czy wiąże z nim pana jakiś kontrakt, lub choćby kurtuazyjna umowa?

- Żadna. Posiada on małą, ekskluzywną galerię, która wyławia impresjonistów i postimpresjonistów z pośmiertnych majątków i wystawia ich na rynek. Jego transakcje z Madeleine miały charakter osobistej uprzejmości i dotyczyły zawsze pojedynczych obrazów. Nie wiedziałyby, co zrobić z kolekcją Madeleine. Wie że istnieje, ale nigdy nawet się nie zwracał o jej obejrzenie.

- Doskonale. A co do pracowni pańskiej żony...

- Jest to stary magazyn na West Broadway. Madeleine użytkowała dwa piętra. Parter był pusty. Mieliśmy przebudować cały budynek. Gdy umarła, wynająłem stróża i próbowałem zapomnieć o tym lokalu.

- Widziałam go. Jestem przekonana, że może zostać przekształcony w galerię. Proszę, aby pan dał mi go w przyzwoitą dzierżawę za rozsądny czynsz, z możliwością kupna. Odnowię go i urzęduję wystawę w miejscu, gdzie Madeleine tworzyła. Nazwę ją „Wyzwolenie”, bo to właśnie było tematem jej dzieł.

Wpatrywał się w nią z całkowitym niedowierzaniem.

- To makabryczne!

Natychmiast ruszyła do ataku.

- Makabryczne? Mój Boże, cóż może być bardziej makabryczne, niż mauzoleum za drzwiami, do którego wzdraga się pan nawet wchodzić? Ale to pańska sprawa... Napiłabym się chyba jeszcze.

- Czy zawsze jest pani tak brutalna?

- Tylko wtedy, gdy jestem zagrożona.

- A ja pani zagrażam?

- Tak.

- Jak, na miłość boską?

- Myślę, że pan manipuluje ludźmi. Usiłuje pan mną manipulować.

- Już po raz drugi używa pani tego słowa. Dochodzę do wniosku, że jest to obraźliwe.

- To niech mi pan poda inne. To pan mówił o podstawowych zasadach i wspólnych interesach. To pan prosił o profesjonalną opinię o obrazach pańskiej żony. Dostarczyłam ją panu. Postawiłam otwartą propozycję reprezentowania ich na rynku. Zaoferowałam dzierżawę nieruchomości, która obecnie nic panu nie przynosi. Myślę, że kolej teraz na pańską odpowiedź.

- Wydaje mi się - powiedział z zastanowieniem Bayard - że chciałaby pani, abym uwierzył w pani talent, zafundował galerię i powierzył pani urządzenie wystawy.

- Nie. - W jej głosie pojawiła się nutka gniewu. - Jeśli chodzi o galerię, będę płaciła uczciwy czynsz dzierżawny. Jeśli chodzi o moje talenty handlowe, ryzykuje pan na nich jak w przypadku każdego innego kandydata. Ze mną ryzyko jest mniejsze, bo jestem wykształcona, jestem pełna entuzjazmu i pożądana... Niech pan to przemyśli, mecenasie.

- Przemyśle, panno Loredon. - Jego napięte rysy wygładziły się w uśmiechu. - I proszę nie gniewać się na mnie. Prawnicy to ostrożni brutale. Popycha mnie to do następnego pytania. Załóżmy, że otworzyła pani galerię i urządziła inaugurację wystawy. Co pani zrobi potem? Jak pani znajdzie artystów na następne pokazy?

- Podróże, korespondencja i telefony. Mogę zaraz panu powiedzieć, jakie talenty oferowane są w Taos, Toronto czy Cleveland. Świetnie potrafię prowadzić kartotekę i skrośne indeksowanie, mam korespondentów w Londynie, Paryżu, Florencji i Sydney w Australii. Nie obawiam się o kontynuację samą w sobie, problemem jest kontynuacja w wybitnych talentach. Ale to już jest moje ryzyko, nie pańskie.

- Byłoby i moje, gdybyśmy byli współnikami.

Chwilę zabrało jej zastanowienie się nad tym pomysłem, ale odrzuciła go stanowczo.

- Muszę panu szczerze powiedzieć, że nie biorę pod uwagę takiego układu.

- A gdyby był warunkiem naszej umowy?

- Odpowiedź również byłaby negatywna. Proszę pomyśleć chwilę. To zawsze był paskudny biznes. Przy obecnych astronomicznych cenach na aukcjach może stać się wręcz zabójczy. W razie najmniejszych plotek o protekcji czy przepłaceniu pomiędzy mną a panem, wystawa byłaby niewypałem, reputacja artystyczna Madeleine zostałaby zniszczona, zaś moja kariera od pierwszego dnia złamana. Przecież znamy oboje reguły gry. Pan jest wrażliwy, a ja tworzę swoją karierę. Nie komplikujmy sobie życia.

- Bardzo chciałbym zaprzyjaźnić się z panią.

- I ja doceniłabym pańską przyjaźń. Nie chciałabym po prostu komplikować swoich interesów.

- Czy jest to dla pani ważniejsze niż wszystko inne?

- W tej chwili, tak. Ciężko pracowałam przez długi czas, aby przygotować się do przełomu. Z miejsca, w którym się teraz znajduję, wygląda to tak jak duże czerwone jabłko na samym szczycie półki z owocami. Muszę tylko sięgnąć i wziąć je.

- Co by się stało - zapytał z wyrachowaniem Bayard - gdybym nagle je porwał - nie ma dzierzawy, nie ma wystawy?

- Wiedziałabym wtedy, że jest pan okrutnym i zabójczym człowiekiem i nie chciałabym mieć z panem więcej do czynienia. Nie bawmy się w rozgrywki, panie Bayard - wóz albo przewóz. Zawieramy transakcję?

Wydawało się, że wiek minął, zanim jej odpowiedział.

- Zawieramy transakcję.



## ROZDZIAŁ 3

Zimny wiatr bębnił deszczem, gdy Max Mather jechał do Szwajcarii przez kolejowe miasto graniczne Chiasso. Włosi go wypuścili, a Szwajcarzy wpuścili bez żadnych problemów. Powinien był być okropnie zmęczony, bowiem wydajność wydzielania się adrenaliny była znaczna. Dojechał wprost do Zurychu, wziął pokój w Baur au Lac i spał do południa drugiego dnia.

Zaraz po lunchu poszedł do zakładu fotograficznego, oddał film do wywołania i zamówił dwa komplety powiększeń zdjęć Rafaelów.

Odwiedził następnie konsula generalnego Panamy, wytwornego, eleganckiego gentlemana po czterdziestce. Mówił on płynnie po hiszpańsku, angielsku, francusku, niemiecku i włosku, a jego wypowiedzi były wymowne i doskonale zrozumiałe. Wytłumaczył Matherowi, że po wpłacie gotówkowej i za roczną opłatą może nabyć gotową, legalnie zarejestrowaną w Panamie spółkę, zespół panamskich dyrektorów, pakiet akcji na okaziciela, stanowiących tytuł własności, księgę protokołów i dokument upoważnienia umożliwiający jemu, lub każdej innej osobie działanie w imieniu spółki.

Mógł wybrać nazwę spółki z gotowej listy, albo wymyślić ją samemu - ten jednakże przypadek powodował administracyjne opóźnienie. Mather wybrał więc nazwę z listy - Artifax SPA. Jeśli chodzi o działalność spółki, mogła ona robić wszystko co zechciał, od wierceń naftowych do produkcji damskiej bielizny. Zapłacił gotówką w konsulacie i poszedł prosto do Union Bank of Switzerland na Bahnhofstrasse. Tam, okazując dokumenty rejestracyjne i akcje na okaziciela, otworzył rachunek dla spółki na sumę dolarowego czeku ze spadku Palombinich. Potem, w imieniu spółki wynajął duży sejf depozytowy, w którym umieścił obrazy, ryciny i dokumenty Artifax SPA.

Miał teraz dwie osobowości, swoją własną, fizyczną i drugą, prawną. Osobowość prawna była niemal doskonałą maską, ponieważ prawdziwa własność spółki przechodziła nie tyle na nabywcę, ile na posiadacza akcji na okaziciela. Jedna osobowość mogła więc być całkowicie oddzielona od drugiej. Dla dopełnienia tego rozdziału udał się do prawnika, poleconego ostrożnie i z ociąganiem przez bank.

- Zazwyczaj tego nie robimy, panie Mather, ale w pana przypadku, nowego klienta, obcego w tym mieście, odstąpimy od tej zasady. To bardzo szanowany człowiek. Nazywa się Alois Liepert.

Liepert był starannie ubranym czterdziestolatkiem o miłym uśmiechu, silnym uścisku ręki, posługującym się doskonałym, oksfordzkim angielskim. Miał również koleżankę, którą przedstawił jako dr. Giselę Mundt, wykładowcę prawa na uniwersytecie w Zurychu. Wyglądała na niewiele ponad

trzydzieści lat, śmiała się w zaraźliwy sposób, była kosztownie ubrana i płynnie mówiła po francusku, włosku, angielsku, górnoniemiecku i w ojczystym schweizerdeutsch.

Mather przedstawił swoje polecenie z Union Banku. Alois Liepert zgodził się - za honorarium pięciu tysięcy franków szwajcarskich - zostać adwokatem Maxa Mathera, podczas gdy Gisela Mundt z ograniczonym upoważnieniem miałaby działać jako przedstawicielka Artifax SPA. W ciągu więc piętnastu minut stworzona została fikcja prawnego i niezależnego istnienia Artifax SPA, posiadacz której był ukryty pod nieprzeniknioną niemal tajemnicą, a której aktywa, warte być może setki milionów dolarów, zamknięte były w podziemiach banku przy Bahnhofstrasse.

Gisela Mundt roześmiała się radośnie i powiedziała:

- Ma pan nas teraz, panie Mather. Jak chce pan rozporządzać naszymi usługami?

- Po pierwsze - powiedział Mather - chciałbym wiedzieć, jak działa w Szwajcarii uprzywilejowanie prawne.

- Jest całkowite pomiędzy klientem a prawnikiem.

- A pomiędzy szwajcarskim prawnikiem a cudzoziemskim klientem?

- Tak samo - odpowiedział Alois Liepert. - Jesteśmy krajem neutralnym, światowym zaworem bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo jest naszym najwartyściowszym dobrem. Wątpię, czy moglibyśmy przetrwać bez niego.

- W takim razie - oznajmił Mather po zastanowieniu - chciałbym dokonać notarialnego oświadczenia, które będzie przechowywane w sejfie. Chcę, żeby zostało to wykonane w najbardziej formalny sposób tak, aby państwo jako moi adwokaci, mogli w dobrej wierze występować w moim imieniu we wszystkich sprawach, które mogą w przyszłości powstać w związku ze mną lub moimi interesami. Możecie w dowolny sposób zasięgnąć informacji dla weryfikacji moich oświadczeń, ale po ich sprawdzeniu będę się twardo domagał porad i działania w moim najlepszym interesie. Spodziewam się, że będziecie państwo pilnowali, abym zawsze działał jedynie w granicach prawa i nigdy nie zaproponujecie mi, ani nie pozwolicie zsunąć się na ryzykowny lub niewyraźny prawnie obszar. Czy wyrażam się jasno?

- Jasno. - Powiedziała dr Mundt. - Umieścimy pańskie oświadczenie w formalnej instrukcji działania, którą pan później podpisze. A teraz proszę uprzejmie rozpocząć dyktowanie... magnetofon jest włączony.

- Nazywam się Maxwell Mather. Jestem obywatelem amerykańskim. Mój paszport ma numer 9378567. Jestem kawalerem. Jestem z zawodu naukowcem. Posiadam doktorat z paleografii Uniwersytetu Princeton i dyplom z historii sztuki europejskiej. Przez ostatnie cztery lata byłem zatrudniony jako archiwista przez rodzinę Palombinich w ich posiadłości, zwanej Tor Merla, niedaleko Florencji. Przez cały ten czas byłem również oficjalnie kochankiem signory Pii Palombini, pani tej posiadłości i głowy rodziny. Około sześciu tygodni temu ona zmarła, po długiej walce z chorobą nerwów ruchowych, podczas której pielęgnowałem ją dniem i nocą. W swoim odręcznym testamencie, którego fotokopię załączam do niniejszego oświadczenia, zapisała mi: dwuletnie wynagrodzenie w dolarach amerykańskich, wszystkie osobiste podarki, które od niej dostałem, samochód, który kupiła do mojego użytku, oraz pamiątkę mojego własnego wyboru z archiwum, nad którym pracowałem. Rodzina nie miała żadnych zastrzeżeń do tych zapisów. Wykonawca testamentu, Claudio Palombini, nie szczędził mi pochwał za opiekę nad swoją ciotką. Za moją radą przekazał archiwum Bibliotece Narodowej we Florencji i poprosił mnie, abym pozostał do zakończenia negocjacji, związanych z przejściem archiwum. Rozstaliśmy się przyjaźnie, z wzajemnym poważaniem. Mam teraz zamiar rozpocząć działalność w Europie i Ameryce jako dealer i konsultant w dziedzinie sztuk pięknych. Mam odpowiednie fundusze i oczekuję od pana, dr. Liepert i pani, dr. Mundt porad prawnych, których od czasu do czasu będę potrzebował. Koniec oświadczenia.

- Jest to zupełnie jasne. - Liepert wydawał się zaintrygowany.

- Ale nie jest jasne - powiedziała cierpko Gisela Mundt - to, co sprowokowało pana do dokonania tak bezsensownego oświadczenia.

- Powodem tego jest fakt - powiedział łagodnie Mather - że podarkiem, który wybrałem z archiwum było płócienne zawiniątko, zaszyte szewską dratwą i uszczelnione pszczelim woskiem. Leżało zagrzebane pod stosami papierów od czasu, gdy zacząłem pracować nad archiwum... jestem jedyną osobą na świecie, która wie o istnieniu tego zawiniątka i o jego zawartości.

- Która dokładnie biorąc jest...? - zapytał Liepert.

- Która może być - powtarzam może być - dwoma portretami Rafaela i kompletnym zespołem rycin do ołtarza. Pochodzą one z roku 1505.

- Może więc pan zostać - powiedziała spokojnie Gisela Mundt - bardzo bogatym człowiekiem. Czy nikt nie zapytał pana, co pan wybrał na pamiątkę z archiwum?

- Nikt. Ani prawnicy majątku, ani sam Claudio Palombini, z którym byłem w regularnym kontakcie.



- Nie wydało się to panu dziwne?

- Wydało mi się. Ale doszedłem w końcu do wniosku, że nie interesowali się już archiwum, które zostało przekazane Bibliotece. Przestało już obchodzić rodzinę.

Liepert i Mundt popatrzyli na siebie, po czym on zwrócił się do Mathera:

- Czy ma pan zamiar zatrzymać ten zapis?

- Tak jest.

- Czy jest pan gotów procesować się o niego?

- Tak.

- Gdzie teraz są te obrazy?

- W sejfie depozytowym w Zurychu.

- Jak wywiózł je pan z Włoch?

- Wywiozłem je zupełnie legalnie.

- Wywóz cennych dzieł zabytkowych bez zezwolenia jest niedozwolony - zauważyła Gisela.

- Znam prawo, dr Mundt. Twierdzę - i mogę tego dowieść - że obecnie istnieje bardzo poważna wątpliwość, co do autentyczności tych dzieł, i że wobec tego żadne wykroczenie nie zostało dokonane.

- Jakie wątpliwości zagrażają autentyczności tych dzieł, panie Mather? - Gisela Mundt naciskała na niego dalej.

Opowiedział im długo i szczegółowo o swoich spotkaniach z Niccolem Tolentinem i kopiach, które ten wykonywał dla Luki Oszusta. Na zakończenie swojej opowieści wykonał błagalny gest.

- Powiedzcie mi więc państwo, czy racja jest po mojej stronie, czy nie?

- Jeśli jest prawdą wszystko to, co pan opowiedział - rzekł Alois Liepert po namyśle - to bez wątpienia prawo jest po pańskiej stronie.

- Czy racja jest po pańskiej stronie?... - Gisela Mundt uśmiechnęła się rozbrajająco - to jest inna sprawa i na to musi pan sam sobie odpowiedzieć. My zajmujemy się tylko prawem, może więc pan powiedzieć, panie Mather, że jest pan bardzo szczęśliwym człowiekiem. Może pan mieć ogromny

majątek i zatrudnił pan najlepszych adwokatów w Zurychu, aby zapewнили panu możliwość jego zatrzymania.

- W takim razie - powiedział uszczęśliwiony Mather - wpadnę jutro podpisać oświadczenie. Oto kopia testamentu, który zarejestrowany jest w Anagrafie we Florencji. Zdeponuję również jutro u państwa negatywy i komplet fotografii tych dzieł. Proponuję, abyśmy dokończyli zapoznawania się państwa ze sprawą przeglądem ich w skarbcu Union Banku. Jeśli to będzie dogodne, moglibyśmy dokonać tego natychmiast po podpisaniu oświadczenia.

- A potem - spytała Gisela - jak pan życzyłby sobie, byśmy działali?

- Przez mistrzowską beczynność - miło powiedział Mather. - Nie róbcie niczego, dopóki nie otrzymacie ode mnie instrukcji. Zrobię sobie teraz miesiąc wakacji. Potem zobaczymy... Dziękuję państwu za waszą uprzejmość. Do jutra.

Gdy wyszedł, Liepert i Mundt popatrzyli na siebie. Mundt zadała pierwsza pytanie:

- No i co o nim myślisz, Alois?

- Myślę, że mówi prawdę. A co ty sądzisz? Gisela zamyśliła się.

- On mnie interesuje. Wydaje mi się, że jest naukowcem, który nigdy w życiu nie podejmował ryzyka. Jak jaskółka oknówka, zawsze gniazdował pod ochroną okapu. Teraz jest wolny i lata pomiędzy jastrzębiami. Bawi go to. Mam nadzieję, że nie zostanie rozerwany na strzępy!

Max Mather wrócił do Nowego Jorku opalony i w świetnej formie, po miesiącu na nartach. Wynajął mieszkanie z obsługą na górnym East Side, ułożył swoje książki i papiery, odbył serię rozmów telefonicznych, potrzebną do włączenia się ponownie w manhattańskie układy i zaczął układać następny etap swojej kampanii. Polegał on na przygotowaniu sobie na dalszą przyszłość rynku nabywców skarbów, które, jak wierzył, posiada. On sam nie powinien bezpośrednio brać udziału w sprzedaży, czym powinna zajmować się Artifax SPA. Sam natomiast może w całkiem odpowiedni i swobodny sposób wystąpić publicznie z jakimiś naukowymi rewelacjami i spekulacjami. Zgromadził wiele informacji na temat rynku dzieł sztuki od Niccola Tolentina, dealerów i znawców z Florencji, oraz podczas swoich podróży z Pią.

Inną, równie ważną częścią zadania było umożliwienie sobie działania bez narażenia swoich praw własności, czy wywołania sprzedaży dzieł cywilnych procesów.

Cała operacja wydawała mu się humorystyczna. Grał fantastyczną rolę, która wcale nie była fantazją, ale fantasierie, wymyślną zachcianką hazardzisty, grającego służbowymi pieniędzmi: wygra, przegra czy odzyska.

Jego gambitem otwarcia był lunch z Harmonem Seldesem, naczelnym redaktorem miesięcznika *Belvedere*, jednym z uznanych braminów świata artystycznego. Seldes był postacią trudną do upolowania. Otaczał się nimbem elegancji, powściągliwości i olimpijskiego autorytetu. W końcu jednak dobrze wypróbowany urok Mathera i fakt, że on też był absolwentem Princeton, doprowadziły do ustalenia daty lunchu.

Seldes doceniał protekcję i uprzywilejowanie. Był snobem na tyle, że interesowała go pozycja prywatnego archiwisty rodziny szlacheckiej. Imponowało mu, jako niestrudzonemu poszukiwaczowi funduszy, że Mather zaaranżował darowiznę archiwum Palombinich dla instytucji publicznej. Był zaciekawiony, czego Mather od niego potrzebował. Mather tłumaczył mu to z wystudiowaną skromnością.

- Przygotowuję pracę pod tytułem „Lokalna gospodarka we Florencji w początkach szesnastego wieku”, na podstawie zespołu ksiąg rachunkowych z epoki. Wypożyczyłem je z archiwum Palombinich.

- To interesujące. - Seldes był niezobowiązująco uprzejmy.

- Wiele w tym jest mozolnej dłubaniny, ale końcu, jak sądzę, będzie z tego coś interesującego. Ale nie to jest powodem, że chciałem się z panem spotkać. Przyczyna leży w tym, że natknąłem się na coś naprawdę ciekawego i nie wiem, dokąd się z tym udać i czy w ogóle dokądkolwiek się udawać. Pomyślałem, że pan z pańskim doświadczeniem i wszystkimi swoimi kontaktami w dziedzinie sztuki, zechce mi coś doradzić.

- A to coś ciekawego, co to dokładnie jest?

- Dwa portrety i pięć rycin do ołtarza, pędzla Rafaela, które nie są wymienione w *catalogue raisonne*. Seldes wpatrywał się w niego chwilę.

- Czy to znaczy, że pan je widział? Oferowano je panu? Uznał je pan za prawdziwe? Co?

- Mogę dowieść, że zostały namalowane i że zapłacono za nie. Mogę podać panu datę - październik 1505. Nie wiadomo, co się potem z nimi stało. Ale mogę pokazać panu dowody, które

mam. Nie jest to coś, co mógłbym łatwo przewozić, może więc zechciałby pan po lunchu udać się ze mną do mojego mieszkania. To niedaleko stąd, tylko kilka przecznic.

- Oczywiście, oczywiście. To bardzo ważna wiadomość. Może spowodować wielkie emocje w naszym małym światku.

- To właśnie mnie niepokoi - niepewnie zaprotestował Mather. - Nie jestem pewien, czy taki rozgłos jest rozsądny. Z mojego punktu widzenia wiem, że nie umiałbym mu stawić czoła, a już wcale nie chciałbym robić kłopotów rodzinie Palombinich, którzy byli bardzo dla mnie dobrzy. To jest głównym powodem tego, że zwróciłem się do pana. Pan będzie wiedział, jak pokierować taką sprawą w sposób dyskretny - i jakby to nazwać? - akademicki.

- Naturalnie. Na więcej nie mógłbym się zgodzić. - Słowa brzmiały zdawkowo, ale oczy Seldesa zdradzały zapał i ślady chciwości. - Pierwsze pytanie, to czego można oczekiwać: prostego programu badawczego, czy poszukiwań o światowym zasięgu zaginionych arcydzieł - zakładając oczywiście, że przeżyły do dziś. Drugie pytanie, to czego pan osobiście po tym oczekuje.

- Ja? - Mather roześmiał się radosnym, chłopięcym śmiechem. - Bóg jeden wie! Co najwyżej odnośnika w historii, zaszczytnego wyróżnienia w pracy naukowej. W końcu emocji poszukiwania skarbu.

- To mnie zachęca. - Seldes niezgrabnie wyraził pochwałę. - Nic tak bardzo nie psuje projektów, jak oczekiwanie osobistych zysków. Proszę pomyśleć, nie jest niemożliwe, że możnaby sfinansować pewne badania. Ja mógłbym zamówić artykuł do miesięcznika, mógłbym bez trudu znaleźć sponsora rocznych badań we Florencji. Rozwiązanie zagadki znajduje się z pewnością w samym archiwum, które, jak pan mówi, jest tylko w części skodyfikowane. Czy mógłby pan podjąć się tych badań?

- Mógłbym. Mam uprzywilejowany dostęp tak do rodziny, jak i do Biblioteki. Ale z drugiej strony jest poważna przeszkoda. - Wahał się na tyle długo, żeby zrobić aluzję do swoich uczuć. - Pia Palombini i ja kochaliśmy się bardzo. Pielęgnowałem ją podczas jej ostatniej choroby. Nie umiałbym tam bez niej żyć w willi czy w mieście. Nie może więc pan na mnie liczyć.

- Proszę mi wybaczyć. - Trudno było wywnioskować, czy Seldes wyraża współczucie czy ulgę. - Oczywiście rozumiem. Ale mógłby pan zaoferować przewodnictwo i pomoc innemu badaczowi?

- Tak.

- W takim razie mógłbym nawet sam zaplanować to zadanie - napisać wstęp, ustalić kierunki poszukiwań.

- Naprawdę, mógłby pan? - Mather z doskonałą niewinnością szeroko otwarł oczy. - Zupełnie się tego nie spodziewałem.

- Ale najpierw muszę sam sprawdzić autentyczność pańskich materiałów.

- Zróbmy więc to zaraz. Ja zapłacę rachunek.

Dwie godziny później Harmon Seldes, zagłębiony w fotelu w mieszkaniu Mathera z brandy w ręce, czytał końcową pozycję łańcucha dowodów Mathera - ostatni list kustosa działu rękopisów do Mathera:

Drogi kolego, drogi przyjacielu,

Brakuje mi pana. Wszystkim nam pana brakuje. Teraz, gdy czarująca panna Loredon też nas opuściła, jesteśmy podwójnie osieroceni. W mieście pełnym kwiatów, potrzeba nam przyjaciół do wspólnego przeżywania wiosny.

Miło będzie się panu dowiedzieć, że przenoszenie archiwum Palombinich pod naszą opiekę zostało zakończone i że ja zostałem mianowany kuratorem kolekcji. Za ten zaszczyt, który odbił się także na moich zarobkach, jestem panu głęboko wdzięczny.

Z tej okazji odbyła się wielka uroczystość. Był Palombini, nasz dyrektor, burmistrz, starsi członkowie *commune*, urzędnicy z Belle Arti. Mile o panu mówiono. Pańskie nazwisko zostało wpisane do naszej złotej księgi dobroczyńców.

Wyświadczył mi pan też jeszcze jedną przysługę. Na tym wesołym, pijanym pożegnaniu panny Loredon, zasugerował mi pan zbadanie życia i czasów Luki Palombiniego. Nie wziąłem tego wówczas zbyt serio. Jak większość naukowców, lepiej się czuję w bezpiecznej, odległej przeszłości. Oprócz tego mam swoje nieprzyjemne wspomnienia z czasów wojny i niechętnie do nich wracani. Był to czas moralnego chaosu, podziałów w społeczeństwie i w większości z nas pozostały ślady poczucia winy. Temat ten jednak trzymał się mnie i w końcu mnie wciągnął.

Wiem, że nasz przyjaciel Nicki opowiedział panu trochę o Luce. Pana specjalnie interesowały kobiety w jego życiu. Z nich wszystkich - moja lista jest długa, choć niekompletna - jego żona jest chyba najmniej interesująca. Pochodziła z dobrej rodziny, była wychowana w klasztorze, całe życie upłynęło jej w niekwestionowanej pewności. Luca szanował ją jako panią rodziny, pielęgnował ją i dzieci, ale całą resztę życia urządził sobie zgodnie ze swoimi potrzebami. Był w tym oczywiście dokładnie tak samo konwencjonalny jak żona.

Dla swoich kochanek był hojny, ale nigdy rozrzutny. Kupował im biżuterię, modnie ubierał, zapewniał komfortowe mieszkania. Był, jak mówią, energicznym kochankiem. Był również tyranem, nie tolerującym ani scen ani plotek. Najmniejszy przypadek opowiadania sypialnianych sekretów był powodem natychmiastowego zerwania.

Na specjalną uwagę wydaje się zasługiwać śpiewaczka operowa Camilla Dandolo. Nie miała nadzwyczajnego głosu, nigdy nie była *diva*. Była jednak piękna i inteligentna, a Luca Palombini w pełni wykorzystywał jej talenty. Odniosłem wrażenie, że była w różnych okresach agentką, kurierką i powierniczką w jego życiu politycznym. To może być powodem szacunku, który do niej zachowali mężczyźni członkowie rodziny Palombinich, tłumaczy to także, dlaczego nie chcieli jej włączać w kłótnie i spory sądowe z żoną Luki. Zrozumiałe jest, że dobrze ją zabezpieczył. Kupił dla niej w Rumunii kawałek ziemi i zaopatrzył ją w pakiety akcji różnych ent. Nie jest natomiast jasne, czy dał jej jakąś wartościową rzecz z rodzinnego majątku. Widzisz, drogi kolego, że byłem ruchliwym i szczęśliwym oglądaczem.

Po śmierci Luki Camilla Dandolo powróciła do Mediolanu. Nie była już potrzebna jako śpiewaczka, ale kierownictwo La Scali chętnie pozwoliło jej odsiedzieć kontrakt. Śpiewała w przedstawieniach dobroczynnych, dawała lekcje młodym śpiewakom, prowadziła się wzorowo.

Potem nieoczekiwanie wyszła za mąż - było to w październiku 1947 r. Panem młodym był niejaki Franz Christian Eberhardt, Brazylijczyk, zamieszkały w Rio de Janeiro. Załączam ci do wiadomości wyciąg z zapisu w Ufficio Anagrafe z Mediolanu. Według doniesień prasowych, młoda para wyjechała na miesiąc miodowy do Portugalii, po czym popłynęła statkiem do Rio.

Jest jeszcze niepotwierdzona plotka, która, według mojej splątanej starej pamięci, może być prawdziwa. Plotka ta mówi, że Franz Eberhardt był jednym z tych oficerów hitlerowskich, którzy uciekli do Włoch, a potem przy pomocy starych przyjaciół z Kościoła i państwa wyjechali w końcu do Ameryki Południowej...

I tutaj, mój drogi młody kolego, historia się kończy, jak wszystkie nasze włoskie historie ze szczyptą melodramatu. No, a co u ciebie słychać? Czy praca idzie dobrze? Jestem zafascynowany

szkicem twojej rozprawy, który mi przesłałeś. Pytasz o starą kaplicę na gruntach posiadłości Palombinich. Zrobiłem pewne poszukiwania i odkryłem, że rzeczywiście, jeszcze w połowie siedemnastego wieku, istniała kaplica wotywna pod wezwaniem św. Gabriela. Stała się jednakże miejscem niezwykle brutalnego gwałtu i morderstwa wiejskiej dziewczyny z majątku. Budowla została zsekularyzowana i rozebrana do fundamentów. Belki i kamienie zostały użyte na stodoły i zabudowania posiadłości. Wieśniacy mówią, że miejsce to jest ciągle nawiedzane przez dziewicę w welonie, która oczekuje na nieostrożnych chłopców, aby ich uwieść i zgładzić.

To uważam za jedną z fascynacji naszego zawodu: odwracasz zakurzoną stronicę i cała historia ukazuje się przed tobą. Ale zaczynam być liryczny, a wtedy moja żona mówi mi, że staję się nudny.

Napisz znowu wkrótce. Interesują mnie twoje opowieści o dzikich wyczynach na śniegu. Jeszcze bardziej interesuje mnie twój pociąg do energicznych sportów, jak zjazdy. To rzadki talent wśród naukowców. A może oznacza to moją ignorancję? W końcu Brytyjczycy zawsze premiowali wysportowanie, a Rosjanie zamienili je w narzędzie polityki. My jesteśmy dzielni w łóżku lub na polu bitwy. Eheu fugaces! Ja w każdym razie jestem za stary na rozgrywki.

Serdeczne pozdrowienia

Guido Valente

(Kustosz działu rękopisów, a teraz kurator Archiwum Palombinich)

Seldes złożył list starannie i wręczył go z powrotem Matherowi. Gdy zaczął mówić, w jego tonie zabrzmiał nowy respekt.

- Wydaje się, że ma pan talent do przyjaźni.

- Guido Valente to bardzo szczególny przypadek: człowiek renesansu od stóp do głów.

- Chciałbym cię zapytać, Max - nie masz nic przeciwko temu, że będę mówił ci Max? Mów mi Harmon.

- Dziękuję.

- Chciałbym cię zapytać, czy podzieliłeś się swoimi wiadomościami o Rafaelach z rodziną Palombinich czy z twoim przyjacielem Valentem? Z listu wydaje się, że tak.

- Przeciwnie. Z wielu powodów nie zrobiłem tego. Seldes rzucił na niego szybkie, taksujące spojrzenie i powiedział ostrożnie:

- Może zmylił mnie fakt, że kaplica św. Gabriela była wymieniona tak w liście, jak księdze rachunkowej.

- Rzeczywiście - przyznał Mather. - O kaplicy i Luce Palombinim rozmawiałem z Pią w ostatnich miesiącach jej życia. Cierpiała na wyniszczającą chorobę, zwaną chorobą nerwów ruchowych. Źle sypiała, zawsze w obawie, że duszący skurcz nadejdzie w ciemności. Zwykle siedziałem przy niej i zachęcałem ją do rozmowy i do opowiadania o krewnych i ich rodzinnych historii. Z powodu okoliczności towarzyszących tym rozmowom, jej opowieści były fragmentaryczne i nie łączyły się ze sobą. Próbowałem później przypominać je sobie i rekonstruować. Ja... nie przynosiło to ukojenia, ale łatwiej było znosić ból.

- Rozumiem - łagodnie powiedział Seldes. - Nie chciałem cię urazić, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego wolałeś nie rozmawiać o Rafaelach z rodziną Palombinich? Byli przecież pierwszymi ich właścicielami.

- Z dwóch powodów. - Odpowiedź Mathera była szybka, ale nerwowa. - Po pierwsze, natrafiłem na tę notatkę już po śmierci Pii. Po drugie, Pia uświadomiła mi o istnieniu pewnych sporów w rodzinie na temat zarządzania przez Lukę dobrami rodzinnymi w okresie faszystowskim i okupacji niemieckiej. Niewątpliwie starał się przeżyć i obstawiał wszystkie możliwe numery. Nie pytałem nigdy o szczegóły, a Pia nigdy o nich nie mówiła. Byliśmy kochankami, ale ja byłem nadal obcym. Jednakże po jej śmierci rodzina okazywała mi bardzo wiele szacunku i troski. Te stosunki są bardzo dla mnie ważne i chciałbym zachować je nietknięte. Trzymałem więc język za zębami w sprawach rodzinnych. Wyznaję w tych czterech ścianach, że często zastanawiałem się, czy Luca nie użył tych zaginionych dzieł w układach z Niemcami, być może z agentami Goeringa, którzy w tym czasie poszukiwali dzieł sztuki we Włoszech. Ale jak wiesz, Włosi nie lubią tego rodzaju dociekań ze strony cudzoziemców.

- Nie wiedzą więc nic o tym wpisie w księdze rachunkowej?

- Właśnie. Jednakże zanim cokolwiek tu zostanie opublikowane, czuję się zobowiązany do poinformowania ich o sytuacji i przynajmniej zaproszenia do współpracy w poszukiwaniach.

- Całkowicie się z tym zgadzam. - Seldes był wyraźnie zadowolony. - Byłbym wdzięczny za jeszcze jedną małą brandy i będę musiał iść.

Wyciągnął swoją szklankę i nie protestował, gdy Mather nalewał mu sporą miarkę.



- Max, wróćmy do sprawy. Chciałbym wydrukować parę wyjątków z twojej rozprawy w Belvedere. Płacimy dobrze. Może ci to być pomocne, gdy będziesz szukał wydawcy. Z mojego punktu widzenia, nada to właściwego, akademickiego tonu planom badawczym. Co powiesz na to?

- Ogromnie się cieszę. Będę potrzebował oczywiście twojej pomocy przy wyborze odpowiednich fragmentów.

- Do tego przydzielę ci jednego z naszych starszych redaktorów. Czy miałbyś zastrzeżenia do współpracy z kobietą? Mather dostrzegł natychmiast przynętę z haczykiem. Uśmiechnął się.

- Przeciwnie. Bardzo lubię kobiety.

- Dobrze. - Seldes rozluźnił się. - To prowadzi do następnego punktu. Aby sprawę poprowadzić właściwie, trzeba nadać jej odpowiednią rangę, potrzebny jest pierwszorzędny sponsor. Po przejrzaniu twojego materiału, wiedząc że jest dużo, dużo więcej do zbadania, będę mógł z pewnością przekonać dyrekcję Belvedere, aby wsparli projekt. Co o tym sądzisz?

- Bardzo mi to pochlebia.

- Może chciałbyś dołączyć do nas na zasadzie umowy z tytułem, powiedzmy „redaktora wspierającego”?

- No cóż... jeśli myślisz, że się nadaję?

- Mój drogi Max - Seldes stał się naraz wylewny - jesteś wyróżniającym się naukowcem. Twoje doświadczenie, chociaż ograniczone, jest specjalistyczne. Masz swój własny zespół wartości. Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł się nimi ze mną podzielić. Mógłbym nawet spróbować zmienić rozkład moich zajęć i włączyć do niego wyjazd do Florencji, z końcem maja lub początkiem czerwca. Gdybyś nie mógł pojechać ze mną, może mógłbyś mnie zaprotegować?

Mather z trudem powstrzymał się przed okazaniem radości. Zachłanność Seldesa była widoczna. Chciał firmować odkrycie i widział w tym dla siebie potem wielkie korzyści. Niech więc tak będzie. Był potęgą w swojej dziedzinie. Za nim podążały pieniądze - pieniądze galerii, prywatne pieniądze, pieniądze korporacji. Gdziekolwiek by się zwrócił, nie mógłby ani nie potrafił znaleźć tych obrazów, ale każdy jego ruch zwiększał ich podstawową wartość rynkową.

Ale Seldes wiedział o tym również i należało się spodziewać z jego strony nieustannej dociekliwości i niebezpiecznych niespodzianek. Zapytał:

- Czy ta panna Loredon, wymieniona w liście, ma coś wspólnego z Hughem Loredonem, człowiekiem od Christie's?

- Jest jego córką. Pracowała we Florencji pod patronatem Belle Arti. To mądra dziewczyna.

- Przystojna, jak sądzę?

- Bardzo.

- Hugh też był przystojniakiem w młodości.

- Nigdy się z nim nie spotkałem.

- Powinieneś. On wie cholernie dużo o sztuce i wszystko na świecie o jej sprzedawaniu. Ale przy okazji - zmienił nagle temat - nie mówiliśmy o samej kolekcji Palombinich. Pewnie ją bardzo dobrze znasz?

- W miarę dobrze. Nadzorowałem jej katalogowanie, którego na zlecenie właścicieli dokonał Niccolo Tolentino. Muszę ci powiedzieć, że poza kilku dobrymi rzeczami, większość to kiepskie kopie albo małowartościowe oryginały. O jednym mogę zapewnić: nie ma tam Rafaelów. Wiem, że kiedyś je mieli. Kiedy więc pozbyli się ich i w czyje przeszły ręce? W każdym razie, gdy pojedziesz do Florencji umówię ci wizytę w posiadłości i pokazanie kolekcji. Ułatwię ci także spotkanie z Tolentinem, Guidem Valente i paroma jeszcze ciekawymi ludźmi we Florencji.

- To wspaniale, Max. Naprawdę wspaniale. Ja mam oczywiście swoich starych przyjaciół we Florencji. Ale oczywiście z wielką przyjemnością poznam twoich. - Olimpijskie laury Seldesa trochę przywiędły. - W sprawie zatrudnienia. Zadzwoń do mnie w poniedziałek. Ustalimy czas do pogadania i spotkania z paroma spośród moich bardziej rozbudowanych ludzi. Jeśli pozwolisz, wzięłbym kopię twojego tekstu, tak aby został przeczytany w redakcji przed naszym spotkaniem. A co do Rafaelów, to tylko ty i ja, zanim wszystko ustalimy. Capisce?

Mather wyprowadził go i patrzył jak odchodził chodnikiem w stronę Lexington. Mógł być pompatycznym osłem, ale niewątpliwie był człowiekiem inteligentnym. Kilkoma szybkimi ruchami objął kontrolę nad poszukiwaniami i wszystkimi związanymi z tym publikacjami, a więc nad wszystkimi korzyściami, które mogły one przynieść. Było to dokładnie to, co Max zaplanował. Harmon Seldes i jego miesięcznik dawały mu jeszcze jeden dowód słuszności. Odsuwały go daleko od samych obrazów, kreowały go na skromnego naukowca w cieniu kogoś wielkiego. Amen. Niech tak będzie. Seldes zawsze będzie niepewnym przyjacielem, mogącym się zmienić z dnia na dzień w

niebezpiecznego wroga, ale oby Bóg nie dopuścił, aby został napadnięty albo wpadł pod taksówkę. W tym momencie dla Maxa Mathera był wart mnóstwo pieniędzy.

Z tą myślą, wesoło musującą w głowie, Mather podniósł słuchawkę telefonu, zadzwonił do Anny-Marii Loredon i zaprosił ją na drinka i obiad u Gina. Jej protest zatrajkotał w słuchawce.

- Max, jesteś potworem. Nie zaprosiłeś mnie na posiłek od czasu jak przyjechałeś, a teraz potrafisz mi tylko zaproponować Gina.

- A co mogłoby być lepszego? Lubię tę starą dziurę - zebry i wszystko. Zostałem ucałowany jak wszedłem, dostałem darmo Sambucca przed wyjściem. Wino jest uczciwe. Jedzenie jest dobre. I oboje możemy poćwiczyć po włosku. Przy okazji, dostałem list od Guida Valente. Brakuje mu ciebie. Wszystkim we Florencji brakuje ciebie.

- Mnie też ich brakuje.

- A nie brakuje ci mnie?

- Nie za bardzo. Byłam zajęta - i miałam szczęście. Opowiem ci o tym przy drinku.

- Ja też mam nowiny dla ciebie. Zachowam je do makaronu. Kocham cię.

- Wcale mnie nie kochasz, ale miło usłyszeć, że to mówisz. Siódma trzydzieści, zgoda?

- Będę o siódmej trzydzieści. Ciao, bambina.

Gdy odłożył słuchawkę i zabrał się do sprzątanego biurka i mycia szklanek, objęły go nieproszone wspomnienia - „wieży kosów”; Pii Palombini, wątlej i bojaźliwej, Ignącej do niego w potrzebie pocieszenia; Niccola Tolentina, garbusa o rozumiejących oczach i magicznych dłoniach. Napłynęły też wspomnienia o Annie-Marii, przebudzeniach o świcie w jej pokoju na dźwięk dzwonów na Anioł Pański i przelotna refleksja o tym, gdzie i kiedy przeminęła niewinność rzeczy.

Ten nagły poryw wspomnień dodał uczucia jego spotkaniu z Anną-Marią. Uścisnęli się serdecznie. Przysiedli przy barze i wypili po dwa koktajle, a potem usiedli przy stoliku pod ścianą, wypełnioną pędzącymi zebami. Zamówili makaron, vitello alla Toscana i butelkę Barolo. Gdy czekali na podanie, Anna-Maria bez tchu opowiadała swoje nowiny.

- Skończyło się więc na tym, że mam galerię. Otwieram ją wystawą obrazów Madeleine Bayard. Sam Bayard wyznaczył mnie do przeprowadzania transakcji w jego imieniu, kupowania i sprzedaży. Jego kolekcja jest bardzo cenna, ale jest to groch z kapustą, wymagający odchwasczenia i przewartościowania. Nie byłam w stanie niczego już więcej zaplanować. Bayard prowadził twarde rokowania. Dał mi pięcioletnią dzierżawę z trzyletnim terminem na przedłużenie, ale nalegał, abym wzięła cały budynek. Muszę teraz odnajść dwa górne piętra, żeby starczyło mi na czynsz. Mam teraz więcej niż chciałam.

- Wynajęłabyś mi te dwa piętra?

- Co z nimi zrobisz?

- Jedno zamienię na mieszkanie dla siebie. Z drugiego zrobię pracownię i salę odczytową. Mam zamiar zaprosić Nicka Tolentina do Nowego Jorku na serię wykładów i ćwiczeń podyplomowych. Jeśli to wypali, to zaproszę innych specjalistów.

Anna-Maria zastanawiała się przez dłuższą chwilę, po czym zapytała:

- Podzielisz się Nickim ze mną?

- Jak mam się podzielić?

- Podzielimy się kosztami i dochodami, ale będzie on działał u mnie pod patronatem galerii. Będzie to wspaniała atrakcja - od razu ustawi nas pośród poważnych zawodowców.

Mather uśmiechnął się do niej ponad szklanką:

- No i kto tu prowadzi twarde rokowania? Nic na osłodę? Posłuchaj teraz uważnie, bo ja mam dla ciebie wieści, których jeszcze nie usłyszałaś.

- Jaką masz na myśli osłodę?

- We Florencji proponowałaś współpracę. Interesuje cię to nadal?

- Co będziesz robił?

- Tak jak sugerowałaś. Zainstalowałem się w Europie. Będziesz mnie wykorzystywać jako kupującego, sprzedającego i pośrednika. Będziemy się dzielić prowizją. Będę się przerzucał pomiędzy Europą i Ameryką, będziemy więc w stałym kontakcie.

- Zrobione!

- Widzisz więc jakie masz szczęście, zatrudniłaś właśnie redaktora wspierającego Belvedere.

- Max, ty stary lisie! Nie wierzę.

- Lepiej uwierz, *bambina*. Jadłem dzisiaj lunch z Harmonem Seldesem. Zawarliśmy umowę na temat publikacji wyjątków z mojej florenckiej monografii. Zatrudnił mnie również w redakcji. Widzi więc pani, panno Loredon, że ma pani przyjaciela w redakcji najbardziej prestiżowego artystycznego periodyku na świecie. Wylądowałaś we właściwym punkcie trampoliny i jesteś już właśnie metr w powietrzu.

- Ile z tego zaplanowałaś, zanim przyjechałaś do Nowego Jorku?

- Niewiele, kochanie. Jestem natchnionym improwizatorem. Martwi cię to?

- Nie... jestem zadowolona, że jesteś w pobliżu. Czułam się bardzo narażona na niebezpieczeństwo.

- Na jakie? A może powinienem zapytać na kogo?

- Na wszystkie, ale szczególnie na Bayarda. Byłam całkowicie zależna od jego dobrej woli. I nadal jestem.

- Wygląda mi na to, że wykroił sobie niezły kontrakt: dzierżawa jego budynku, wystawienie na sprzedaż obrazów jego żony i piękna agentka do własnej kolekcji. Dodać coś jeszcze do listy?

- Nie twój cholerny interes, Max!

- W danej sytuacji mój. Nie poszukuję *menage a trois*.

- Czemu nie, Max? O ile wiem, jest ci całkiem wygodnie w takim układzie.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, już ich żałowała. Reakcja Mathera była dziwna. Milczał przez dłuższą chwilę, patrząc na wierzch swoich dłoni, a potem zupełnie lekko odpowiedział:

- Masz rację, oczywiście. Bardzo mi dobrze w sytuacjach trójkątów, pod warunkiem, że znam reguły od samego początku. Jestem ustępliwym, pogodnym facetem z rodzaju tych, co chcą żyć i pozwolą żyć innym. Udało mi się pozostać w przyjaźni z większością kobiet, które znałem.

Wyciągnęła ręce i przytrzymała jego dłonie w swoich.

- Max, proszę! Jestem wstrętna. Przepraszam. Między mną a Bayardem nie ma nic oprócz interesów. Zrobił jedno podejście, ale to było tylko pierwszego dnia. Od tego czasu był bardzo

poprawny, twardy w pertraktacjach. Ale wiem, że nadal się mną interesuje, trzymam się więc przy nim stale na baczności. Możesz zapomnieć to, co powiedziałam? Powinniśmy świętować, a nie kłócić się. Mather uśmiechnął się krzywo.

- Powinniśmy. I będziemy. Ale najpierw pomówmy jeszcze trochę o interesach. Wystawa Madeleine Bayard. Zdajesz sobie chyba sprawę, że historia morderstwa odżyje, jak sobie z tym dasz radę?

- Wykorzystam ją do swoich celów.

- A Bayard zgodzi się na to?

- Już się zgodził.

- On ma bzika - a ty też!

- Podstawowa zasada, Max! Nie pouczaj mnie nigdy, co mam robić w moich sprawach.

Mather odsunął się gwałtownie.

- Nie przeżyjesz w zawodzie, jeżeli będziesz się bawić w psychozabawy w tym mieście. Czy nie słyszałaś o zbrodni naśladowczej? Chcesz ją zagrać, na litość boską! To smutne słowa: „Życie jest krótkie, a sztuka długotrwała. Madeleine Bayard uwieczniła się w swojej sztuce.” Każę ci je wyryć, jeżeli będę musiał.

- W porządku, Max, w porządku! Pomyślę o tym.

- Kiedy myślisz otworzyć galerię?

- Teraz jest koniec stycznia. Chciałabym ją otworzyć najpóźniej w połowie kwietnia.

Przewidziałam premię dla przedsiębiorców, jeżeli będą potrafili skończyć przed pierwszym kwietniem.

- Co oznacza, że będziesz mogła zorganizować dwie wystawy przed czwartym lipca. Zaczynasz z Madeleine Bayard. Kto następny?

- Oliver Swann z New Mexico. Maluje krajobrazy tak pełne surowej siły, że nie uwierzyłybyś, iż istnieją. Jest także kolorystą. To dobry temat na artykuł. Potem, na lato nie mam pomysłu.

- To byłby dobry czas, aby Niccolo Tolentino poprowadził ćwiczenia podyplomowe i wykłady. Mogłabyś brać sporo za wstęp. Dobrze rozreklamujesz i będziesz miała kolejki przed galerią. Pomyśl o tym. Jeśli to ma sens, to zaraz porozumię się z Nickim.

Anna-Maria powiedziała bez związku:

- Zmieniłeś się, Max. Widzę innego człowieka w porównaniu z tym, którego poznałam we Florencji.

- Jak się zmieniłem? Na lepsze? Na gorsze? Dużo, mało?

- Więcej energii, więcej wyrachowania. Nagle zacząłeś się śpieszyć. Nigdy taki nie byłeś. Przynosiło cię do miasta. Bawiliśmy się. Potem wynosiło cię z powrotem. Lubiłam to. Teraz nie jestem tak pewna...

Kelner postawił przed nimi dwa talerze *fettucine*, przyprawił pieprzem i parmezanem, nalał wina, życzył smacznego i oddalił się. Byli już w połowie makaronu, gdy Mather powiedział obojętnie,

- Chciałbym cię prosić o przysługę.

- Mów.

- Czy mogłabyś zarekomendować mnie twojemu ojcu? Mam trochę wartościowych rzeczy i myślę o ich sprzedaniu. Potrzebowałbym porady - najlepiej zaprzyjaźnionego eksperta.

- Jakiego rodzaju rzeczy!

- Spadkowe. Zegarek Tompiona, który jak mi powiedziano ma sporą wartość, pierścioneł antyczny z rzeźbionym szmaragdem, parę innych rzeczy. Będę potrzebował gotówki do sfinansowania podwyłajmu i remontu twojego budynku.

- Ojciec sam nie wyceni ci tego, ale może zasięgnąć opinii ekspertów w przedsiębiorstwie. Powiem mu, żeby spodziewał się telefonu od ciebie.

- Dziękuję. - Podniósł kieliszek w toaście. - Za stare czasy i za lepsze!

Pili, jedli, rozmawiali. Godzinę później odprowadził ją o sześć przecznic, do jej mieszkania. Nie proponowała, aby wszedł. A on się nie ociągał. Ucałował ją w oba policzki we włoskim stylu i odwrócił się, aby odejść.

Anna-Maria zatrzymała go.

- Max...

- Tak?

- Jesteś na mnie zły?

- Ależ nie... ale byłbym, gdybyś stanęła, tłumacząc kategorycznie, że cię boli głowa.

Zadzwoń do ciebie rano i nie zapomnij zatelefonować do ojca.

- Nie zapomnę. Dobranoc, Max...

Posłał jej pocałunek i poszedł lekkim krokiem, pogwizdując *La ci darem la mano*. Nie był zbyt niezadowolony. Trochę seksu po obiedzie byłoby przyjemne, ale mógłby go mieć także na telefon. Ważne było, że jego osobowość, szkicowa po długiej nieobecności, zaczęła teraz nabierać kształtów. Publikacja jego artykułu nada mu autorytet naukowca. Jako redaktor wspierający poważnego miesięcznika będzie mógł pójść wszędzie i zadawać dowolne pytania. Dealerzy będą wszędzie zabiegać o niego, jako o współnika nowej galerii o dobrych powiązaniach.

Potrzebował jeszcze miejscowego doradztwa prawnego - któż może być do tego odpowiedniejszy, jeśli nie właściciel nieruchomości Anny-Marii, adwokat Amerykańskiego Stowarzyszenia Dealerów Dzieł Sztuki?

Edmund Justin Bayard odchylił się do tyłu w swoim krześle, złożył dłonie czubkami palców i spoglądał badawczo z ponad nich na swego gościa. Podobał mu się z wyglądu: młody przystojny facet, starannie ubrany, w garniturze skrojonym przez dobrego krawca, w koszuli i krawacie robionych na zamówienie, spinki i zegarek drogie, ale nie zbyt kłowne. Zapytał:

- Kto panu mnie polecił, panie Mather?

- Pańskie nazwisko padło w rozmowie z Anną-Marią Loredon, z którą jadłem przedwczoraj obiad. Mówiła mi między innymi, że jest pan adwokatem Amerykańskiego Stowarzyszenia Dealerów Dzieł Sztuki. Dlatego tu jestem.

- A jak mogę panu pomóc?

- Może najpierw wytłumaczę, że nie jestem dealerem, jestem naukowcem, paleografem i historykiem, specjalizującym się w historii sztuki europejskiej. Publikuję pewien materiał w *Belvedere*, którego zostałem właśnie redaktorem wspierającym. Panna Loredon prosiła mnie, abym działał dla niej w Europie. Nie robiłem tego nigdy dotąd, pomyślałem więc, że powinienem zapoznać się z podstawowymi przepisami prawnymi, dotyczącymi nabywania i sprzedaży poważniejszych dzieł sztuki, pochodzących z Europy. Jeżeli miałbym zalecić zakup, muszę znać prawne wymagania co do tytułu własności, pochodzenia, wywozu i przywozu. Jestem zupełnym nowicjuszem w tej dziedzinie.



Bayard uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Niech pan się tego zbytnio nie obawia, panie Mather. Jest kilka prostych zasad. A poza tym aż po szyję przepisów, które zmieniają się na każdej granicy.

- Myślałem, że są może jakieś opublikowane wytyczne, podręcznik wydany przez Stowarzyszenie Dealerów?

Bayard roześmiał się oschłym, szczekliwym głosem, kończącym się bełkotliwie.

- Mój drogi Mather, to jest rzeczywiście świadectwo pańskiej naiwności. Podręcznik? Mój Boże! Głównym celem każdego dealera jest publikować najmniej jak możliwe, a obiecywać jeszcze mniej, o przedmiotach, które sprzedaje. Jest on zawsze niewinny, działając w dobrej wierze pomiędzy chętnym sprzedawcą i chętnym nabywcą. Jeżeli mu pan powie, że natrafił na del Sarto na aukcji w Liechtensteinie, będzie gotów uwierzyć panu na słowo. Będzie niezmiernie szczęśliwy, jeżeli będzie mu pan mógł dostarczyć jakiś rzetelny papierek. Gdy ktoś zakwestionuje pańskie prawo własności, dealer się wycofa, pozostawiając walkę wam obu. Gdy mu pan przedstawi w miarę przyzwoite fałszerstwo, uda, że go nie rozpoznaje i będzie obliczał swoje szanse na wtrzygnięcie go komuś. Nie potrzebuje on liczydła, żeby panu powiedzieć, kiedy upływa prawne ograniczenie skradzionego dzieła sztuki. Nie daje gwarancji na pochodzenie, nawet jeżeli istnieje. Sprzedaje to, co przedstawi właściciel i to, co widzi nabywca. Jeżeli towar spadnie z ciężarówki i właściciel przybiegnie z krzykiem z reklamacją, dealer odrzuci wszelką odpowiedzialność.

Mówiąc serio, panie Mather, najbezpieczniejszą pozycją dla pana, jako dealera lub agenta, jest traktowanie każdego przypadku tak, jak zasługuje i przerzucanie odpowiedzialności na nabywcę. Jeżeli powstanie wątpliwość co do tytułu czy pochodzenia, niech pan wyrazi po prostu swoje zastrzeżenia, a resztę zostawi panie Loredon i jej adwokatom.

- Jednym z których prawdopodobnie będzie pan?

- Niekoniecznie, chociaż gdy już zostanie przyjęta na członka Stowarzyszenia, będzie miała dostęp do mojej porady. Jak zapewne już panu powiedziała, będzie kupować i sprzedawać dla mojej prywatnej kolekcji. Będą więc pewnie okazje, że zetkniemy się bezpośrednio.

- Czy zechce pan przyjąć mnie jako stałego klienta?

- Jeżeli chce mnie pan zaangażować, tak.

- Chciałbym. - Mather podał mu swoją wizytówkę. - Tu jest mój adres i telefon, oba tymczasowe. Mam nadzieję podnając od panny Loredon dwa górne piętra jej budynku.

Bayard spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Dwa piętra? To ogromna przestrzeń.

- Jedno jako moje mieszkanie, a jedno na salę odczytową i pracownię. Zaproponowałem sprowadzenie głównego konserwatora galerii Pittich we Florencji do poprowadzenia serii letnich seminariów na temat konserwacji i pokrewnych tematów. Panna Loredon zapaliła się do tego pomysłu. Chciałaby w nim uczestniczyć. Jeżeli odniesie sukces, sprowadziłbym innych europejskich specjalistów z pokrewnych dyscyplin.

- Interesujący projekt... bardzo interesujący. Pan znał pannę Loredon we Florencji?

- Tak. Przebywała tam pod patronatem Belle Arti. Ja byłem archiwistą u jednego ze starych rodów. Spotkaliśmy się przypadkowo. Mogłem przedstawić ją wielu miejscowym artystom i rzemieślnikom, zwiedziliśmy też razem mnóstwo galerii i kościołów.

- Czyżbym słyszał romantyczne tony, panie Mather?

- Nie. Dama florencka, którą bardzo kochałem, zmarła przed kilku miesiącami. Nie umiałbym się znów angażować. Panna Loredon ma swoje ambicje, które nie obejmują mojej osoby.

- Czy sądzi pan, że zrealizuje je tutaj, w Nowym Jorku?

- Prawdopodobnie. Ma dobry smak i szerokie wykształcenie. Jest bardzo stanowcza. Ludzie ją lubią. Powiedziałbym więc że tak, ma co najmniej sportową szansę. Przy okazji, jest pod silnym wrażeniem obrazów pańskiej nieboszczki żony.

- Wiem. Dlatego zleciłem jej wystawienie ich na sprzedaż.

- Wiąże się to z jeszcze jedną przyczyną mojej wizyty, trudno mi jednak poruszać ten temat z obawy wydania się impertynenckim.

- Proszę powiedzieć to, co pan zamierzał.

- Panna Loredon i ja omawialiśmy wystawę i nieuniknione artykuły w prasie, na temat morderstwa pańskiej żony. Powiedziała mi, że mówiła o tym z panem i że pan jest gotów sprostać rozgłosowi, a nawet go wykorzystać.

- Do pewnego stopnia, tak.

- Nie zgodziłem się - powiedział stanowczo Mather. - Powiedziałem to Annie-Marji.

- I co?

- Z początku powiedziała mi, że to nie moja sprawa, a potem zgodziła się to przemyśleć.

- Jaki był powód pańskiego sprzeciwu?

- Zbrodnia naśladowcza - sensacyjnie opowiadane niesamowite historie stanowią zachętę dla ludzi chwiejnych psychicznie. Same dzieła sztuki poza tym mają silne oddziaływanie magiczne, zwłaszcza gdy ludzie gromadzą się w celu ich oglądania.

Bayard zastanawiał się nad tym chwilę, po czym ostrożnie wyraził zgodę.

- Rozumiem pańskie rozumowanie, pomówię jeszcze z panną Loredon. Coś jeszcze?

- Chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań.

- Płaci mi pan za mój czas, panie Mather. - Bayard znów się odprężył.

- Co dokładnie tworzy tytuł własności?

- Po pierwsze posiadanie. Jest jeszcze dziewięć prawnych punktów. Więc każdy dowód legalnego przekazania: akt sprzedaży, akt darowizny, testament, a nawet kartka z życzeniami urodzinowymi.

- Powiedziano mi, że ważność tytułu własności może upłynąć.

- Jeżeli przedmiot został zagubiony, skradziony, lub porzucony, to uważa się, że po trzydziestu latach upływa ważność tytułu.

- A więc po trzydziestu latach od obrabowania pana, złodziej może zadzwonić do pańskich drzwi i zaproponować sprzedaż przedmiotu, który panu skradł?

- Dokładnie tak. Jeżeli nie zaakceptuję ceny, może wziąć go pod pachę i swobodnie odejść. Widzi pan, jest on podwójnie chroniony. Nie może zostać oskarżony o przestępstwo z powodu przedawnienia, a po trzydziestu latach ma prawo do przedmiotu przez fakt jego trzydziestoletniego posiadania.

- A więc następne pytanie: wywóz i przywóz. Niektóre kraje ograniczają lub wręcz zakazują wywozu znaczniejszych dzieł sztuki, uważanych za skarby narodowe?

- Prawda.

- Ale większość krajów pozwala na przywóz nielegalnie wywiezionych dzieł sztuki.

- Nie całkiem, panie Mather. W rzeczywistości jest odwrotnie. Większość krajów nie wymaga, aby ich służby celne pytały o legalność wywiezienia przywożonych dzieł sztuki, zwłaszcza gdy nie wchodzi w grę inne przestępstwa - na przykład nie znajdują się one wśród skradzionych przedmiotów na liście Interpolu. A w praktyce dzieje się tak, jak panu tłumaczyłem z początku - dealer czy licytator nie pyta. Wystarcza mu dowód własności. Jest uszczęśliwiony dobrym pochodzeniem. Nie wymaga się, aby działał jak urzędnik celny dla Francuzów, Brytyjczyków czy Włochów. Z drugiej strony, jest on na tyle rozsądny, aby nie dać się wciągnąć wprost w działania przemysłowe. Powstrzymuje się także przed jakimikolwiek płatnościami, dopóki towar nie znajdzie się bezpiecznie w jego rękach, w kraju, w którym chce go sprzedać.

- Wydaje się, że muszę się jeszcze dużo nauczyć - Mather uśmiechnął się z przymusem.

- Jestem przekonany, że uczy się pan szybko - uprzejmie powiedział Bayard. - A teraz ja chciałbym zadać panu pytanie.

- Proszę.

- Czy panna Loredon proponowała panu jakiś udział w jej interesach?

- Nie. Jaki jest powód tego pytania?

- Prosty. Prosiłem ją o rozważenie spółki ze mną. Odmówiła mi.

- Nie odbierałbym tego tak osobiście.

- Cieszy mnie, że tak pan mówi, panie Mather. Nie ukrywam, że bardzo interesuję się tą panią...

- W takim razie - powiedział z uśmiechem Mather - dam panu pewną radę, za darmo! Niech pan mocno nie nastaje. Ona jest bardzo niezależną osobą.

- Będę o tym pamiętał, panie Mather i dziękuję panu.

- Dziękuję panu, panie Bayard.

Gdy tylko Mather wyszedł, Bayard podniósł słuchawkę i wybrał numer w Murray Hill.

- Lou? Bayard. Następne nazwisko do sprawy Loredon - Maxwell Mather. Znał ją we Włoszech. Będzie powiązany z jej galerią. Nie sądzę, żeby było między nimi coś więcej niż przyjaźń, ale chciałbym dokładnie wiedzieć, gdzie się on mieści w jej układzie. Przeczytam ci adres. O co chodzi? A tak, jak na razie jestem bardzo zadowolony. Okazała się czystsza, niż się spodziewałem...

## ROZDZIAŁ 4

Hugh Loredon, znakomity licytator, był doskonałym uosobieniem ziemianina: miał siwe włosy, świeżą cerę, gustował w tweedach i fantazyjnych kamizelkach, oglądał się za kobietami, był miły w obejściu, miał giętki język - i wrodzony instynkt wyczuwania gustu i nastroju tłumu na sali licytacyjnej. Mather, który podejmował go lunchem w swoim mieszkaniu, został uraczony godziną rozpraw i anegdot.

- Patrzysz na nich z mównicy, a oni są jak koszyk z kobrami, gotowymi podnieść się i cię ukąsić. Musisz więc przede wszystkim ich oczarować, zagrać muzykę, hipnotyzować ich w rytmie licytowania. Wszyscy przestudiowali katalogi, wszyscy wiedzą co chcą kupić, wszyscy zastanawiają się, czy ich kieszenie są wystarczająco głębokie. Po chwili odnajdujesz swoich stałych klientów. Jeżeli potrafisz ich odnaleźć, pomogą ci z resztą tłumu. Pracowałem w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku, Genewie. Każdy jest inny, ale wszyscy są tacy sami: zachłanni i chytry. Czasami odbierasz prawdziwie seksualny prąd płynący z sali. Była taka kobieta, która licytowała, dotykając prawą dłońią lewego sutka, inna - rozwierzała i zwierzała nogi jak miechy. Bardzo to było rozpraszające, zapewniam pana, miała bardzo ładne nogi. To świetna potrawa, nawiasem mówiąc, gdzie nauczył się pan gotować?

- Brałem lekcje.

Loredon skinął głową z aprobatą.

- Mądry człowiek. Wiele dziewcząt nie lubi gotować, a wszystkie stają się głodne.

Mather roześmiał się.

- Głos doświadczenia?

- Długiego, długiego doświadczenia. Jedyny problem z jedzeniem w restauracjach, to daleka droga z powrotem do sypialni... Mówił pan, że ma parę rzeczy do pokazania.

- Proszę nalać sobie porto, zanim je przyniosę.

Mather zrobił miejsce na stole i ułożył małą wystawę swoich skarbów: zegarek Tompiona, rzeźbiony szmaragd, emaliowana szkatułka na cukierki, para siedemnastowiecznych pistoletów pojedynkowych, które podziwiał w Brescii i które Pia uparła się mu kupić.

Hugh Loredon wyjął kieszonkową lupę i obejrzał dokładnie każdy z przedmiotów. Jego werdykt był krótki.

- Byłby pan głupi, gdyby je pan sprzedał, jeśli pan nie musi. Lepiej umieścić je w sejfie bankowym i trzymać jako zabezpieczenie na starość. Ten zegarek jest bardzo piękny. Napis dowodzi, że został wykonany w 1704 roku, w którym Tompion został mistrzem Towarzystwa Zegarmistrzów w Londynie. To egzemplarz muzealny. Powinno się dostać za niego od siedemdziesięciu pięciu do stu tysięcy. Sprzedałem taki przed dziesięciu laty za pięćdziesiąt. Klejnot... jest interesujący, ale nie na tyle, żeby wywołać szmer na licytacji dużego majątku. Szkatułka jest niezła, Ludwik XIV. Może trzydzieści tysięcy. Pistolety dziesięć, albo coś koło tego. Wartość ich rośnie z każdym rokiem. To zależy od pana. Jeśli pan chce, mogę dać je naszym ludziom do dokładnego zbadania, a potem byśmy porozmawiali o ich zatrzymaniu i odpowiedniej dacie ich wystawienia. Możemy też spróbować wynegocjować dla pana prywatną sprzedaż. Zebraliśmy niemałą listę międzynarodowej klienteli.

- Proszę wystawić je na licytację - powiedział żywo Mather. - Staram się uporządkować swoje życie. Nie potrzebuję na razie gotówki, ale będę potrzebował, gdy podpiszę umowę podnajmu od Anny-Marii i zacznę budowę mieszkania.

- Proszę powiedzieć mi, kiedy będzie pan gotów - powiedział zdawkowo Loredon. - Będzie pan bez trudu miał sto tysięcy po odliczeniu prowizji, powiedziałbym. Dobrego dnia nawet więcej.

- Od czego zależy dobry dzień?

- Bóg jeden wie. Dla mnie od tego, jak mi młotek leży w dłoni.

- Coś jeszcze chciałem panu pokazać - powiedział Mather. - Nawet Anna-Maria o tym nie wie. Publikuję o tym artykuł w Belvedere i do tego czasu nie chcę tego rozgłaszać.

Hugh Loredon uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Jest pan bardzo łatwowierny. To przecież środowisko najbardziej plotkarskie na świecie. Ale myślę, że potrafię dochować tajemnicy - dopóki nie usłyszę tego od kogoś innego. Niech pan mówi.

Mather przyniósł księgi handlowe Palombinich i przetłumaczył mu wpisy. Loredon zmarszczył brwi w zakłopotaniu

- Nie wydaje się to panu dziwne? Zostały namalowane w 1505 przez człowieka uznanego za swojego życia za wielkiego mistrza i od tego czasu nigdy nie były widziane, ani nigdy o nich nie słyszano.

- Dziwne, tak, ale nie bez precedensu.

- I myśli pan, że co się stanie, gdy już to zostanie opublikowane?

- W najlepszym wypadku nastąpi jakiś oddźwięk, świadczący że jeszcze istnieją. W najgorszym, myślę, że będzie cisza.

- Może pan uzyskać więcej niż pan liczy.

- Nie rozumiem?

Hugh Loredon nalał sobie następny kieliszek porto i ukrajał mały kawałek sera. Włożył ser do ust i połknął go z łykiem porto. Wytarł następnie wargi serwetką i tłumaczył mu powoli swoje ostrzeżenie.

- Mówi tu pan o skarbach, Max. Jeżeli można dostać czterdzieści milionów za słoneczniki van Gogha, to jak pan myśli, ile te obrazy mogą być warte? Powiedzmy sto milionów, a i to będzie ostrożnie. Jeżeli byśmy je wystawili na aukcję, sami licytatorzy wzięliby prowizji: dziesięć procent sprzedający i dziesięć procent kupujący - to jest dwadzieścia milionów. Jesteśmy więc od początku bardzo zainteresowanymi stronami. Niech pan pomyśli teraz o innych kobrach z koszyka: dealerach, wielkich kolekcjonerach, instytucjach, fundacjach... Wszyscy się będą panem interesować. Będą machać panu przed nosem pieniędzmi, chcąc pana zaangażować, obiecując wynagrodzenie za wyszukanie dzieł. Więcej, będą pana pilnowali, gdziekolwiek pan będzie. Rozumie pan? To łatwe zadanie. Jest pan człowiekiem, który ma mapę z drogą do skarbu. Najprawdziwszą mapę skarbu, autentyczną w każdym szczególe. Nawet ja bym był bardzo zadowolony, gdybym mógł mieć człowieka śledzącego pana przez dwanaście miesięcy w roku, tylko po to, żeby moja firma nie straciła szansy na dwadzieścia milionów prowizji. Jak dotąd, mówię o legalnych interesach, a co na temat facetów z czarnego rynku? W Atenach jest milioner armator, który sponsoruje kradzieże dzieł sztuki dla siebie. W Kolumbii jest kolekcjoner, nasz klient, znany odbiorca kradzionych dzieł sztuki. Czemu to nie miałby być on? Ma fortecę w górach i prywatną armię do ochrony. Nie ma w tym nic nowego. W dawnych czasach condotieri żyli z łupów.

- Mówi pan, że nie powinienem publikować?

- Nie mam prawa tak mówić. Jest pan naukowcem, a ja licytатorem. Obaj chcielibyśmy, aby te skarby się znalazły - każdy z nas z innego powodu. Ja po prostu mówię, że nie jest to gra salonowa... nie ma nic wspólnego z estetyką i wartościami absolutnymi. To jest handel - handel towarami rzadkimi i o ograniczonym dostępie - który jest tak wyspecjalizowany, jak dawny handel korzenny, czy najnowszy, tajemnicami przemysłowymi. Nie ma w nim miejsca dla amatorów. Zyski są wysokie. Gra jest brutalna, paskudna a czasem wręcz niebezpieczna. Wkupienie się może też kosztować pana wiele pieniędzy... Rozumiem, że jest pan urządzony, ale nie bogaty. Z tego, co mówiła mi Anna-Maria wiem,

że lubi pan leniwe życie akademickie. Ostrzegam pana po prostu, że jeszcze kilka kroków a może pan wylądować w kuchni piekielnej.

- Przypuśćmy - powiedział spokojnie Mather - przypuśćmy, że zdecyduję nie publikować, tylko prowadzić poszukiwania na własną rękę?

- Nie może pan - powiedział stanowczo Hugh Loredon. - Jest za późno.

- Dlaczego nie mógłbym?

- Bo w momencie, w którym rozmawiał pan z Harmonem Seldesem, już pan opublikował. On wie, co pan wie. Zna źródło pańskich informacji. On już o tym mówi w swoim kręgu ludzi interesu. Ja jestem taki sam jak on. Wiem, co pan wie. Jedyne, co obiecałem, to dotrzymać tajemnicy dopóki jest tajemnicą - choć w każdej chwili może przestać nią być. Ale ponieważ jest pan przyjacielem mojej córki i jest pan dobrym kucharzem i nie chciałbym pana zobaczyć z nosem w kremie, ostrzegam pana uczciwie.

- Idiota ze mnie - powiedział Mather z przejęciem.

- Jest pan po prostu ignorantem - powiedział mu wesoło Hugh Loredon. - Nie ma w tym nic złego. Głupota to coś innego. Chciałbym teraz prosić pana o przysługę.

- Proszę powiedzieć jaką.

- Niepokoję się o Annę-Marię i Eda Bayarda.

- Czemuż to, na Boga?

- Za bardzo się do niego przywiązuje, a on o nią zabiega.

- Ona jest już dużą dziewczynką. Potrafi powiedzieć nie.

- Nie przeszkadza to panu?

- A dlaczego by mi miało przeszkadzać?

- Myślałem, że wy oboje...

- My nie. Annie-Marii i mnie było bardzo dobrze razem we Włoszech - dużo uciechy i żadnych żalów z obu stron. Tu w Nowym Jorku zabawy się skończyły i jesteśmy tylko przyjaciółmi, wspólnie robiącymi interesy. To nam obojgu odpowiada. Jeśli więc chce się spotykać z królową piękności, albo ze śmieciarzem, to jej sprawa.



- Powiem więc inaczej. - Loredon naraz sposepniał, jego rumiana twarz zmaląła i poszarzała. - Żona Eda Bayarda była piękną kobietą i dobrą malarką. Był chorobliwie o nią zazdrosny. Usiłował izolować ją od jej przyjaciół, utrzymywać w ciągłej niepewności co do jej talentu. Nigdy nie pozwolił jej wystawiać, jedynie sprzedawać prywatnie. Podtrzymywał w niej zabójcze dla każdego artysty przekonanie - stałego wątpienia w siebie. Jako prawnik jest świetny. W życiu prywatnym jest za to skończonym sadystą...

- A skąd pan to wszystko wie?

- Madeleine Bayard i ja byliśmy kochankami.

Mather gwizdnął przeciągle z zaskoczenia.

- Czy Bayard o tym wiedział?

- Myślę, że tak. Nie mam dowodu.

- I pozwolił pan swojej córce zawierać z nim układy?

- Nie mogłem niczemu zapobiec. Wszystko załatwiła przed spotkaniem ze mną. Najem podpisany, wystawa zakontraktowana. Machała mi przed nosem papierami jak chorągiewką, żebym był z niej dumny. Co by pomogło wyciąganie jakichś szczegółów z przeszłości?

- Jest pan cholernym głupcem, Hugh.

- Wiem. Przegapiłem właściwy moment.

- Nonsens. Niech jej pan powie teraz. Jeśli pan tego nie zrobi, to ja to zrobię. Nie był pan nigdy przesłuchiwany w sprawie tego morderstwa?

- Oczywiście, że byłem. Ale wszystko co mogli ustalić, to to, że byliśmy przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu szli razem do łóżka.

- Jest to więc w zeznaniach i nie jest tajemnicą. Co jeszcze im pan powiedział?

- Nic. Rozumie pan chyba, że do samego końca pilnowałem swoich spraw. Nie chciałem dopuścić do skandalu. Pozory są bardzo ważne dla mojej firmy. Miałem kilka innych małych romansów równolegle, ponieważ bogate kobiety dominują na scenie sztuki. Nie mogłem nic więcej powiedzieć policji poza tym, że Bayard unieszczęśliwił swoją żonę. Nie brzmiało to zbyt przekonująco, gdy on był złym mężem, a ja chwilowym kochankiem.

- Ale Bayard miał motyw do zabójstwa.

- Możliwe, ale policja bardzo szybko go wyeliminowała spośród podejrzanych.

- Dlaczego więc mówi mi pan to teraz?

- Bo... bo się boję. Jestem tak pewny, jak siebie samego, że Bayard chce użyć mojej córki, żeby zemścić się na mnie.

- Jest to prawdopodobnie wyraz pańskiego poczucia winy, ale nie zgadza się z faktami. Anna-Maria sama mi powiedziała, że natknęła się na pracownię przez pośrednika handlu nieruchomościami.

- Ale gdy już sprawa była omawiana, gdy dowiedział się kim ona jest... nie sądzi pan?

- Rozumiem dlaczego pan się niepokoi. Nie wiem, co jeszcze mógłby pan zrobić, ale proszę powiedzieć jej prawdę.

- Jeśli powiem, obieca mi pan, że pozostanie przy niej? Spróbuje pan zorientować się, co się dzieje pomiędzy nią i Bayardem?

- To nie w moim stylu, Hugh.

- Moja córka mówiła mi co innego. Że był pan ze swoją włoską przyjaciółką dopóki nie zmarła na pańskich rękach. Że jest pan dobry w łóżku. Że jest pan wielkoduszny wobec swoich przyjaciół, nie robi scen i sprząta w kuchni. Mówi, że ma pan znacznie więcej zalet, niż na to wygląda.

- To zwykła salonowa sztuczka - powiedział Mather z kwaśnym humorem. - Jak kiełkowanie drzewa mangowego i wyciąganie królików z cylindra.

- Wiem, Max. I pan też wie. Ale dopóki zatrzymamy to dla siebie, iluzja działa.

Popołudnie już się kończyło, gdy Hugh poszedł, orzeźwiony czarną kawą, nieco zgorzkniały wspomnieniami, które kwaśniały w miarę opowiadania. Mather pozostał z wrażeniem starzejącego się aktora, który znalazł środek, pozwalający mu pracować tak długo jak chciał, ale dla którego rola straciła wszelkie niespodzianki, zaś przedstawienie sens. Jego swobodny urok i łatwy cynizm wydawały się maskować smutek i samotność.

Dla Mathera natomiast lunch był korzystnym zdarzeniem. Miesięcznik, dom aukcyjny, galeria - wszystko to były patenty na poważanie.

Z drugiej strony fikcje łączyły się po trochu z faktami z życia innych, od których jak dotąd się izolował.

Dylemat Hugh'a Loredona odzwierciedlał coś, czego nauczył go brutalne doświadczenie: słabość i siła cavaliere sirvente, zawodowego bawidamka. Jego publiczne istnienie było pół-życiem, w czasie którego jego pani wywieszała go jak flagę o świcie i opuszczała oraz zwijała o zachodzie słońca. Przez resztę czasu był jej osobistą własnością: ich wspólne życie, tajemna aktywność, rozwiąłość i przekupstwo, namiętność i perwersja łączyły się w niestabilne połączenia. Jedynym elementem, który utrzymywał to w równowadze, było odcięcie od świata. Tylko bawidamek widział brzuch i zmarszczki swojej pani. Tylko pani знаła tchórzliwość swego wielbiela. W momencie, gdy ktoś inny wchodził do pokoju, ta wątpliwa kombinacja stawała się wybuchowa.

Mather poczuł początkowo sympatię do Loredona, ponieważ rozumiał go i potrafił mu współczuć. Współczuł również Annie-Marii, tak pewnie poruszając się na polu minowym szaleństw jej ojca. Nie chciał mieszać się w ich sprawy, ale ponieważ postanowił ich użyć w swoim interesie, był nieubłaganie wciągany jak owad do pułapki na muchy Venus.

Grzebał się w swojej kuchni, układając naczynia, wycierając sztućce i przemyśliwując perspektywy w obecnym stanie spraw, gdy zadzwonił telefon. Na linii była Anna-Maria.

- Co robisz Max?

- Właśnie sprzątam w kuchni. Jedliśmy lunch z twoim ojcem. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Wychodzę z domu i jadę do pracowni. Spotykam się tam z architektem. Pomyślałam, że ty też powinienes się z nim zobaczyć i przedyskutować projekt swojej części.

- Świetny pomysł. Zabierz mnie po drodze. Będę czekał na chodniku.

Jazda za miasto była koszmarem. Haitański kierowca, głuchy na wszelkie protesty i nieustannie klnący po kreolsku, miotał nimi pomiędzy pojazdami jak gdyby Ton-ton Macoute gonili go z maczetą. Gdy dojechali do pracowni, Mather już był gotów go zabić gołymi rękami, a Anna-Maria miała mdłości i zawroty głowy.

Mather podtrzymał ją i przeszli kawałek, łykając świeże powietrze. Stali potem przez chwilę, przyglądając się z zewnątrz magazynowi, którego fasada była z żeliwa, odlewanego w czasach bogatych baronów stali. Miał dwa fronty z szerokimi drzwiami w środku i zakratowanymi oknami po obu stronach. Na każdym piętrze drzwiom odpowiadały luki, przez które wciągane kołowrotem towary mogły być dostarczane do wnętrza, do składowania.

Wnętrze budynku było całkowicie ogołoczone. Była staroświecka winda i szerokie schody. W głębi każdego piętra były toaleta i łazienka. Poza tym powierzchnia wszystkich czterech kondygnacji była całkowicie wolna, przerywana jedynie rzędami smukłych, żeliwnych kolumn, podtrzymujących stalowe dźwigary stropów i dachu.

Weszli na górę, obejrzeni wszystkie piętra, po czym zjechali razem na dół windą. Mather zauważył ze zdziwieniem, że podłogi były świeżo wypiaszkowane, zaś całe wnętrze pomalowane podkładową farbą. Spytał Annę-Marię:

- Ty kazałaś to zrobić?

- Nie, tak tu było, gdy objęłam obiekt. W umowie jest, że w takim samym stanie mam go oddać. Co o tym myślisz?

- To stal. Konstrukcja jest w dobrym stanie. Nie ma śladów przecieków przez dach. Obciążenie jest podtrzymywane przez stalowe dźwigary i żeliwne kolumny. Instalacja hydrauliczna jest staroświecka, ale w dobrym stanie. Winda wymaga wymiany silnika. Będzie potrzeba dwuobwodowej klimatyzacji. A potem podział, malowanie i dobrze pomyślane oświetlenie. Reszta to właściwy wygląd - proste biuro, ładne toalety, funkcjonalna kuchnia i pokój służbowy.

- Jak ci się to widzi na galerię?

- Dobrze. Okolica rozbudowuje się. Jest tu nowa, napływowa ludność. Kontakt z tradycyjnymi nabywcami ze śródmieścia będziesz mogła nawiązać przez ogłoszenia i bezpośrednio pocztą. Przypuszczam, że twój ojciec mógłby ci pomóc przygotować dobrą listę klientów?

- Mógłby. I zrobi to. Jak wasze spotkanie?

- Miłe. Jemu smakowała moja kuchnia. Mnie bawiły jego opowieści. Aprobuje moją pracę dla ciebie, ale uważa, że powinnaś mieć dozorcę.

- Zaczynam myśleć, że jest mi potrzebny.

- Z jakiegoś specjalnego powodu?

- W gruncie rzeczy nie - nie mówiąc o tym, że wydaję mnóstwo pieniędzy, a nie mam wpływów, jestem więc trochę niespokojna. Eda Bayarda jest mi też teraz trochę za dużo, jak na moje potrzeby.

- Przystawia się więcej?

- Nie. Jest tylko taki... taki uczuciowy. Spędziłam wczoraj dwie godziny u niego w domu, katalogując obrazy na wystawę. Pod koniec dnia byłam całkowicie wyczerpana. Nawet tutaj mam dziwne uczucie... obecności.

- Pomimo tego sprzątań, które Bayard zrobił?

- Uważasz, że on próbuje zamalować wspomnienia?

- Ilu posiadaczy nieruchomości w Nowym Jorku proponowało ci korzyści i dodatkową pracę przy wynajmowaniu magazynu?

- Mówisz tak, jak by to było coś groźnego. Ja myślę, że to świetnie.

- Masz rację. Tak jest. Co rano zapalę mu świeczkę.

Wtedy w drzwiach pojawił się architekt z naręczem planów i głową pełną sugestii dla galerii, magazynu, salki odczytowej i mieszkania dla Maxa Mathera. Dwie godziny później siedzieli wszyscy przy obiedzie w sąsiedniej restauracji, prowadzonej przez dwie Wietnamki, które nazywały siebie siostrami Trung. Jedzenie było dobre, podane z uśmiechem. Architekt, nowo zamieszkały w SoHo, znał miejscowe plotki.

- Rozpowiadam o galerii. Wszyscy cieszą się, że pani się wprowadza - ze względu na klątwę, ciężącą nad tym miejscem, co tu mówić. Wprowadziłem się tutaj akurat przed morderstwem i zaraz ceny nieruchomości spadły. To była okropna sprawa.

- Wiemy - sucho powiedział Mather. - Chcemy o tym zapomnieć. Projektuje pan galerię a nie mauzoleum.

- Przykro mi. - Architekt zaczął przepraszać. - Już nigdy nie wspomnę o tym! A wracając do sprawy oświetlenia trasowanego...

Tak więc z trudem udało się uratować posiłek, ale Matherowi pozostało niepokojące przekonanie, że cisza jest dla Anny-Marii bardziej niebezpieczna, niż opowiadanie bez ogródek o szaleństwach jej ojca. Pamiętając jednak o swoim ukrytym interesie zdecydował, że nie stanie się zwiastunem złych wieści. Tacy posłańcy często byli zabijani za swój trud i jedyną ich zapłatą były dwa

miedziaki do zamknięcia im oczu. Dla niego najlepiej było mieć oczy otwarte, a usta zamknięte i być w przyjaźni ze wszystkimi na świecie: Loredonami, Bayardem, Harmonem Seldesem, wujkiem Tomem Cobleyem i dziewczyną w handlu szamponami.

Późnym wieczorem Max usiadł jeszcze do napisania ostrożnego listu do Claudia Palombiniego. Było to proste, bezpośrednie wyliczenie informacji w sprawie Rafaelów i rychłej publikacji, oraz prośba o pomoc w przyszłych poszukiwaniach:

...Niewątpliwie publikacja mojego odkrycia wywoła znaczne zaciekawienie zaginionymi dziełami - jeśli zaginęły rzeczywiście, a nie są ukryte w jednej z bardziej zapoznanych kolekcji, o których wiemy, że istnieją, chociaż ich katalogi nigdy nie zostały opublikowane.

Jest oczywiście możliwe, że pan o tych dziełach coś wie, czego ja nie wiem. Jeśli tak i jeśli uzna pan za możliwe udzielenie mi tych informacji, będę szczęśliwy, jeżeli będę mógł przygotować ich publikację z odpowiednim podziękowaniem.

Mam nadzieję, że Pan i pańska rodzina pozostajecie w dobrym zdrowiu. Wspomnienia o mojej drogiej Pii wciąż nawiedzają mnie w snach. Wśród hałasu nowojorskiego ruchu tęsknię do śpiewu kosów za oknem.

Nie było to wcale oszustwo. Uczucie nostalgii było niemal prawdziwe. Jego rola jako głupkowatego naukowca też była niemal autentyczna. To, czego nie mógł zdradzić, to było idące do głowy jak alkohol podniecenie nowym przedsięwzięciem i zadowolenie, które odczuwał, obserwując jak urzeczywistniają się jego plany, starając się wypatrzeć miny i pułapki w polu działania.

Dotknął dłonią zmęczonych oczu i zabrał się do ostatniego zadania tej nocy: przygotowania notatek do spotkania z Harmonem Seldesem w Belvedere.

Seldes zgotował mu wystudiowane ciepłe przyjęcie: obejście biura, sherry ze starszymi redaktorami, lunch z wydawcą i radcą prawnym wydawnictwa, który zaproponował mu dwunastomiesięczny kontrakt jako doradcy redakcyjnego, za sumę o pięćdziesiąt procent większą niż

się spodziewał. Po kawie, Seldes zaprowadził go do swojego biura na prywatną dyskusję o, jak się wyraził, „tych twoich Rafaelach”.

- Przemyslałem to wszystko dokładnie, Max. A oto, co proponuję. Twój tekst opublikujemy w kwietniowym numerze. Mamy długi cykl wydawniczy, jest to więc maksimum tego, co możemy. Nasi spece od reprodukcji wyszukają jakieś interesujące ilustracje. Jako redaktorkę twojego artykułu proponuję Leonie Danziger. Jest ona niezależną dziennikarką, jedną z najlepszych w mieście. Przeczytała twój materiał i przyszła z kilkoma świetnymi pomysłami. Pracuje u siebie w mieszkaniu, oczekuje tam ciebie dziś o trzeciej po południu. Odpowiada ci?

- Oczywiście.

- A odnośnie do informacji o Rafaelach. Proponuję, że wyłączymy to z twojego tekstu. Podamy to jako wydzieloną informację w ramach, odpowiednio przypisaną tobie, odniesioną do twojego materiału źródłowego, ale przedstawioną osobiście przeze mnie. W ten sposób będziesz miał na poparcie swojej pracy pełną aprobatę wydawcy. Czy masz do tego jakieś zastrzeżenia?

- Żadnych.

- Muszę powiedzieć, Max - Seldes stał się naraz zakłopotany - twoja pozycja jest bardzo kiepska w tej całej sprawie.

- Jestem szczęśliwym hedonistą. - Mather zbył tę uwagę wzruszeniem ramion. - Nie mam cierpliwości do akademickich zawiści.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział Seldes. - Przyjrzałem ci się oczywiście. Informacje akademickie są należyte, choć rozproszone, tło społeczne jest - powiedzmy - interesujące!

Uśmiech Mathera był rozbrajający, gdy rozłożył ręce w łacińskim geście.

- Zrzuć ciężar z serca, Harmon. Publikujesz mnie. Zatrudniasz mnie. Zastanawiasz się, czy przeczytałem cenę na wywieszce tego interesu.

- Co jest napisane na wywieszce, Max?

- Chcesz sam rozpocząć poszukiwania Rafaelów.

- Co o tym myślisz?

- Jestem zadowolony, odprężony, szczęśliwy - nie widzę żadnego problemu.

- Zaskakujesz mnie.

- Dlaczego? Ja przyszedłem do ciebie, pamiętasz? Przyszedłem do ciebie, ponieważ jesteś jednym z niewielu ludzi zdolnych zmontować i poprowadzić tak rozległe i kosztowne poszukiwania. Jestem zainteresowany, to oczywiste. Ale ja nie nadaję się do ciężkiej pracy. Jeśli będę mógł pomóc, zajmując się swoimi sprawami, pomogę - ale nie gonię za sławą ani nie gromadzę funduszy, nie szukam pieniędzy na życie. Chętnie podzielę się z tobą każdą informacją, na którą przy okazji natrafię.

- To więcej niż wspaniałomyślne z twojej strony, Max.

- Spróbuj uwierzyć, że to prawda - powiedział Mather, uśmiechając się szeroko. - Będziesz lepiej spał. Jednakże o jednym trzeba pamiętać.

- O czym?

- Gdy już opublikujesz, wszyscy na świecie razem z żonami zaczną przetrząsać strychy w poszukiwaniu Rafaelów.

- I wszyscy będą się zwracać do mnie i do Belvedere o ocenę swoich znalezisk. Gdy już więc rozumiemy się nawzajem, przygotuję cię nieco do spotkania z Danny Danziger. Ona jest naprawdę groźną młodą kobietą. Mówiono mi, że ma oryginalne upodobania seksualne. To oczywiście pogłoski, ja nigdy nie mieszam interesów z przyjemnościami.

Leonie Danziger była, żeby nie mówić za dużo, zaskakująca: wysoka, ruda, kalendarzowo koło trzydziestki, miała zielone oczy i figurę, która doprowadziłaby preRafaelitów do szaleństwa. Miała na sobie brokatowy szlafrok, rogowe okulary i wschodnie pantofle. Przywitała się zdawkowo, krótkim i chłodnym uściskiem ręki.

Wprowadziła Mathera do dużego, zagraconego poddasza z widokiem ponad wodą na wybrzeże Jersey. Posadziwszy go przy hiszpańskim stole refektarzowym, sama usadowiła się na krześle z wysokim oparciem dokładnie naprzeciwko, surowa jak matka przełożona. Jej pierwsze słowa były kategoryczne jak wyrok skazujący.

- Jest pan cholernie kiepskim pisarzem, panie Mather.

- Wiem. - Mather obdarzył ją swoim najbardziej ujmującym uśmiechem. - Jestem więc darem boskim dla redaktorów. Cokolwiek zrobię, można zrobić lepiej.

- Dużo pan publikował?



- Bardzo mało. W rzeczywistości jestem archiwistą - a z wyboru próżniakiem. Jak więc chce pani zacząć?

- Tłumacząc, jak pracuję. Po pierwsze płacą mi za pracę edytorską, a poza tym otrzymuję wierszówkę i dodatkowe wynagrodzenia za to, co piszę do publikacji. Innymi słowy, nie będę pisać za pana, ale mogę wstawiać swoje komentarze, do których jestem upoważniona i za które mi płacą. Jeżeli komentarze zniekształcą lub przekręcą pańskie intencje, pan mi to powie a ja zmienię. W takim przypadku ja prezentuję pański towar. Rozumie pan?

- Tak.

- A więc teraz pański materiał. Treść jest jasna i dokładna. Pańskie porównania ze współczesnym miejscowym życiem są interesujące. Pańskie wnioski trafne i czasem łatwe. Ale pan wszystko pisze monotennie. Ja wiem, że Belvedere jest pismem nudnym, ale nie musi być aż tak nudnym! Więc postanowiłam wybrać najlepsze i najciekawsze części z pana pracy i powiązać je bardziej niefrasobliwym komentarzem.

- Jak to się dzieje - Mather odchylił się w swoim krześle i przyglądał się jej jak lekarz - jak to się dzieje, że ja jestem niefrasobliwym facetem i piszę nudne rzeczy - a pani jest sawantką i potrafi pisać niefrasobliwe komentarze?

Po raz pierwszy w jej oczach zapaliło się światełko i uśmiech skrzywił kąciki jej warg.

- Prawo kompensacji. Żaden mężczyzna nie zasługuje na to, aby być tak przystojnym jak pan. Żadna kobieta nie zasługuje na to, aby być sawantką w tym stopniu co ja. Pan więc został wstrętnym pisarzem, zaś ja dowcipną redaktorką... Możemy zacząć pracę?

Musiał przyznać, że była dobrze przygotowana. Wzięła rękopis o około trzydziestu tysiącach słów, powyberała z niego mnóstwo zdań i połączyła je w żywą mozaikę życia w wiejskiej posiadłości w Toskanii w początkach szesnastego wieku. Zwróciła uwagę na pełne życia szczegóły - jak farbowano wełnę i jak barwiono skórę, jak zboże dostarczane z Sycylii do Pizy było wymieniane na toskańskie wina i sery, jak beczułkami tuńczyków z Trapani płacono za żelazo z Elby, jak jedwabne tkaniny i męskie przybory rymarskie wymieniano za złoty piasek z Dżerby i czarnych niewolników z wybrzeża barbarzyńców.

Potrafiła dosmakować jego suchą prozę przyprawami osobistego doświadczenia. Mather zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z niedbałości dostarczonego przez siebie opracowania, którego temat nie interesował go wcale, został jednak pobudzony do krytycznej dyskusji i żywych wspomnień. Stracił zupełnie poczucie czasu, aż wyłączyła magnetofon i oznajmiła:

- Szósta godzina. Wystarczy na dzisiaj. Mówi pan lepiej niż pisze. Być może powinniśmy wciągnąć pana do działalności odczytowej. Umieram z pragnienia. Napije się pan ze mną?

- Z rozkoszą. Bourbon z wodą, jeśli pani ma.

- Tam z boku, na półce. Może mi pan zrobić wódkę z tonikiem. Cytryna jest na misce z owocami.

W czasie, gdy przygotowywał drinki, porządkowała swoje papiery i zagadnęła go w swoim bezceremonialnym stylu.

- Intryguje mnie pan, Maxie Mather.

- Dlaczego?

- Ta postawa wesołka. Wchodzi pan, a ja rzucam panu tortem w twarz. Pan się wyciera i śmieje do mnie. Musi pan przyznać, że praca napisana jest byle jak. Temat jest tak bezbarwny, że nie mogę sobie wyobrazić, jak panu się chciało zawracać sobie tym głowę. Biorę pana do roboty. Nie do pomyslenia! Inny człowiek: poważny naukowiec w poszukiwaniu doskonałości. Krytyczny umysł, stosujący się do klasycznych kategorii. Jaki więc pan jest w rzeczywistości?

- Jestem taki, na jakiego wyglądam.

- Nie wierzę w to.

- Chce pani z cytryną? - plasterek czy wycisnąć?

- Poproszę o plasterek. Jest pan homo?

Pytanie go zaskoczyło, ale uśmiechnął się i odpowiedział:

- Nie, a pani?

- Tak, przeważnie. Harmon nie mówił panu?

- Nie było żadnego powodu, żeby mówił.

- On nie potrzebuje powodu. On jest intrygantem z natury. Podał drinki i wzniosł swoją szklankę.

- Jednakże powiedział mi, że jest pani pierwszorzędną redaktorką.

- Mogę się zrewanżować komplementem i powiedzieć mu, że jest pan dobrze współdziałającym pisarzem.

- Świetnie. Potrzebuje on podtrzymania.

- Intryguje go pan. Nie może pojąć, dlaczego pan nie chce ubiegać się o kredyt na informacje o Rafaelach - mogą okazać się bardzo ważne.

- Nie dla mnie. Nie szykuję się do kariery akademickiej. Jestem naukowcem, gustującym w łatwym życiu. Seldes potrzebuje zapachu wspierających pieniędzy, autorytetu wielkich instytucji, potęgi wielkich fundacji. Jest tam mile widziany.

- Nic dziwnego, że nazwał pana naukowym cyganem.

- Tak powiedział teraz? Cóż, jest to dowcipna etykieta, ale jest bezpośrednio zwędzona z Matthew Arnolda.

- Dodał swoje własne upiększenie.

- O!

- Naukowy cygan o żelaznym kutasie, gotowym stanąć na dźwięk pszyknięcia damskich palców.

- Jak to miło z jego strony, że tak powiedział.

- Pod warunkiem, że - jak powiedział - ona jest wdową lub rozwódką i ma sześciocyfrowy dochód.

- Z niego jest złośliwy sukąsyn, czyż nie?

- Taką ma drań naturę. Dodał, że nie słyszał narzekań na pańskie osiągnięcia. Wszystkie damy wydają się bardzo lojalne, wspominając pana. Po krótkiej znajomości mogą zrozumieć dlaczego.

Mathera ubodło to całkiem oczywiste prowokowanie.

- Czy to też część usług wydawniczych?

- Za to mi nie płacą - to moja prywatna zabawa w poznawanie się. Lubię znać moich autorów - czy są żonaci? Jaki jest stan ich zdrowia, nastrój? Wszystkie takie rzeczy.

- A więc dobrze - powiedział dla skwitowania Mather. - Sprawdźmy, czy zdam egzamin. Żonaty? Nie. Aktualne układy? Brak. Choroby zakaźne? Brak. A pani?

- To samo. Meldunek negatywny. Proszę - dotknęła chłodną dłonią jego policzka - wstrzymajmy już tę grę. Nie wydaje mi się, żeby pana bawiła.

- To złośliwa gra. - Mather zły przerwał obcesowo i odbił. - To obliczone z zimną krwią. Gra pani zbyt brutalnie, panno Danziger. Nie gustuję w torcie na twarzy. Nigdy nie odpowiadały mi sadystyczne widowiska sportowe - z Harmonem Seldesem na widowni w szczególności. Dziękuję więc pani za drinka i muszę już iść. Proszę zadzwonić, gdy będzie pani gotowa do następnej sesji roboczej. Ta była bardzo miła. Z pewnością powiem Seldesowi o pani fachowości. Dobranoc.

Był już w pół drogi do drzwi, gdy odzyskała głos.

- Niech pan zaczeka, proszę.

Zawahał się przez chwilę i obrócił, aby się z nią zmierzyć.

- Na co mam czekać?

- Przepraszam, źle się zachowałam.

- Proszę nie przepraszać, tylko to wytłumaczyć. O sobie, Seldesie, wszystko.

- Niech więc pan usiądzie. Muszę się jeszcze napić. A pan?

- Dziękuję.

Odczekała chwilę nad szklanką, przysiadła na brzegu stołu, tak że patrzyła na niego z góry, i rozpoczęła przerywane opowiadanie.

- Przeszliśmy długą drogę z Harmonem Seldesem. Byłam jego młodszą asystentką w Behedere. Gdy odkrył, że umiem pisać, używał mnie do szkicowania swoich przemówień i redagowania artykułów do publikacji. Dobrze nam było, ponieważ on nie interesuje się serio kobietami, a ja przeważnie wolę sposób lesbijski. Zatrudnia mnie nadal, bo dostaje najlepszą w mieście pracę. I oto pan pojawił się na scenie. Pokazał mi pański materiał. Uważałam to za nudne, ale zgodziłam się wziąć. Dyskutowaliśmy. Powiedział mi jak pan do niego dotarł z informacjami o Rafaelach. Z początku myślał, że pan przygotowuje skomplikowane oszustwo z nadużyciem zaufania, ponieważ, jak już mówiłam, uważał że to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Nie może pan mieć o to do niego pretensji. On jest za długo w zawodzie, widział już każde hultajstwo. W każdym razie sprawdził pana.

- No proszę, a jak to zrobił?

- Wysłał depesze do Palombinich i do Biblioteki Narodowej we Florencji. Podał, że ubiega się pan o pracę w Belvedere i powołał się na ich referencje.

- A to spryciarz - powiedział cicho Mather. - Sprytny, sprytny Harmon.

- Nie pokazywał mi odpowiedzi, ale powiedział, że otrzymał pan pierwszorzędną referencje. Nadal nie wie, jak pan na nie zarobił, ale to już inna sprawa. Potem zaczął dokopywać się do pańskiego pochodzenia społecznego, poczynając od Princeton. Widocznie popisał się pan jako kochanek z wyrachowania dojrzałych dam. Stąd naukowy cygan, żelazny kutas i to wszystko... Co nas doprowadza do mnie.

- Doprowadza - powiedział stanowczo Mather. - Z pewnością doprowadza.

- O Boże, to nie jest łatwe.

- I nie mogło być. Wniosła pani do domu gówna, to musi pani sprzątnąć. Niech pani mówi dalej.

- Jestem wydawcą. Mam do czynienia z wszelkiego rodzaju pisarzami - mężczyznami, kobietami, geniuszami, idiotami, socjopatami ... każdym, kogo by pan wymienił! Musiałam więc wypracować sobie technikę. Biorę inicjatywę od samego początku. Próbuję ich najpierw wzburzyć a potem uspokoić. To właśnie robiłam w stosunku do pana. A pan mnie tymczasem rozbroił. Przepraszam. Potrzeba mi jeszcze jednego drinka.

- Proszę pozostać na miejscu, podam pani. Jeszcze nie skończyłem. Jest jeszcze coś z Seldesa, czego nie rozumiem. Wpisy w księgach, dotyczące Rafaela, mają czterysta osiemdziesiąt lat. Niech pani pomyśli, jak wiele dzieł sztuki zaginęło, zostało ukradzionych lub zniszczonych w ciągu tego czasu. To, co się z nimi stało, jest fascynującą spekulacją, ale dlaczego taki facet jak Seldes traci przez to cały swój spokój? Pisze swoje kawałki... jest zalew korespondencji, kilka fałszywych śladów i - basta! - jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Tu właśnie pan się myli, panie Mather. Seldes ma w swoich kartotekach zamknięte mnóstwo sekretów - a jeszcze więcej w swojej głowie. Jest konsultantem wielkich kolekcji w Europie i Ameryce Południowej. Mógłby panu powiedzieć - ale nie powie - które pozycje w dobrze znanych kolekcjach są fałszerstwami. Może więc wykorzystywać informacje o Rafaelach w sposób, o jakim się panu nie śni. Najgorsze, co mu się może przydarzyć, to ambitny młodzień, wążący na jego śladach.

- Już lepiej go postraszyć za pomocą jędzowatej redaktorki.

- Naprawdę drań z pana, panie Mather.

- Wiem. Pani też wie, ale jak donosi Harmon Seldes, moje kobiety zachowują o mnie dobre wspomnienia. Z pewną praktyką, nawet pani i mnie uda się być dla siebie wzajemnie uprzejmymi. Dziękuję za współpracę. Do widzenia.

Było to wyjście nonszalanckie i niezgrabne, i zanim jeszcze dotarł do swojego mieszkania było mu wstyd. W czasie gdy brał tusz i przebierał się, dobierał gesty i słowa przeprosin.

Nagle przypomniał sobie błyskotkę, na którą natrafił jednego z poranków po śmierci Pii. Szedł bez celu przez Ponte Vecchio, całkiem oderwany od rzeczywistości. Na wystawie złotnika, specjalizującego się w kopiach, zobaczył mały wisiołek z kameą, wyobrażającą dwie kobiety w uścisku. Wszedł do sklepu, targował się przez pół godziny i kupił wisiołek za pięćdziesiąt dolarów. Dopiero po wyjściu z pakunkiem w ręce przypomniał sobie, że Pia nie żyje i że przedmiot ten nie ma już dla niego żadnego znaczenia. Będzie pasował do Leonii Danziger z jej rudymi włosami i do jej wyglądu „błogosławionej panienki”.

Opakował prezent w japońskim stylu, używając jednej ze swoich jedwabnych chusteczek i wysłał do niej przez specjalnego posłańca. Dołączył list:

Z przeprosinami za złe maniery klienta.

Uważa się, że naukowcy są również gentlemanami. Cieszę się na następną sesję roboczą.

M.M.



## ROZDZIAŁ 5

Tego wieczora Anna-Maria była zaproszona na obiad do Eda Bayarda. Nie mogła odmówić, bo musiała przedyskutować z nim ceny obrazów jego żony i ogłoszeń, potrzebnych do skutecznego wprowadzenia ich na rynek.

Był to pierwszy duży egzamin jej zręczności i dealerskiego oka. Jeżeli wyceni za nisko, straci pieniądze i szacunek klientów, którzy mieli już spore kolekcje. Jeżeli w nowej podmiejskiej galerii wyceni zbyt wysoko, ryzykuje sromotną klęskę. Problem był złożony, ponieważ miała do czynienia z wystawą pośmiertną artystki, która sprzedawała dotychczas jedynie prywatnie, za pośrednictwem wyspecjalizowanego dealera.

Rozmawiała już z Lebrunem, który z początku był powściągliwy, a nawet nieco wrogi. Był to niski, baryłkowaty Francuz o śnieżno białych włosach, małych wyrazistych rękach i pyszałkowatym chodzie starego baletmistrza. Powiedział, że nie rozumie, dlaczego pan Bayard w sprawie sprzedaży obrazów swojej żony nie zdecydował się zwrócić bezpośrednio do niego. Że opiekował się jej talentem, często w trudnych okolicznościach. Że myślałby... ale masz tobie! Może nie. Uznaje oczywiście, że panna Loredon w tej sprawie niczemu nie zawiniła. Jest młoda, na początku kariery. Nie zdaje sobie nawet sprawy z subtelnych grzeczności zawodowych, które są potrzebne do zawierania przyjaznych sojuszy. Jest jednakże na tyle ujęty jej szczerością i urokiem, że udzieli jej drobnej rady.

Zmarła Madeleine Bayard niewątpliwie była dobrą malarką o własnej, specyficznej wizji. Często namawiał ją do wystawiania, ale zawsze odmawiała. Jej mąż tyranizował ją niewątpliwie, zazdrosny o talent żony, bojąc się ją stracić. Lebrun przedstawiał więc jej prace niektórym swoim klientom, interesującym się nowymi, amerykańskimi talentami. Oni mogli być zainteresowani powiększeniem swoich zbiorów dzieł Bayard. Chętnie mógłby im je zaproponować, za odpowiednią prowizją. Ceny? Gdy Madeleine już nie żyje - dwa tysiące, pięć, maksimum dziesięć. Oczywiście, przy dobrze zainscenizowanym wernisażu, dobrej reklamie i przyjaznej prasie, można by ten poziom podwyższyć.

Panna Loredon mogła by rozważyć wystawienie jednego obrazu na sprzedaż tuż przed ogłoszeniem o wystawie, jej ojciec, lub któryś z jego kolegów mógłby to zapowiedzieć na sali aukcyjnej. Czasami jest to skuteczne, a czasami nie. A propos, jakie zamiary ma pan Bayard? Rozprzedać całą kolekcję, czy zachować niektóre dzieła? Czy byłoby możliwe zaaranżowanie przeglądu dla niektórych klientów Lebruna? Niektórzy doceniają wartość pewnego uprzywilejowania narodowego...

Anna-Maria bardzo dobrze rozumiała. Nie rozumiała jednak, ani nie prosiła o dokładne wytłumaczenie tyrańskiego charakteru Bayarda, ani jego zazdrości o talent żony. Zadzwoiła do ojca i powtórzyła sugestie małego Francuza o przedstawianiu prac Bayard na aukcjach. Była zaskoczona jego gwałtownym sprzeciwem.

- W żadnym razie, za nic na świecie! To niebezpieczne szaleństwo. Wystawi cię na wszelkie plotki środowiska. Graj dziewczę o złoty pierścionek! Jeden wygrywa, drugi przegrywa! Ceny? Wciągnij w to twojego klienta. Niech się wypowie, ile by chciał. Bayard ma swój własny dostęp do informacji rynkowych. Powodzenia!

Bayard wypowiedziałby się bardzo chętnie, ale jest zajęty cały dzień w biurze, co więc może być lepszym pretekstem do cichego obiadu a deux a potem spaceru wśród obrazów? Tym razem nie sposób było odmówić, więc punktualnie o ósmej znalazła się w jego mieszkaniu.

Jedli w wielkiej jadalni, otoczeni wszystkimi obrazami Madeleine. Tym razem nie było dręczącego nastroju. Bayard był odprężony. Jedzenie było przygotowane i podane bez zarzutu przez parę Filipińczyków. Wina były doskonałe. Rozmowa była banalna, o wszystkim. Miał zapas niefrasobliwych historyjek o świecie sztuki i jego co bardziej ekscentrycznych ludziach. Nakłaniał Annę-Marię do opowiadania o swoich wspomnieniach z Włoch. Było tak do podania kawy, kiedy zabrali się do wyceny obrazów. Bayard rozpoczął od stwierdzenia wprost:

- Zdecydowałem całkowicie wyprzedać prace Madeleine ... to jest ostatni akt oczyszczenia.

- To oczywiście pańskie prawo. - Anna-Maria była ostrożnie neutralna. - Jednakże z punktu widzenia inwestowania, być może popełnia pan błąd. Jeżeli stworzę dobry rynek na prace Madeleine, może pan stracić dużo pieniędzy, nie pozostawiając sobie rezerw.

Bayard uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Ile płócien mamy razem?

- Pięćdziesiąt pięć. Plus oczywiście około siedemdziesięciu szkiców i studiów różnych rozmiarów.

- Wystawmy więc dwadzieścia większych sztuk i z tuzin mniejszych, które mogą zainteresować mniej zasobnych nabywców. Resztę zatrzymamy i będziemy wprowadzać na rynek potem.

Opowiedziała mu o swojej wizycie u Lebruna. Skinął głową z aprobatą.



- Koniecznie trzeba umożliwić przegląd jego nabywcom. Ma grono wiernych, którzy wierzą jego radom.

- Pytałam również mojego ojca, czy można by spróbować sprzedać jeden na aukcji. Był bardzo temu przeciwny.

- Ja też jestem. - Bayard stał się naraz napięty. - Pani stosunki z ojcem to pani sprawa. Ale pani jest moją wyłączną reprezentantką. Nie będę handlował z nikim innym. Rozumie to pani?

- Oczywiście. - Była zaskoczona jego gwałtownością. - Ale jestem nowicjuszka. Potrzebuję rad. Szukam ich, gdzie mogę, a mój ojciec jest jednym z najlepszych w branży.

- Ja sam nie jestem najgorszy. - Bayard uśmiechnął się i pogładził ją po ręce. Kupiłem wiele obrazów na własny rachunek. Decydujemy więc razem, dobrze? Jeśli się pomylimy, to trudno. Odbijemy to sobie następnym razem. Niech więc pani weźmie swój notatnik i obejdzimy całą kolekcję. Najpierw dokonamy indywidualnych szacunków osobno, a potem je porównamy. Proszę pamiętać, że ta pierwsza wystawa jest specjalnie obciążona. Musi pani zamortyzować część kosztów przebudowy, koszt reklamy będzie niemal dwukrotnie większy niż normalnie... a czego pani nie sprzeda, będzie tylko zajmować powierzchnię magazynową. Który więc obraz uważa pani za najlepszy w tym pokoju?

- Nigdy nie miałam wątpliwości. Chcę zrobić z „Żebraczki” główną atrakcję wystawy.

- Świetnie. Ile?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Jest tyle wart?

- Powinien przynieść znacznie więcej

- Proszę więc napisać siedemdziesiąt pięć. Jeżeli nie pójdzie, nakleimy mu czerwoną etykietkę, a w rzeczywistości wykupimy do magazynu... Zaczęliśmy więc od siedemdziesięciu pięciu. Jaka będzie nasza najniższa cena za wykończony obraz?

- Nie może być mniej, niż dwadzieścia pięć.

- A szkice i studia?

- Poczynając od piętnastu, a kończąc na dwóch.

- Dobrze. Ja zrobię swoją listę, a pani swoją. Potem porównamy liczby.

Wyzwanie ją podniecało. Jej osąd zawodowy miał być porównany z wiedzą adwokata, doradcy amerykańskich dealerów, który sam od ponad ćwierćwiecza kupuje obrazy. Wiedziała również, że zabiegał o nią - już nie w niezręczny i niepewny sposób, jak przy ich pierwszym spotkaniu, ale spokojnie, wprawnie, wciągając ją krok po kroku w zaczarowane koło swojego prywatnego życia.

Decyzja o sprzedaży wszystkich obrazów Madeleine była przemyślanym elementem teatralnego przedstawienia, mającego pokazać jej, jak pozbywa się Madeleine z pamięci i powierza jej obrazy, wraz z czterdziestu procentami zysku do kieszeni, pod opiekę Anny-Marii Loredon.

Gdy poruszali się wokół pokoju w przeciwnych kierunkach, czuła na sobie jego oczy. Widziała kpinę w jego uśmiechu, ale odczytywała ją jako złośliwą kpinę niedoszłego kochanka.

Porównali notatki i nagle poczuła mały triumf, gdy okazało się, że jej oceny były tylko o pięć procent niższe od Bayarda i że ich wyczaczenie względnej wartości obrazów pokrywało się niemal dokładnie.

- Ponieważ pan jest sprzedającym - powiedziała do niego z uśmiechem - przyjmujemy pańskie wyceny.

- Policzmy trochę. - Bayard był miły, ale rzeczowy. - Mamy razem sto trzydzieści pozycji, z których jedną trzecią dajemy na wystawę. Ich wartość nominalna wynosi milion dwieście tysięcy dolarów. Rozsądnie szacując, sprzedamy powiedzmy połowę. To jest sześćset tysięcy. Pani brutto wynosi ćwierć miliona. Na ile ocenia pani reklamę i publicity? Proszę pamiętać, oczywiście, że musi pani zapłacić rachunki, nawet jeśli nie zostanie sprzedany ani jeden obraz.

- Przewidziałam pięćdziesiąt tysięcy - powiedziała - i na myśl o tym skóra mi cierpnie. Rozpaczliwie staram się wymyślić, jak znaleźć kupujących. Max Mather obiecał spróbować umieścić notatkę w Belvedere, jest tam teraz konsultantem redakcji. Mój ojciec dał mi kilka cennych list do adresowania bezpośrednio przez pocztę. Wally Brent obiecał mi sfotografować wszystkie obrazy za minimalną opłatą, łącznie z kosztem materiałów... ale jest coś, o co chciałabym pana poprosić. Czy mógłby on tu pracować? Zabraknie czasu, gdybyśmy czekali z tym, aż pracownia będzie gotowa.

- Oczywiście. A jeśli chodzi o kupujących, mam swoje kontakty z prasą i periodykami. Myślę o wydaniu tutaj wieczornego przyjęcia, zanim obrazy zostaną stąd zabrane. Czy będzie pani chciała być na nim gospodynią razem ze mną?

I to był mistrzowski ruch - świetnie przygotowany, nieunikniony jak śmierć i podatki. Zastanowiła się chwilę i zgodziła.

- Pod warunkiem, który postawiłam na początku całego przedsięwzięcia. Muszę być uważana za niezależną. Żadne z nas nie może dawać powodów do plotek, czy pogłosek o protekcji lub romantycznym zainteresowaniu pomiędzy panem i mną.

- Nic takiego nie będzie miało miejsca, obiecuję pani.

- Będzie mi więc miło zrobić tak, jak pan prosił.

- Świetnie. Będzie to niecodzienne wydarzenie. Razem opracujemy listę gości - i proszę pamiętać, goście zobaczą obrazy tak, jak je pani zobaczyła po raz pierwszy. Pamiętam, jak silne na pani wywarły wrażenie.

- Nawet dzisiaj odczuwam ten sam dreszcz emocji. Widać tu oczywiście pański osobisty udział w ich rozplanowaniu. Mam nadzieję, że uda się osiągnąć to samo w galerii - a przynajmniej nie stracić zbyt dużo... co mi przywodzi na myśl kilka innych spraw. Katalog jest w przygotowaniu. „Artgrave” zaproponowała znośną cenę za wykonanie. Czego jeszcze potrzebuję, to materiał biograficzny i osobisty o samej Madeleine. Jeśli mamy przyćmić historię morderstwa, muszę mieć dla prasy inny materiał. Również osobowość Madeleine tak silnie odbija się w jej pracach, że zarówno kupujący, jak i publiczność będą chcieli jak najwięcej o niej wiedzieć.

Bayard zmarszczył się i poruszył niespokojnie w swoim fotelu. Dolał sobie wina i wypił jednym łykiem.

- To, co chciałaby prasa i to, co ja chciałbym - to dwie różne rzeczy. Anna-Maria próbowała go uspokoić.

- Niech pan posłucha. Wiem, że to jest prawdopodobnie dla pana najbardziej bolesna strona całego przedsięwzięcia. Jeśli czuje się pan na siłach mówić to mnie, moglibyśmy pracować tu spokojnie z magnetofonem. Jeśli jest to za trudne, są może notatki, zapiski, może mogłabym użyć materiału już opublikowanego? Rozumie pan chyba mój problem.

- Rozumiem. - Bayard odzyskiwał opanowanie. - Wstyd mi mojej delikatności, proszę mi wierzyć, ale nie umiałbym sprostać sesji pytań i odpowiedzi - nawet z panią, moja droga. To, co by mi się najbardziej podobało, to krótką, zwięzłą biografią. Przygotuję ją dla pani. Według mnie, prace Madeleine powiedzą wszystko, co powinno być o niej wiadomo. Proszę mi wierzyć, dobrze?

- Jak pan sobie tyczy, oczywiście. Potrzebuję jednak odpowiedzi na jedno pytanie, ponieważ prasa będzie mnie o to pytać. Dlaczego Madeleine nie wystawiała za życia?

- Nigdy nie wierzyła na tyle w swój talent.

- A pan, jej mąż?

- Nigdy nie umiałem jej tego wyperswadować.

- To bardzo smutne.

- Bardziej smutne, niż pani wie. - W głosie Bayard a był mróz. - Od dawna nie byliśmy szczęśliwi. Byliśmy oboje pozbawieni szansy, aby... odbudować nasze stosunki. Ale to już wszystko woda za tamą. Teraz mam nadzieję, że zacznę wszystko od początku.

Był to teren niebezpieczny. Anna-Maria nie chciała zatrzymywać się na nim, a melancholijny Bayard to już było dla niej za dużo. Wstała.

- Zostawmy więc już to. Dziękuję za wspaniały obiad i pomoc przy wycenie. Dam do druku biografię dokładnie w takiej formie, w jakiej pan mi ją prześle. Dam panu katalog do zatwierdzenia - i musimy jeszcze uzgodnić termin dla fotografa. Przyjdę z nim oczywiście.

- Jest tu pani zawsze mile widziana, moja droga. Wie pani o tym.

- Dziękuję panu, Edmundzie. Czy mógłby pan wezwać taksówkę?

- Miguel panią odwiezie. - Bayard odpowiedział jej na swój dawny, władczy sposób. - Nie cierpię długich pożegnań. Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy nie będę musiał ich wypowiadać.

Wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Nie opierała się, ale była chłodna i beznamietna. Bayard nic nie powiedział. Zadzwoił na Miguela, który zjechał z nią windą i odwiózł w milczeniu do domu.

Już w swoim mieszkaniu, przeleżała godzinę w gorącej kąpieli, usiłując wymoczyć zmęczenie mięśni. Nie mogła się jednak otrząsnąć z uporczywego wrażenia, że kłamał albo Lebrun, albo Bayard. Lebrun był małym, zręcznym człowiekiem, dotkniętym, iż nie jemu powierzono kontynuowanie sprzedaży dzieł Madeleine. Z drugiej strony, był entuzjastą, któremu podobały się obrazy Madeleine Bayard, doceniał jej talent i niewątpliwie cieszył się jej zaufaniem.

Jej mąż był złamanym człowiekiem, dręczonym poczuciem winy, skłaniającym się raczej do wymazania swojej żony z pamięci, niż do pielęgnowania wspomnień o niej. I w tym właśnie była cała trudność: powoli i ostrożnie wprowadzał Annę-Marię Loredon na miejsce Madeleine. Pierwsze, czysto handlowe kontakty zamieniały się teraz w coś innego - opiekę, osobistą odpowiedzialność na śmierć i życie.

Przy całej swojej delikatności uczuć, Bayard był bardzo wyrachowanym reżyserem ludzi i sytuacji, a wewnątrz tlił się w nim jakby kowalski ogień, stłumiony, ale czekający tylko na pierwszy podmuch miecha, aby buchnąć płomieniem. Miała lekkie odgniecenia od uścisku jego rąk. Wargi miała pokłute od zarostu wokół jego ust. Pomimo tego, nie mogła przysiąc, że go nie lubiła i że odrzuci go na zawsze.

Max Mather postanowił spędzić ten wieczór w domu, oceniając dotychczasowe osiągnięcia i układając strategię na przyszłość. Najważniejsze z wszystkiego było to, że „zaistniał”. Miał już wyraźnie zdefiniowaną tożsamość. Miał swoje tło. Miał kapitał i dochód. Miał równych sobie przyjaciół, mogących za niego poręczyć. Miał prawnych przedstawicieli po obu stronach Atlantyku. Zachowywał się z właściwą ostrożnością jako nowy w mieście. Był wolny od uczuciowego zaangażowania, było to nowe i chwilami denerwujące poczucie, gdy zaczynał rozumieć, jak szybko zachłanność i ambicja mogą stłumić seksualne namiętności. Zostawiały tak mało czasu na rozmowy w łóżku, wpływały na zmniejszenie potrzeby pielęgnowania nowego towarzystwa.

Co do przyszłości, priorytety były jasne. Najpierw musi potwierdzić autentyczność Rafaelów. Liczył, że publikacja w Belvedere i poszukiwania Harmona Seldesa spowodują wypłynięcie kopii, jeżeli jakiegokolwiek istnieją. Głównym celem sprowadzenia Tolentina do Nowego Jorku było zbadanie przez niego autentyczności dzieł i wydanie orzeczenia eksperta. Ale przedtem - na długo przedtem - musi ugruntować swoją obecność w Europie, tak jak to zrobił w Nowym Jorku. Musi znaleźć przyjaciół, sojuszników, znajomości na różnoplemiennych terenach. Właśnie opracowywał listę szwajcarskich dealerów i licytatorów, gdy zadzwonił telefon.

- Pan Mather? Danny Danziger. Dostałam pański prezent i list. Telefonuję, aby panu podziękować. Oba były niepotrzebne, to ja zachowałam się niewłaściwie. Kamea jest piękna, ale nie sądzę doprawdy, abym mogła ją zatrzymać.

- Proszę, sprawiłaby mi pani przykrość. To miła drobnostka - współczesna kopia starożytnego oryginału z florenckiego muzeum, występująca pod nazwą „dwie kurtyzany”.

- Pan kolekcjonuje takie rzeczy?

- Nie. Kupuję egzotyczne błyskotki jak kawka. Będzie mi miło, jeśli pani to zatrzyma. Niech to przypieczętuje rozejm między nami. Będziemy się jeszcze spotykać wielokrotnie. Jestem przekonany, że nasze stosunki zawodowe pozostaną niezłamane.

- Kimkolwiek pan jest, panie Mather, niektóre kobiety nauczyły pana manier naprawdę pełnych uroku. Dziękuję jeszcze raz i dobranoc.

Wrócił do swojego zajęcia zadowolony i ubawiony. To było jeszcze jedno małe zwycięstwo - potencjalny nieprzyjaciel został zamieniony w sprzymierzeńca. Na samotnej drodze, jaką sobie obrał, spotkanie nawet obcego przechodnia mogło być pomyślne. Teraz miał kontakt z zespołem współpracowników i informatorów Harmona Seldesa.

Wkrótce potem odźwierny zadzwonił z przedsionka. Kierowca z Carey Cadillac miał pilną przesyłkę, która musiała być doręczona do rąk własnych. Składała się z listu i zamkniętej teczki, przesłanych przez pana Hugh'a Loredona, który odleciał dziś wieczór z lotniska Kennedy'ego do Europy. List był krótki:

Drogi Max,

Kombinacja zamka jest 6543. Przeczytaj to, co znajdziesz w środku, a potem pomyśl, ile z tego powinna wiedzieć Anna-Maria. Będziesz musiał jej to powiedzieć, ja nie mogę. Skontaktuję się z Tobą w Europie. To dla mnie ważna wyprawa.

Wszystkiego dobrego,

Hugh.

Pierwszą jego reakcją była wściekłość na Loredona. Facet był nędznym oszustem, uciekającym od najbardziej podstawowych obowiązków. Czym jeszcze mógł być, Mather nie dowiedział się... w każdym razie jeszcze nie. Włożył list z powrotem do koperty i umieścił w swoim kalendarzu. Zamknął teczkę w szafie w przedpokoju, uprzątnął papiery i zaczął szykować się do łóżka. Mył zęby, gdy zadzwonił znowu telefon. Na linii była Anna-Maria. Była wystraszona i strapiona.

- Max, coś dziwnego się dzieje. Przed godziną wróciłam z obiadu u Bayarda. Jego kierowca odwiózł mnie do domu. Chwilę później, wynajęty zielony ford wjechał w ulicę i zaparkował prawie przed moim mieszkaniem. Stoi tam do tej chwili z kierowcą, siedzącym w samochodzie. Ten sam samochód był tutaj w inne wieczory, gdy później wracałam do domu. Dzisiaj boję się specjalnie.

- Czemu dzisiaj?

- Jestem przerażona. Ed Bayard naprawdę się przystawia - robi się poważny.

- Na miłość boską, kochanie! Jesteś dużą dziewczynką. Wiesz przecież, co się robi, żeby nie zmoknąć. Co u diabła robiłaś u niego w domu?

- Szacowaliśmy obrazy. On pracuje w ciągu dnia, trzeba więc to było zrobić wieczór. Nie mogłam odmówić. Nie chciałam ci przeszkadzać, ale potrzebowałam rozmowy z kimś. Myślisz, że powinnam zadzwonić na policję?

- Na razie nie. Siedź spokojnie. Włącz nocny program w telewizji - będę za kilka minut. Zadzwonię dwa razy podwójnie. Nikogo nie wpuszczaj.

- Max, jesteś aniołem.

- Jestem zmęczony i mną trzęsie. Bądź miła, gdy przyjdę. Do zobaczenia!

Dziesięć minut później był na jej ulicy, biegnąc truchtem w dresie od strony Madison Avenue. Zidentyfikował forda i pobiegł dalej w stronę Parku, a potem zawrócił i zapukał w szybę. Mężczyzna skurczony za kierownicą wyprostował się i zaskoczony wpatrywał się w niego wrogo. Gdy Mather pokazał gestem, aby otworzył okno, opuścił szybę o centymetr i zapytał:

- Czego pan chce?

Mather uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Pan jest człowiekiem pana Bayarda?

- Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi.

- W takim razie przepraszam, że pana niepokoję. Mam wiadomość dla detektywa, zatrudnionego przez pana Edmunda Bayarda, adwokata. Powiedziano mi, że zajęty jest śledztwem na tej ulicy i ma zielonego forda.

- To pan go znalazł. Co to za wiadomość?

- Powiedziano mi, że mam najpierw poprosić o kartę. Kierowca pogrzebał w kieszeni i wyciągnął niechlujną kartę. Mather studiował ją przez chwilę i oddał z powrotem.

- Dziękuję. Wiadomość brzmi: ma pan teraz przerwać obserwację i zgłosić się jutro rano do biura pana Bayarda, po nowe instrukcje.

- Dla mnie świetnie, mogę wcześniej skończyć.

Mather odczekał aż samochód ruszył i skierował się w stronę Madison. Przeszedł potem jezdnię i nacisnął w umówiony sposób dzwonek u drzwi Anny-Marii. Nie tracąc czasu na wstęp, zażądał od razu pełnego sprawozdania z jej wieczoru u Bayarda.

Opowiedziała mu o swojej wizycie u Lebruna i jego twierdzeniu, że Bayard uniemożliwił Madeleine wystawianie swoich prac. Przedstawiła mu następnie wersję Bayarda, że nie udało mu się nigdy zaszcześcić żonie dość wiary w siebie.

- A cały czas, Max, było tak, jakby przedstawiał mnie na szachownicy jak pionka, zgodnie ze swoim planem gry. Objął mnie i pocałował na dobranoc. Byłam jak blok lodu, ale nie przeszkadzało mu to. Panował nad sobą. Puścił mnie bez słowa. Tak mnie to wystraszyło, że musiałam do ciebie zadzwonić. A wreszcie zorientowałam się, że ma mnie pod obserwacją jak... przestępcę albo niewierną żonę. Nie mogę się z tym pogodzić.

- Nie musisz się z tym godzić.

- A co mogę zrobić? Nie znasz go, Max. To przytłaczająca osobowość. On panuje nad każdą sytuacją. Był taki oczywiście w stosunku do swojej żony. To właśnie wyrażała w swoich obrazach - poczucie usidlenia, tęsknotę za uwolnieniem.

- Powinnaś się od niego uwolnić.

- Wiesz dobrze, że nie mogę, Max. Podpisaliśmy kontrakty. Wszystkie moje plany oparte są na tym przedsięwzięciu.

- O to właśnie chodzi. Jesteś zła i skrupowana, bo twoja prywatność została naruszona i pogwałcona. Napiszesz więc to do niego. Powiesz mu, że na przyszłość chcesz utrzymywać swoje z nim stosunki w sposób czysto formalny. W skrócie, powinnaś wznieść nieprzekraczalne bariery. Napisz list teraz, dopóki tu jestem. Wyślę go do biura Bayarda od razu jutro rano. A ja tymczasem zaraz do sukinsyna zatelefonuję. Daj mi jego domowy numer.

Wcisnął cyfry w miarę jak mu dyktowała i czekał, aż usłyszał chrapliwy głos Bayarda.

- Kto to u diabła? Nie wie pan, która godzina?

- Tu Max Mather. Jestem w mieszkaniu panny Loredon. Wynajął pan człowieka do jej śledzenia. Nazywa się Lou Kernsak, jest z Agencji Śledczej KNK. Parkuje naprzeciwko jej mieszkania od kilku nocy. Ona jest zaniepokojona i wystraszona. Zatelefonowała po mnie. Rozmawiałem z Kernsakiem, powiedziałem mu, że mam od pana wiadomość. Podał mi swoje nazwisko i kartę.



Odesłałem go. Przyjdzie do pana rano po nowe instrukcje. Zwolni go pan, panie Bayard, albo będzie pan miał duże kłopoty.

- Trudno mi wyrazić, jak mi przykro za ten incydent, ale jest bardzo proste jego wytłumaczenie...

- Proszę je sobie zatrzymać. Proszę tylko posłuchać. Jak panna Loredon zadecyduje postąpić odnośnie do tego incydentu, to jej prywatna sprawa. Moją radą jest zerwać z panem wszelkie stosunki i zaskarżyć pana o wszystko, co tylko da się wynaleźć. A żeby zakończyć ze sprawą dzisiejszej nocnej obserwacji, przybyłem tu o godzinie 11.20 na wezwanie panny Loredon i spędzę tu noc dla upewnienia się, że nie będzie więcej niepokojona. Dobranoc panie Bayard.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Anny-Marii.

- Masz w domu coś do picia? Wydaje mi się, że oboje potrzebujemy po jednym.

Przy drinku zrelacjonował jej swoją rozmowę z Hughem Loredonem. Pokręciła smutno głową.

- Nie jestem zaskoczona. Mój ojciec przez całe życie uganiał się za kobietami, doprowadziło to do zerwania jego małżeństwa z moją matką... Ale czegoś w tym nie rozumiem, dlaczego nie mógł mi tego powiedzieć. Nigdy nie był powściągliwy w sprawie innych swoich przygód - z których zresztą jedna dotyczyła mojej przyjaciółki.

- Ale tym razem - stanowczo powiedział Mather - chodzi o morderstwo i zazdrosnego męża, który ma wiele do powiedzenia w świecie sztuki. Oprócz tego, Hugh był przesłuchiwany przez policję w sprawie tego morderstwa. To już całkiem skomplikowane zwierzenia, jak dla własnej córki. Poza tym, po wydarzeniach dzisiejszej nocy, zaczynam wierzyć, że mógł mieć rację, jeśli chodzi o Bayarda.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Zgadzam się z tym, że powinnam wznieść bariery. Nie mogę jednak stracić pracowni, umowa jest już podpisana. Nie optałaoby mi się z nim walczyć, jeśli miałby się wycofać z wystawy.

- Nie stracisz wystawy - powiedział zdecydowanie Mather - bo Ed Bayard nie może stracić twarzy. Będzie musiał wystąpić z usprawiedliwieniem, aby ułagodzić nas oboje - ciebie, ponieważ ma do ciebie silny pociąg, oraz mnie, ponieważ byłem świadkiem głupstwa, które właśnie popełnił.

- Ale jakie to może dać usprawiedliwienie?

- Nie próbuj zgadywać. Poczekajmy, zobaczymy. A teraz weź się do napisania listu. Napisz krótko, z urazą i gniewem.

Gdy zaczęła pisać, uprzytomnił sobie, że on również ją oszukiwał. Nie powiedział nic o teczce, ani o nagłym odlocie Hugh'a Loredona do Europy. Prawda była taka, że chciał mieć czas na dokładne sprawdzenie w spokoju tego, co Hugh Loredon mu podrzucił - wraz z możliwością zaprzeczenia, jeśli byłoby to konieczne, iż kiedykolwiek to w ogóle widział. Morderstwo Madeleine Bayard ciągle nie było wyjaśnione i z chwilą ogłoszenia o wystawie śledztwo może odżyć. Prasa będzie zadawać pytania, publiczność odpowie poruszeniem i stara obawa zbrodni naśladowczej będzie u każdego na myśli - włączając jego samego i Annę-Marię.

To była jedna strona sprawy. Druga, to iż każde przemilczenie czy półprawda psuły dalszy fragment ich stosunków oraz czyniło ją jeszcze odrobinę bardziej osamotnioną we wrogim świecie. W końcu, podczas gdy kończyła list, zdecydował zaznajomić ją z ostatnimi faktami.

- Tuż przed twoim telefonem przyszedł posłaniec od twojego ojca, który właśnie wyjechał był wieczorem do Europy. Przyniósł list i teczkę. List dawał mi po prostu zgodę na powiadomienie cię o tym, co właśnie słyszysz. Nie wiem, co zawiera teczka, a ty nie powinnaś wiedzieć, na wypadek, gdybyś kiedykolwiek była przesłuchiwana przez policję. Ja jestem w innej sytuacji. Nie mam żadnego bezpośredniego powiązania z tym wydarzeniem, ani czasowo, ani personalnie. Rozumiesz to, co ci mówię?

- Rozumiem... i jestem wdzięczna, i to już więcej, niż mogę znieść jednego dnia.

- Pozwól, że przeczytam, co napisałaś do Bayarda. Był zaskoczony gwałtownością jej protestu:

Nie mam słów oburzenia, że pan, szanowany prawnik mógł się zdobyć na tak skandaliczne naruszenie mojego prywatnego życia. Nie jestem pańską żoną, nie jestem pańską kochanką, wynajmuję jedynie budynek, będący pańską własnością. Zawarłam kontrakt na wystawienie obrazów pańskiej zmarłej żony.

Nie mam pojęcia, jakim prawem pan śmiał opłacać szpiega, który donosił panu o moich ruchach. Tak szybko jak tylko możliwe podejmę kroki prawne, aby zabezpieczyć się przed dalszymi najściami. Tymczasem rezerwuję sobie wszystkie prawa dochodzenia zadośćuczynienia za obecne, nieznośne naruszenie mojego spokoju.

Anna-Maria Loredon

- To świetnie podziła - powiedział jej Mather. - A teraz idź do łóżka. Pokręcę się tutaj przez pół godziny i powędruję do domu.

- A wydawało mi się, że powiedziałeś, iż zostajesz?

- Czysta propaganda, żeby oszukać wroga.

- Proszę... tak bym chciała, żebyś został. Człowiek czuje się tak samotnie na Manhattanie, gdy się boi...



## ROZDZIAŁ 6

Następnego poranka, po opuszczeniu mieszkania Anny-Marii Max Mather poszedł do apteki i kupił parę gumowych rękawiczek.

W swoim mieszkaniu włączył automatyczną sekretarkę, włożył gumowe rękawiczki, wyjął z szafki teczkę Hugh'a Loredona i rozłożył jej zawartość, sztuka po sztuce, na stole jadalnym.

Były tam trzy diariusze, każdy oprawiony w skórę i zamykany metalową sprzączką, pół tuzina szkicowników ósemkowego formatu, dwa zeszyty szkolne wypełnione notatkami, szkice i wykresy oraz trzy pliki listów, związane różowo-czerwoną wstążką.

Diariusze i notatniki były wypełnione pięknym, drobnym, kaligraficznym pismem. Mather, który spędził znaczną część swego życia, ślęcząc nad historycznymi rękopisami, zachwyił się od razu prostym pięknem zapisanych stron. Szkice - piórkiem w tuszu, ołówkowe lub pędzlem, niektóre kolorowe, niektóre nie - miały tę samą pewność i oszczędność linii co pismo. Przez chwilę był tak ujęty rytmicznym oddziaływaniem stronic, że treść umykała jego uwadze.

Wreszcie dotarła do niego. Patrzył na całą serię scen erotycznych, wykonanych drobiazgowo lecz z radością, linią i cieniami. Mather był obeznany z pornografią antyczną i nowoczesną; obeznany również z wszystkimi barwami aktu seksualnego - zwycięskiego, gwałtownego, czułego, perwersyjnego, destruktywnego, ale tu dominującym był ton radosny, orgiastyczny i uniesienie.

Wreszcie zauważył coś jeszcze. Postacie, twarze i cechy fizyczne były ściśle zachowane - obrazy rzeczywistych osób w rozwijającej się fabule. Jedna z postaci bachicznych, powtarzająca się regularnie, była wyraźnie rozpoznawalna jako Hugh Loredon. Inna była uderzająco podobna do Danny Danziger. Nigdzie nie było osoby nawet słabo przypominającej Edmunda Bayarda, ale kobietą w centrum każdej sceny musiała być sama Madeleine.

Notatniki były profesjonalnymi dokumentami w pełnym tego słowa znaczeniu: notatki o pracach innych artystów, szybkie zapiski o niecodziennych kompozycjach lub zestawieniach kolorów, kilka zdań na temat sceny zaobserwowanej w metro, zilustrowanej miniaturowym szkicem, zrobionym ołówkiem do brwi. Były tam również sceny erotyczne, były to jednak tylko migawki. Było to vademecum rzemieślnika, w którym podstawowym tematem zapisu jest obserwowany obiekt, obraz ekstrapolowany z obiektu oraz środki osiągnięcia i zapisu obrazu.

Mather sam był zbyt dobrze wyszkolony, aby nie podziwiać czysto gramatycznej dyscypliny, którą Madeleine Bayard sobie narzuciła. Płynny wdzięk jej szkiców był z trudem osiągniętym

zwycięstwem. Nie mógł nie pomyśleć, jak cenny mógł być to materiał jako wprowadzenie i interpretacja eksponatów wystawy. Zastanawiał się leniwie, co Bayard by zrobił, gdyby nagle został pokazany w katalogu.

Wtedy nowa i groźna myśl wpadła mu do głowy. Jeżeli Bayard wiedział o istnieniu tego materiału, to miał jasny motyw morderstwa. Jeśli tylko domyślał się tego, wystarczająco to tłumaczyło, dlaczego oddał budynek tak wyczyszczony - podłogi wypiaszkowane, ściany zagruntowane. Musiał go ogołocić, aby móc znaleźć miejsce ukrycia materiałów. Mather zamknął szkicowniki i przeniósł swoją uwagę na diariusze.

Nie były to kroniki wydarzeń, lecz zapisy przeżyć, robione bez wyrachowania ani skrępowania. Bezpośredniość i natężenie emocjonalne były oszałamiające. Wzruszające zdania były ze stronic:

Jestem obdarzona talentem ukazywania cudów, ale żyję w mieście ślepców.

To, co Edmund nauczył się na prawie, to nie sprawiedliwość ale tyrania, a miarą tej tyranii jest, że pomimo tego wszystkiego, co mi uczynił, ciągle muszę go kochać.

Żaden z innych mężczyzn, którzy mówią, że mnie kochają, nie jest dość silny, aby mnie uwolnić. A może pragną mnie pojmanej, ponieważ dziewczyna zniewolona jest lepiej wyszkolona i łatwiej bawi niż wolna?

W moim mężu jest rysa szaleństwa. Terror jest czymś, co on uznaje, kształci i przywołuje dowolnie, jak spoufalonego demona. Przypuszczam, że można by powiedzieć, iż ja też jestem szalona - ale moje szaleństwo jest szczęśliwe, spotkanie spragnionych ciał, sen pełen promiennych marzeń.

Gdy jego oczy przebiegały piękną kaligrafię - bez żadnej plamy ani wymazania - Mather czuł się rzucany jak łódka z muszli, pomiędzy falami sprzecznych uczuć: litości, oburzenia, seksualnego pragnienia, zadziwienia tajemnicą tej kobiety, błagającej spoza grobu. Ona wciąż jeszcze nie błagała. Ona po prostu mówiła - jak gdyby akty pisania, rysowania i malowania były same w sobie uzdrawiającym sakramentem.

Był zbyt poruszony, aby wziąć się za listy. Mogą poczekać, aż zidentyfikuje autorów z diariuszy, notatek lub szkicowników - albo z wszystkich trzech. Włożył materiały z powrotem do teczki i zamknął ją ponownie w szafce w hallu. Po wykonaniu tego zdjął rękawiczki, zrobił sobie kawę i kanapkę z serem i usiadł, aby przemyśleć sytuację.

Najpierw skierował swoje myśli na Hugh'a Loredona. Facet artystycznie wpuścił go w maliny. Pewnego krótkiego poranka obdarzył Mathera opieką nad swoją córką, przerzucił na niego kłopotliwą i niebezpieczną sprawę zeznań w sprawie morderstwa i ulotnił się z kraju. Teraz, całkiem dosłownie, Max Mather miał sprawę na głowie. Loredon zostawi mu ją prawdopodobnie do czasu, gdy mu będzie dogodnie przejść ją z powrotem. W innym przypadku może on zaprzeczyć, że cokolwiek wie o sprawie. Matherowi, którego zamierzenia wymagały nieskazitelnej przeszłości, byłoby trudno wówczas temu zaprzeczyć.

Jednakże zawsze możliwe jest przeciwdziałanie - podstęp dla odplacenia oszustowi - i to pociągało mocno Mathera.

Anna-Maria miała właśnie zaprezentować światu nowy i dotąd nie znany talent. Jeżeli wystawa osiągnie sukces, ceny prac Madeleine Bayard wystrzelą w górę. Biografowie i badacze będą współzawodniczyć o materiały z jej życia. Dealerzy będą płacić wysokie ceny za autografy, listy, a zwłaszcza szkice i grafiki.

I patrzcie, oto jest Max Mather z walizką pełną skandalicznych, cennych autografów i wspaniałych serii erotyków do poufnego handlu obwoźnego. Aż się prosi wyprawa: zabrać to do Europy, umieścić oryginały w sejfie depozytowym „Artifaxu” i robić fotokopie na przynętę dla nadzianych nabywców. A co do Hugh'a Loredona, to może on pójść zatańczyć gigę na Times Square, jeśli będzie potrafił dowieść praw do materiału dowodowego, którego po pierwsze nie powinien był ukrywać, a po drugie wręczać Maxowi Matherowi.

Jednakże w dramacie występują również inne postacie i rola każdej z nich wymaga krytycznej definicji. Pierwszym jest on sam, Max Mather, w domu, po powrocie z obczyzny, rozpoczynający właśnie w dobrym samopoczuciu zdobywanie szacunku. Max Mather ma dwa portrety Rafaela i komplet rycin, które chciałby bez skandalu umieścić na rynku. Nie może, nie wolno mu, dla mężczyzny lub kobiety, czy nawet dla pofolgowania swojemu kaprysowi, narazić na szwank to wielkie przedsięwzięcie. Jest z kolei Anna-Maria Loredon, towarzyska i przyjaciółka szczęśliwych dni we Florencji. Porywczą i ambitną, z trudem uczącą się, że nie ma darmowych obiadów, a na rynku trudno o przyjaciół.

Problem stanowi sam Bayard - adwokat, którego niewierna żona została zamordowana przez nieznaną lub nieznaną osobę, ale której pośmiertne świadectwo, gdyby kiedykolwiek zwróciło uwagę policji, mogłoby łatwo zaprowadzić go na ławę oskarżonych. A jeszcze i jeszcze... Jaką wagę mogłoby mieć świadectwo Madeleine? Jak sąd mógłby rozsądzić pomiędzy szaleństwem, zarzucanym mężowi, a szaleństwem, do którego przyznawała się żona? Ale było i inne pytanie, prostsze i bardziej naglące: co by Bayard zrobił, gdyby wiedział, że Max Mather jest obecnie posiadaczem papierów jego żony? Trudno by mu było o nie wnieść prawne roszczenie. Czy byłby dostatecznie pewny swojej niewinności, aby zawiadomić policję i wymusić wejście w ich posiadanie? Czy może byłby zdolny, aby dla nich zabić?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, zadzwonił telefon. Na linii był Edmund Bayard; od razu przystąpił do sprawy.

- Panie Mather, nasza rozmowa wczoraj wieczór zdenerwowała mnie bardzo. Po namyśle doszedłem do wniosku, że popełniłem wielkie głupstwo, nie było to jednak bez powodu. Pan sam mi doradzał, że niestosowny rozgłos na temat wystawy mógłby wzbudzić niezdrowe zainteresowanie i sprowokować ponowną, podobną zbrodnię. Chciałem chronić pannę Loredon, a nie niepokoić jej, ale robiłem to w niewłaściwy sposób. Tłumaczy mi jedynie to, że ciągle żyję w cieniu tragicznego końca mojej żony. Piszę do panny Loredon, aby ją przeprosić, a do pana telefonuję, aby wyrazić zarówno wdzięczność za zdecydowaną obronę jej interesów, jak i mój własny szacunek dla pańskiej bezzwłocznej reakcji.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Bayard. Doceniam to, będę szczęśliwy, mogąc zapomnieć o tym incydencie.

- Niestety, mnie będzie trudno go zapomnieć. Panna Loredon napisała do mnie bardzo ostry protest. Rozumiem jej uczucia. Uznaję je. Jednakże naprawdę odczuwam przykrość i zwracam się do pana z prośbą o pomoc w przywróceniu naszych poprzednich przyjaznych stosunków.

- Chciałbym panu zaproponować poważną radę.

- Proszę. - Z wielką skwapliwością powiedział Bayard - przyjmę każdą.

- Proszę robić dokładnie to, o co Anna-Maria prosi. Pozostawić sprawy na jakiś czas. Utrzymać pewien dystans pomiędzy wami. Niech pan pozwoli jej zajmować się urządzaniem wystawy. Jest to duża praca, jak pan wie. Ona doceni beznamiętną współpracę. Znam tę dziewczynę, niech mi pan wierzy. Pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, ponieważ nauczyłem się nigdy ją nie naciskać, zawsze pozwalałem jej podążać własną drogą i decydować samej.

- Zastosuję się do pańskiej rady, panie Mather i wierzę, że wkrótce wszystko się zmieni.

Dziękuję panu bardzo. Jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Anna-Maria ma wielkie zaufanie do pańskiego sądu.

- W rzeczywistości nie, panie Bayard. Ona jest pewna tylko jednego co do mnie.

- O, a czego?

- Że ją o nic nie poproszę.

- Ale poprosił ją pan o współpracę.

- Sprostowanie: ona mnie poprosiła. Zanim opuściliśmy Florencję, zapytała mnie, czy zechciałbym zagrać Berensona dla jej Duveenów. Odmówiłem. Moja pozycja polega na tym, że reprezentuję ją w Europie, ale na własną odpowiedzialność.

- Doceniam pańską mądrość, panie Mather. Mam nadzieję, że staniemy się kiedyś przyjaciółmi. Dziękuję za pańską cierpliwość.

- Nie ma za co, panie Bayard.

Pięć minut później był już w drodze do miasta, na spotkanie z Leonią Danziger. Była rozczochrana i roztargniona, i miała przed sobą stos odbitek. Od razu zagłębiła się w pracy.

- Oto jest mój komentarz i pański tekst, spięte razem. Niech pan zaznaczy swoje uwagi na marginesie. Później pokażę panu prawdziwą niespodziankę!

Popchnęła go na krzesło, dając tekst do przeczytania i sprawdzenia. Musiał się przedzierać przez gąszcz znaków drukarskich i symboli korektorskich, było to jednak warte wysiłku. Dokument, który przedstawiła - wybór z jego pierwotnego tekstu i jej własnych przypisów - był płynny, jasny i autorytatywny, o niebo lepszy od jego niedopieczonej wersji. Przesunął stos kartek z powrotem przez stół.

- Wbija mnie pani w dumę. Dziękuję.

- Miło mi, że się panu podoba. A teraz niech pan spojrzy na to, co zrobił nasz pan i władca, wielki Harmon Seldes. Udało się panu mu to wręczyć, gdyż on jest dobry, on jest bardzo, bardzo dobry. Proszę spojrzeć na układ fotograficzny. To miałam na myśli, mówiąc, że on wykorzysta tę historię w sposób, o jakim nigdy pan nie marzył. Niech pan przeczyta to dokładnie.



Najpierw był artykuł wstępny, podpisany przez Seldesa. Zapowiadał wymownie:

Jesteśmy zaszczytni możliwością opublikowania wyjątków wybitnej pracy badawczej pana Maxa Mathera, młodego amerykańskiego uczonego, który pracował dotąd w pewnym ukryciu, jako archiwista znakomitego florenckiego rodu. Praca dotyczy lokalnej gospodarki regionu Toskanii na początku siedemnastego wieku. Zestawiona z ówczesnych zapisów - ksiąg rachunkowych zarządcy posiadłości, korespondencji rodzinnej i dokumentów handlowych - jest autentyczna, kształcąca i zajmująca. Błyskotliwy i pouczający komentarz redakcyjny panny Leonii Danziger umożliwił zredukowanie oryginalnego tekstu do strawnych dla czytelników naszego magazynu rozmiarów, bez żadnej straty dla jego ciągłości.

Jednakże panu Matherowi zawdzięczamy coś więcej niż tekst. W księgach rachunkowych tego okresu znalazł on zapis, dotyczący zamówienia przez ród Palombinich u wielkiego Rafaela dwóch portretów i zespołu rycin, stanowiących projekt ołtarza. Zapisy te są reprodukowane w tekście, ich autentyczność jest niewątpliwa.

Pana Mathera cechuje skromność rozsądnego naukowca. Jest doświadczony, chociaż żadną miarą nie jest ekspertem w dziedzinie malarstwa renesansowego. Jego właściwą dyscypliną jest paleografia. Dlatego też, bardzo mądrze zdecydował, aby badania losów zaginionych Rafaelów zostały przekazane w bardziej kompetentne ręce. Przyszedł więc do nas, do Belvedere szukać porady i wskazówek, jak postąpić. Jako skromny człowiek zrzekł się wszelkich praw do zaszczytów lub nagród i obiecał pełną współpracę naukowca w pracy nad tropieniem i identyfikacją zaginionych obrazów w razie potrzeby - jeżeli przeżyły one spustoszenia czterystu pięćdziesięciu z okładem lat.

Mamy teraz przyjemność powitać pana Mathera jako doradcę w zespole redakcyjnym Belvedere i polecić tę jego po raz pierwszy publikowaną pracę naszym czytelnikom

Harmon Seldes.

Gdy odłożył pierwszą kartkę, Danny Danziger zapytała go:

- Co, bierze to pana, panie Mather?

Mather wzruszył ramionami i roześmiał się. - On jest protekcyjny, sukinsyn. Ale daje mi użyteczne referencje. Że jestem młody - to miło wiedzieć. Że jestem rozsądnym naukowcem. Że

jestem skromny - co znaczy, że wiem jak czerpać od starszych i lepszych ode mnie. Czegóż więcej mógłbym chcieć?

- A co on zagarnie - to wiele sławy i moc pieniędzy, jeśli te dzieła kiedykolwiek wypłyną na światło.

- To się nigdy nie stanie, kochanie. Trop pozostawał zimny przez ponad cztery stulecia. On goni za błędnym ognikiem.

- Tak pan myśli? Proszę czytać trochę dalej.

Odszukał właściwe miejsce w tekście i zaczął czytać dalej.

Zakładając, że dzieła nadal istnieją, gdzie moglibyśmy się spodziewać ich znalezienia? Pierwsza i najmniej prawdopodobna możliwość, to że gromadzi się na nich kurz gdzieś na strychu, lub że wiszą nie rozpoznane w jakiejś rozpadającej się willi. Drugi domysł to możliwość, że są w posiadaniu jednego z tych bogatych, ale dyskretnych koneserów - Greka, Niemca, Brazylijczyka, Meksykanina czy Szwajcara - których kolekcje są całkowicie nie znane publiczności. Na koniec pozostają owi dobrze znani dealerzy, starszyzna i lordowie handlu, których własność dzieł wielkiej sztuki również nie jest znana, których transakcje są w większości tajne, którzy w jakiś cudowny sposób potrafią utrzymywać wielkie prywatne zbiory arcydzieł i mają ponadto dostateczny dopływ gotówki, aby żyć jak renesansowi książęta...

- On omawia wszystkie możliwości, prawda? Mather zamyślił się.

- Trzyma się założenia, że te dzieła ciągle istnieją.

- Robi znacznie więcej. On rzuca przynętę największym rekinom mórz - ukrytym zbieraczom - i najpotężniejszym dealerom, jak Berchmans et Cie. Proszę mieć w pamięci, że za młodu Seldes starał się o pracę u starego Berchmansa, ale został odprawiony. Ten afront dręczy go do dzisiaj. Berchmans, powinien pan to zapamiętać, siedzi prawdopodobnie na większej liczbie arcydzieł klasy A, niż ktokolwiek inny na świecie. Jest w tym jednakże haczyk. Sztuka rośnie w cenie z każdym dniem, ale tej wartości nie można jeść ani wydawać, a z chwilą sprzedaży obraz wymyka się z rąk na zawsze - chyba że, oczywiście, jest szansa, iż można reprezentować interesy nabywcy w razie jego śmierci i zapoczątkować proces ich recyrkulacji. A Seldes wie, że zawsze jest szansa, iż właśnie w tej chwili Berchmans siedzi na tych obrazach.

- Sprawia pani, że czuję się jak wieśniak w Wieśniakowie.

- A teraz proszę popatrzeć na ilustracje przedstawione przez Seldesa. Portrety Rafaela: Elżbieta Gonzaga, Emilia Pia z Montefeltro, Magdalena Donni. Ryciny Rafaela: studia do Historii Madonny, do Snu na Kalwarii, do Madonny Terranova. Wszystkie te dzieła zostały wykonane w okresie 1504-1506. To, co tu mamy, to jest kod identyfikacyjny, który może zostać natychmiast zastosowany do tych obrazów, jeśli kiedykolwiek się odnajdą. Ostrzegam pana, niech go pan nigdy nie niedocenia.

Mather przeczytał artykuł raz jeszcze, usiłując wyobrazić sobie, jak by wyglądał, gdyby posiadane przez niego fotografie zostały wstawione we właściwe miejsca. Na koniec uporządkował kartki i przesunął je przez stół do Leonii.

Ma pani rację. On użył informacji w sposób, w jaki ja nigdy bym tego nie zrobił. Kiedy to wszystko będzie w druku?

- Będzie gotowe w piątek. Wtedy wróci do mnie, do korekty.

- Czy może mnie pani zapewnić, że otrzymam kopie wszystkiego w tym samym czasie?

- Oczywiście. Co pan zamierza?

- Wytłumaczę pani później. Czy mógłbym panią prosić o podanie mi aparatu telefonicznego?

Gdy podała mu aparat, wykręcił numer magazynu i poprosił o Harmona Seldesa.

- Harmon? Max Mather. Jestem z panną Danziger. Właśnie zaaprobowałem projekt mojego materiału, a ona była na tyle uprzejma, aby pokazać mi twój. Chciałbym ci pogratulować; jest to świetne wprowadzenie - bez przesadnych pretensji, bardzo poręczne przypomnienie, gdzie w *catalogue raisonne* wszelkie odkrycia powinny się znaleźć. Uważam to za bardzo pouczające. Uwagi? Ani jednej. Mojej pracy często można wiele zarzucić - podziwiam więc człowieka, który po raz pierwszy ją poprawia. Zmieniając chwilowo temat... wiesz o moich powiązaniach z Anne-Marie Loredon i jej nowej galerii? A więc teraz, kiedy rzecz o Rafaelu jest zakończona, chciałbym napisać o jej pierwszym pokazie - pośmiertnej wystawie Madeleine Bayard. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności myślę, że może to być ważna pozycja. Dobrze, jestem rad, że podoba ci się ten pomysł. Daje mi poczucie, że mogę zarobić na swoje utrzymanie. Masz coś przeciwko temu, abym przedyskutował sprawę z panną Danziger? Przypuszczam, że chciałbyś, aby rzuciła okiem na mój tekst choć przez chwilę. Dziękuję. Do widzenia.

Gdy spojrzął, Danny Danziger przyglądała mu się z niesmakiem, jak gdyby był jakimś okazem pod mikroskopem.

- No, no, no, czyżby pan był taki gładki? Seldes pana roluje, a pan smaruje go komplementami. Odpowiedział z uśmiechem:

- Biretta in mono non fa mai danno.

- Zapomniał pan, że - przypomniała mu cierpko - ja nie mówię po włosku.

- Stare rzymskie przysłowie: nigdy nie zaszkodzi trzymać czapki w ręku, gdy się idzie do papieża.

- Nie jestem papistką, więc to bez znaczenia. Ale obawiam się, że nie będę mogła panu pomóc przy materiale o Madeleine Bayard, mam inne zobowiązania.

- To moja strata, ale oczywiście rozumiem. Czy przypadkiem znała pani Madeleine Bayard? Czy znane są pani jej dzieła?

- Spotkałam ją przelotnie, zapoznałam się pobieżnie z jej pracami. Nie interesuje mnie na tyle, aby nią się zajmować.

- Trudno. Spróbuję więc sam i sprawdzę, na ile skorzystałem od pani.

- Nigdy pan się nie nauczy, Max Mather? Jestem ostatnią osobą na świecie, potrzebującą komplementów.

- A wie pani dlaczego, Danny D.?

- Niech pan mówi!

- Ponieważ nigdy nikt pani nie nauczył przyjmować ich z wdziękiem - i to cholernie szkoda. A teraz chce pani mnie wyrzucić, czy mogę wypić drinka przed wyjściem?

Pół godziny później wyszedł w oszroniony zmierzch Manhattanu. Był bogatszy - lub uboższy! - o nową informację: że Leonia Danziger była jedną z figur śmiertelnej psychodramy Madeleine Bayard. Mógł sobie pozwolić na czekanie na odpowiedzi na wszystkie pytania, które wyłoniły się z tej prostej propozycji. Tymczasem był zadowolony ze stukotu, nieładu i ścisłu wśród powracających do domu nowojorczyków. Ich obojętność dodawała mu anonimowości, czyniła bezpiecznym przed ciekawskimi oczyma. Sprawiała również, że czuł się rozpaczliwie samotny, jak gdyby był jedynym żałobnikiem na swoim własnym pogrzebie.

W jego skrzynce były listy, a portier miał dla niego paczkę.

Nalał sobie mocnego drinka i usiadł, aby je otworzyć: najpierw wiadomość od architekta, który potwierdzał zadatek i zgadzał się przeprowadzić przegląd konstrukcji jego kawalerki, następnie krótki list od Claudia Palombiniego:

...podziękować za Pańskie uprzejme zawiadomienie i aby donieść Panu z wielkim żalem, że nie mogę nic dodać do faktów, które już pan zna na temat dzieł Rafaela. Jest pewne, że zostały one zamówione i dostarczone moim przodkom, ale nie mogę Pana oświecić co do ich późniejszej historii. Wielka szkoda, gdyż mógłbym teraz użyć pieniędzy, które niewątpliwie przyniosłaby ich sprzedaż.

Jednakże, jak zapewne potwierdzi pańskie doświadczenie, my Palombini byliśmy zawsze Filistynami, handlującymi towarem materialnym: winem, oliwą, skórą i wyrobami rzemieślniczymi. Czasami byliśmy nabywcami obrazów, lecz jedynie w rzadkich przypadkach mecenasami sztuki. Pobyt Pana jako naszego stypendysty w naszej rezydencji niewątpliwie pomógł w poprawie naszej reputacji. Chcę Pana zapewnić, że będzie Pan mile widziany, kiedykolwiek zechce Pan przyjechać.

Szczerze oddany

Claudio

Paczka była niespodzianką. Zawierała niewielki rysunek ołówkiem, przedstawiający budynek w budowie, podpisany i datowany: Boccioni, Milano, 1910. Wraz z rysunkiem była kartka:

Z przeproszeniem i w dowód skruchy za moją zawodową niedyskrecję w stosunku do panny Loredon.

Jestem pewien, że zna Pan prace Boccioniego. Mam jego portret i pejzaż, które będzie mi miło pokazać Panu, gdy zjemy razem obiad.

Edmund Bayard

Mather był zbity z tropu opanowaniem i gustem tego człowieka. Rysunek Boccioniego - rozpoznawalny jako jeden z tematów opracowywanych do „Wznoszonego Miasta” - był dostatecznie

wartościowy do zaszczytnej wzmianki, ale nie tak drogi, aby wydawał się łąpówką lub propozycją. Wybór artysty - nowatora futurystycznego - okazywał z wdziękiem szacunek do jego włoskich koneksji. Zaproszenie na obiad było zręcznym ruchem: data nie była wymieniona, więc natychmiastowa decyzja nie była konieczna. Zastanawiając się, jak Bayard postąpił z Anną-Marią, zadzwonił, a ona okazała się aż za chętna do opowiadania.

- Przysłał długi list z wytłumaczeniem. Niepokoił się o moje bezpieczeństwo... całe to błazeństwo. Mój dom jest pełen kwiatów; jest kartka z tekstem: „Lecz miłość jest ślepa i kochankowie nie widzą pięknych szaleństw, które popełniają”. Jest podpisana „E.B.”

- Powinien był podpisać ją „W.S.” Wziął to z Szekspira w Parku.

- Wszystko mi jedno, skąd to wziął. Wylądowało tutaj z egzotycznymi kwiatami wartości co najmniej 200 dolarów, a ja głowią się jak zareagować.

- Prosto. Poślij mu taką samą brednię, jaką on ci przysłał: „Panie, okazujesz mi wielki honor, ale moje serce jest przeznaczone muzom... w skrócie, że nie ma najmniejszej, cholernej szansy na świecie, że będziemy kochankami.” Przy okazji, nam dla ciebie wiadomość - Harmon Seldes zgodził się umieścić artykuł o wystawie Madeleine Bayard.

- Max, to cudownie - to oznacza pieniądze już w banku.

- Więc zastanów się i powiedz mi potem, co chcesz, aby było napisane o tej kobiecie. Będę robił własne poszukiwania, ale będę potrzebował całego tła biograficznego, które się da zgromadzić - również fotografie płócien.

- Wezmę cię do domu Bayarda i pokażę ci je.

- On mnie już zaprosił na obiad, ale ja potrzebuję fotografii, jako materiału do pracy.

- Załatwię to. Coś więcej?

- Tak. Facet jest niewątpliwie zwariowany na twoim punkcie, ale według mnie on ma zwariowany okres. Weź więc zimny tusz i zapomnij o nim. Dobranoc.

Pomimo żartów i kpiącego tonu, którymi się posługiwali od czasu przejścia od czasem-kochanków do przeważnie-przyjaciół, Mather był zaniepokojony. Bayard zamieniał swoją klęskę w triumf. Nie można było odrzucać jego gestów poprawy, a dla Anny-Marii zamiana potężnego, skruszonego grzesznika w znieważonego wroga byłaby szaleństwem.

Raz jeszcze Mather wdał się w kompromis, zgubny dla własnego interesu. Zaangażował się w paradoksalne przedsięwzięcie: budowę legalnego handlu na podstawie moralnie wątpliwego uczynku. Nie mógł sobie absolutnie pozwolić na wrogów lub złe języki. Musiał być w przyjaźni z całym światem. Mógł jedynie mieć nadzieję, że sieć półprawd, która go podtrzymywała, nie rozedrze się i nie wrzuci go po szyję do kloaki.



## ROZDZIAŁ 7

Czterdzieści osiem godzin później odebrał telefon od Leonii Danziger, która krótko, chłodno i szczegółowo wyrecytowała:

- Max? Dzwonię, aby panu powiedzieć, że zmieniałam zdanie w sprawie Bayard. Zredaguję to dla pana. Mam na co wydać pieniądze. Pan może spożytkować moją wprawę. Odbitki pańskiej tokańskiej pracy i artykułu Seldesa o Rafaelu są w drodze do pana, przez kuriera - sześć kopii każdego. Kosztami obciążylam *Belvedere*.

- To bardzo ładnie z pani strony. Dziękuję. Zadzwoił do Bayarda do jego biura, podziękował za szkic Boccioniego, ale zaprotestował, mówiąc że nie może go przyjąć.

- Właściwe jego miejsce jest w pańskiej kolekcji. Będzie mi bardzo miło zjeść z panem obiad. Trzeba, abyśmy porozmawiali prywatnie o wystawie. Seldes powierzył mi napisanie artykułu o niej do *Belvedere*, chciałbym więc zobaczyć obrazy i stworzyć sobie własny portret artystki. Im szybciej to zrobię, tym lepiej.

- Czy odpowiada panu czwartek? - Bayard był ożywiony i serdeczny.

- Świetnie.

- No to powiedzmy o siódmej - siódmej trzydzieści u mnie. Tylko nas dwóch.

- A więc we czwartek.

- Ale nalegam, aby pan zatrzymał Boccioniego. Bez argumentów. Do widzenia.

W ramach przygotowania do wieczoru, Mather spędził cały dzień w Bibliotece Miejskiej na czytaniu doniesień prasowych o zamordowaniu Madeleine Bayard. Czytał też wrywkowo o Boccionim i futurystach, zrobił również kopię biografii Edmunda Justina Bayarda z *Who's Who*. Ostatnim środkiem ostrożności był telefon do Anny-Marii. Z rozmowy dowiedział się, że Bayard już się z nią kontaktował.

- Jest bardzo zadowolony, że przyjąłeś jego zaproszenie. Wzmianka o artykule w *Belvedere* zrobiła na nim wrażenie. Uważa, że twoja przyjaźń i dobra wola są ważne. Mógłbyś mi dać znać, jak obiad przeszedł?

- Oczywiście. Ale co więcej, na temat obecnych stosunków między wami? Co zrobiłaś z kwiatami?



- Mniej więcej to, co mi poradziłeś: podziękowałam mu za pamięć i powiedziałam, że chętnie będę kontynuowała nasze kontakty, ale że nie mogłabym znieść żadnych emocjonalnych nacisków.

- Zrozumiał?

- Powiedzmy, że się nie spierał, chociaż nie jestem pewna, na ile zrozumiał. Ale czuję, że lepiej teraz sobie z nim radzę.

- Pytanie: czy płótna, które wystawiasz, wszystkie wiszą u niego w domu?

- Tak.

- A co z różnymi rzeczami - szkicami, notatkami, próbami, niedokończonymi projektami?

- Poza głównymi pracami jest około siedemdziesięciu szkiców i studiów i będziemy je również wystawiać. Jeśli istnieje więcej, to Bayard mi ich nie pokazał. Zapytałam o pisma, odpowiedział mi wymijająco. Dlaczego pytasz?

- Pewien rodzaj miscellaneów może pięknie ozdobić artykuł. W każdym razie zapytam o nie. Jak wygląda pracownia?

- Jest całkowicie rozwalona, ale hydraulicy i murarze pracują zgodnie z planem. Architekt zrobił światło dokładnie tak, jak chcieliśmy - a! i sporo zrobili na terenie twojego mieszkania. Musimy tam razem pójść i obejrzeć.

- Pójdziemy... ale zostawmy to na potem, po moim obiedzie z Bayardem. Zabawne, czuję że potrzebuję jakiegoś przygotowania do tego wieczoru.

- Masz rację. Nie możesz tego zlekceważyć. W jednej chwili Bayard okazuje uroki całego świata, a w następnej może być zimny i groźny.

Wszystko to powodowało, że Mather czuł się zdenerwowany i niespokojny, jak student, mający przystąpić do ustnego sprawdzianu przed komisją egzaminacyjną. W rezultacie był całkiem rozbrojony. Natychmiast przeszli z Bayardem na ty. Potrawy były znakomite, wina wybrane starannie. Bayard był rozluźniony i otwarty, był myślącym mówcą ale i dobrym słuchaczem, umiejącym wydobyć z gościa jego najlepszą rolę. Wyrażał się skromnie o swojej kolekcji i bardzo elokwentnie o kolekcji

Madeleine; był wylewny w swoich podziękowaniach za artykuł w Belvedere, któremu przypisywał ogromną wagę. Gdy doszli do kawy i brandy, Mather nabrał nadziei na pożyteczną dyskusję.

Zapytał:

- Jesteś gotów do pytań?

- Tak sądzę.

Mather wyjął mały magnetofon i postawił na stole. Wyjaśnił:

- Wszystko, czego nie chciałbyś, aby było zarejestrowane, możemy natychmiast skasować. Potrzebuję od ciebie trzech rodzajów informacji. Pierwsze są do artykułu w Belvedere, zawodowe i techniczne tło, osobowość artystki, ten rodzaj rzeczy. Drugie, to publikowalny materiał do popularnej prasy; to biografia, plotki, nazwiska do wzmiankowania, a szczególnie znakomości. Trzecie, pozwalające odpierać w razie potrzeby pogłoski, krążące w brukowej prasie po śmierci twojej żony, gdyby wypłynęły ponownie.

Bayard natychmiast zaostrzył uwagę.

- Pogłoski? Nie wiedziałem o żadnych pogłoskach.

- To zrozumiałe. Byłeś pod silnym stresem. Prawdopodobnie zachowywałeś się jak wszyscy: prasę czytałeś częściowo i odsuwałeś każdą nieprzyjemną wiadomość. Oto ten rodzaj wiadomości, które miałem na myśli...

Wertował swój notatnik.

- To z New York Post: „Madeleine Bayard, piękna i utalentowana kobieta, miała wielu przyjaciół spośród ordynarnego, kawiarnianego tłumu w SoHo. Detektywi nie odrzucają możliwości zbrodni z namiętności”. Z chwilą ogłoszenia wystawy, ta mała wzmianka znów ożyje. Może parę nazwisk zostanie wymienionych w kolumnie plotek: „Kiedyś romantycznie związany...” ten rodzaj wzmianek. Ktoś może się pojawić ze szkicem lub listem. Wiesz, że prasa brukowa dobrze płaci za takie rzeczy. Jak mamy reagować w galerii?

- Wcale - sucho powiedział Bayard. - Pozwolić im krążyć. Gdybym został zniesławiony i uważałbym, że mogę wygrać, wniosę skargę. Co do reszty, ty i Anna-Maria, czy ktokolwiek jeszcze związany z galerią, kupujcie - nie wdawajcie się w dyskusje. Nie byliście związani z życiem ani śmiercią Madeleine. Was obchodzi jedynie jej talent. Posłuchaj Max, ja rozumiem podtekst twojego pytania.

Wiem, że potrzebujecie czegoś, aby nie wyjść na głupców. A więc zaczynamy. Wyłącz taśmę. To nie może być rejestrowane.

- Zrozumiałem, ale musisz mi dać znać, co mogę użyć. Bayard odczekał chwilę i rozpoczął opowiadanie, proste i intymne, bardziej poruszające, niż Mather mógł się po nim spodziewać.

- Madeleine urodziła się w Londynie, miała francuskich rodziców. Jej ojciec, pułkownik sił Wolnej Francji, otworzył biznes jako dostawca win; jej matka była zatrudniona w sekcji kultury w ambasadzie Francji. Ja harowałem w Londynie za starego George'a Bunbury'ego nad transatlantycką sprawą handlową, dotyczącą klientów z USA i Kanady. Proces był długi i dochodowy. Byłem w Londynie cztery miesiące. Spotkaliśmy się z Madeleine pewnego popołudnia, na wystawie w Royal Academy. Ona była wówczas studentką u Slade'a. Zakochaliśmy się bez pamięci. Pobraliśmy się zanim opuściłem Anglię.

- A potem?

- Miodowy miesiąc i podróż do domu były cudowne. Potem był powolny schyłek, aż do nieszczęścia. Ja byłem ambitnym, młodym adwokatem z zainteresowaniami sztuką. Ona typową artystką - sam ogień i fantazja, nieubłagana w podążaniu za swoimi wizjami, ze stałą potrzebą wyzwolenia i odmiany - w większości przez zmagania seksualne. Nie wdając się w szczegóły, stąd się biorą prasowe aluzje. Moja żona była wielką malarką - i bardzo swobodną kobietą.

- Na to więc pewnie skierowały się dochodzenia policji w sprawie o jej morderstwo.

- Rzecz jasna. Ja byłem oczywiście najbardziej podejrzanym. Niewierna żona. Zazdrosny mąż. A ja byłem zazdrosny, niewątpliwie. Stałem się chorobliwy i tyranizowałem ją. Znęcałem się nad nią, ograniczałem jej swobodę poruszania się, nie pozwalałem wystawiać. To oczywiście nie skutkowało. To tylko pogarszało sprawę. Lecz prosty rachunek arytmetyczny dowodzi, że nie mogłem jej zamordować. Byłem na konferencji za miastem - kazałem sekretarce zatelefonować do pracowni i powiedzieć Madeleine, że spóźnię się po nią. Telefon nie odpowiadał. Gdy przybyłem do pracowni, była martwa. Szalałem. Zadzwoiłem na policję i kołysałem ją w ramionach, usiłując ją ożywić. Tak zastała mnie policja... to jest koszmar, z którym żyję.

- Czego nie mogę zrozumieć - jak mogłeś wytrzymać piekło, które sobie nawzajem stworzyliście. Dlaczego nie rozwiedliście się? Bayard uśmiechnął się krzywo i rozłożył ręce w geście porażki.

- Jesteś młody, Max. Masz wszystkie dary szczęśliwego, swobodnego kawalera. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał nauczyć się, tak jak ja musiałem, że dla niektórych ludzi nawet

piekło jest znośniejsze niż nicość. Madeleine i ja potrzebowaliśmy się nawzajem, nie rozumiesz? My żywiliśmy się cierpieniem, które sobie nawzajem zadawaliśmy. Napięcie, które widzisz w jej obrazach, dziki pęd do ucieczki, wyrosły z tego nieszczęścia. Poza tym ja wiem, że mam z niej to, co najlepsze. Wisi na ścianach wokół ciebie.

- Ale to, czego nie ma tutaj - powiedział Mather - to jest jej druga strona - zmysłowa, orgiastyczna. Czy ona nigdy nie malowała nagich, obejmujących się ludzi?

- Jeżeli malowała, to nigdy tego nie widziałem. Prawdopodobnie tak było. Dla mnie najtrudniejsza do zniesienia była świadomość, że inni mężczyźni posiadali jej ciało i wierzyli, jak i ja ochoczo wierzyłem, we wszystko, co im w łóżku opowiadała. Mógłbym za to zabić - o, tak. Ale zabijałbym kochanków, nie Madeleine.

- Czy wiesz, którzy to byli?

- Niektórzy, tak.

- Czy malowała kogoś z nich? Czy malowała dla kogoś z nich? Czy pisała listy?

- Nie jestem pewien, czy rozumiem sens tego pytania.

- Mówiąc bez ogródek: czy jakiś krępujące materiały mogą pokazać się na rynku w czasie trwania wystawy?

- Przypuszczam, że to możliwe. Niewiele będziemy mogli zrobić, jeżeli tak się zdarzy.

- Mógłbyś je dyskretnie kupić.

- Nie mam pewności, czy by mi tak zależało. Pozbywam się wspomnień, a nie gromadzę ich.

- Czy nie byłoby więc najlepiej, aby je zakopać lub co najmniej schować w jakimś bezpiecznym miejscu, zanim czas nie pozbawi je żądał?

- Masz rację, oczywiście. Ale niech mnie diabli wezmą, jeśli ja je będę kupował!

- Więc jeśli coś będzie oferowane, ja je będę zbierał na własną rękę. Jeżeli wystawa odniesie sukces, będzie na nie zbyt przez galerię.

- Niewątpliwie. Bayard zgodził się z chłodną ironią.

Po tym wszystkim, co słyszał od Annie-Marii i Hugh'a Loredonów, Mather próbował dopasować dwa różne portety tego samego człowieka. Problemem było spowodowanie, aby te dwa niewspółmierne obrazy się zeszły. Zapytał:

- Kochasz się w Annie-Marii?

- Wiesz, że tak.

- Czy Hugh Loredon był jednym z kochanków twojej żony?

W jednej chwili Bayard cofnął się i stał się wrogi - domowe zwierzę przemieniło się w dzikie.

- Skąd, do diabła, wiesz o tym?

- Hugh mi powiedział.

- Dlaczego miałby ci mówić?

- On wie, że Anna-Maria i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Prosił mnie, abym miał na nią oko. Powiedział, że boi się, iż mógłbyś jej użyć do zemsty na nim.

- Boże Wszechmogący!

Wyrzucił te słowa w okrzyku udręki. Bayard skurczył się, jakby został uderzony w brzuch. Chowając twarz w rękach, kotłował się z boku na bok, jęcząc niezrozumiale. Gdy wyprostował się w końcu, jego twarz była zniszczoną smutkiem maską. Jego głos był niepewny.

- Czy Anna-Maria o tym wie?

- Tak.

- Nic dziwnego, że odsunęła się ode mnie - nic dziwnego, że się boi.

- To nie jest jedyny powód. - Mather powiedział szorstko. - Masz złe nawyki, pozostałe po twoim małżeństwie: jesteś szorstki; znęcasz się nad ludźmi; jesteś podejrzliwy i na domiar wszystkiego nasłałeś tego cholernego szpiega na Annę-Marię. I nie mów mi, że po to, aby ją chronić; lecz, aby się upewnić, że ona nie jest drugą Madeleine.

Bayard skinął głową, ale nic nie powiedział. Mather zmierzał do celu.

- Więc ona jest zła. Chce, żebyś znikł jej z oczu. Nie możesz za to obwiniać Hugh'a Loredona.

- Czy uwierzysz - Bayard powiedział powoli - że ja nie obwiniam go o nic? Ja nie obwiniam żadnego z kochanków Madeleine za to, że wzięli, co im oferowała. Przecież ja straciłem większość mojego szacunku do siebie z tego powodu, że się jej trzymałem.

- Czy Madeleine została zamordowana przez jednego ze swych kochanków?

- Może tak, a może nie.

- Dlaczego to mówisz?

- Ona nigdy nie dawała wyłączności. Któż by więc miał ją zabijać za coś, co ona rozdawała jak miskę ciastek? Pewnego razu pomyślałem sobie, że gdybym odmówił rozmawiania z mężczyznami, którzy mi przyprowadzili rogi, skończyłbym jak pustelnik. Przez krótki czas tak robiłem. Dopiero gdy poznałem Annę-Marię, zacząłem żyć półnormalnym życiem.

- Czy policja jest jeszcze aktywna w tej sprawie?

- Aktywna? To bardzo względne określenie. Co kilka miesięcy wpadną, zadadzą parę nowych pytań, na nowo postawią stare. To się pewnie nie skończy, aż po wystawie.

- Czy oni zbadali możliwość, że ktoś wynajął zabójcę? Po raz pierwszy Bayard uśmiechnął się, krzywym, drwiącym grymasem.

- Mój drogi Max, gdy zrozumieli, że ja jej nie zabiłem - a faktycznie nie mogłem jej zabić - zaczęli tworzyć różne fantastyczne konstrukcje. Jedną z nich, że wynająłem zawodowca do wykonania tego zadania. Jedyne problemy z tym scenariuszem to to, że zawodowi zabójcy nie zamieniają w jatkę zadania na jeden strzał. A ja mógłbym zaaranżować pół tuzina pretekstów do zatrzymania mnie poza miastem w dniu egzekucji... Ale po co, do diabła, na nowo rozpatrywać całą tę cholerną sprawę? Postaraj się to zrozumieć Max, bo ja już tego nigdy nie powtórzę. Postaraj się wytłumaczyć to Annie-Marii, jeżeli będzie chciała słuchać. Robię tę wystawę w hołdzie dla najlepszej części Madeleine - tej części, którą kochałem, dla kobiety, która trzymała mnie w niewoli przez wszystkie te lata. Potem już jej nie będzie. Precz z mego życia. Nie chcę zemsty na jej zabójcy. Nie nienawidzę jej kochanków. Po prostu, chcę o niej zapomnieć i zacząć życie na nowo, jak normalny mężczyzna. Z Anną-Marią, jeżeli mnie będzie chciała - bez niej, jeżeli nie.

- Przyjmij więc kilka rad od swobodnego kawalera. Najpierw zacznij życie bez niej. Nie będzie się wówczas czuła wciągana w jednostronny kontrakt.

- Głos doświadczenia?

W tonie Bayarda pojawił się respekt.

- To działa w dwie strony. - Mather powiedział z uczuciem. - Kobiety nie cierpią mężczyzn, którzy szukają matki. Mężczyźni nie cierpią kobiet, potrzebujących syna na kochanka. I jeszcze jedno pytanie.

- Mam nadzieję, że łatwiejsze niż dotychczasowe.

- Masz już pieniądze w kieszeni. Obciąż mnie za poradę prawną. Co powinienem zrobić, aby utworzyć syndykat dzieł sztuki?

- Z siedzibą gdzie?

- Z siedzibą w Europie, ale operujący na całym świecie.

- Cel działania?

- Będę reprezentował galerię Anny-Marii. Ale ona, to jeden dealer ze swoją własną polityką. Dlaczego nie mógłbym służyć pięciu, dziesięciu, dwudziestu? Dlaczego nie miałbym handlować na własny rachunek?

- Nie ma przeszkód - zakładając, że masz zdrowy rozsądek i wiarygodność - a jak dotychczas wydaje się, że masz. Jeśli chcesz, mogę utworzyć syndykat niemal do jutra.

Przerwał, aby nalać dwie duże brandy. Podczas gdy ogrzewał szkło w dłoni, zagadnął:

- Odpowiesz na kilka moich pytań, Max? Wet za wet, tak jak było.

- Oczywiście. Pytaj.

- Jak dokładnie są twoje stosunki z Anną-Marią?

- Eks-kochanek, dobry przyjaciel - niby brat, wspólnik. Jesteśmy nieskrępowani i wolni.

Następne pytanie?

- Jesteś utrzymankiem?

- Nie. Godziłem się na protekcję kobiet - nigdy na utrzymanie. Żyłem ze swoich własnych zasobów, a im pomagałem korzystać ze swoich.

- To subtelne rozróżnienie.

- Jestem przekonany, że je rozumiesz jako prawnik.

- A jakie są twoje ambicje?

- Tak szybko, jak to możliwe, stać się bardzo bogatym.

- I myślisz, że potrafisz tego dokonać?

- Jestem pewien.

- Tak sądzę. - Bayard powiedział miękko: sądzę, że mógłbyś. Podniósł swoją szklankę i wznosił stary toast, który naraz zabrzmiał całkiem po nowemu i trafnie.

- Za nas obu, Max! Zdrowie, pieniądze i miłość - i niech Bóg da nam czas, aby się nimi nacieszyć. Wypiwszy do dna zdecydowali, że wstyd by było nie wypić raz jeszcze. Bayard wypowiedział wtedy swoje ostatnie, niepewne błogosławieństwo.

- Rad jestem, że nigdy nie spotkałeś mojej żony. Gdybyś spotkał, straciłbym cię jako przyjaciela. Ona okradła mnie ze wszystkich moich męskich przyjaciół. Wszystkich najlepszych.

O dziewiątej rano - trzeciej po południu czasu paryskiego - Harmon Seldes odebrał telefon od Henriego Charlesa Berchmansa Starszego. Rozmowa była prowadzona po francusku. Seldes mówił dokładnie, drobiazgowo i pedantycznie. Berchmans zachował szczekający ton swojej rodzinnej Alzacji.

- Co chcesz, abym zrobił z tą kupą papieru, którą mi wczoraj przesłałeś faksem?

- Zrobił? - Seldes był słodki jak miód. - Zrobił, mój drogi Henri? Podziękował mi, oczywiście.

- Za co?

- Za zwrócenie uwagi na coś, co może być jednym z najbardziej podniecających odkryć naszych czasów. Nikt jeszcze tego nie widział - ale jeśli nie jesteś zainteresowany, oczywiście musimy przystąpić do...

- Oczywiście, że jestem zainteresowany. - Berchmans Starszy zwykle łatwo się zapalał - Nie bądź głupi. Ten facet Martha, Methier...

- Mather - Seldes mu przesylabizował.



- O Boże, ja nie potrzebuję lekcji sylabizowania! Czy on jest dobry? Czy ta jego praca jest autentyczna?

- Sprawdziłem wszystkie jego informacje u Palombinich i w bibliotece we Florencji. Sprawia wrażenie miłego próżniaka, ale to złudne. Praca jest całkowicie autentyczna. Osobiście sprawdziłem dokumenty źródłowe.

- Które jednak mają czterysta osiemdziesiąt lat. To wystygły gulasz, przyjacielu.

- Nasza publikacja zapali gaz pod nim.

- No więc... czego chcesz ode mnie?

Harmon Seldes uśmiechnął się z satysfakcją. Stary Berchmans lubił wyścigi. Nalegał, bo potrzebował ostatnich instrukcji dla swoich dżokejów.

- Stawiam trzy pytania. Pierwsze, czy jest cokolwiek w twojej kolekcji, co mogłoby pasować do opisu w księgach Palombinich?

- Nie ma.

- Drugie, czy identyfikujesz lub tylko podejrzewasz pasujące rzeczy w innych kolekcjach.

- W tej chwili nie.

- Trzecie, czy chciałbyś wraz ze mną wziąć udział w poszukiwaniach tych obiektów na zasadzie wyłączności?

- Co rozumiesz przez „wziąć udział”?

- Wniesiesz uzgodnioną sumę na koszt poszukiwań. Ja je będę prowadził. Jeżeli te przedmioty uda się znaleźć i umieścić na rynku, zrobimy to wspólnie ... i podzielimy się pół na pół.

- A gdy nic się nie znajdzie - lub ktoś inny dokona odkrycia?

- To obaj będziemy mieli pecha.

- Ale ja również stracę. Więc podzielimy się siedemdziesiąt - trzydzieści na moją korzyść.

- Sześćdziesiąt - czterdzieści i ubijamy interes.

- Muszę mieć trochę czasu, aby to przemyśleć.

- Nie masz czasu, Henri. Tylko czas trwania tej rozmowy.

- Muszę zobaczyć tego faceta, Mathera.

- Załatwię to, jeżeli ubijemy interes.

- Do czego on się w tym wszystkim nadaje?

- Mówiłem ci. Ma solidną wiedzę; on sam to *flaneur*. Ma swoje środki, nie musi więc zbyt ciężko pracować. Jest wystarczająco sprytny, aby wiedzieć, że nie ma ani środków ani biegłości, aby dokonać tego, co my możemy.

- Czy on podpisze zrzeczenie się praw?

- Według mnie, zwrócenie się z tym do niego byłoby błędem, poważnym błędem. Jeżeli będziemy chcieli, aby dla nas pracował, ja go upoważnię. Już dla mnie pracuje jako doradca redakcyjny. Prawdopodobnie będę mógł uzyskać jego zgodę na kontrakt, który zwiąże mu ręce i nogi, a nam pozostawi wszystkie owoce jego pracy. Muszę jednak podejść do tego bardzo ostrożnie.

- Może dowiązać do tego kobietę? - suchy śmiech Berchmansa zaszczekał w słuchawce. -  
Następne pytanie: ile potrzebujesz, aby rozpocząć swoje poszukiwania?

- Podróż pierwszą klasą, noclegi i wszelkie wydatki. Prawdopodobnie większość pracy zrobię w czasie moich letnich wakacji. Wnoszę, że pozwolisz mi korzystać ze swoich biur i zwiadowców?

- Biur tak. O zwiadowcach porozmawiamy przy okazji. Podaj mi przybliżoną sumę.

- Pięćdziesiąt tysięcy, aby zorientować się, czy jesteśmy na tropie czy w pogoni za błędnym ognikiem.

- Pięćdziesiąt tysięcy to za dużo - powiedział Henri Berchmans. - niech będzie globalna suma trzydzieści. Ty płacisz wszystko ponad.

- Górna granica trzydzieści tysięcy, sześćdziesiąt - czterdzieści zysku brutto.

- Pierwszy raz słyszę słowo „brutto”

- Nie oczekujesz chyba, że powiem „netto”, prawda Henri? Robię ci największą przysługę w twoim życiu, a ty ciągle chcesz sknerzyć.

- Więc brutto.

- Dobra. Dogadaliśmy się.

- Dlaczego więc nie chcesz ukreślić ła tej wiadomości? Dlaczego alarmować cały świat tym, co wiemy?

- Ponieważ nie ma sposobu abyśmy, ty i ja, objęli cały świat poszukiwaniami, zamieszcamy więc wody i będziemy obserwowali bańki na powierzchni. Ty jesteś seniorem dealerów; są znaczne szanse, że pierwsze znalezisko trafi przed twoje schody - lub moje, jako publikującego wiadomość.

- Prawdopodobnie masz rację - powiedział Berchmans, nieskory do mówienia komplementów  
- spotkamy się w Nowym Jorku za tydzień lub dwa. Dawaj znać o rozwoju sytuacji. Coś jeszcze?

- Jestem ciekaw - powiedział Seldes zgryźliwie - kiedy powiesz „dziękuję”.

Po dłuższej chwili ciszy Berchmans odrzekł z rozmyślnym lekceważeniem:

- Dobiliśmy targu. Zrobię, co do mnie należy. Ty zrobisz swoje. A gdy znajdziemy to, czego szukamy, obaj upadniemy na kolana i będziemy chwalić Boga, który uczynił nas bogatymi i szczęśliwymi. A bientot, Seldes.

Harmon Seldes odłożył słuchawkę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Zobaczył faceta z wydatną twarzą, wymagającego ogolenia i ostrzyżenia, który wykroił sobie właśnie całkiem niezły interes. W najgorszym razie miał opłacone wakacje, a w najlepszym - człowiek będzie mógł się, cholera, wycofać z interesów w luksusy, za dwa portrety i pięć szkiców Rafaela do spółki. Henri Charles Berchmans Starszy był starym, nie przebijającym w słowach satyrem, ale jak wszyscy wielcy dealerzy wierzył w cuda: iskrę geniuszu, która potrafi zamienić czyste płótno w cudowny przedmiot; Midasowy cud zachłanności, przemieniający przedmioty w złoto.

Najprostszym sposobem manipulowania satyrem było rzucenie mu ofiary na pożarcie. Zadzwoił do Maxa Mathera, który w tym właśnie momencie budził się z gigantycznym kacem. W głowie mu łomotało, oczy miał pełne piasku. Usta miał pełne goryczy. Jego odpowiedź była mniej niż serdeczna.

- Która jest godzina, do diabła, Harmon?

- Jest właśnie dziewiąta trzydzieści. Czyżby mały Maksio miał ciężką noc?

- Mały Maksio umiera - możesz o to winić Eda Bayarda.

- On ma dobry stół, jak mi mówiono.

- Również leje brandy jak wariat. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałbym ci powiedzieć, że właśnie Berchmans zgodził się finansować poszukiwania Rafaelów.

- Życzę wam obu wiele szczęścia. Mogę teraz spać dalej?

- Jeszcze nie. Berchmans chciałby spotkać się z tobą, gdy będzie za kilka tygodni w Nowym Jorku.

- Nie będzie mnie tutaj. Wyjeżdżam jutro do Europy. Ale mogę zatrzymać się w Paryżu, aby z nim porozmawiać, pod warunkiem, że Belvedere dopłaci do Concorde.

- Dlaczego Concorde?

- Ponieważ trudzę się dla ciebie, a ty masz z tego korzyści.

- Bardzo dobrze. Złóż zapotrzebowanie, podpiszę je. Jakie masz plany?

- Dziesięć dni spokojnej pracy nad artykułem o Madeleine Bayard. Widziałem jej płótna wczoraj wieczór - są oszałamiające. Tekst musi z nimi harmonizować. Jak tylko skończę, prześlę go do redagowania Leonii i tobie, dla przyspieszenia. Potem pojadę na tydzień na narty do St. Moritz. Następnie jadę do Florencji. Czy chciałbyś, abym coś jeszcze zrobił?

- Zatelefonuję zaraz do Berchmansa i ustalę, gdzie mógłbyś się z nim skontaktować w czasie weekendu.

- Czego on chce?

- Sprawdzić twoje naukowe sumienie.

- Każdy już to zrobił. Czego jeszcze mniej więcej chce się dowiedzieć?

- On jest dla nas ważny, Max.

- Dla ciebie, nie dla mnie, ale będę dla niego miły przez wzgląd na ciebie. Czy chciałbyś, abym coś jeszcze zrobił, gdy będę w Europie?

- Dam ci znać. Ważne, abyśmy koordynowali nasze poczynania. Mogę cię skierować tam, dokąd będzie trzeba, ale nie powinniśmy działać niepotrzebnie lub sprzecznie.

- Zgoda, zgoda! A teraz mógłbyś się rozłączyć? Naprawdę chciałbym umrzeć w spokoju.

Pięć minut później Max wy dostał się z trudem z łóżka, uzupełnił brak płynów sokiem pomarańczowym i kawą, zatelefonował do Anny-Marii i umówił się z nią na jogging w Central Parku. Półtorej godziny później, gdy biegli oboje ścieżką w stronę centrum, wyjaśnił jej:

- Jutro wyjeżdżam do Europy.

- Dlaczego tak szybko?

- Wiele jest do zrobienia. Mam się spotkać z Berchmansem w Paryżu, utworzyć przedsiębiorstwo w Zurychu - to, które będzie prowadzić interesy twojej galerii. Chcę także trochę pojeździć na nartach w St. Moritz. Potem jadę do Florencji, poczytać więcej w archiwum i poczynić kroki dla pozyskania Tolentina dla galerii. Tymczasem muszę znaleźć trochę spokoju, aby napisać artykuł o Madeleine Bayard i odesłać tu z powrotem do redagowania.

- Czy jest szansa, żebyś spotkał się z ojcem po drodze?

- Tylko gdyby był w Zurychu, kiedy ja tam będę. Wpadnę do Christie's dowiedzieć się, czy mogą mi powiedzieć gdzie jest... ale nie będę na niego polował. Powinien to wiedzieć. Więc uprzedź go, jeśli zadzwoni.

W cieniu starego klonu zatrzymała się w miejscu i pocałowała go w usta. Odpowiedział z ochotą, a potem, trzymając ją na długość ramion, zapytał cicho:

- Za co to było?

- Tracę cię, do cholery!

- I ja cię tracę.

- Nie. Będziesz zbyt zajęty.

Gdy ponownie zaczęli biec, rzuciła mu ukośnie, zdyszane pytanie:

- Dlaczego ty i ja nie zakochaliśmy się, Max?

- Być może zakochaliśmy się - powiedział kwaśno Max - ale oboje nie zauważyliśmy tego.

Pobiegnijmy następne pół mili, dobrze?

Edmund Justin Bayard miał swoją własną kurację na kaca, którą stosował wyłącznie do siebie i która ostatnio stała się zbyt częsta. Podczas gdy nigdy nie tykał alkoholu w godzinach pracy, popijał zdrowo przy obiedzie: martini z wódką jako koktajl - jeden po przyjeździe do domu, jeden w czasie gdy moczył się w wannie - butelka caberneta do posiłku, jedna duża brandy z kawą i druga na dobranoc. Z gościem na obiedzie ilość wzrastała znacznie.

Jako terapię leczniczą stosował zwawy spacer do śródmiejskiego bloku mieszkalnego, gdzie tajska madame z trzema młodymi kobietami prowadziły saunę, łaźnię, golenie, masaż, ręczną masturbację dla samotnych i podstarzałych biznesmenów. Lokal był dyskretny, bielizna czysta, dziewczęta miłe, a cała operacja stosunkowo mało ryzykowna. Każde pomieszczenie było dźwiękoszczelne i wyposażone w telefon, więc w czasie wypoczynku można było załatwiać swoje sprawy we właściwym odosobnieniu. To stąd właśnie Ed Bayard pierwszy raz poruszył pomysł Maxa Mathera, syndykatu zakupów dzieł sztuki. Jego argumenty były proste i stawały się coraz bardziej przekonujące za każdym razem, gdy je poruszał.

- ... dziesięciu udziałowców, nie więcej, każdy udział 50 000 dolarów. To daje pół miliona płynnego kapitału obrotowego, na posiadanie w dyspozycji dzieł, które będziemy mogli nabyć, a dla których według większości z nas istnieje łatwy zbyt. Nie będziemy kupować wielomilionowych arcydzieł. W żaden sposób nie możemy konkurować na tym rynku. Ale wszyscy wiemy, że są okazje do znalezienia w słabszym sezonie w galeriach i w gorsze dni na aukcjach. Mam właśnie człowieka, który mógłby poprowadzić to dla nas. Jest niczym nieskrępowany, w nikim nie zakochany, ma własne skromne zasoby i szuka możliwości w świecie sztuki. Można będzie znaleźć kilka jego poważnych publikacji w kwietniowym i majowym numerze Belvedere: Max Mather... tak, Mather. Najlepsze w tym, że on nie będzie kontrolował funduszu. My będziemy. On po prostu powiadomi faksem lub teleksem o przedmiocie, cenie i swojej rekomendacji. My wówczas potwierdzimy depozyt do zatrzymania, dokonując szybkiego przeglądu rynku. Nie, nie musimy wpłacać całej sumy 50 000 dolarów od razu; możemy poręczyć przez bank. Statut stowarzyszenia? Mam kilka egzemplarzy dla ciebie, do rozważenia. Świetnie. Nie gwarantuję, że zrobimy fortunę, ale nie stracimy pieniędzy i będziemy mieli dużo zabawy. Dziękuję. Ty też.

Przez czas, w którym pozbył się całkowicie kaca i skończył kurację, uzyskał obietnice od pięciu udziałowców i trzech, którzy mieli zadzwonić później, w ciągu dnia. Zatelefonował do Mathera.

- Mamy syndykat, Max. Jak dotąd pięciu udziałowców po 50 000 dolarów. Trzech dalszych jest gotowych do przyłączenia się. Nie zamknąłem listy, ponieważ muszę wiedzieć, jak ty siebie w tym widzisz.

- Bardzo jasno. Jestem udziałowcem pracującym. Moją roczną pracą opłacam mój 50 000 udział. Jeżeli potem będziecie nadal mnie chcieli, ja zatrzymam mój splecony udział i podpiszemy nowy kontrakt o zatrudnienie.

- To jest naprawdę - zbyt hojnie, prawdę mówiąc.

- Zostawiam ci więc do opracowania układ sprawiedliwy dla wszystkich zainteresowanych. Wyjeżdżam jutro do Europy. Przteleksuję ci adres zamieszkania.

- Szybko wyjeżdżasz.

- Mam długą listę zajęć. Przy okazji, chciałbym używać twojego nazwiska do powoływania się: na osobę tylko, nie finansowo. Moi bankierzy wykonają resztę.

- Lepiej jednak napiszę list polecający i prześlę do twojego mieszkania dziś wieczór. O, jeszcze jedna rzecz... pamiętaj, że praktycznie biorąc syndykat istnieje. Nic już nie stoi na przeszkodzie, aby o nim mówić, a nawet posługiwać się nim w trakcie twoich podróży. Załatwię formalności z tej strony.

- Dobrze o tym wiedzieć. Zatelefonuję do ciebie, kiedy sprecyzuję swoje ruchy.

- Dobrej drogi, Max.

- Po rozłączeniu poczuł się odprężony i gotów do pracowitego, prawniczego dnia. Bez Mathera spodziewał się szybszych i łatwiejszych zalotów do Anny-Marii Loredon. Czuł się ogarnięty przyjemnym ciepłem dobrego samopoczucia. Dał małej tajskiej dziewczynie dwudziestodolarowy napiwek, poklepał ją z uczuciem po pośladku i wyszedł w zakurzone słońce Manhattanu.

Leonie Danziger była w wystudiowany sposób ożywiona i metodyczna. Zajęła się już materiałami pomocniczymi do artykułu o Madeleine Bayard. Wręczyła Matherowi dwie zaklejone taśmą teczki.

- Ta zawiera notatki z wywiadów z głównym oficerem śledczym okręgu. Nie może pan go cytować bezpośrednio, ale da to panu jasne wyobrażenie o policyjnej wersji morderstwa. Diagramy, to nie potrzebujące wyjaśnień fotokopie.

- Jak pani to zdobyła?

- Długa praktyka i niezależna dziennikarka o dużym wdzięku. Nowojorski departament policji ma sekcję public relations, więc naopowiadała im o przygotowywanej wystawie, artykule, który pan pisze dla Belvedere i nieuniknionym ożywieniu spekulacji prasowych o nie rozwiązanej sprawie morderstwa. Przydzielili jej miłego, młodego człowieka, który zabrał ją do okręgu. Ona postawiła lunch oficerom sprawy... voila! Oni nie udostępnili jej żadnych fotografii, ale skierowali ją do agencji Czarna Gwiazda, której fotograf był na miejscu kilka minut po policji. Wszystko to kosztowało mnie trzysta pięćdziesiąt dolarów, płatne czekiem albo gotówką.

- Myślę, że zasłużyła pani na premię.

- Przyjmę ją również.

Wyciągnął mały przedmiot, owinięty w tkaninę. Gdy Leonia odwinęła ją, znalazła małą figurkę tancerki tarantelli w antycznym capodimonte. Jej oczy rozbłysły z radością, ale podziękowanie było ostrożne i opanowane.

- Jest piękna - a pan jest bardzo uprzejmy, Max. Dziękuję. Wypisał czek na trzysta pięćdziesiąt dolarów i wręczył jej.

- Wyślę pani egzemplarz, jak tylko będę mógł najprędzej. To, co proponuję w tym momencie, to portret Madeleine Bayard takiej, jaka ukazuje mi się z jej obrazów, ze słyszenia, w zapisie o jej życiu i śmierci.

- I tym razem - Leonia Danziger powiedziała łagodnie - zrobi pan to z troską i oddaniem, dobrze? Żadnej fuszerki, żadnego pisania nie całkiem przemyślanych rzeczy.

- Tak jest, pani nauczycielko - zakpił.

- O której rano pan wyjeżdża?

- Concordem Air France. Dziesiąta trzydzieści. Przyłot wieczorem. Seldes umówił mnie z Henrim Berchmansem następnego dnia rano w Paryżu. Potem jadę do Zurychu.



- Proszę mi nic więcej nie mówić. Zazdrość mnie zjada. Czy pan uwierzy, że nigdy nie przekroczyłam Atlantyku - miss Manhattanu to ja! Wszystko, co zarobiłam, włożyłam w to mieszkanie i elementy wykształcenia intelektualistki.

Miał komunał na końcu języka. Powstrzymał się jednak i zamiast tego zapytał:

- Będzie pani centrum komunikacyjnym, gdy mnie nie będzie? Na warunkach handlowych, oczywiście.

- Jestem całkowicie na usługi. Przy okazji, proszę przeczytać bardzo dokładnie materiał policyjny, a potem przestudiować fotografie. Otwierają szerokie pole do spekulacji.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że oszołomiony narkotykiem zabójca jest makietą dla publiczności. Policja uważa, że zna prawdziwego zabójcę, ale brak jej dostatecznych dowodów, aby mu to dowieść.

- Świetny pomysł.

- Tak, prawda?

Nastąpił moment niezręcznej ciszy; po czym, ciągle z oficjalną skrupulatnością, podała mu rękę.

- Bezpiecznej podróży, Max. Nie wiem, jakie są pana plany, ale życzę panu jak najwięcej szczęścia na świecie.

- Niech pani też uważa na siebie. Ja życzę tylko... Położyła palec na ustach, uciszając go.

- Gdyby życzenia były koźmi, jeźdźcami byłiby żebracy.

- Tak, cóż - niech pani też uważa na siebie. Zadzwoń z Zurychu.



## ROZDZIAŁ 8

Henri Charles Berchmans Starszy przyjął go, nie siląc się na grzeczność, w galeriach Berchmans et Cie, niedaleko Quai des Orfevres. Była niedziela rano, jeden z tych dżdżystych dni, gdy Paryż i jego mieszkańcy wyglądają nędźnie, nieszczęśliwie, a twarze mają ściągnięte wokół ust. Oprócz nich w galeriach obecni byli jedynie trzech strażnicy, wyglądający jak roboty w średnim wieku. Spotkanie miało miejsce w zaniedbanym, pozbawionym ozdób biurze, które w dni powszednie było zapewne zajmowane przez jakiegoś niższego urzędnika.

Berchmans, niski, krępy facet o żelaziste szarych włosach, twardych oczach i nieustannie zaciskających się nerwowo dłoniach, doprowadził nieuprzejmość do poziomu sztuki. Mather, którego odlot z Nowego Jorku został opóźniony o dwie godziny, na skutek czego rezerwacja hotelu została anulowana i który został z tego powodu zmuszony do spędzenia nocy w pokoju nie większym i niewiele czystszy niż szafka na miotły, nie był ubawiony. Pierwsze pytanie Berchmansa, po francusku, było wszechogarniające.

- A więc, panie Mather, co chce mi pan powiedzieć?

- Nic panie Berchmans. Odwiedziłem pana na prośbę Harmona Seldesa. Zadałem sobie trud, aby to zrobić. Oczekuję, że pan postawi mi pytanie, które umotywuje tę niedogodność.

- Bardzo dobrze. - Berchmans był zupełnie niezmiyszany. - Dlaczego Rafael, co? Dlaczego nie Caravaggio, Bellini, Boldini? Definitywnie i ostatecznie Rafael. Koniec, kropka. Te wzmianki, które pan znalazł, to drogowskazy donikąd. Wie pan o tym doskonale, z pana jest sprytny facet.

- Gdybym był naprawdę sprytny - powiedział Mather - nie marnowałbym tego niedzielnego ranka w Paryżu. Jestem paleografem. Natknąłem się na wpis w zespole florenckich ksiąg rachunkowych. Ponieważ jestem naukowcem, zreferowałem to w naukowym czasopiśmie. Harmon Seldes powiedział mi, że zrobił z panem jakiś interes. Nie jestem stroną w tym interesie. Nie prosiłem o to. Robię grzeczność panu i Seldesowi, a pan jest bardzo nieuprzejmy. Więc pozwoli pan, że pójdę w swoją stronę.

- Czekaj pan! - Berchmans podniósł grubą rękę, aby go powstrzymać. - Jestem szorstki, rozgniewałem pana. Zaczniemy od początku. Te księgi rachunkowe - są one autentyczne?

- Pan wie, że są.

- Nie wiem. Seldes mi powiedział.

- Pan mu nie wierzy?

- Nie chciałbym się wypowiadać.

- To pańska sprawa. A teraz proszę mi wybaczyć...

- Zawarłem układ z Seldesem. Nie oferował panu w nim udziału?

- Odmówiłem od razu.

- Jest pan głupcem.

- Mam dość rozsądku, aby nie grać z grubymi graczami.

- Ale nie odmówi pan porządnej sumki?

- To zależy, kto mi ją da.

- Pewnie właściciel. To byłoby dla pana najkorzystniej, prawda?

- Chyba, że dżokej byłby przepłacony, a trener miał w tym udział.

- Pan mnie obraża, panie Mather.

- Nie. To pan mnie obraża. Najpierw próbował pan mnie zastraszyć, a teraz chce pan mnie kupić. Po co? Gdy spotkałem się z Harmonem Seldesem, powiedziałem mu, że znaleźć Rafaele to szansa jak jeden do miliona. Nie mam czasu, energii ani pieniędzy na przyłączenie się do poszukiwań. Nawet obiecałem przekazać każdą dodatkową informację, na jaką natrafię. Ale to wszystko! Koniec! Mam kilka interesujących projektów. Rozważam otwarcie nowej galerii. Będę trochę handlował na marginalnym rynku i kontynuował swój program badawczy.

- Mógłbym chyba panu zaproponować pewną sprawę. Niech pan idzie. - Starzec chwycił Mathera za ramię i wypchnął go szybko i niezbyt delikatnie z biura w dół, do magazynu. Ściągnął obraz ze stojaka i odwrócił go do Mathera.

- Może pan to zidentyfikować?

Mather przyglądał się obrazowi kilka chwil, po czym przedstawił werdykt z wahaniem.

- To ma być Frans Hals... ale nie jest.

- Dlaczego nie jest?

- Tło jest zbyt jasne, twarz jest słabo zarysowana, nie pasują włosy. Strój jest wypracowany, ale koronki zrobione niedbale.

- Mógłby pan podać nazwisko malarza?

- Nie. Mógłbym zapytać o cel tego badania?

- Tylko, aby sprawdzić, jakie ma pan oko.

- Mógłby mnie pan oświecić co do tego malarza?

- Nie. Mogę tylko powiedzieć, że jest bardzo dobrym konserwatorem i świetnym kopistą, i że wykonał dla mnie szereg prac.

- Muszę powiedzieć, że widziałem lepsze.

- Gdzie?

- U Niccola Tolentina. Ściągam go tego lata na wykłady do Nowego Jorku.

- Jest pan również impresariem, panie Mather?

- Nie. Jestem naukowcem, sprawdzającym jego uzdolnienia w nowych dziedzinach.

- Mam więc nadzieję, że zaprosi mnie pan, abym mógł zobaczyć i usłyszeć signora Tolentina.

- Z przyjemnością. Czy ma pan do mnie coś jeszcze?

- Tak. Oto moja wizytówka. Może pan w każdej chwili do mnie dzwonić, tutaj lub w Nowym Jorku.

- To miło z pana strony.

- Ja nigdy nie jestem miły, panie Mather. Ja nawet rzadko jestem uprzejmy. Jedynym moim motywem jest zysk. To nie ma nic do rzeczy, że go osiągam za pomocą pięknych przedmiotów. Nie mogę zjeść Poussina. Cezanne nie nakarmi moich koni, nie opłaci dżokeja ani trenera. To mój zysk, który to robi. Odnoszę wrażenie, że pan może mi przynieść korzyść - i tylko dlatego jestem gotów być panu pomocny. W sprawie Rafaelów lub w innej.

- O Rafaelach już mówiliśmy. To sprawa pomiędzy panem a Harmonem Seldesem.

- Dlaczego jest pan tak uparty, panie Mather?

- Bo pan ze mną gra - grę starego bogacza. RzUCA mi pan wszystkie rodzaje przynęty i czeka, na którą wezmę. Jestem tak samo sprzedajny jak każdy inny, ale pan mi bardzo szybko przywraca cnotę. Teraz już naprawdę muszę iść. O trzynastej trzydzieści wyjeżdżam do Zurychu. Przejdę się do hotelu.

- Przemoknie pan zanim tam dotrze. Niech się pan trochę rozchmurzy. Podrzucę pana.

- Bardzo dobrze.

- No. - Berchmans roześmiał się i wyciągnął rękę. - Już dobrze. Bądźmy przyjaciółmi. Lubię silnych facetów, umiejących walczyć o swoje. To także cecha dobrego artysty. Musi być nieustępliwy, aby przeżyć w swojej dziedzinie, inaczej czekają go niepowodzenia i brak akceptacji. Seldes mówił mi, że pan pracuje dla niego. Co pan robi poza tym?

- Przyjąłem zlecenie szperania dla nowej galerii w Nowym Jorku. Prowadzi ją córka Hugh'a Loredona - zna pan oczywiście Hugh'a?

- Tak, rzeczywiście. Od lat. Jego córka jest pańską przyjaciółką?

- Byliśmy razem we Florencji.

- A co będzie pańskim pierwszym przedsięwzięciem?

- Pośmiertna wystawa Madeleine Bayard. Nie wiem, czy pan o niej słyszał: żona nowojorskiego prawnika, zamordowana w swojej pracowni.

- Uwierzy pan, że znam ją bardzo dobrze, panie Mather? Kupiłem trzy jej obrazy od mojego przyjaciela Lebruna. Zamówiłem jeszcze jeden, ale zmarła zanim został namalowany. Była piękną kobietą, wielką artystką.

- Czy ma pan te obrazy tu, w Paryżu?

- Nie, one są w Nowym Jorku.

- Czy nie rozważyłby pan wystawienia ich razem z resztą kolekcji? Byłoby to korzystne dla obu stron.

- Mógłbym. Kto jest właścicielem kolekcji?

- Jej mąż, Ed Bayard.

- Robię z nim interesy od czasu do czasu. On ma interesującą kolekcję, jest ona jednak taka jak on sam - fragmentaryczna i zmanierowana.

- I taką przedstawi galeria panny Loredon.

- Obraca się więc pan, panie Mather, w towarzystwie budzącym szacunek.

- Miło mi mieć świadomość, że jestem użytecznym współpracownikiem.

- Jestem pewien, że jest pan nim, ale z pewnością nie jest pan specjalistą w dziedzinie sztuk pięknych.

- Absolutnie nie. Moją dziedziną są manuskrypty. Dodatkowo studiowałem historię sztuki i ocenę dzieł sztuki. Moją tradycją jest humanizm, dlatego bardzo przyjemnie mieszkało mi się we Florencji. Czy moglibyśmy już wyjść? Mam jeszcze parę spraw przed wyjazdem.

- Oczywiście.

Podczas jazdy do hotelu Berchmans wykonał ostami ruch strategiczny.

- Rodzina Palombinich... Pan był u nich archiwistą, jak rozumiem?

- Tak.

- Nie jestem obznajomiony z ich kolekcją.

- Nie należy do wielkich. A co się ich tyczy, przed kilku dniami otrzymałem list od Claudia Palombiniego, wskazujący, że chociaż ich rodzina kupowała od czasu do czasu wartościowe rzeczy, to są oni, historycznie rzecz biorąc, Filistynami. Napisałem do niego, informując go o moim odkryciu. Komentując to stwierdził, że nigdy nie słyszał o tych obrazach, ale chciałby je teraz mieć. Mógłby je spieniężyć.

- Widzi pan więc - powiedział Berchmans z zadowoleniem - że nie jestem znowu takim starym durniem, prawda? Wie pan to od swego poprzedniego zwierzchnika.

- On nie był nigdy moim zwierzchnikiem. - Mather powiedział chłodno. - Jego ciotka była głową rodziny. Byliśmy kochankami aż do dnia jej śmierci.

- Requiescat. - Francuz przeżegnał się szybko.

- Amen. - Powiedział Max Mather.

- Do zobaczenia. - Powiedział Henri Charles Berchmans.

Przewidujący przedsiębiorca zbudował blok mieszkań z obsługą dla przyjezdnych biznesmenów, na zboczach Sonnenbergu z widokiem na miasto i jezioro Zurych. Do każdego z mieszkań należał garaż. Portier był przy wejściu, pokojówki do obsługi dziennej, była też mała ale wygodna restauracja w wiejskim stylu.

Mather zdecydował się zakwaterować tu właśnie na czas swojego pobytu w Zurychu, oraz zatrzymać rezydencję i adres do użytku na przyszłość. Potrzebował odosobnionego miejsca, gdzie mógłby rozłożyć swoje papiery, bez nieustannego wścibstwa hotelowego personelu. Przedsiębiorca przewidział tu w każdym apartamencie niewielki, szyfrowy sejf, co w pewnym stopniu zapewniało bezpieczeństwo. Mercedes, wynajęty w agencji na lotnisku, zapewniał mu możliwość sprawnego poruszania się.

Restauracja mogła dostarczać posiłków rano, w południe i wieczór, jak również uzupełniać trunki w kredensie. Porozumiewać mógł się bez problemu, mówił płynnie po francusku i włosku, znośnie po niemiecku. Poza tym wszystko było pod firmą Artifaxu, co równocześnie zapewniało mu anonimowość, bez koniecznej obecności. Szwajcarzy są narodem dyskretnym i zdyscyplinowanym, rozumiejącym bardzo dobrze swój interes i oczekującym tego samego od swoich gości.

Interesy Mathera musiały być prowadzone uważnie, według przyjętych priorytetów. Najpierw musiał zostać wprowadzony do branży, starych, lokalnych firm w Zurychu i poza nim, ciągle zgarniających wielkie sumy pieniędzy w twardych walutach Europy. Nie plotkuje się o nich w lokalnej prasie, tak jak w Ameryce. Ich kapitałem handlowym jest dyskrecja. Obsługują wąski rynek: spokojny, stary kapitał, wystrzegają się nowych pieniędzy. Nie tylko znają każdy tytuł „von” i „de” w Europie, ale potrafią ocenić co do tysiąca, ile każdy z nich jest wart w twardej walucie.

Wprowadzenie do tej klubowej grupy wymagało nieco starannej dyplomacji. Alois Liepert i Gisela Mundt ułatwią mu rekomendację. Jego dyscyplina naukowa doda mu autorytetu. Palombini, Berchmans, Belvedere i Harmon Seldes są potencjalnymi arbitrami. Dostęp do pół miliona dolarów funduszu syndykatu jest także niebłahą rekomendacją, podczas gdy jego powiązania z mocną galerią w Nowym Jorku robią z niego interesującego nabywcę we wszystkich kategoriach.

Gdy będzie już gotów do wprowadzenia Rafaelów na rynek, musi być zwierzęciem, jeśli nie miejscowym, to co najmniej dobrze zaprawionym do życia w tej dżungli. Pamięć przywodziła mu

obraz Berchmansa Starszego, głoszącego drapieżczą ewangelię: „Moim jedynym motywem jest zysk. Fakt, że go osiągam w handlu pięknymi przedmiotami, nie ma żadnego znaczenia”.

Berchmans stał się teraz nowym elementem w jego kalkulacjach. Kupił i zamówił prace Madeleine Bayard. To już stanowiło sygnał o wartości rynkowej. Jeżeli zgodzi się na powieszenie na wystawie zakupionych przez siebie płócien jako eksponatów „Nie do sprzedania”, ekspozycja zostanie natychmiast wyprzedana. Autorytet tego człowieka był ogromny. Każdy dealer w mieście pójdzie za jego przykładem.

Chwył polegał na tym, że Berchmans znał lepiej niż ktokolwiek inny wartość swojego nazwiska. Interesujące było wiedzieć, czego będzie chciał za przywilej jego użycia. A to prowadziło do następnego pytania, czy Henri Charles Berchmans Starszy w jakikolwiek sposób był zapisany w papierach Madeleine Bayard.

Mather wyjął fotografie i raporty policyjne i rozpoczął metodyczne rekonstruowanie morderstwa. Większość pracy została już za niego wykonana. Leonia Danziger poskładała rozdrobnione materiały policyjne w spójną opowieść w telegraficznym stylu, ale jasną w każdym podstawowym szczególe tak, że nie sposób już było pomylić niewątpliwych faktów ze spekulacjami.

Zna pan ten lokal. Musi pan zrozumieć, jak był używany, gdy zajmowała go Madeleine Bayard. Parter był pusty. Madeleine używała dwóch wyższych pięter, ze względu na lepsze światło. Istniały - i są do dziś - dwa wejścia do budynku. Tylne wejście z pojedynczymi drzwiami wychodziło na dostawczą uliczkę. Wejście frontowe było wyposażone w domofon. Mogło być otwierane z obu pięter. Na piętra można się było dostać albo schodami, albo hałaśliwą windą.

Jeśli popatrzeć na pierwszą fotografię, to widać jak lokal był użytkowany. Na pierwszym piętrze stojaki na użyte i nieużywane płótna. Półki na papier, materiały rysunkowe, farby, książki. Wszystko w doskonałym porządku. Stół do pracy ze skrzynką uciosową do przycinania blejtramów. Stół kreślarski do szkiców i rysunków architektonicznych. Dwa krzesła, taboret dla modelu.

Odbitka nr 2 pokazuje drugie piętro. Wielkie, dużych rozmiarów łóżce, normalnie zaścielone prześcieradłami, kocami i przykryte pozszywaną ze skrawków narzutą. Według policji - a to pan może sam sprawdzić - łóżce i pościel są wyobrażone na kilku obrazach. Jest tam holenderska serwantka z filiżankami, ozdobnymi półmiskami, zielonym, niebieskim i czerwonym szkłem, kieliszkami - przedmiotami, których używa każdy artysta do kompozycji martwych natur. Jest lodówka z colą,



wodą sodową i białym winem, jak również butelka whisky (opróżniona do połowy) i pełna butelka burbona. Sztaluga i taboret są tak umieszczone, aby padało na nie światło z frontowego i tylnego okna. Nie ma świateł bocznych. Zauważy pan, że na sztaludze jest płótno, z tłem w kolorze niebieskim i umbry, i naszkicowaną postacią mężczyzny o nagim torsie. Policja ciągle trzyma to płótno, jak również szereg innych szkiców i studiów. Większość modeli została na ich podstawie zidentyfikowana. Niektórzy są z agencji w SoHo, niektórzy wyłowieni w kawiarni Negroniego, która jest lokalną meliną modeli, artystów i artystów in spe.

Teraz proszę spojrzeć na odbitkę nr 3. Pokazuje ona to, co zastał Bayard i co policja musiała ponownie ułożyć, gdyż zostało naruszone przez niego, kiedy obejmował swoją zmarłą żonę i kołysał ją w ramionach. Widzi pan, że ciało jest zawinięte w pościel, jak mumia. Leży na materacu twarzą do góry. Została zaszytowana przez pościel, nie ma więc rozbryzgów, ani plam krwi, poza samym łóżkiem.

Ciało pod przykryciem było nagie. Ubiór Madeleine był porządnie ułożony na oparciu krzesła. Nie było żadnych śladów napaści seksualnej lub stosunku seksualnego z mężczyzną. Nie było nasienia w pochwie. W żołądku i w żyłach był alkohol oraz ślady środka uspokajającego, który Madeleine miała przepisany. Wydaje się, że kolejność zdarzeń była taka, iż morderca zastał Madeleine śpiącą, zawinął ją w pościel i zaszytował.

Narzędzia nie znaleziono. Raport sądowy opisuje je jako długie, wąskie, ostro zakończone, o dwóch ostrzach - krótko, rodzaj sztyletu lub noża do papieru w kształcie sztyletu. Ciosy zadane zostały z góry, gdy ofiara leżała na wznak. Było ich wszystkich trzy i wszystkie przebiły serce. Raport medyczny opisuje je jako „zadane dla pewności zadania śmierci, a nie z morderczej wściekłości”.

Policja postawiła pytanie: Dlaczego więc nóż? Dlaczego nie prostszy, mniej krwawy sposób egzekucji? Najprostszym wytłumaczeniem wydaje się to, że narzędzie było przypadkowe i że zabójca zabrał je ze sobą.

Proszę teraz przejść do odbitek nr 4 i 5. To zdjęcia szczegółów: torebka Madeleine, która została przetrząśnięta, a zawartość wysypana na serwantkę. Zabrane zostały pieniądze i prawdopodobnie jej mały dzienniczek, nic więcej. Zawartość szuflad została na obu piętrach wysypana na podłogę, książki były otwierane i porzucone. Wszystko to świadczy według policji o pośpiesznym przeszukiwaniu, a nie o gwałtowności lub wandalizmie. Pomimo pośpiechu, nie było odcisków palców. Wszystko było przemyślane. Jednakże policja rozmyślnie podsycza historyjkę o oszalałym nałogowcu, potrzebującym pieniędzy na narkotyki. Mówią, że wiele wysiłku włożyli, aby do

tego przekonać prasę, mając nadzieję iż dzięki tej dezinformacji zabójca nabierze nadmiernej pewności siebie i stanie się bardziej lekkomyślny.

Mówili także, że najbardziej interesuje ich to, czego tam nie było: odciski palców, dowody gwałtu, narzędzie zbrodni i co najprostsze - kieszonkowy notatnik lub osobisty spis telefonów. Madeleine Bayard spędzała połowę swego życia w pracowni. Jej rachunki telefoniczne były wysokie. Czyżby wszystkie numery telefonów miała w głowie? Niektórzy z modeli, którzy z nią pracowali twierdzą, że widzieli jak korzystała z takiego notatnika i że go przechowywała w torebce.

Twierdzą oni również, łącznie z przyjaciółmi, którzy ją odwiedzali w pracowni, że znikły niektóre z rysunków, które widzieli przypięte na ścianach. Rysunki te opisywali jako „o seksualnej treści”. Bayard utrzymywał, że mógł je widzieć, ale ich nie posiada.

To nas doprowadza do samego Bayarda. Przez dłuższy czas, pomimo swego alibi, był on głównym podejrzanym. Głównym zarzutem przeciwko niemu było to, że jako prawnik powinien był dobrze wiedzieć, że nie należy naruszać stanu miejsca przestępstwa. Niejasność, spowodowana tym zachowaniem, niepokoiła policję. Najgorsze z wszystkiego było to, że Bayard nie krył wcale niewierności swojej żony ani swojej zgrzyoty, ale odmówił zdecydowanie wskazania kogokolwiek spośród swoich przyjaciół lub znajomych jako jej kochanka.

Jego zeznania w tej sprawie były jasne, powtarzał: „Ja wiem, że miała innych partnerów seksualnych. Nie próbowałem dowiadywać się, którzy to byli. Nikogo nie widziałem z nią w łóżku. Ona nikogo nie wymieniała. Cokolwiek bym wam przekazał na ten temat, byłoby plotką lub podejrzeniem i w każdym przypadku byłoby zabarwione gniewem. Nie mogę powiedzieć. Nie powiem”. Oczywiście, jego alibi nie zostało w końcu podważone. Według policji nie jest on już podejrzany. Jednakże jeden ze śledczych wypowiedział zastanawiające zdanie: „My mamy sylwetkę człowieka zdolnego do przemocy - nawet skrajnej przemocy”.

Nasz człowiek zapytał wtedy, czy policja zidentyfikowała kogoś spośród innych, rzeczywiście podejrzanych. Odpowiedzieli w okrężny sposób. Przede wszystkim, powiedzieli, życie Madeleine było bardzo usystematyzowane. Malowała rano, gdy miała światło. Około południa szła do Negronego, aby coś przegryźć i wypić kawę. Gawędziła z każdym, kogo tam zastała. Czasami zabierała stąd modela lub modelkę, albo oboje, jeśli ją zainteresowali, robiła serię studiów i płaciła im gotówką. Zdarzały się seksualne epizody z tymi modelami. Czasami Madeleine szkicowała pozowane sceny erotyczne. Była tak samo widzem jak uczestniczką. Uprawiała seks z mężczyznami i kobietami, ale jej lokalne przyjaźnie nie przekształcały się w trwalsze związki. Jasne jest, że jej życie emocjonalne

rozwijało się na innej płaszczyźnie, wśród innych ludzi. Na przykład, wszyscy modele wchodzili frontowym wejściem. Ale zamek w tylnych drzwiach był dobrze naoliwiony i często używany.

Samochody mogły parkować na tylnej uliczce, bez zwracania uwagi i tak też bywało.

Czasami po południu wzywała taksówkę i odjeżdżała stamtąd. Czasami pozostawała w pracowni, ale przypinała kartkę na drzwiach frontowych „Nie będzie mnie do 5.30 po południu”.

Gdy Bayard przybył w dzień morderstwa, ta kartka była na drzwiach. Drzwi frontowe i tylne były zamknięte. Nikt wchodzący lub wychodzący przez drzwi frontowe nie był widziany.

Wszyscy jej przyjaciele zostali starannie przesłuchani. Niektórzy z nich przyznawali się wyraźnie do krótkich przygód z nią, ale policja nie zdołała sformułować oskarżenia o morderstwo przeciwko żadnemu z nich.

A oto podsumowanie, Max: utalentowana pani, poszukiwała seksu, którego nie dość jej było w domu i skończyła w łóżku z mordercą. To stary banał, ubrany w malarski kitel i umieszczony w mansardzie bohemy. Jednak wielu z nas, w ten lub inny sposób jest w to wmieszanych i oczekujemy, że Pan nam to wyjaśni. Przecież Pan też należy do artystycznej bohemy - cygański naukowiec, który może mieć wgląd w sprawy niedostępne nam wszystkim.

Proszę dzwonić, w razie potrzeby dalszych informacji - i niech Pan zrobi z tego dobry tekst.

Danny D.

Po przeczytaniu tego, przez długą chwilę Mather siedział wpatrzony w pustkę, podpierając brodę rękami. W tonie i treści listu było coś takiego, co wzbudzało w nim niepokój, chociaż zupełnie nie umiał zdefiniować co to było. W końcu zebrał mechanicznie papiery i fotografie do koperty i zamknął je w sejfie. Popatrzył na zegarek: jedenasta trzydzieści. W Nowym Jorku było sześć godzin wcześniej. Ona powinna była składać dzienną robotę, nalewając sobie drinka. Podniósł słuchawkę i wystukał numer.

Telefon w jej mieszkaniu dzwonił i dzwonił. Stał zahipnotyzowany sygnałem niemal trzy minuty, po czym odłożył słuchawkę i odrętwiały ze zmęczenia zaczął przygotowywać się do łóżka.



## ROZDZIAŁ 9

Na pierwszym spotkaniu z Liepertem i Giselą Mundt, Liepert udzielił trafnej porady.

- Widzę, że przedsiębiorców handlowych i aukcyjnych Zurychu umieścił pan na liście swoich pożądanых kontaktów. Ale uważam, że powinien pan z początku być bardzo ostrożnym przy doborze partnerów. Jest pan, jeśli tak mogę powiedzieć, bardziej europejsko nastrojony niż wielu Amerykanów. Myślę, że powinien pan prowadzić handel z tymi firmami, w których zarząd przeszedł od starych w ręce młodoturków, którzy mają kontakty z nową modą, nowymi pieniędzmi i którzy patrzą na rynek globalnie.

- To brzmi bardzo sensownie.

- Spróbuję iść trochę dalej. Ma pan dobre rekomendacje i dobre kontakty. To cenne w tak konserwatywnym mieście jak Zurych. Nie chciałbym jednak, aby pan rozpraszał ten kapitał, stając się zbyt przystępnym, lub okazując się zbyt pochopnym w handlu.

- I z tym się zgadzam. Jak pan sugeruje, abyśmy postępowali?

- Jeśli pan pozwoli, zaaranżuję obiad u mnie w domu. Zaproszę kogoś z banku, dwóch dealerów - każdy jest specjalistą w swojej dziedzinie - i jednego licytatora, Szwajcara oczywiście. W ten sposób będziemy tworzyć przyjaciół a nie rywali. Muszę panu od razu powiedzieć, że sam mam w tym interes. Licytator jest moim klientem. Pozostałych znam z interesów, ale bank byłby zainteresowany, aby mieć ich wśród swoich klientów. Dla mnie - przyjemne ćwiczenie dyplomatyczne, podbudowujące reputację. Dla pana trampolina, z której może pan bez trudu skoczyć do basenu... W ten sposób robi się w Zurychu interesy. Wie pan, co mówi się o tutejszych bankach. Mają dość pułkowników, aby rządzić Ameryką Południową!

- Nigdy dotąd o tym nie słyszałem.

- To prawda. Urzędnicy bankowi wszyscy razem odbywają służbę wojskową, wspinają się więc po drabinie awansów jako przyjaciele. Pozwoli pan, że zadzwonię do żony i spróbujemy ustalić datę.

Po szybkiej wymianie zdań w schweitzerdeutsch, zwrócił się do Mathera:

- Środa?

- Całkiem mi odpowiada.

- Siódma trzydzieści do ósmej. Gdyby pan chciał przyjść z towarzyszką, będzie nam miło.

- Podróżuję sam.

- Niech więc będzie mi wolno zasugerować panu zaproszenie dr. Mundt w roli pańskiej partnerki. Pozostali będą z żonami. Impreza rodzinna jest łatwiejsza, pan rozumie.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, dr Mundt?

- Oczywiście, że nie, panie Mather.

- Dziękuję. Miałbym do państwa pytanie. Czy miałbyście możliwości odnalezienia pewnego małżeństwa w Brazylii? Ona jest Włoszką, on Brazylijczykiem niemieckiego pochodzenia. Pobrali się w Mediolanie w 1947 i wyjechali do Rio de Janeiro.

Liepert rzucił na niego z boku krótkie spojrzenie.

- Czy mogę spytać o powód tych poszukiwań?

- Jest to związane z identyfikacją Rafaelów. Ta kobieta, Camilla Dandolo, była znaną śpiewaczką operową i kochanką Luki Palombiniego. Uważa się, że jej mąż był w czasie wojny lokalnym komendantem SS. Powstaje pytanie, czy Rafaele - lub co więcej, inne dzieła sztuki Palombinich - nie zostały przekazane jednemu lub drugiemu w formie rozliczenia, w zamian za ochronę w czasie wojny.

- Proszę wybaczyć mi, panie Mather, treść mojego pytania.

- Proszę, niech pan mówi.

- Czy jest pan Żydem?

- Nie. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem sens tego pytania - ale nie, nie jestem Żydem.

- Czasem sprawy takie jak ta, są poruszane z innych powodów: zemsta za straconych bliskich, zbrodnie wojenne, odzyskanie własności zabranej przez nazistów. Muszę wiedzieć zanim podejmę działanie.

- Pozwoli pan, że to sprecyzuję.

Mather odszukał i wyjął z teczki odbitki artykułu w Belvedere oraz listy od Guida Valente i Claudia Palombiniego.

- Proszę to przeczytać, a dowie się pan, do czego zmierzam. Liepert czytał, nie spiesząc się. Po skończeniu każdej kartki podawał ją Giseli Mundt. Jej twarz złagodniała w uśmiechu.

- Wygląda więc na to, że znaleźliśmy bardzo wybitnego klienta. Goście na kolacji u Aloisa będą tym również bardzo zainteresowani. Tymczasem mogę zacząć sprawę Brazylijczyków. Oczywiście, teraz to całkiem starsi ludzie. Nie chcielibyśmy ich zbyt niepokoić, ani nie podsuwać im pod nos dużych pieniędzy. Dlaczego nie spróbować ułożyć ogłoszenia? „Wybitny naukowiec zbiera materiały o primadonnach La Scali. Będzie wdzięczny za każdą informację na temat kariery i obecnego miejsca pobytu Camilli Dandolo itd. itd....”. W Zurychu jest agencja, zamieszczająca ogłoszenia tego rodzaju.

- Zróbmy tak. - Mather był podniecony jak uczeń. - Kto wie, co z tego będzie?

- Czy ma pan coś ze swoich materiałów ze sobą?

- Wszystko. Jadę do Włoch. Muszę zwrócić pożyczone materiały. Wziąłem również parę rzeczy do zlicytowania tutaj.

- Czemu by nie pokazać ich podczas obiadu? - zaproponował Liepert. - Myślę, że zainteresują naszych gości.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie. Wszyscy są młodzi i zapaleni.

- Zrobię więc tak. Idźmy dalej... następna ważna kwestia: poufność - w naszym gronie - jest gwarantowana. Wiem to. Ale w gronie przyjaciół, z którymi spotkam się u pana?

- Jest coś takiego jak Ehrenwort. - Liepert był bardzo stanowczy. - Słowo honoru. To mały kraj i miasto staroświeckie w każdym calu. Nadużycie zaufania to eliminacja z biznesu.

- To odświeżająca odmiana - powiedział Mather.

Słowa te wypowiedział z uśmiechem żalu za utraconą cnotą. Odczuł wewnętrzne ukłucie na myśl, że grom nie uderzył w niego, a słowa nie przemieniły mu się w gardle w bryłę stopionego ołowiu. O ile jednak niebo milczało, to Liepert był elokwentny.

- A przecież, przyjacielu, jest pan obcym i musimy pana chronić. Doradzam więc sztywny protokół. Pan przychodzi i wychodzi. Pan prowadzi rozmowy. Pan bada możliwości. Ale zawsze daje pan do zrozumienia, że jedynym wiążącym dokumentem jest mój list jako pańskiego prawnego reprezentanta. Mówi pan doskonale po niemiecku, wyobrażam sobie, że równie płynnie mówi pan po francusku i po włosku - ale nie może pan nigdy polegać na prawniczych subtelnościach w obcym języku. Więc żadnych uścisków ręki ani „mój stary” jak u Anglików. Proszę mówić „Alois Liepert lub

Gisela Mundt napiszą w moim imieniu z wyjaśnieniem i potwierdzeniem sprawy”. Proszę mieć w pamięci słowa... aufklaren und confirmieren.

- Wryję je sobie w pamięć - zaśmiał się Mather. - „aufklaren und confirmieren”, a wy zrobicie to za mnie. Jeszcze kilka spraw z mojej listy: czy możecie odbierać pieniądze dla mnie i dla moich kontrahentów?

- Możemy odbierać i wpłacać do pańskiego banku. Nie możemy i nie będziemy obsługiwać pańskich kont. Może pan, jeśli zechce, zlecić mi pokrywanie wydatków do wysokości powiedzmy pięciu tysięcy dolarów - i wyrównać bilans moich wydatków na moje konto.

Mather zrobił szybki przegląd swoich notatek. Pozostała do omówienia z adwokatem tylko jedna sprawa, do niej za to potrzebował jak najdokładniejszej porady.

- Oświadczenia składane mi, lub przeze mnie, co do autentyczności, własności lub pochodzenia przedmiotów oferowanych do sprzedaży ... to bardzo ważne słowa, prawda?

- Bardzo ważne. - Zgodził się Liepert. - I jeśli ich pan właściwie nie rozgryzie, może się pan nawet narazić na przełknięcie skazania na więzienie. Rozważmy więc to po kolei. Oświadczenie złożone panu jako nabywcy: niech pan poprosi o potwierdzenie go na piśmie dla mnie. Sprawdzę i odpowiednio doradzę. Może to opóźnić transakcję. Może pan nawet stracić którąś od czasu do czasu, ale to jedyny bezpieczny sposób. Okazuje pan właściwą postawę w sprawach prawnych. W razie pomyłki albo oszustwa jest pan kryty.

- To pocieszające.

- Mój ojciec był sędzią. Zwykł być mówić „Dla skrupulatnego człowieka zawsze znajdzie się otucha”. Potrzebowałem dużo czasu, aby zrozumieć, co miał na myśli. A co do drugiej części pańskiego pytania, oświadczenia złożonego przez pana: jeśli chodzi o tytuł, uprawnienie do posiadania lub sprzedaży - musi zawsze zostać okazane. A jeśli chodzi o pochodzenie... w Szwajcarii istnieje szerokie pole do prawnej tolerancji, z powodu tradycji handlu poprzez granice. Handel ten jest oczywiście ogromnie zyskowny. Nasz własny rząd więc nie wchodzi w to, skąd towar się bierze. Niechętnie odpowiada na oficjalne wystąpienia w sprawie przestępczej działalności, ale stanowczo odmawia współdziałania w zakresie przepisów podatkowych lub celnych sąsiadujących państw. Widzi więc pan, że w artystycznym biznesie pewne niedomówienia są potrzebne i dopuszczalne. Nie jest pan zobowiązany do deklarowania, że bogaty Włoch sprzedał panu obraz, który przemycił nielegalnie przez naszą granicę. Nie jest pan również zobowiązany do wyjawiania jego nazwiska, o ile nabywca zadowolona się tym, że pan dostarcza legalnego towaru. Pańscy klienci szybko docenią mądrość takiego

postępowania. Wszystko to oczywiście oparte jest na pańskiej szczerości wobec mnie; muszę mieć absolutne zaufanie do tego, co pan mi powie.

W dziesięć minut później, gdy konferencja się zakończyła, Mather kroczył wzdłuż Bahnhofstrasse na spotkanie z dyrektorem swojego banku, aby podjąć pieniądze, zdeponować teczkę Hugh'a Loredona i poczuć przez chwilę szorstkie, nawoskowane płótno, w które zapakowane były Rafaela Palombinich.

Dotyk ten był mu potrzebny do umocnienia odwagi do gry, w której były główną wygraną. Zaczęła się ona właśnie na serio. Jej reguły opanował doskonale. Został przyjęty do salonu privé, gdzie stawki nie były ograniczone, ani uznawane zapisy w grze. Teraz musiał wykazać, że jest zdolny dotrzymać towarzystwa mistrzom w grze, którzy, gdyby im nie sprostał, oskubaliby go jak nieopierzonego kurczaka i schrupali na obiad.

Czterdzieści minut później w Paryżu, Henri Charles Berchmans porządkował szyki swoich sił strategicznych i przygotowywał plan gry. Siły były ogromne, a plan globalny, ponieważ Berchmans był nie tylko handlarzem, ale i kolekcjonerem i dealerem informacji w zakresie dzieł sztuki, przez rozciągniętą na cały świat sieć agentów i klientów.

Dokonywał on ocen dla banków i towarzystw ubezpieczeniowych w każdym z większych krajów. Doradzał w zakresie formowania i likwidacji kolekcji. Tworzył kierunki i mody w sztuce. Brał udział w formowaniu cen, jak bankierzy w Londynie i Zurychu w ustalaniu dziennych cen złota. Troskliwie kontrolował strumień dóbr, tak jak dealerzy diamentów w Afryce Południowej, aby poziom cen nigdy gwałtownie nie spadł. Gdy rynek aukcyjny przygasał, interweniował delikatnie radą, lub przez aranżowanie przedaukcyjnych sprzedaży, których wyniki publikowane były w przesadzony sposób. Ekspertci twierdzili, że obraz zawsze był wart ceny, jaką Berchmans zapłacił. Reszta zbiorów Berchmansa zyskiwała więc na wartości, a dealerzy i licytatorzy błogosławili go za to.

Stosował ekspansjonistyczną politykę wobec bankierów. Sprzedawał im po wysokich cenach obrazy do sal konferencyjnych. Zestawiał wystawy, które sponsorowali. Zachęcał ich do pożyczania pieniędzy na pojedyncze dzieła sztuki i całe kolekcje. Jego argumenty były bardzo proste.

Na wypożyczenie daję wam bezpieczną wycenę - czterdzieści procent poniżej wartości rynkowej. Gwarantuję wykup po tej samej cenie każdego dzieła, które wyceniłem. W razie



zastrzeżenia wykupu, doradzę właściwy moment wystawienia go na aukcję, z zyskiem dwudziestu procent.

W stosunku do towarzystw ubezpieczeniowych jego argumentacja była odwrotna.

Wyceniam wysoko, możecie więc brać wysokie stawki. W razie zniszczenia dzieła, płaciecie oczywiście wysokie odszkodowanie. W razie kradzieży, prędzej czy później dowiem się, gdzie jest oferowane na czarnym rynku i będę umiał, lepiej niż ktokolwiek inny, wynegocjować jego zwrot po najniższej cenie. W przypadku uszkodzenia, skieruję do was po najniższych kosztach najlepszych na świecie konserwatorów.

Krótko mówiąc, Henri Charles Berchmans Starszy sam był rodzajem bankiera, działającego na ograniczonym rynku za pomocą ściśle kontrolowanej waluty. Jak każdy bankier, był uzależniony od codziennie dostarczanej i gwarantowanej informacji. Utrzymywał własne banki danych w Paryżu i Nowym Jorku. Jego biura były połączone siecią komputerową. Jego najwartościowszy pracownicy nigdy nie wkraczali do sal sprzedaży, ani nie schlebiali klientom, lecz nieprzerwanie chomikowali strzępki i okruchy informacji na temat zgonów, ślubów, rozwodów, bankructw i zatwierdzania testamentów.

Tak więc, podczas gdy Max Mather, gracz - nowicjusz, siedł wzdłuż Bahnhofstrasse, Henri Charles Berchmans redagował pilną depezę do wszystkich swoich korespondentów.

Informacja podana przez Mathera i Seldesa jest w całości prawdziwa. Poszukujemy więc śladów dwóch portretów pań Palombini i pięciu rycin pędzla Rafaela - z których żaden nie został nawet wspomniany w katalogach. Wiarygodną tego przyczyną jest fakt, że Palombini, nigdy nie będąc wielkimi kolekcjonerami, łatwo mogli usunąć dzieła w kącie. Brak jakichkolwiek opisów portretów może być, według mojej opinii, spowodowany przypisywaniem ich przez wieki innemu autorowi... jak na przykład „Dama z jednorożcem” Perugina, a „Portret Elżbiety Gonzagi” był początkowo wystawiany jako dzieło Mantegni, a potem przypisany Giacomo Lanciemu i innym. Inna możliwość jest wzmiankowana w liście bibliotekarza z Florencji do Mathera, że dzieła te mogły zostać użyte jako okup, lub opłata za protekcję funkcjonariusza SS. Proszę poszukać natychmiast wśród naszych brazylijskich kontaktów informacji na temat Franza Christiana Eberhardta, który poślubił w Mediolanie w 1947 niejaką Camillę Dandolo i wyjechał następnie do Rio de Janeiro. Dokumenty Eberhardta świadczą o jego brazylijskim obywatelstwie, ale mógł je uzyskać po wojnie. Nasze stosunki w ubezpieczeniach i bankowości mogą w tej sprawie pomóc. Informacje potrzebne są jak najszybciej.

W południe zadzwonił do Seldesa, który śpiącym głosem uzalił się, że w Nowym Jorku jest dopiero szósta rano. Berchmans zignorował jego protest.

- Ten facet, Mather. Spotkałem się z nim i spodobał mi się. Powiedziałeś mi, że to akademicki próżniak. On jest znacznie lepszy. To może być łobuz, ale może być również użyteczny...

- To użyj go, Henri z moim błogosławieństwem. Po co jeszcze mnie obudziłeś?

- Wystawa Madeleine Bayard.

- Mather wie wszystko na ten temat. On ją reprezentuje.

- Jego tu nie ma. Pojechał do Szwajcarii. Masz jego adres?

- Nie. Czekam na jego zgłoszenie.

- Poproś go więc, aby do mnie zadzwonił - i spowoduj, aby jego ludzie przysłali mi natychmiast katalog, cennik i komplet przeźroczy.

- Zrobię to. Co jeszcze?

- Jakie byś zalecił najlepsze autorytety w dziedzinie rozpoznawania charakterystycznych cech Rafaela?

- O cholera, musiałbym się poradzić.

- Prztelegrafuj mi więc listę, gdy będziesz w swoim biurze.

- Do czego zmierzasz?

- Powtarzam - charakterystyczne cechy. Szukamy Rafaelów. Ludzie, którzy je mają mogą myśleć, że to Peruginy. Zwykle nie jesteś tak tępy, Harmon.

- Zwykle nie jestem zmuszany do pracy o szóstej rano.

- Nie zasypiaj jeszcze. Jeszcze coś, przyjacielu. Madeleine Bayard... co się stało z jej papierami, notatnikami, szkicami?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Wydaje mi się, że policja zajęła wszystko, co było w jej pracowni. Jej mąż prawdopodobnie ma resztę. Wszystko po niej w końcu do niego i tak trafi. A o co ci chodzi w tym pytaniu?

- Kupiłem kilka jej płócien. Lebrun mnie jej przedstawił. Zwykliśmy byli spędzać wspólnie wolny czas, ilekroć bywałem w Nowym Jorku. Napisałem kilka listów, które chciałbym wycofać...

- Szczerze żałuję, mój drogi Henri, ale z takim mężem jak Ed Bayard - nie ma sposobu! Poza tym, czy to nie za późno dzisiaj?

- Być może. Przypomniałem sobie o tym w związku z powiązaniem Mathera z Bayardem.

- Pomyślę o tym. Mather pisze artykuł o Madeleine Bayard do miesięcznika. Wiem, że szukał papierów i rozmaitości. Pomówię z nim na ten temat.

- Dziękuję ci, Harmon. Ale niech on nie spodziewa się pieniędzy. Te listy nie są takie straszne.

- Rynsztokowa prasa już mnie ochlapała gorszymi rzeczami!

- Zrobię, co będę mógł.

- Dobra. Będziesz zadowolony, gdy ci powiem, że moi ludzie na całym świecie zostali zaalarmowani w sprawie Rafaelów Palombinich. Śpij dalej i niech ci się przyśni, że obaj jesteście bogaci.

Uradowany z wyników swojej porannej pracy, rozgrzany uściskiem dłoni bankiera, zadowolonego ze stanu jego przedsięwzięcia, a jeszcze bardziej ucieszony zaoferowanym mu umożliwieniem przekraczania stanu konta w razie potrzeby, Mather zdecydował zafundować sobie lunch w grillu przy Baur au Lac.

Jedzenie było pierwszorzędne. Podstarzali kelnerzy byli mili i sprawni. Publiczność stanowiła przekrój finansowego klanu Zurychu - ludzie sztywni, statecznie ubrani, o dobrych manierach, ale zawsze nieco na dystans w stosunku do Auslander, jak on. Gwar w mieszaninie języków - francuskim, włoskim, schweitzerdeutsch, górnoniemieckim, szwedzkim - wirował wokół niego, a wszystko dotyczyło wyłącznie pieniędzy: stopy procentowej, terminowych transakcji giełdowych, zabezpieczeń, zysków, współczynników wzrostu i spadku. Mather jadł leniwie i cieszył się nowym doznaniem pomysłowości i pewności siebie. Po raz pierwszy od wielu lat czuł się panem samego siebie, robiącym własne interesy, nadstawiającym karku dla siebie. Zaczynał rozumieć, że to właśnie było atrakcją przedsiębiorczości. Dotychczas całe życie bał się, trzymając się dla bezpieczeństwa kobiecych spódnic. Teraz szedł po linie bez siatki bezpieczeństwa. Strach chwycił go za wnętrzności, ale w jego wewnętrznym niemym okrzyku była chłopięca brawura: „Patrzcie! Nie trzymam się rękami!”

Jego euforia utrzymywała się aż do powrotu do apartamentu w Sonnenbergu. Zadzwoił do Anny-Marii do Nowego Jorku, z wezbranym entuzjazmem zalał ją wiadomościami i poinstruował:

- Bądź ze mną w kontakcie przez Lieperta. Tutaj to tylko mieszkanie. Często mnie tu nie będzie, a numer masz tylko na wszelki wypadek. Napisz natychmiast do Henriego Berchmansa. Powołaj się na moje spotkanie z nim w Paryżu. Poproś go, aby był tak dobry i wypożyczył swoje obrazy Bayard na wystawę. Pokryjesz wszystkie koszty transportu i ubezpieczenia. Dasz mu znaczny kredyt na katalog wystawy i wszystkie prawa prasowe... pošlesz mu też promocyjny komplet przezroczy, jak tylko będzie gotowy, żeby mógł być pierwszy przy zakupach. Nie zapomnisz? Nie spóznisz się? Dobrze, a ja chciałbym jeszcze jeden komplet fotografii i katalogów dla moich partnerów w Szwajcarii. Prześlij wszystko kurierem, nie ufaj poczcie... My rzeczywiście zaczynamy zajmować niezłą pozycję, *bambina!*

- Co ja ci powiem? Jestem przejęta, jestem ci wdzięczna... jeśli nie odbieram tego właściwie, to dlatego, że bardzo martwię się o ojca.

- A o co chodzi?

- Jest w Londynie w klinice. Mówił, że tylko na kontroli.

- Pewnie tak jest.

- Pytał, gdzie byłeś.

- Zadzwoń do niego i podaj mu mój adres i telefon tutaj.

- Powiedziałam mu o teczce i że jej nie otworzyłeś. Powiedział „to on jest głupszy niż wygląda. Powiedz mu, aby przestudiował dokładnie zawartość. To niezmiernie ważne.” Co on miał na myśli, Max?

- Nie mam pojęcia. Myślę, że będę musiał otworzyć teczkę i zobaczyć.

- On ma pokój 137, gdybyś chciał telefonować do niego.

- Ty zadzwoń do niego. Skomunikuje się ze mną w czasie dla siebie dogodnym. A jak zachowuje się Bayard?

- Muszę powiedzieć, że bardzo dobrze. Jest troskliwy i rozsądny. Biegam całymi dniami i wieczorem jestem zmęczona jak pies. On telefonuje, żeby powiedzieć cześć i daje mi spokój. Raz byliśmy na lunchu. W niedzielę byliśmy w Whitney i spacerowaliśmy w parku. Odwiózł mnie wcześniej do domu. To bardzo spokojny, przyjacielski rodzaj znajomości, który mi całkiem odpowiada.

Zaaprobował noty do katalogu i niepokoi się, jak się powiedzie twoja sprawa. Będzie bardzo przejęty, gdy dowie się o Berchmansie.

- Lepiej nic nie mów, dopóki to nie będzie pewne.

- To będzie niezręcznie, Max.

- Może być o wiele bardziej niezręcznie, jeżeli Berchmans odmówi wypożyczenia obrazów, do czego ma pełne prawo. Wiesz jaki jest Bayard, gdy się poczuje zlekceważony.

- Dobrze, zrobię jak mówisz. A jak się czujesz?

- Jak nigdy... ale potrzebuję szybko fotografii i katalogów.

- Może być na wczoraj, proszę pana?

- Z trudem. Życz mi powodzenia na środę.

- Życzę. Ciao, Max.

Następny jego telefon był do Leonii Danziger. Nie było jej w domu, chociaż w Nowym Jorku był wczesny ranek. Zostawił swój numer automatycznej sekretarce i poprosił, aby go przekazała Harmonowi Seldesowi. Potem zrobił sobie kawę i zasiadł do systematycznego studiowania materiałów Madeleine Bayard.

Najpierw wziął listy. Madeleine podzieliła je na trzy pliki. Pierwszy zawierał same listy miłosne - wylew prozy w technikolorze, od mężczyzn i kobiet, z którymi łączyły ją przeżycia seksualne. Niektóre były pisane nieudolnie, inne nieznośnie literacko. Wszystkie były podpisane albo imieniem albo miłosnym przezwiskiem: Pete, Lindy, Słodki Języczek, Żelazny Mężczyzna. Mather zastanowił się, po co ona zwracała sobie głowę trzymaniem takich listów... wtedy zrozumiał słowa Leonii Danziger: „Ona była tak samo widzmem, jak uczestniczką”.

Drugi plik zawierał listy od krajowych artystów, z którymi prowadziła regularną korespondencję i z którymi pozostawała w jakiegoś rodzaju seksualnych powiązaniach:

„To, co mi się w tobie najbardziej podoba Madi, to to, że w tobie nie ma zawodowej zawiści. Patrzysz na dzieło i mówisz wprost, czy jest dla ciebie piękne czy wstrętne. Twój sąd jest bezwzględny, ale ty wiesz co mówisz, bo codziennie stoisz przy sztalugach. Dlatego, jak sądzę, nigdy bym nie przypuszczała, że będziesz tak mało wymagająca w miłości.”

„Najdroższa Madi, (to od malarki z Arizony). Cóż mogę napisać? Mam ogień w palcach, od czasu kiedy wróciłam z Nowego Jorku. Nauczyłaś mnie malować w ten sam sposób jak nauczyłaś mnie kochać - surowe kolory mieszać na płótnie, najbardziej nawet ryzykownie, niczego nie powstrzymywać.”

I od starszego mistrza, pół już ślepego, ciągle jeszcze malującego w Vermont:

„Zakochałem się w Tobie od pierwszego dnia naszego spotkania, pożądam Ciebie od pierwszego dnia, gdy kochaliśmy się w Twojej pracowni. Ale martwię się o Ciebie, Madi. Martwię się o was obie - o tę szczęśliwą, lubiącą malować piękne graffiti na ścianach Manhattanu i o tę ponurą, próbującą wymalować dla siebie drogę z piekła.”

W tym pliku Mather znalazł cztery listy napisane po francusku. Były bardzo krótkie, pisane szybko, dużym, zdecydowanym charakterem, na hotelowym papierze listowym, podpisane jedynie inicjałami. Forma wszystkich była taka sama: proste, dosadne zdania, chwalcące jej seksualne możliwości, zwięzła ocena jej prac, zdawkowe pożegnanie:

„Quand tu m'enfourches c'est comme si je m'accouple avec un ouragan et je suis transporte au Paradis. Mais quand je te contemple dans tes peintures, je vois une agonie que je ne sais ni partager ni soulager. Quand meme je te convoite nuit et jour. A bientot, cherie... H.C.B.”

Kilka minut wystarczyło Matherowi na skojarzenie inicjałów z Henrim Charlesem Berchmansem. Roześmiał się po cichu do siebie z ironicznosci sytuacji, potem zastanowił się jak to najlepiej wykorzystać. Nie mogło być mowy o szantażu. Berchmans miał dwie żony i zastęp kochanek. Jedna żona i jedna kochanka zaciągnęły go przed sąd. Całe mnóstwo brudów było prane, ale gdy w następnym miesiącu jego dwulatek Laurencin wygrał w Chantilly, tłum zrobił mu owację.

Nie może wyjść na polującego na względy sługusa. W każdym razie ambicja Berchmansa może zostać dotknięta, gdy jakiś młodzik przeczyta jego, niemłodego już amanta, listy miłosne.

Najlepszym wyjściem będzie najbardziej godne: „Natrafiłem na to, odsyłam Panu”. Jedyny problem, to że on nie ośmieli się tknąć oryginałów, dopóki nie dowie się, dlaczego Loredon mi je przekazał.

Listy z trzeciego pliku nie dotyczyły miłości i seksu. Miały tematykę administracyjną, jak sprzedaż obrazów, zaproszenia na seminaria i wystawy, stypendia, nagrody i tym podobne. Pomimo że nie wystawiała, Madeleine Bayard była dobrze znana i wysoko ceniona wśród kolegów w zawodzie.

Teraz, gdy przeczytał listy, diariusze nabierały więcej sensu. Mógł dopasować rzeczywiste osoby do krajobrazu życia Madeleine. Na przykład, wizyty Berchmansa odnotowane zostały z humorem i uczuciem:

„Henri majaczy nade mną, olbrzym zasłaniający słońce. Mówię mu, że powinniśmy zamienić się miejscami. On śmieje się mówiąc, że lubi jak ja to robię. Jest potężny jak byk i tak samo brutalny, ale nigdy nie pozostawia mnie nie zaspokojonej. Jest ich dwóch, tak jak dwie są we mnie. Potrafi stać, patrząc minutami na któryś z moich obrazów, a potem odwrócić się i pogłaskać mnie po policzku z niezwykłą czułością. Potrafi wskazać narożnik którejś z prac i powiedzieć: To jest dobre, niemal doskonałe. Jego siła może być okropnie niszcząca, ale dla mnie jest jak lekarstwo.”

Na temat Hugh'a Loredona pisała z rosnącą ostrością:

„On stał się jak partner tańca na parkiecie, patrzący ciągle ponad ramieniem na kogoś innego. Jego mały zapasik trików zaczyna mnie nudzić... Wiem, że mówił te same komplementy dwudziestu innym kobietom. Jego troskliwość jest fałszywa: Jesteś zmęczona, zaraz cię ukoję. Powiedz Hughowi, co ci dolega. On nie jest zły w łóżku, ale jako mężczyzna próbuje dawać mi to, co hojniej dają mi kobiety.”

Saficzna strona jej życia była rejestrowana zupełnie innym tonem:

„Dzisiaj była Paula. Jej dzieci wyjechały na obóz letni. Jest tak uszczęśliwiona samotnością. Zamknęłam drzwi i cała się jej poświęciłam.

Kochałyśmy się, spałyśmy, budziłyśmy się, piłyśmy wino. Zaczęłam ją szkicować, rozciągniętą nago na kołdrze... Zrobiłam tuzin szkiców węglem i jeden duży, delikatnie lawowany rysunek. Pomimo kilku cięż jest ciągle gładka i biała jak marmur. Gdy jej dotknęłam, moje ręce pozostawiły ślady farb. Roześmiałyśmy się i zaczęłyśmy wzajemnie malować nasze ciała, jak dzieci.”

Była też notatka, dotycząca Danny Danziger, o której pisała całkiem innym stylem:

„Ona usilnie próbuje zmusić mnie do ubrania w słowa to, co mogę jedynie wyrazić na płótnie, lub kochając się. Mówiłam jej, że słowa gmatwiają mi się w głowie, kleją w gardle... ona tego nie chce zrozumieć. Przypięłam więc papier do rysownicy, włożyłam jej węgiel do ręki, mówiąc: Dalej, rysuj! Narysuj mnie, narysuj butelkę i szklankę. Oczywiście nie wiedziała jak zacząć. Powiedziałam jej więc: I to był jedyny argument. Tylko że trzeba było całego tańca z zasłonami, aby ją tam doprowadzić.”

Jak rodzynki w cieście pojawiały się notatki, dotyczące Bayarda:

„W takie dni jak wczoraj, można by prawie uwierzyć, że mogłabym być szczęśliwa z Edmundem. Wzięliśmy kilka moich płócien do Lebruna. Kupił je od ręki. Potem poszliśmy wzdłuż Madison, szperając w kilku mniejszych galeriach i kończąc w sklepie z wyrobami rzemieślniczymi, który wystawia prace amerykańskich garncarzy, twórców wyrobów z drewna, szklarzy i tkaczy.

Edmund okazuje wyjątkową pokorę wobec takich wyrobów. Mówi; Mój Boże, czuję się wobec nich taki bezużyteczny, taki niezdarny. Spójrz na tę emalię... Spójrz na tę drewnianą miskę, jest tak prosta, a zrobiona z takim szacunkiem dla drewna. Pomyślałam sobie, że nigdy bym nie śmiała zapytać go, dlaczego on nie okazuje takiego szacunku dla mnie i dla tego, co robię. Znam odpowiedź: że jestem krnąbrnym dzieckiem, które musi być karane wycofaniem pochwał, nawet dla jego cnót On ma wyrozumiałe oko, ale nie wyrozumiałe serce.”

Te krótkie szkice postaci przeplatane były opisami kontaktów seksualnych w jej pracowni oraz w mieszkaniach przyjaciół i znajomych. Ale w miarę jak Max zagłębiał się w treść tych pięknie pisanych stronic, zaczął powoli zdawać sobie sprawę, że to, co czyta w istocie nie jest dziennikiem,



lecz starannie zbudowanym opowiadaniem, złożonym częściowo z faktów, a częściowo z fikcji, z jej prawdziwego i wymyślnego życia. Dowodziło tego pismo. Było zbyt regularne, zbyt kontrolowane - jakby manuskrypt, pracowicie skopiowany w skrypcorium jakiegoś rabelaisowskiego opactwa. Było to dzieło sztuki, opisujące to, co kryło się w jej obrazach. Manipulowała swoimi przyjaciółmi i partnerami seksualnymi dokładnie tak samo, jak ustawiała swoje modele, aby uzyskać jak najbardziej wyrazistą kompozycję, najbardziej dramatyczną wypowiedź:

„Paula i Danny są o siebie zazdrosne. Wysunęłam się z pomiędzy nich i spowodowałam, aby kochały się z Lindy. Potem nakłoniłam Petera, aby włączył się do zabawy. Tłumaczyłam ciągle, że miłość powinna być zabawą, a nie furią. Szkicowałam jak swawolili. Zobaczyli piękno gry i zaczęli się przyjaźnić, gdy obejrzelili szkice.”

Niewątpliwie w takich sztucznych układach istniały głębokie konflikty, nic jednak nie zapowiadało groźby aktu przemocy; dopiero pod koniec zapisu:

„Dzisiaj okropna bójka z Peterem. Nagle stał się bardzo zazdrosny - zbyt obsesyjnie jak na młodego człowieka. Chciał mnie zabrać ze sobą, pokazać przyjaciołom. Odmówiłam. Usiłowałam wytłumaczyć, że miejsce mojej miłości jest prywatne, że nie jestem własnością do publicznego pokazywania. Obrzucił mnie wyzwiskami. Uderzył mnie, przewrócił na łóżko i usiłował zgwałcić. Gwałt nie udał się, gdyż zwykle zbyt łatwo się poddaję. Chciałabym, aby wrócił Henri. Jego brutalność jest zawsze pod kontrolą.”

Kilka dni później pojawił się inny niemiły epizod:

„Poprosiłam Hugh'a, aby wziął mnie na czwartkową aukcję poważnych pozycji impresjonistycznych z posiadłości w Chicago. Naopowiadał mi tyle zabawnych historyjek o seksownych kobietach na aukcjach, że byłam ciekawa je zobaczyć. Odmówił. Dni aukcyjne to dla niego dni robocze. Jeśli chcę, mogę pojechać sama i trzymać się z dala od niego. Posłałam go do diabła. Powiedział: Nie prowokuj swojego losu, Madi. To miasto jest pełne łatwych okazji. Dałam mu w twarz. On mi oddał i wyszedł. Zastanawiam się, dlaczego wszystko stało się smutne.

Późnym popołudniem zjawiała się Danny. Ona też ma problemy. Właśnie pokłóciła się z Harmonem Seldesem i myśli o porzuceniu pracy. Powiedziałam jej, że jest głupia. Powinna zostać. Ma dobrą płacę. Seldes nie może sobie pozwolić na jej utratę. Sprawa jest tylko fikcją, stworzoną przez dwoje ludzi, którzy nie potrafili zdecydować się we własnych sprawach.”

Mather przeczytał ten ustęp trzy razy, zanim w pełni ocenił jego znaczenie. Sama Leonia dała mu do ręki wszystkie klucze. Po prostu zabrakło mu oleju w głowie, aby je odczytać: powiązanie z Seldesem i Hughem Loredonem, jej określenie Madeleine jako tak samo widza jak uczestniczkę, ostatnie zdanie jej raportu: „Wielu z nas jest w to zamieszanych i oczekujemy, że Pan nam to wyjaśni”.

Pozostawił nie przeczytaną resztę diariusza, przeszedł do kserokopii szkicowników i zaczął studiować je uważnie, strona po stronie. Obłądzeni tancerze, kopulujące postaci, były to teraz realne osoby. Mógł dopasować do nich imiona z listów, zidentyfikować z wyjątków dziennika ich seksualne osobliwości.

W czasie pierwszych, pobieżnych oględzin w Nowym Jorku zapamiętał jeden obraz Leonii Danziger. Teraz wychylała się do niego z wielu obrazów: to w saficznym objęciu z inną kobietą, to znów jako bachantka z rozwichrzonymi włosami, ścigana w różnych utarczkach przez pochylonych faunów, którymi musieli być Peter i Żelazny Człowiek.

Zostawił otwarte rysunki na stole i wstał, żeby sobie nalać drinka. Zadzwoił telefon, na linii był Harmon Seldes, bulgocący życzliwością.

- Rozmawiałem z Berchmansem. Wywarłeś na nim bardzo dobre wrażenie.
- Jestem facetem, który imponuje. Wiesz o tym, Harmon.
- Jak ci idzie z artykułem o Bayard?
- Powoli. Ona jest kobietą, na której trudno się skupić.
- Jakiego rodzaju materiały zdołałeś znaleźć?
- Niewiele. Opieram się głównie na ustnym opowiadaniu samego Bayarda i moim własnym odbiorze jej obrazów. To będzie coś nastrojowego, a nie naukowego.
- Żadnych papierów ani listów?

- Jak dotąd, nie. A co?

- Najwidoczniej Berchmans i ona byli kochankami od czasu do czasu. Pisywał do niej listy.

- Durny facet.

- Jeśli jakieś się pokażą, chciałby dostać je z powrotem.

- Na pewno powinien. Pamiętam powiedzonko mojego ojca na ten temat.

- Głębokie z pewnością - oschle powiedział Seldes.

- Tak - odpowiedział mu Mather: „Postępuj słusznie i nie musisz się bać żadnego mężczyzny, nie pisz i nie musisz się bać żadnej kobiety”. Myślałem, że Berchmans jest mądrzejszy.

- Nie trzeba być mądrym - powiedział ponuro Seldes. - Tylko dostatecznie bogatym, aby nie musieć się przejmować.

W pokoju prywatnej londyńskiej kliniki Hugh Loredon siedział podparty poduszkami i rozmawiał ze swoim lekarzem. Na pierwszy rzut oka mogli być braćmi - siwi, o rumianych policzkach, uprzejmie i wymijająco wymowni, tak jak potrafią tylko bostońscy Irlandczycy i Anglicy z hrabstw podlondyńskich. Lekarz wykonał bezradny gest.

- Jest źle, Hugh. I pogarsza się, przybywa przerzutów. Twoja wątroba przestaje działać...

- Jak długo? - zapytał Loredon. Lekarz wzruszył ramionami.

- Miesiąc mniej więcej zdolności poruszania się, o ile nie będziesz się przemęczał. Potem przyjdzie załamanie. Możemy ci trochę ulżyć, ale masz najwyżej trzy miesiące.

- Nie będę spokojnie czekał na to - powiedział gniewnie - jeśli nie skończycie ze mną, zrobię to sam.

- No tak... - Lekarz przyglądał mu się z obojętnym współczuciem - rozumiem co czujesz, ale w obecnym stanie rzeczy w tym kraju nie mogę „skończyć z tobą”. Jesteś doraźnym pacjentem, nie mam długiej historii choroby w twojej kartotece, nie mógłbym więc doprowadzić do logicznego przedawkowania środków przeciwbólowych. A co do zrobienia tego samemu - to jest bardzo łatwe, ale pozwól, że zadam ci pytanie - czy jesteś ubezpieczony na życie?

- Całkiem wysoko - odpowiedział Loredon.

- Na czyją korzyść?

- Mojej córki.

- Ona to straci, jeśli popełnisz samobójstwo. To oczywiście twoja sprawa, ale przypominam ci konsekwencje.

- I to wszystko, co możesz mi powiedzieć?

Lekarz przez długą chwilę studiował swoje starannie utrzymane dłonie, potem zaczął mówić; wydawało by się, że raczej do swoich paznokci niż do pacjenta.

- Istnieje inne rozwiązanie. Nie mógłbym o nim nawet wspomnieć wobec ludzi o silnych poglądach religijnych, ale ponieważ ty nie wydajesz się mieć żadnych tego rodzaju przekonań...

- Nie mam - oświadczył stanowczo Loredon. - Przeżyłem całe życie bez religii. Nie mógłbym jej włożyć, jak płaszcz, aby osłonić się od deszczu. Mów.

- Jesteś jeszcze dostatecznie silny, aby móc podróżować. Proponuję ci więc, abyś udał się do Amsterdamu. Dam ci list do mojego kolegi, który tam prowadzi klinikę onkologiczną dla pacjentów w beznadziejnym stanie. On cię przyjmie... i pomoże ci odejść, gdy już poczujesz, że jesteś gotów. Jest to szybkie i bezbolesne, i coraz więcej lekarzy w Holandii oferuje tę usługę swoim pacjentom. W każdym razie twój przypadek jest beznadziejny, nie będzie więc problemu ze świadectwem zgonu. Musisz tylko upewnić się, czy ci wystarczy pieniędzy na opłacenie szpitala, kremacji i wysyłki twoich prochów do domu.

Hugh Loredon przeżuwał przez kilka chwil tę propozycję, po czym zapytał.

- Amsterdam, mówisz?

- Tak.

- Mógłbym polecieć, dokonać legalnej transakcji i zainstalować się w szpitalu?

- Oczywiście. Transakcja to twoja własna sprawa.

- To łamigłówka, ale wolałbym, aby moja córka nie wiedziała, co robię. Pracuję nad wielkim przedsięwzięciem. Nie chciałbym jej tego w najmniejszym stopniu utrudnić. Żadnych pożegnań. Żadnych transatlantyckich lotów miłosierdzia. Na pewno możesz mi zagwarantować bezbolesne odejście?

- Niczego nie mogę ci zagwarantować - powiedział spokojnie lekarz. - Jesteś bardzo chory. Powinieneś poddawać się przepisanejmu leczeniu. Jeśli zdecydujesz się kontynuować pracę, pojedziesz do Holandii. Jak każdy dobry lekarz, zwrócę się do kolegi na wypadek, gdybyś nagle potrzebował pomocy. Będziesz miał przy sobie list z zarysem swojej historii choroby. Wszystko będzie przewidziane... W każdym razie prześpij się z tym. Jutro rano o tym jeszcze pomówimy.

- Zdecydowałem się - powiedział mu Hugh Loredon. - Niech będzie Amsterdam.

- Bardzo dobrze. Spotkamy się jutro wcześniej rano podczas mojego obchodu i dam ci list polecający. Będziesz mógł wyjść koło dziesiątej. Zakładam, że udasz się prosto na kontynent?

- No tak... Być może kilka spraw będę musiał załatwić przed wyjazdem.

- Masz niewiele czasu, Hugh. Nie marnuj go na głupstwa. Jeśli załamiesz się w Londynie, będziesz musiał wycierpieć do końca.

- Załatwione. - Hugh Loredon wyciągnął rękę. - Dziękuję za radę. A teraz kilka telefonów, zobaczę, ilu mam przyjaciół.

Max Mather zamówił kawę i kanapki do pokoju. Zależało mu na dokończeniu przeglądu materiałów Madeleine Bayard, aby zabrać się za wstępny szkic artykułu.

Gdy powrócił do diariusza, po raz pierwszy uprzytomnił sobie daty zapisów. Raczej wzrokowa spostrzegawczość niż świadoma decyzja była powodem, że zwrócił uwagę na ich umiejscowienie w czasie. Z zaskoczeniem zauważył, że ostatnie zapisy dochodziły do daty morderstwa Madeleine. Niewątpliwie Loredon musiał przyjść do pracowni i zabrać materiały tego dnia... co czyniło go głównym oskarżonym jako zabójcę, a co najmniej współuczestnikiem w sprawie.

Ostatnie wpisy były więc szczególnie ważne. Mather przeczytał je kilkakrotnie powoli:

„Byłam znowu u lekarza dziś rano. Zrobił mi dłuższy wykład. Mówił, że nie wytrzymuję napięcia bardzo aktywnego życia płciowego i sił twórczych, potrzebnych do wykonywania mojej pracy w dotychczasowym wymiarze. Nalegał, abym przyhamowała i dokończyła przepisaną mi serię środka uspokajającego. Uważa, że powinnam poddać się leczeniu, aby nadać więcej poczucia jedności życiu, które zaczyna się coraz bardziej rozpadać na części. Spierałam się z nim, ale wiem, że ma rację. Tylko wtedy czuję się całą, kiedy stoję sama przed płótnem, patrząc na świat przez siebie stworzony.

Jednak ludzie ciągle tak wiele ode mnie wymagają. Czuję się czasem jak Diana z Efezu z setkami piersi, którymi karmię cały świat. Mężczyźni są tak niedobrzy. Są obcesowi i wymagający, a gdy zostaną zaspokojeni, odchodzą. Kobiety - myślę specjalnie o Danny i Pauli - zżerają mnie bardzo. Domagają się afirmacji i zabezpieczenia, czego po prostu dać im nie mogę.

Edmund jest codzień bardziej zaniepokojony. Wiem o tym, ale on zrzędzi, gdy jest niespokojny. Ja wtedy staję się nieznośna, on się wścieka i zamyka w sobie przede mną. Czasem wydaje mi się, że mogłabym doprowadzić go do tego, że mnie zabije. Środki uspokajające mało pomagają. Mogłabym łatwo się uzależnić od tego kuszącego spokoju, który wkrada się we mnie w czasie działania dawki..."

Mather zamknął diariusz i przycisnął dłonie do bolących oczu. Natychmiastowa ciemność przyniosła ulgę od blasku papieru i nieubłaganego biegu pisma przez stronicę. Nie mogła jednak wywabić wstrząsających obrazów, wywołanych w tym sterylnym szwajcarskim mieszkaniu, odległym o trzy tysiące mil i dwanaście miesięcy od pracowni Madeleine w Nowym Jorku. Niezadługo będzie mieszkał w tej samej pracowni. Czy będzie jeszcze słyszał rytm starej muzyki, widać poruszenia upiornych draperii? Czy widok Madeleine Bayard ciągle będzie tak żywy, jak w tym momencie, gdy leżała pogrążona w narkotycznym śnie, nagie ciało na jaskrawej kołdrze, oczekujące na cios mordercy?

Mather zapytał siebie, nie po raz pierwszy, jak to się stało, że zaplątał się w sprawy tych powikłanych ludzi? Krok po kroku jest dużo łatwiej - towarzyszy się uległej kobiecie. Wychodzi się, trzymając się za ręce. Gdy zamykasz drzwi sypialni, odgradzasz się od świata. Rozłączenie się nie jest już takie łatwe. Był podobny do Guliwera, wyrzuconego na obce wybrzeże, związanego pajęczymi więzami, mocnymi jak liny okrętowe.

Niespodziewanie zadzwonił telefon, Hugh Loredon mówił z Londynu. Mather powitał go bez entuzjazmu.

- Anna-Maria mówiła mi, że może zadzwonisz. Martwi się o ciebie. Co za problem?

- To nie problem, Max. To wyrok śmierci, wspaniale streszczając to, co mówią.

- O, mój Boże! Jakże mi przykro to słyszeć. Powiedziałaś Annie-Marii?

- Nie i nie mam zamiaru.

- Ona ma prawo wiedzieć.

- To moje życie - powiedział sucho Hugh Loredon. - Dyskusja jest mi najmniej potrzebna.

- Czy mógłbym coś zrobić dla ciebie?

- Tak. Spotkaj się ze mną w ten piątek w hotelu Amstel w Amsterdamie. Spędzisz kilka dni ze mną - popatrzymy na Rembrandty, zjemy lunch z parą dealerów, których i tak powinieneś poznać. Potem, w poniedziałek pojedę do kliniki... z której już nie wyjdę.

- O, - wiadomość wymagała paru chwil, aby ją w pełni pojąć - czy to znaczy to, co mi przyszło do głowy?

- Tak. Mam orzeczenie lekarskie i piękny komplet zdjęć rentgenowskich. Potem będzie koszerne świadectwo zgonu, a ty będziesz jednym z wykonawców mojego testamentu. Ed Bayard drugim.

- Dlaczego my, na Chrystusa?

- To żart, najlepszy, jaki potrafię zrobić, i ostatni.

- Jeśli mówimy o dokumentach - mam właśnie twoją teczkę.

- Przeczytałeś materiały?

- Tak.

- Zatrzymaj je.

- Chciałbym, abyś mi to wytłumaczył.

- Co ja mogę powiedzieć? Dla mnie jest to napisane na piasku. Zostanie zmyte przez wiatr i przypływ. Kogo obchodzi, kto chwalił Gauguina, lub jakim nożem van Gogh obciął sobie ucho? To wszystko błahostki. Śmierć uwalnia nas od nich. Nie powiedziałaś, czy przyjedziesz do Amsterdamu.

- Będę tam w piątek.

- Świetnie. Już zarezerwowałem ci pokój.

- Jesteś cholernie pewny siebie.

- Wiem, że nie oprzesz się ani kobiecie, ani pechowej historii.

- Hugh, posłuchaj. Rozumiem, co robisz. Myślę, że rozumiem dlaczego. Ale jeśli chcesz odejść czysto, musisz pozwolić Annie-Marii dzielić z tobą tę ostatnią chwilę. Jeśli tego nie zrobisz, będzie to dla niej okropnym przeżyciem. Jak ja jej powiem, że zadzwoniłeś do mnie, a nie do niej?

- Prosto, Max. Zostałeś właśnie zwiastunem złej nowiny. Bądź gotów na śmierć za swój trud. - Zaśmiał się i jego śmiech przeszedł w kaszlący bełkot. - Do zobaczenia w piątek!

Mather odłożył słuchawkę niepewnymi rękami. Pojęcie śmierci z wyboru było nowe i zbyt nagle bliskie, aby nie przygnębiać. Zastanawiał się, jak ma to wytłumaczyć Annie-Marii. Myśl o samotnym spędzeniu reszty wieczoru była nie do zniesienia. Zamknął swoje papiery w sejfie i pojechał na Limmat Quai.

W obskurnym klubie nocnym, pod nazwą Venus Room wypił whisky z wodą i kupił podłego szampana rumuńskiej dziwce, potem nakarmił ją o północy kolacją z przesmażonego steku i niedogotowanych ziemniaków. Dał jej też sto dolarów za podniecającą rozmowę i za wyleczenie z przypadkowych namiętności. Była dostatecznie trzeźwa, aby mu powiedzieć, że gdyby wszystkie pedały byli tak mili jak on, to Limmat byłoby znacznie przyjemniejszym miejscem pracy.

Gdy wrócił z powrotem do mieszkania, był już przekonany, że Hugh Loredon miał rację. Jeżeli chce się skończyć ze swoim życiem w schludny i zgrabny sposób, to Amsterdam jest znacznie pogodniejszym do tego miejscem niż Zurych.





## ROZDZIAŁ 10

Dom Aloisa Lieperta, przyjemna willa w wiejskim stylu, leżał na zalesionym zboczu z widokiem na jezioro, około dziesięć mil za miastem. Wnętrze mówiło o pieniądzach - o nowych i starych pieniądzach - i o pewnej tradycyjnej dyskrekcji w ich pokazywaniu. Żona Lieperta była trochę od niego młodsza, miała szczupłą, wysportowaną sylwetkę i dużą swobodę towarzyską.

Dealerzy tworzyli dziwną parę. Specjalista od sztuki współczesnej wyglądał jak nauczyciel z dziewiętnastego wieku, a specjalista od sztuki antycznej i starych mistrzów wyglądał tak, jakby wyszedł ze stronic żurnala. Licytator, który okazał się młodszy od Mathera, pod patyną niezmiennego wieku średniego, przypominał jakby odmłodzonego Hugh'a Loredona. Ich kobiety były miłe, ale odrobinę skrępowane i Matherowi z trudem przychodziło wciągnąć je do rozmowy. Bankier i jego żona byli parą w średnim wieku, solidnej, kierowniczej rasy.

Długa praktyka wyrobiła Maxowi Matherowi cechy wzorowego gościa, sympatycznego słuchacza i żywego gawędziarza, zręcznie wzbudzającego zainteresowanie nieznanymi błahostkami. Czuł, że przez cały czas jest poddawany badaniu i fachowemu śledztwu. Otuchy dodawała mu obecność Giseli Mundt z jej spokojnym uśmiechem i płynnym przechodzeniem z jednego języka na drugi, gdy rozmowa utykała na problemach słownikowych.

Rozwijała się za to dobrze w dziedzinach zawodowych. Miał solidne oparcie w zasadach swojego rzemiosła i nie wypuszczał się zbyt daleko poza jego ramy. Artykuł w Belvedere wywarł głębokie wrażenie. Obietnica dopływu funduszy dolarowych na miejscowy rynek dzieł sztuki była ponętna dla wszystkich. Bankier podsumował to trafnie:

- Widzę, że się tu panu będzie powodziło, panie Mather. My doceniamy *soliditat*.
- Zaproponuję panu dobrą cenę za Tompiona - obiecał licytator. - Wszyscy tradycyjni zegarmistrze wejdą do licytacji o niego.
- Jak tylko otrzymam przeźrocza, dam panu zamówienie na zakup Bayardów - powiedział dealer współczesnych. - I chciałbym, aby pan zobaczył prace Davanti'ego, myślę że dojrzał już do sprzedaży.
- Naszym najlepszym ekspertem od renesansowych rysunków jest Gisevius w Bazylei - padło ze strony specjalisty od tradycjonalistów. - Gdy już będzie pan gotów, umówię się na spotkanie i pojedziemy do niego razem. Ma on niezłe laboratorium. Jest bardzo konserwatywny. Jego zdanie wysoko liczy się w Europie.

Ostateczne podsumowanie padło z ust żony Lieperta.

- Był pan znakomitym gościem, panie Mather. Nasi przyjaciele spędzili z panem czas z wielką przyjemnością. Czy byłby pan tak uprzejmy i odwiózł do domu Giselę Mundt?

W czasie jazdy z powrotem do miasta odczuwał serdeczną wdzięczność z powodu jej obecności. Było to przypieczętowanie jego wieczoru, przypieczętowanie zaufania i akceptacji w tym najbardziej konserwatywnym z miast. Według klasycznej strategii staroświeckich działań wojennych, zaatakował ważną pozycję i zdobył ją. W ciągu kilku dni będzie miał umocnione przymierze z potężnym księciem - Henrim Charlesem Berchmansem Starszym - za pomocą również klasycznego chwytu, złożenia w jego ręce daru i uwolnienia go od zagrożenia... Niedługo posiadzie tajemnicę Hugh'a Loredona. Nie jest już klientem, osobą zależną, lecz człowiekiem poważanym. Nie będzie już poddawany śledztwom. Jego udział w rzemiośle będzie tak samo swobodny, jak każdego innego. Niedługo, bardzo niedługo, ustali ostatnie elementy scenariusza Rafaelów i rozpocznie wystawianie dramatu.

Po przejechaniu mostu w mieście Gisela wskazała mu drogę do swojego domu, małej staroświeckiej willi, koło uniwersytetu. Odprowadził ją do drzwi. Podała mu swój klucz, pytając:

- Napiłby się pan kawy?

- Z przyjemnością - powiedział Max. - Jest pani pewna, że to wypada?

- W Szwajcarii wszystko wypada, co nie jest zabronione. Była to diabelnie wysoka nuta zakończenia wieczoru, pomyślał Mather.

Wczesnie rano, następnego dnia Mather zatelefonował do Paryża, do Berchmansa. Nie było go, ale służąca obiecała przekazać wiadomość. Zadzwoił po godzinie. Mather, przyzwyczajony już do jego szorstkości, ze zdumieniem przyjął jego dobry humor i miłe słowa.

- Tak, panie Mather, czym mogę panu służyć?

- Dzwonił do mnie wczoraj Seldes. Mówił mi, że interesują pana pewne dokumenty Bayard.

- Zgadza się.

- Mam je. Seldes nie wiedział o tym.

- Dziękuję za szybką wiadomość.

- Lecę w piątek do Amsterdamu. Hugh Loredon prosił, abym się tam z nim spotkał. Jest umierający.

- Bardzo przykre to słyszeć.

- Proszę traktować tę informację z dyskrecją. Jego córka jeszcze o tym nie wie.

- Oczywiście.

- Proponuję więc, jeśli to panu odpowiada, że przylecę do Paryża jutro, porannym lotem z Zurychu, przekażę panu do rąk te dokumenty i późnym popołudniem odleczę do Amsterdamu.

- W takim razie pozwoli pan, że spotkamy się na Orly i że zaproszę pana na lunch do Veau d'Or. To zaledwie dwadzieścia minut stamtąd, będę więc mógł odstawić pana na czas przed odlotem do Amsterdamu.

- Dobrze... Przylatuję Swissairem 731 o 10.30.

- Jedno pytanie, panie Mather. Czy ktoś jeszcze to widział?

- O ile wiem, tylko osoba, do której były napisane i osoba, która mi je przekazała.

- Czy to oryginały, czy kopie?

- Oryginały.

- Dziękuję panu. Cieszę się na nasze spotkanie. Nadal mnie pan intryguje, panie Mather.

Mather wylądował na Orly w porywach marcowego wiatru z deszczem, z półgodzinnym opóźnieniem. Oczekiwał na niego kierowca Berchmansa, który zawiózł go szybko do małej, wiejskiej restauracji w kierunku na Fontainebleau. Berchmans czekał na niego w narożnym boksie, dobrze oddzielonym od pozostałych stołów. Był serdeczny i wylewny. Zaproponował aperitif. Potem przedyskutowali menu: pieczona ryba w białym winie z bułką, mostek jagnięcy z koperkiem, królik ze śliwkami. Odprawił ceremonię nad listą win. Zapewnił Mathera, że może spokojnie oddać się spożywaniu posiłku, bez obawy spóźnienia na lotnisko.

Mather był zadowolony z takiego rozpieszczania, ale nie chciał wypuszczać inicjatywy z ręki. Kiedy więc zamówienie zostało wydane, wręczył Berchmansowi kopertę z listami, napisanymi przez niego do Madeleine Bayard. Berchmans przebiegł po nich szybko wzrokiem, włożył z powrotem do koperty i schował do kieszeni na piersi. Z nikłym uśmiechem zawstydzenia powiedział:

- Nie ma jak stary dureń.

Mather wzruszył ramionami, nic nie mówiąc.

- Jak pan się natknął na te listy, panie Mather?

- Lepiej, aby pan nie pytał, panie Berchmans. Stanowią materiał dowodowy w sprawie o morderstwo, która jest ciągle jeszcze otwarta.

- Mądra rada - powiedział Berchmans. - Nie powinniśmy psuć sobie smaku tych świetnych potraw. A nawiasem mówiąc, w tym biznesie najlepiej mieć przyjaciół w policji.

Potem, prawie nie zmieniając tonu ani wyrazu, od przystawek do deseru sypał błyskotliwymi anegdotami.

Opowiadał o norweskim stolarzu meblowym Casperonie, który nauczył się tak dobrze podrabiać Edwarda Muncha, że namalował jeden z fałszywych obrazów pod nadzorem policji w ciągu trzech godzin. Mówił jak sam zgromadził kolekcję świetnych fałszyfikatów, pędzla niejakiego Jean-Pierre'a Schechrouna, który przyjechał z Madagaskaru, studiował z Lcgerem i na widok książeczki czekowej potrafił zmajstrować Braque'a i Picassa, Kupkę i Kandinskiego. Nie był głupi, tłumaczył Berchmans, nigdy nie malował olejno, robił tylko akwarele, pastele i szkice - „próby” każdego mistrza w każdej pracowni.

Miał interesujące poglądy na tego rodzaju oszustwa.

- Mają minimalny wpływ na najwyższym poziomie rynku. Wybitne dzieła bronione są przez baterię łatwo dostępnych testów naukowych. Jeśli dzieło okazuje się fałszywe, powstaje rodzaj efektu wahadła - jacy mądrzy są przestępcy, a o ile mądrzejsi eksperci, jak wartościowy musi być oryginał, aby tyle trudu trzeba było włożyć w jego fałszowanie. Na średnim i niższym poziomie rynku nikt się tym zbytnio nie martwi, z wyjątkiem nabywcy. Jak na razie, *caveat emptor*, ale także *caveat mercator*, jeżeli dealer chce utrzymać się na rynku. Proszę powiesić fałszerstwo zrobione przez Davida Steina w swojej jadalni, a kto z pańskich obiadowych gości powie panu, że nie jest to van Dongen? Manieryzmy są łatwe do naśladowania. Uchwycić geniusza jest tak trudno jak motyla, a

przecież rolę geniusza jest doprowadzanie nas do tworzenia sobie własnych iluzji. Wtedy ukazał się kolec w ogonie skorpiona.

- Madeleine Bayard miała ten rodzaj talentu... ciekaw jestem, co by pan o niej powiedział? Jak pan ją ocenia?

- Nie jestem jeszcze pewien, czy ją rozumiem - powiedział Mather. - Jest coś schizofrenicznego w jej pracach, co mnie ciągle niepokoi. Chciałbym znać pański sąd o niej, nie do rozpowszechnienia oczywiście.

- Zaprosiłem pana na lunch, panie Mather, a nie na wywiad prasowy.

- Pozwoli pan więc, że sformułuję to inaczej. Czy dlatego kupuje pan jej obrazy, że byliście kochankami, czy dlatego, że pan je ceni?

- Dlatego, że je cenię. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Świat jest pełen rupieci, nie widzę powodu by za nie płacić.

- Była jednak wspaniałą kochanką.

- Już drugi raz użył pan tego określenia. Nie była kochanką. Była klasyczną kurtyzaną, *poule de luxe*. Miała wysokie kwalifikacje w dawaniu rozkoszy. Ale to było wszystko. Potem, gdyby jej pozwolić, mogła partnera pochłonąć, zniszczyć. Nie dla pieniędzy, ale samozaspokojenia. Była jak zgłodniały w zamkniętym pokoju więzień, ciągle poszukujący ucieczki, nie zważający kto i za jakie ryzyko ją zaoferuje...

Przerwał i popatrzył na zegarek.

- Czas już jechać, panie Mather, jeżeli chce pan zdążyć na swój samolot do Amsterdamu. Pośpiech w drodze na lotnisko jest zgubny. Gdy podpisał rachunek, powiedział zdawkowo:

- Jeszcze jedna sprawa, panie Mather.

- Tak?

- Oddał mi pan szczególną przysługę, za cenę kłopotu dla siebie. Czym mam się zrewanżować?

- Przepraszaniem - powiedział krótko Mather.

- Berchmans gapił się na niego, zaczerwieniony. Wydawało się, że upłynął wiek, zanim odzyskał głos i znalazł słowa.

- Ma pan rację. Byłem bardzo niegrzeczny. Przepraszam. Jestem wdzięczny za to, co pan zrobił. Proszę mi wybaczyć.

Wyciągnął rękę. Mather przyjął uścisk. Nie był pewien, czy znalazł przyjaciela, ale nie widział powodu, aby robić sobie potężnego wroga.

Wieczorny samolot z Paryża do Amsterdamu był zatłoczony i niewygodny. Mather oddał się drzemce i opracowywaniu wariantów scenariusza, który teraz zaczynał się wydawać coraz bardziej wykonalny, pod warunkiem, że będzie cierpliwie czekał na sprzyjający moment.

Nie odczuwał na razie presji finansowej. Mógł żyć z kapitału przez przynajmniej osiemnaście miesięcy. Na widoku miał przyzwoity dochód. Arcydzieła zamknięte w podziemiach jego banku nabierały wartości z każdą godziną, a teraz wpadł mu do głowy nowy, wspaniały pomysł. Jako uznany dealer mógłby podjąć pieniądze na Rafaele u życzliwego bankiera, nawet bez wystawiania ich na sprzedaż. Za pomocą pożyczonych w ten sposób pieniędzy, nie musząc się narażać, zapewniłby sobie stały dochód. Swój atak na rynek wielkich dzieł mógłby wtedy rozpocząć w jakimś późniejszym czasie. Tak czy inaczej, marzenia nic nie kosztowały, ale zanim się skończyły, wylądowali na lotnisku Schipol.

Droga do Amsterdamu była śliska, miasto przykryte mglistą mżawką, ale hotel Amstel oferował ciepło i solidny, mieszczański komfort. Hugh Loredon zarezerwował dla niego pokój przyległy do jego apartamentu - tak, że oprócz sypialni mógł używać hallu. Jak zawsze, Loredon był starannie wypielęgnowany i świeżo ogolony, ale jego kiedyś rumiana twarz była wynędzniała i ściągnięta, a gałki oczne zaczęły żółknąć. Zamówił obiad do apartamentu, tłumacząc:

- Szybko się męczę, nie radzę sobie w tłumie. I nie wolno mi pić alkoholu. Diabelski rachunek, prawda?

- Jak dawno o tym wiesz?

- Walczę z tym już od ponad roku. Przyjechałem do Anglii, bo nie chciałem zostać przyłapanym w domu z dowodami ostatniego leczenia. Nie widziałem powodu do robienia z siebie figuranta... Dawno temu zdecydowałem, że zamiast poddawać się długiej, nieuleczalnej chorobie raczej skończę z sobą... co teraz robię, dzięki uprzejmości pewnych adeptów holenderskiej medycyny.

- Cóż mogę powiedzieć? - Mather wykonał słaby, błagalny gest.

- To twoje życie. Ale dziwię się, dlaczego nie możesz spędzić chociaż kilku ostatnich swoich dni ze swoją córką?

- Bo nie mam prawa ściągać na nią cierpień. Jestem pustym człowiekiem, Max. Aktorem monodramu, którego rola się skończyła. Zabierzesz ze sobą wiadomości o moim dobrym wyglądzie i o tym, że omawialiśmy razem interes. Jest pewien młody, holenderski malarz, którego prace zobaczysz jutro i które mogą nadawać się do galerii Anny-Marii. Nazywa się Cornelis Janzoon. Wtedy, zanim odjedziesz, zdarzy mi się nagła zapaść. Bez ostrzeżenia, bez ratunku. Zwłoki zostaną poddane kremacji, a popioły odesłane do domu. Prosto, czysto, bez hałasu. Anna-Maria szybko przyjdzie do siebie. Ja nigdy nie zajmowałem wiele miejsca w jej życiu. Ty byłeś ważniejszy niż ja.

- Jestem jej dobrym przyjacielem jak stare buty, Hugh, zużyte ale wygodne, do włożenia na bolące nogi. Skończmy więc tego walca. Przeczytałem cały materiał Bayard. Jest zamknięty bezpiecznie w Szwajcarii. Musisz mi teraz powiedzieć, jakie jest jego znaczenie.

- Zanim to zrobię - Hugh Loredon mówił szorstko i z naciskiem - lepiej byś się całkowicie upewnił, że chcesz to wiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo ta wiedza, to ciężkie brzemie, Max. To ciężar na twój kark i cierń w twoim sercu, nigdy się już go nie pozbędziesz. To jeszcze jeden z powodów, że się podejmuję tego zadania. Nie mów więc, że nie zostałeś ostrzeżony.

- Zostałem ostrzeżony, więc mów. Kto zabił Madeleine Bayard?

- To niewłaściwe pytanie, Max.

- A które jest właściwe?

- Dlaczego otrzymałeś przywilej zobaczenia papierów Madi Bayard i wysłuchania mojej ostatniej spowiedzi.

- Odpowiedz więc na nie.

- Bo jesteś, jak ja, człowiekiem niezależnym, jak samotny samiec - i jedynym wystarczająco bystrym i nieustępliwym cwaniakiem spośród mi znanych, któremu mógłbym powierzyć wykonanie zadania, które pozostawiam.

- Dziękuję za komplement.

- Nie bądźmy czułostkowi, synku. Ja jestem w przeddzień egzekucji, dajmy sobie spokój z twoimi zranionymi uczuciami. Zacznijmy od diariusza Madeleine. Tłumaczy on część, ale nie wszystko.

- Jaka jest więc twoja wersja, Hugh?

- To nie jest wersja. To jest... inna strona prawdy, której nie można zobaczyć równocześnie całej. Musisz zacząć od samej Madeleine - takiej, jaka ukazała się każdemu z nas. Ja przez całe życie licytowałem dzieła sztuki, dzieła wielkie, dobre i bezwartościowe rupiecie. Nauczyłem się jednego: prawdziwa rzecz jest obiektem magicznym. Wznieca twoją namiętność i namiętność tłumu przed tobą. Jest jak... jest jak wiatr, falujący łanem zboża. Tak samo jest z samymi artystami. Są magicznymi postaciami. Powietrze wokół nich jest naładowane elektrycznie, jak burzowa chmura. Carl Jung mówił gdzieś o tym. Nazwał to „numen”, emanacją energii. Madeleine Bayard ją miała. Była czarownicą, rzucającą urok na każdego, kto wszedł z nią w kontakt. Weź mnie, Max. Całe życie polowałem na kobiety. Loredon kochaj i rzuć! Potrafiłem je rozszyfrować od jednego rzutu oka, od różowych koniuszków ich stóp, po drgnięcia rzęs. Ale Madi Bayard oczarowała mnie tak, że byłbym poszedł za nią w ogień. Nawet gdy już znudziła się mną - co nie zabrało jej wiele czasu - byłem szczęśliwy, mogąc być przy niej, być akceptowanym członkiem jej grupy... chłopców i dziewcząt i nie najmłodszych, utalentowanych i mieszkańców peryferii. Pamiętam gdy usłyszałem jako chłopiec historię o Circe i o tym jak Odysseusz przybył do jej pałacu i usłyszał jej śpiew, gdy tkła cudowną, olśniewającą tkaninę... Nie śmieję się ze mnie, Max. Nie śmieję się z nikogo z nas. Madi Bayard była naszą Circe. Tkła cudowne sny, ale zniewalała nas wszystkich. Zrobilibyśmy wszystko, czego by zechciała.

Na jego czole i na górnej wardze pokazał się pot. Wytrzeł go i sięgnął po szklanę z wodą, podczas gdy Mather siedział w milczeniu.

- Problem polega na tym, że są dobre i złe czary. Nasza Circe również zamieniała swoich gości w świnie. Małżeństwo Madi było paskudne. Ed Bayard nie miał ani rozumu, ani siły, aby nią pokierować. Stał się tyranem, zrzędzącym, zawziętym tyranem... Ona go nie rzuciła, ponieważ stał się usprawiedliwieniem wszystkich jej odchyłeń. Ona nienawidziła siebie. Znała swój talent. Szanowała go. Jej obrazy były magiczną tkaniną Circe. Ale bez Eda Bayarda musiałyby wytłumaczyć szkaradną kreaturę, żyjącą w jej skórze, pojawiającą się, gdy zabrakło szczęśliwego oczarowania. Kreatura ta zdolna była do okropnych, perwersyjnych zabaw. Sekret, od kogoś zasłyszany, przekazywała jego rywalowi. Potrafiła kochać się z kobietą, a potem drwić z tego wobec mężczyzny. Czytałeś diariusz - który nie jest diariuszem, ale opisem zamienionych w fikcję faktów - widziałeś, że zawsze pozostaje w centrum swojego świata... mroczna bogini, żyjąca z pożerania swoich wyznawców. Danny Danziger była jedną z tych wyznawczyń. Mogłeś ją poznać, zajmuje się pracami redakcyjnymi dla Seldesa.

- Poznałem ją. Pracowałem z nią - powiedział cicho Mather. - Nie mogę powiedzieć, że bym ją znał dobrze.



- Ona jest częściowo wtajemniczona - powiedział Loredon. - Prawdopodobnie znałem ją lepiej niż większość. Ona jest biseksualna. Ale gdy ją poznałem, jej doświadczenia ograniczały się do kobiet. Byłem jej pierwszym mężczyzną - w tym czasie byłem z tego dumny - sukces specjalnego rodzaju! Jezus, jaki ja byłem naiwny! Spotkanie to wywołało kłopoty dla nas obojga. Spowodowało też wielki problem z Madi. Była zazdrosna o wszystko, co nie koncentrowało się wokół niej. Mogła mi grozić plotką i obmową, ale była w tym bardzo ostrożna, ponieważ wiedziałem zbyt wiele i zawsze byłem gotów odgryźć się - klapssem w razie potrzeby, czasami bowiem potrzebowała zastosowania siły, tak jak inne kobiety pieszczoty. Łatwą ofiarą miała w Danny Danziger. Przypominasz sobie ten fragment w diariuszu, w którym opisuje wprowadzenie Petera do lesbijskiego stosunku Pauli i Danny? To było zupełnie inaczej, niż to opisuje. Peter był to model wynajęty u Negroniego - zawodowy ogier, kawał chama. Całe zajście było przykre i upokarzające dla Danny, ale Madi tak tym pokierowała, że Danny stawała się coraz bardziej od niej uzależniona - i coraz bardziej świadomie sobą pogardzająca.

- Zaczynam to sobie wyobrażać - powiedział Mather - nie wygląda ładnie.

- Jest to dokładnie to, co wyraża w swoich obrazach - powiedział ze znużeniem Loredon. - Jej nieudany wzlot od nie dającego się utrzymać miejsca pobytu, od nieszczęśliwej i niszczącej jaźni. - Zachichotał ponuro. - To dobre zdanie, możesz go użyć w swoim artykule. Bezplatnie, wypij tylko za moją duszę.

- Wezmę najlepszą szkocką - zapewnił go Mather. - Tylko mów, na litość boską.

- To zaczęło się z Danny. Wcześniej, pewnego popołudnia, około pierwszej trzydzieści, odebrała telefon od Madeleine, z prośbą o przyjazd do studia. Według Danny, Madi mówiła dziwnie, być może trochę pijana, przymilnie, seksownie. Chciała, aby Danny trochę jej pozowała, żeby trochę razem wypili, trochę się kochały. Danny wymówiła się. Nie mogłaby sprostać długiej, wyczerpującej sesji. Ale potem zaczęła się niepokoić. Wiedziała, że Madi używała środków uspokajających, zastanawiała się, czy aby nie przedozowała. Pojechała więc do pracowni. Zastała Madi nagą, chrapiącą w łóżku. Gościła niewątpliwie kobietę, ponieważ były tam dwie szklanki ze śladami szminki i butelka z resztką szampana. Było też na sztaludze niedokończone płótno z postacią mężczyzny, ale również cała seria szkiców nagiej kobiety-gościa, której Danny nigdy przedtem nie widziała ... prawdopodobnie przyprowadzonej od Negroniego. Było jasne, że Madi dzwoniła po Danny, aby z tą kobietą zainscenizować spotkanie, ale zemdlała i ta kobieta wyszła. Przeszukała oczywiście portfel Madeleine i zabrała całą gotówkę, która była.

Przerwał i znowu wypił łyk wody, trzymając szklankę obiema rękami. Mather czekał w milczeniu, aż Loredon przymusi się znowu do opowiadania.

- Danny była niewątpliwie zaszokowana całą tą sceną. Mówiła, że Madi wyglądała jak wstrętna, rozwalona na łóżku dziwka. Dygotała, wykrzywiła się i mamrotała przez sen. Danny zawięła ją w pościel i podparła głowę, aby się nie udusiła. Powiedziała mi, że w tym właśnie momencie zdecydowała, że ją zabije, bo wyciągnęła poduszkę i położyła Madi płasko na plecach. Poszła do łazienki, wzięła gumowe rękawice, których Madi używała do ochrony rąk przed terpentyną i kwasem do trawienia. Na biurku Madi leżał prezent ode mnie. Był to antyczny sztylet, nóż z plecioną gardą, którego używała do rozcinania papieru. Tą bronią zabiła Madi. Wtedy zadzwoniła do mnie. Była wtedy za piętnaście trzecia. Powiedziałem, aby wytarła wszystko, czego dotknęła, zabrała sztylet do torebki, natychmiast stamtąd wyszła i przeszła co najmniej trzy przecznice, zanim weźmie taksówkę, i pojechała z powrotem do swojego mieszkania. Pośpieszyłem do pracowni, zaparkowałem na tylnej uliczce i zabrałem wszystkie obciążające dokumenty, które mogłem znaleźć: diariusz, szkicowniki, listy, materiały porno i oczywiście notes telefoniczny Madi. Użyłem tych samych rękawiczek co Danny. Pojechałem następnie do Danny i wyprowadziłem ją z szoku rozmową. Zabrałem jej sztylet, umyłem go starannie i wziąłem do domu. Później, w ciągu roku wystawiłem go na aukcji antycznej broni. Ten cholerny przedmiot poszedł za dwa tysiące dolarów!

- Jak, do diabła, przeżyliście oboje dwanaście miesięcy policyjnego śledztwa? - zapytał Mather

- Ponieważ Ed Bayard był głównym podejrzanym i ponieważ ja pozbyłem się całej masy kłopotliwych dokumentów... ale przede wszystkim dlatego, że Danny Danziger utrzymała nerwy na wodzy. To bardzo osobliwa kobieta.

- Opowiedziałeś mi więc to wszystko - powiedział Mather - i czego teraz ode mnie oczekujesz?

- Abyś stworzył mit - powiedział Loredon z niespodziewanym ogniem. - Mit Madeleine Bayard: pięknej kobiety, ognistego ducha, wielkiej artystki, pozbawionej życia w kwiecie wieku. Legenda wyrobi reputację galerii Anny-Marii i doprowadzi obrazy Madeleine Bayard do wartości wyższej niż obrazów Rothko'a czy Pollocka. Ty też na tym zrobisz pieniądze - a przez to zapewnisz, że ona nigdy nie wyjdzie za Eda Bayarda.

Mather wytrzeszczał na niego oczy ze zdumieniem i ubawieniem, a potem wybuchnął śmiechem.

- Hugh, jesteś genialny! W dobrze zorganizowanym społeczeństwie zostałbyś powieszony na szubienicy. Ale jesteś niewątpliwie genialny.

- Rozjaśniasz moje ostatnie mroczne dni - odpowiedział mu z uśmiechem Loredon.

- Jest też z ciebie cholerny kłamca!

- A co, do diabła, masz na myśli?

- To wszystko jest prywatną rozmową w pokoju hotelowym. Za kilka dni nie będziesz żył. Niczego więc nie będzie dało się udowodnić. Robisz stary trik dezinformacyjny. Ja mam odwrócić uwagę od ciebie w sprawie o morderstwo. Danny Danziger nie zabiła Madi Bayard.

- Możesz tego dowieść?

Mather roześmiał się znowu i wstał, aby nalać sobie następnego drinka. Powiedział cicho:

- W moim zawodzie, Hugh, jest coś, co nazywamy dowodem wewnętrznym. Pracujesz nad manuskrypcem, który uważany jest za autentyczny - trzeci, może czwarty wiek. Uświadamiasz sobie nie pasujące drobiazgi... zwroty stylistyczne, pojęcia, które nie były w użyciu w danym okresie, błędne cytaty i wstawki innych tekstów. W chwili, gdy natkniesz się na takie wstawki wiesz, że masz do czynienia z fałszerstwem. Twoja historia jest sfalszowana... Widziałem policyjne fotografie wszystkiego, co było w pracowni Madeleine. Pokazują opróżnioną do połowy butelkę whisky, a w lodówce pełną butelkę bourbona, coca colę, wodę sodową i białe wino. Nie ma wzmianki o szampanie i szklankach ze szminką. Po co ta fikcja, Hugh?

Hugh Loredon z uśmiechem wzruszył ramionami, ale uśmiech zmienił się w grymas bólu.

- Max, jesteś tępy. Nie myślisz jasno. Ty nic nie wiesz - w ogóle nic - o morderstwie Madeleine. Byłeś, na miłość boską, we Włoszech, tak, jak Anna-Maria. Zawartość teczki to dowody z policyjnego punktu widzenia. Z twojego, to zakopany skarb - szkice, notatki, studia, diariusze, listy, które niedługo będą warte fortunę.

Hugh Loredon podniósł się ze swojego fotela i pokuśtykał do drzwi, aby wpuścić kelnera z obiadem.

Jedli z roztargnieniem. Mather jadł z trudem ciężkie, jak na wieczór, potrawy. Hugh Loredon nie miał wcale apetytu, zadowolił się chrupaniem sera z sucharkami i skierował rozmowę z powrotem na swoje bliskie odejście.

- To wariactwo, jeśli o tym pomyśleć. Czterdzieści osiem godzin temu zapłaciłem bardzo poważnemu holenderskiemu lekarzowi bardzo poważną sumę za zabicie mnie. Widziałem się z nim dzisiaj. Jest czarujący, bardzo współczujący. Poświęcił wiele czasu na upewnienie się, że rozumiem, co się stanie i czy pamiętani o uporządkowaniu wszystkich moich spraw.

- A jak on tłumaczy, co się stanie, Hugh?

- Bardzo prosto. Będę w łóżku. On wejdzie, porozmawia chwilę, będzie mi życzył szczęśliwej drogi i zrobi mi zastrzyk. Jest to zupełnie bezbolesne, mówi... porównuje to do wejścia do samolotu, zapięcia pasa i natychmiastowego zaśnięcia.

- A jakie mogą wtedy przyjść sny?

- Żadnych snów, Max. Nic więcej. To właśnie jest piękne.

- A nie myślisz o tym, że Anna-Maria będzie nad tym boleć, że twoi przyjaciele będą odczuwać brak ciebie?

- Wątpię w to, Max. Mocno wątpię. W dni aukcyjne byłem królem na zaniku. Wychodziłem na trybunę z moim małym młotkiem i uwaga całej sali skupiała się na mnie. Ale kiedy ostatnia stawka została zaakceptowana i schodziłem z podestu, było tak, jak gdyby mnie tam nigdy nie było. Nabywcy oglądali swoje zakupy, a niedoszli kupcy, niezdary i kibice byli już w drodze do domów. W takich chwilach najbardziej potrzebowałem kobiety, dla uprzytomnienia sobie, że istnieję.

- Hugh, a może chciałbyś, abym był przy tobie do końca?

- Nie. - Powiedział to z dużym naciskiem. Zdecydowanie nie. Chciałbym tylko, abyś zaczekał w Amsterdamie, aż będzie po wszystkim. W ten sposób wszystko będzie w porządku. Lekarz jest bardzo punktualny. Podał czas, kiedy to się odbędzie. Pójdź do baru i wypij za mnie drinka. Potem zadzwoń do Anny-Marii i poinformuj ją delikatnie. Będziesz umiał znaleźć właściwe słowa. Otrzyma ode mnie list, wysłany przez konsulat USA. Drugi dostaniesz ty. A teraz opowiedz mi o sobie.

- Wiesz wszystko, co się da. Znalazłem miejsce dla swojego przedsięwzięcia w interesach. Wydaje mi się, że będę mógł całkiem dochodowo działać z Europy.

- A co z Rafaelami?

- Artykuł wyjdzie na początku kwietnia. Spodziewam się nawału korespondencji i jakichś sprowokowanych przez nią działań. Poza tym Seldes i Henri Berchmans połączyli siły.

- To potężny zespół. A ty gdzie siebie widzisz?

- Nie widzę. Ja jestem unoszącym się okruchem. Tak lubię.

- Nie pozwalaj unosić się za długo, synku. Odzwyczaisz się od stabilnego życia. Zawsze myślałem, że mam dobre podejście do kobiet - zwykle żart, dowcip lub komplement zapewniały mi

łóżko na noc. Dużo czasu potrzebowałem, żeby dojść do wniosku, że wystarczą mi cztery słowa: „Czy chcesz? Czy chciałabyś?”, które upraszczają sprawę. Ale trudne było - i stawało się trudniejsze z każdym rokiem - to, co miałem im powiedzieć nazajutrz. Miałem wziąć cię dziś wieczór do miasta, Max, ale jestem już wyczerpany. Lepiej to odłożyć na dzień.

Następnego ranka wyszli wcześniej i szli w wiosennym słońcu wzdłuż Prinsengracht i Keizersgracht z ceglаныmi domami o schodkowatych szczytach i lipami, rzucającymi cienie na zaoliwioną wodę. Spotkali się z Cornelisem Janzoonem w mansardowej pracowni, niedaleko starego kościoła św. Mikołaja, gdzie pracował z hogartowską bujnością nad udokumentowaniem nowej podkultury, która rodziła się na starym mieście - narkomanów, stręczycieli, dziwek, wielojęzycznych sprzedawców kokainy, heroiny i wszystkich innych środków z podziemnej farmakopei.

Był to kościsty i chudy młodzieniec przed trzydziestką, jednak jego rysunek i kompozycja były tak samo pewne, jak każdego ze starszych od niego, a paleta żywa zadziwiającymi preparatami nowoczesnej chemii barwników, kontrastująca z klasycznymi tłami morskiej mgły, spatynowanej cegły i ciemnego niderlandzkiego nieba. Jego pierwsza wystawa odniosła ogromny sukces, ale krytycy obsmarowali drugą, był więc szorstki i defensywny.

- Mówią, że to, co robię jest staroświeckim ekspresjonizmem. Co mają na myśli? Ja tu mieszkam, wyrażam to, czego doświadczam. Co te dranie potrafią rozróżnić oprócz słów? Jaką etykietkę wyjadą do opisanie „Straży nocnej”? Przyjrzyjcie się, gdy będziecie dzisiaj w Rijksmuseum. Nie przykleja się etykietek takim dziełom. Po prostu patrzy się... i słucha, bo przecież słyhać bicie tego cholernego bębna.

Od razu pojaśniał, kiedy Mather kupił dwa małe obrazki i poprosił o przesłanie mu do Zurychu przezroczy kilku innych. Dziesięć minut później wstąpili do młodej kobiety, urodzonej na tulipanowych terenach Aarlsmeer, która swoje tulipanowe wspomnienia zamieniała w niezwykle napaści optyczne, przywodzące obserwatorowi na myśl najważniejsze cuda stwarzania.

Gdy wyszli od niej i szli w stronę Rijksmuseum, Hugh Loredon powiedział:

- Zadawałem sobie pytanie, o ile dłużej mógłbym przetrwać - co znaczy, jak sądzę, ile trudu byłbym zdolny poświęcić - aby wykorzystać taki talent. Moim problemem było po części zawsze to, że ja się nigdy o nic nie wysiłałem... O pieniądze, tak; o kobietę, czasem. Ale. osiągnięcie było zawsze rozczarowaniem. Wydaje mi się, że artysta zawsze wysiła się o coś, o coś lepszego.

- „Ich prace opadają ku ziemi” - zacytował cicho Mather - „Ale oni, wiem to, wiele razy sięgają nieba, które jest przede mną zamknięte” ...

- Browning - powiedział Hugh Loredon. - Andrea del Sarto, malarz doskonały. Sprzedałem raz del Sarto w Londynie. Ktoś naprowadził mnie na ten wiersz i użyłem go... mawiałem, że jego użycie podbijało cenę o trzydzieści procent. Jestem zmęczony. Może wzięlibyśmy taksówkę do Rijksmuseum?

- Możemy wrócić do hotelu, jeśli chcesz.

- Nie, ja naprawdę chcę zobaczyć Rembrandta. To mój prezent na moje pożegnanie.

Słowa te wydały się Matherowi najsmutniejszymi, jakie usłyszał w życiu.



## ROZDZIAŁ 11

Czterdzieści osiem godzin później, w klinice na peryferiach Amsterdamu życie Hugh'a Loredona zakończyło się śmiertelnym zastrzykiem. Śmierć została spowodowana, zgodnie z prawdą, według świadectwa zgonu „zatrzymaniem pracy serca”. Wiadomość została przekazana Maxowi Matherowi do jego pokoju w hotelu Amstel. Natychmiast zadzwonił do Anny-Marii. Ich rozmowa była krótka i smutna.

- Max, jak miło cię słyszeć. Gdzie jesteś?

- W Amsterdamie. Posłuchaj, obawiam się, że mam dla ciebie złe wiadomości.

Usłyszał, jak gwałtownie nabrała powietrza, a potem jej głos, bardzo cichy i dziecinny.

- Jak złe?

- Najgorsze. Twój ojciec zmarł w nocy. Cierpiał na raka. Ostatnie stadium. Odwiozłem go do lokalnej kliniki. Umarł kilka minut temu. Współczuję ci, kochanie. Bardzo ci współczuję.

- Dlaczego nic wiedziałam? Dlaczego nie zadzwonił? - Ani ty, Max?

- On tak chciał - bez pożegnań, bez żałoby. Zbyt cię kochał, aby cię tym obarczać.

- Nie, Max. - W jej głosie był teraz gniew. - To nie było tak. On po prostu nie umiał stawić czoła niczemu nieprzyjemnemu ... Co teraz będzie? Pogrzeb... przygotowania?

- Wszystko gotowe. Hugh zostawił wszystko we wzorowym porządku.

- Z wyjątkiem mnie, Max. W jej głosie był teraz gniew. Mnie nie zostawił w porządku. Jak on sobie wyobrażał, że ja to przyjmę, do diabła?

- On cię kochał, kochanie. Musisz w to uwierzyć.

- Na swój sposób, z pewnością. Ale nie na tyle, żeby pomyśleć, że ja miałabym potrzebę pocałowania go na pożegnanie. Tylko tyle Max, pocałować na pożegnanie. To ty zadzwoniłaś, nie on.

- Czy chcesz, abym wrócił do Nowego Jorku? Mogę być za dziesięć godzin.

- Nie. Zostań tam. Niech wszystko będzie we wzorowym porządku, przede wszystkim w porządku. Powieszę się teraz, Max. Chce mi się płakać, ale wydaje mi się, że łyżę gdzieś mi się zapodziały.

Chwilę później już jej nie było i Mather został sam, aby samotnie wypić za blade widmo Hugh'a Loredona. Wtem z jakiegoś niejasnego źródła ludowej wiedzy wydobyło się przekonanie, że są jeszcze inne duchy, które trzeba odzégnać i że najbardziej nieszczęsnym jest duch Madeleine Bayard. Była duchem zbyt potężnym, aby ją można było odprawić przez rozlanie wina. Trzeba ją było przywołać, stawić jej czoła, wezwać do przedstawienia się jako dobrą czy złą i egzorcyzmować za pomocą dzwonu, Pisma Świętego i świecy.

Mather usiadł przy wielkim, inkrustowanym biurku, wyciągnął plik hotelowego papieru listowego i zaczął pisać.

„Nigdy nie spotkałem Madeleine Bayard. Kontaktowałem się z nią tylko przez jej płótna, w rozmowach z jej przyjaciółmi i kochankami, przez dokumenty policyjne czy w surowych krajobrazach pamięci jej męża, gdzie teraz zamieszkuje. Jestem ciągle przez nią nawiedzany. Ona jest jak piękna pustułka - pełna wdzięku, lecz groźna, zawieszona pomiędzy mną a słońcem.

Muszę ją przywołać w dół, nakłonić aby przysiadła na przegubie mej ręki, tak abym mógł ją przytrzymać i wymóc, by rozmawiała ze mną o wielkim królestwie błękitu, które zamieszkuje. Albowiem nie jest to zwykły ptak, unoszący się na wietrze, jest to ptak magiczny, jeździec burzy, rzucający wyzwanie Bogu-Słońcu...”

Natchnęła go fala energii i obrazy zaczęły powstawać i przekształcać się w jego umyśle jak płomienie w ogniu. Słowa same płynęły mu spod pióra, a stos kartek rękopisu, klarownego jak tekst samej Madeleine Bayard, zaczął rosnać przed nim. Po trzech godzinach był gotowy.

Wsunął go, nie sprawdzając, do grubej koperty z załączonym listem do Leonii Danziger:

Droga Leonio,

Hugh Loredon zmarł dzisiaj w Amsterdamie. Była to śmierć spokojna, ale samotna, jak na tak towarzyskiego człowieka, sam jednak tak chciał. Zanim umarł odbyliśmy długą i wyczerpującą rozmowę, jej echa znajdzie Pani na następnych stronach. O Pani mówił również, opowiem Pani o tym, gdy się znowu zobaczymy.



A oto napisane krwią i łzami - nie tylko moimi - wspomnienie o Madeleine Bayard. Jest, ręką Pani, tak rzetelne i tak prawdziwe jak tylko potrafiłem. Zostawiam całkowicie do Pani uznania decyzję, czy powinno być opublikowane czy zatajone. Jeżeli będzie Pani za publikacją, daję również Pani wolną rękę co do redagowania. Jeśli tekst odpowiada Pani, to proszę przekazać kopie Bayardowi, Annie-Marii Loredon i Harmonowi Seldesowi.

Chciałbym też, aby poruszyła Pani z Seldesem kwestię, czy nie lepiej by było umieścić ten materiał w New York Times Review, który ma znacznie krótszy cykl wydawniczy niż Belvedere. Chciałbym, aby miało to jak największy wpływ na wystawę Anny-Marii. Dobrze by było, aby Pani do niej wpadła. Hugh odmówił zaproszenia jej do Europy na, jak to nazwał, śmiertelne czuwanie. Jest oczywiście bardzo rozstrojona. Wszyscy powinniśmy łagodzić żal, który z nią podzielamy... co sprowadza mnie z powrotem do Madeleine.

Znała ją Pani. Ona udzielała Pani radości i bólu. W moich wspomnieniach starałem się szanować prywatność, zarówno Pani jak i wszystkich innych. Mam nadzieję, że naszkicowałem portret, który zarówno Pani jak i inni będziecie mogli zaakceptować jako autentyczny. Proszę dzwonić lub pisać do mnie do Zurychu. Jutro wyjeżdżam do St. Moritz na narty na kilka dni, potem do Włoch, na tydzień.

Czułe pozdrowienia,

Max

Zszedł na dół i powierzył przesyłkę odźwiernemu do przesłania nocnym kurierem do Nowego Jorku. Był to w pewnym sensie akt końcowy. Dość już machinacji, dokonywanych przez innych i stęchłego smaku wydawanych przez nich przyjęć. Czas już był samemu wybrać się znowu w drogę wyłącznie we własnym interesie. Musiał jeszcze wymyślić zakończenie opowieści, ale był pewien, że je znajdzie. Potrzebne mu było odświeżenie umysłu, wzmocnienie ciała i doprowadzenie swoich planów do prostego i rozsądnego zakończenia. Najlepiej można to było robić na ostatnim śniegu wysokich tras w Engadine, zanim nadejdzie wiosna.

W poprzedni weekend było sporo opadów. Badrutts Pałace był niemal pełen. Był to okres najbardziej lubiany przez stałych bywalców, ostatnie poddmuchy zimy, pierwsze zachęcające

zapowiedzi wiosny, gdy już groziła odwilż i pojawiły się wielkie płaty luźnego śniegu. W dawnych czasach Max przyjeżdżał tutaj z Pią. Zachował jeszcze swoje członkostwo w Corviglia Club. Personel hotelu poznał go i powitał jak gościa honorowego. Tym razem nie był sam. Ciągłe jeszcze przygnębiony przejściami w Amsterdamie i dręczący się Danny Danziger, zaprosił na weekend Giselę Mundt. Wspólna jazda na nartach była całkowicie dopuszczalnym zajęciem w St. Moritz, przyznała. Wstęp i zakończenie mogły być marginalnie nie na miejscu, ale z pewnością nie niedopuszczalne. Więc dobrze, będzie jej miło mu towarzyszyć.

W trakcie dojazdu zaczęła bardzo nieśmiało proponować nowy plan sprzedaży Rafaelów.

- Spójrzmy na to, jeśli pozwolisz Max, od jak najgorszej strony. Chociaż z Aloisem jesteśmy kolegami, nie jestem pewna tak jak on, że będziesz mógł wystawić Rafaele na rynek bez sporu sądowego... Mówiłam mu to. Nie mamy między sobą sekretów. O jakiegokolwiek cenie byśmy mówili - stu, czy dwustu milionach - będzie to cena olśniewająca. Najtęższe mózgi prawnicze świata rzucą się do pracy nad tą sprawą i przysięgam ci, że może ona trwać lata, a z pewnością doprowadzi cię do bankructwa, jeśli ją przegrasz - do czego przy apelacji po apelacji łatwo może dojść.

- Co więc proponujesz?

- Abyś się zastanowił, choć pobieżnie, nad rozwiązaniem dziesięcioprocentowym.

- Co to jest?

- Jest to formuła, którą stosuje każde towarzystwo ubezpieczeniowe - taniej jest odzyskać utracony lub skradziony przedmiot, niż wypłacić pełną wartość ubezpieczenia. Jest to w gruncie rzeczy prosty wybór. Co byś wolał: gwarantowane dziesięć lub dwadzieścia milionów, czy sto milionów pod ryzykiem sądowego paraliżu?

- Chciałbym zasięgnąć porady w tej sprawie. - Odpowiedział jej Mather.

- Jesteś klientem - powiedziała miło Gisela Mundt. - Proponuję poradę, ale na koniec zastosuję się do twojej instrukcji.

Późnym ranem, następnego dnia Mather i Gisela wzięli narty na ramię i pojechali w górę do Corviglia Club na lunch, aby potem zjechać na nartach do domu. Odbyła się zwyczajowa prezentacja członkom z Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec Zachodnich. Dla Maxa była to jedna z okazji

słodkiego rewanzu. Po raz pierwszy był tutaj jako kochanek, uzależniony od bogatej wdowy. Teraz, na skutek jakiejś dziwnej przemiany, został przyjęty jako inna istota - nowo narodzona, ale w pełni dojrzała - której przeszłość, tak jak przeszłość tak wielu innych członków Corviglia Club, została uznana za naturalny stopień do obecnego statusu. Stare pieniądze i stary rodowód liczyły się zawsze, ale jaki klub na świecie mógłby przeżyć bez nowych pieniędzy i arystów, opromienionych blaskiem pierwszych stron gazet? Mather i jego towarzyska znajdowali się gdzieś pośrodku - para urzędników, znająca dobre maniery klubowe i dworskie, umiejąca jeść zupę bez siorbania i plamienia obrusa.

Gisela Mundt stała się natychmiast atrakcją. Wokół niej utworzyła się grupa młodszych członków klubu, podczas gdy Mather został zaklinowany w rogu przez starszego Włocha o nazwisku, będącym synonimem wina, który dawał mu nudny wykład o kapryсах klanu Palombinich i przekonywał o tym, że nikt ze współczesnej generacji nie umywa się do Luki Oszusta.

- To pan go znał? - Mather jak zawsze był dobrym słuchaczem.

- Bardzo dobrze. Był starszy ode mnie o piętnaście lat, co by znaczyło, że miałby dzisiaj dobrze po osiemdziesiątce. Ale gdy raniony wróciłem do domu z Libii - Dio! jak to już dawno temu - i zacząłem pracować w naszej posiadłości, był dla mnie bardzo miły. Kupował dużo naszych produktów, pomagał mi rozwijać nasz eksport w Europie. Twardy człowiek, ale lojalny. Mawiał, że każdy głupiec wart jest jednej porządnej lekcji. Jeśli jej nie zrozumie, nie ma dla niego żadnej nadziei. Panu by się z nim dobrze współpracowało. A przy okazji muszę panu powiedzieć, że nie można się pana nachwalić za sposób, w jaki pan traktował Pię...

- Jak mógłbym inaczej? Kochałem ją.

- Na zrozumienie tego - powiedział oschle starszy człowiek - trzeba oczywiście trochę czasu.

- A propos Luki...

- Tak?

- On miał sławną przyjaciółkę, prawda?

- Miał ich wiele... czasem dwie lub trzy równocześnie. Czy pan myśli o jakiejś określonej?

- O Camilli Dandolo.

- O tej śpiewaczce operowej? O tak, pamiętam ją. W gruncie rzeczy wielu z nas ma bardzo specjalne wspomnienia z nią związane... śpiewaczka nie nadzwyczajna, ale mająca wiele innych talentów. Co chciałby pan o niej wiedzieć?

- Czy ona nie wyszła za Brazylijczyka?

- Nie, za Niemca, naturalizowanego w Brazylii. Wielu z nas maczało palce w tej kombinazione. On był w SS, bardzo wysoko, był bardzo przykry. Zawarliśmy z nim umowę, że jeśli nam zejdzie z karków, to wyekspedujemy go z kraju do Ameryki Południowej zanim sprzymierzeni go schwytają. Camilla była częścią tej umowy... Camilla i różne inne objekty. On był w niej zakochany bez pamięci, ta więc strona transakcji była łatwa. Niezwykłe było to, że wrócił w czterdziestym siódmym i że się z nią ożenił. A czemu się pan interesuje tą panią?

- Przymierzam się do pisania książki o divach La Scali. Natknąłem się na to nazwisko.

- Fascynujący temat. Dziwię się, że nikt dotychczas o tym nie pomyślał. Niech pan przyjedzie do mnie, gdy będzie pan znowu we Włoszech. Jestem pewien, że będę mógł wykopać dla pana jakiś materiał w naszej rodzinie. Wszyscy młodzi ludzie u nas to amatorzy opery, chociaż w większości ich zainteresowanie skupia się nie na divach, ale na młodych, obiecujących sopranach. Niech pan weźmie moją wizytówkę.

- Dziękuję. A Camilla Dandolo, czy ona jeszcze żyje?

- Żyje i mieszka w Mediolanie. Jest teraz starszą panią. Jej mąż zmarł przed paru laty. Spieniężyła jego brazylijskie posiadłości, które w sumie były całkiem pokaźne, i wróciła do domu. W lokalnym *anagrafe* powinien być jej adres. Jestem pewien, że będzie więcej niż szczęśliwa, przyjmując pana. Starzy aktorzy zawsze lubią publiczność.

Później, gdy siedzieli przy lunchu Gisela powiedziała:

- Wyglądasz jak kot ze śmietaną na wąsach. Co się stało?

- Postanowiłem postąpić zgodnie z twoją radą.

- Na temat Rafaelów? Czemu nie? To jest los na loterii. Nie możesz wygrać dopóki go nie kupisz. Mógłbyś odpowiedzieć mi teraz na kilka pytań?

- Na jaki temat?

- Pii Palombini. Wydaje się, że byliście kochankami. Bardzo sławnymi kochankami.

- Nie wiem czy sławnymi, ale kochankami tak.

- Ona była bardzo chora, a ty ją pielęgnowałeś aż do jej śmierci.

- Tak.

- Byłeś w niej zakochany?

- Kochałem ją. To nie całkiem to samo.

- Ile miała lat?

- Czterdzieści sześć... była o jedenaście lat starsza ode mnie.

- Pochwalam to.

- Naprawdę?

- Równe szansę. Jeżeli starsi mężczyźni mogą szukać młodych kobiet, ja zawsze jestem po stronie starszych kobiet biorących sobie młodszych mężczyzn, większość których wymaga zresztą sporej edukacji. Czy miałbyś, jak Benjamin Franklin, coś o tym do powiedzenia?

- Myślę, że miałbym, tak.

- Czy wprawiam cię w zakłopotanie, Max?

- Tak.

- To dobrze.

- Dlaczego dobrze?

- Ponieważ to potwierdza coś, co czułam w tobie od początku, gdy cię poznałam. Jesteś mężczyzną, któremu od dawna bardzo brakowało pewności siebie, który nigdy nie czuł się dostatecznie silnym, aby współzawodniczyć z innymi. Dlatego zawsze kierowałeś się w stronę starszych i bogatszych kobiet.

- Sądzę, że tego już za wiele - powiedział zwięźle Mather. - Zaczęło się żartem. A teraz to już złośliwość. Kończ swój lunch i jedziemy.

- To nie jest złośliwość. - Położyła chłodną dłoń na jego zaciśniętych palcach. - W gruncie rzeczy prowadzę do komplementu. Widzę w tobie mężczyznę, w którym rozwija się twarda pewność siebie. Zdobyłeś sobie pozycję w Corviglia Club... podziwiam to, i jestem rada, że przyjechałam do Engadine z tobą.

- I bez kłopotu znalazłabyś kogoś, kto by cię odwiózł do domu. -

Mather uśmiechnął się do niej ponuro, ale złagodniał. - Nie miałem zamiaru ci dokuczyć. Wybacz mi.

- Miałaś powód. Gdy robiłam złośliwości braciom, ojciec mógłby mi urwać głowę.

- Czym zajmował się twój ojciec?

- Był rolnikiem w górach, co oczywiście znaczyło, że był mistrzem we wszystkich rzemiosłach: murarzem, kowalem, cieślą, akuszerem zwierząt. Był z niego również malarz, wiejski artysta, malujący obrazy na ścianach domów. Uważałam, że był lepszy od Diirera. Byłam zafascynowana całą rozmową przy obiedzie u Aloisa Lieperta. - Zawahała się przez chwilę, po czym wyrzuciła: - Jestem rada, że jestem częścią, nawet małą częścią tego, co robisz w Szwajcarii. Nie myślę o Rafaelach, ale o reszcie twojego planu.

- Dlaczego wykluczasz Rafaele?

- Dlatego, że znalazłam się w bardzo trudnym konflikcie interesów.

- Jakim?

- Masz pełne prawo legalnie robić to co robisz. Podjęłam się bronić tego prawa. Ale jako zacofana wiejska dziewczyna uważam twoje postępowanie za naganne. No więc powiedziałam, możesz mnie teraz zwolnić jako swego prawnika i wsadzić do pierwszego pociągu do Zurychu.

Mather potrząsnął głową.

- Nie uda ci się tak łatwo od tego uciec. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałaś że sam muszę rozstrzygnąć moralną stronę sprawy. Co się zmieniło?

- Nic. Tylko tyle, że dla spokoju sumienia musiałam ci to powiedzieć.

- Popsułaś mi lunch - powiedział wzruszając ramionami. - Chodźmy. Mamy jeszcze długi szus do domu.

To nie był szus, ale długa seria trawersów, każdy o innym stopniu trudności. Gdy dotarli do miasta, bez tchu i z zarumienionym policzkami, Mather poczuł powolny przypływ nadziei. Spośród wszystkich kobiet w jego życiu, ta była najmniej skomplikowana, najmniej... szukał właściwego słowa ... najmniej obciążona wykorzeniem społecznym i najmniej skażona obcym językiem społeczeństw konsumpcyjnych. Gdy ciężko szedł do hotelu, dźwigając swoje i jej narty, z coraz mniejszą rezerwą odpowiadał na jej pytania.

- Czym zajmował się twój ojciec, Max?

- Był nauczycielem, bardzo dobrym nauczycielem.

- Czego uczył?

- Języków europejskich. Językoznawstwa porównawczego. Literatury angielskiej. Był człowiekiem wszechstronnym.

- A twoja matka?

- Moja matka była damą. Pochodziła z dobrej rodziny i zawsze uważała, że popełniła mezalians.

- Ojej!

- Ciągle żądała więcej niż mieliśmy. Eksploatowała mojego ojca bezlitośnie. Wycofywał się coraz bardziej do swojego szkolnego świata. W końcu było mi nawet trudno dotrzeć do niego. A kochałem go bardzo.

- A matkę?

- Również ją kochałem. Wiedziałem, że nie zdołam nigdy zaspokoić jej ambicji co do mnie, ale moje zabezpieczenie zależało od niej. To ona jakoś wskrobywała pieniądze na moje studia w Princeton, ale to ojciec przygotował mnie do nich umysłowo. Kochałem ich oboje, ale nigdy nie zrozumiałem, dlaczego nie mogli być ze sobą szczęśliwi.

- Miałeś wiele kobiet w swoim życiu, Max.

- Tak myślę. Nigdy nie liczyłem.

- A teraz masz mnie.

- Tylko na weekend.

- Zgoda, na weekend, a to się nie liczy. Z którą ze swoich kobiet byłeś naprawdę szczęśliwy, Max?

- To niewłaściwe pytanie. - Mather cofnął się nagle. - Nie jestem pewien, czy zrozumiałem kiedykolwiek, co to w ogóle jest szczęście. - Strząsnął nagle ponurą myśl. - Pójdę teraz do sauny i popływać, pójdiesz ze mną?

- Naturalnie. Pójdę potem do łóżka na parę godzin. Pójdiesz ze mną?

Sobotnie popołudnie zapowiadało się oczywiście przyjemnie, ale nie rozwiązywało to żadnego z problemów Maxa Mathera.

Na obiad poszli tego wieczoru do Stubli, gdzie nie wymagano formalnego stroju. Lokal był zatłoczony i wypełniony różnorodnym gwarem. W trakcie posiłku, po chwilowym uciszeniu rozmów, posypały się włoskie słowa od strony pobliskiego stolika. Głos był znajomy... Mather obrócił się na krześle i zobaczył Claudia Palombiniego, siedzącego na ławie koło okna z dwoma innymi mężczyznami. Przeprosił Giselę, wstał i podszedł przywitać się z nim.

- Claudio, jak się powodzi?

- Max! - Palombini natychmiast wstał i objął go. - Co za niespodzianka! Co pan tu robi? To Gianni Ruspoli, nasz księgowy, to Marcantonio, mój kuzyn, który prowadzi tu nasze sprawy. Proszę zabrać panią i przyłączyć się do nas. Zaraz, od początku. Co pana sprowadza do Szwajcarii?

Klubowa euforia chwili udzieliła im się łatwo. Spotkani słuchali z zainteresowaniem o projekcie galerii, o publikacji w Belvedere, o syndykacie do zakupów. Gisela chętnie brała udział w rozmowie.

Znacznie trudniej przychodziło Maxowi tłumić wyrzuty sumienia, gdy siedział twarzą w twarz z człowiekiem, którego pozbawiał jego dziedzictwa. Jedynie długa praktyka w obłudzie mu to umożliwiała. Rozmowa krążyła łatwo i płynnie wokół stołu, aż Mather zadał Claudio pytanie.

- A jak interesy? Gdy pisał pan do mnie, brzmiało to smutno.

- Ba! - Słowo zabrzmiało jak eksplozja. Towarzyszący mu gest wyrażał zniechęcenie i rozpacz. - Jesteśmy tu, aby naradzić się, co robić. Moja droga ciotka - niech odpoczywa w pokoju! - pańska ukochana Pia, zostawiła mi robaczywy spadek. Mieliśmy nadzieję na jakiś ratunek w kolekcji dzieł sztuki, ale jest ona, jak pan wie, mało warta. Za trzy miesiące będziemy w prawdziwych opałach. Bez przedłużenia naszych pożyczek lub zastrzyku nowego kapitału, będziemy zmuszeni sprzedać i przegrupować część naszych posiadłości. W obecnej sytuacji rynkowej nie będzie to łatwe.

- Przykro mi to słyszeć. - Mather był szczerze zainteresowany. - Ale nie mam pomysłu.

- A jakże by pan mógł? - Claudio powiedział z godnością. - To była - to jest - sprawa rodzinna.

- Ależ oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

- Tylko cud może nas uratować. - Gianni Ruspoli próbował rozładować chwilowe napięcie. - Jak chleb i ryby.



- Albo te Rafaele, o których pisał pan do mnie. - Claudio zaśmiał się przy tych słowach, ale śmiech ten zabrzmiał pusto. - Śniły mi się te cholerne obrazy. Tańczyły przede mną poza moim zasięgiem. Czy pan myśli, że jest jakaś szansa ich odkrycia?

- Po tylu wiekach? - Marcantonio był sceptyczny. - To byłby większy cud niż chleb i ryby! A poza tym, jak dowieść własności po prawie pięciu stuleciach?

- A może to nie pięć stuleci? - powiedziała Gisela. Wszyscy zwrócili się w jej stronę. Uśmiechała się do nich ponad brzegiem swojego kieliszka. - Gdy po raz pierwszy usłyszałam tę historię, pomyślałam sobie, że skończyła się za wcześnie. Claudio momentalnie stał się czujny.

- Mogłaby nam signorina to jaśniej wytłumaczyć?

- Oczywiście. Proszę sprawdzić szczegóły. Max pracuje jako archiwista w posiadłości Palombinich. Zajmuje się także własnymi badaniami. Jego pracodawca, pańska ciotka Pia, umiera. Jego zatrudnienie jest zakończone. Wraca do Stanów Zjednoczonych, ale kontynuuje badania, w trakcie których w starych księgach rachunkowych odkrywa wpis, dotyczący zamówienia prac u mistrza Raffaello Sanzi. Artykuł, względnie seria artykułów jest w trakcie publikacji. Zgadza się?

- W każdym szczególe - zgodził się. - A więc?

- Oto moje pytania - ciągnęła Gisela. - Czy były prowadzone jakieś dalsze prace badawcze nad śledzeniem historii tych przedmiotów? Jeśli zostały sprzedane, czy istnieją pokwitowania? Czy zostały przekazane jako podarunki? Taka okazja musiała być na tyle ważna, że powinna była zostać gdzieś odnotowana. Kiedy ostatnim razem, o ile w ogóle, kolekcja została spisana? Wydaje mi się, że pan pozwala wymknąć się najwartościowszemu swojemu dobru. A któż inny na świecie wie więcej o archiwum Palombinich, niż Max Mather?

- Madonna mia! - Marcantonio wydał długie westchnienie zdumienia. - Przyjechaliśmy do Engadine na narty, a spotkaliśmy Sybillę Kumańską. Ona ma rację Claudio. Od roku 1500 dużo się zdarzyło w historii.

- Również dużo w historii najnowszej - dodał Ruspoli. - Faszyci, Niemcy! Luca l'ingannatore!

- Przekonaliście mnie - powiedział krótko Claudio. - Ale nie nalegajmy. - Zwrócił się do Mathera. - Mogliśmy byli, Max, przedyskutować ten temat we Florencji. Doszedłem jednak do wniosku, że pańskie zaangażowanie i ambicje idą w innym kierunku, ale może...?

- W każdym razie przedyskutujmy to - zgodził się Mather.

- A ja, jeśli już płacisz mi za doradztwo - powiedziała ochoczo Gisela - opracuję kontrakt.

- Signorina jest prawnikiem? - zadał pytanie Marcantonio.

- Bardzo drogim. Wykładałam również prawoznawstwo. Specjalizuję się w pojęciach średniowiecznych i ich rozwinięciu w prawie nowoczesnym. Proszę mnie sprawdzić na ruchomościach - co to są malowidła i czym zwykły być kobiety. Wiem wszystko o sądowym odzyskiwaniu własności, osobach towarzyszących i warunkowym zdjęciu sekwestru. Ale o wiele bardziej opłaci się panom zatrzymanie Maxa. A teraz panowie, proszę mi wybaczyć, macie sprawy do omówienia, a ja miałam bardzo długi dzień. Powiem więc dobranoc.

Gdy poszła, Palombini zamówił jeszcze jedną kolejkę drinków i prowadzili błąhą rozmowę dopóki napoje nie zostały podane. Jakiegokolwiek by były wady Włochów, a jest ich niemało, ich wielką zaletą jest styl. Styl w nieszczęściu, styl w przyjaźni, styl w miłości. Mogą nie mieć ani grosza, ale będą mieli wyczyszczone buty, wytarte ubranie ale wyprasowane, gors koszuli niepokalani, wynędzniałe policzki ogolone. Gdy przyciskają cię do serca, przyjmują cię do rodziny. Gdy cię nienawidzą, jest to w wielkim stylu.

Claudio Palombini, potomek wysokiego rodu Florencji, tonął wciągany wirem niepowodzeń, ale zachowywał się godnie, zachowując resztkę wiary w jakiś cud. Max Mather, erudyta, człowiek inteligentny i poważany, sączył swój alkohol, uśmiechał się jak istny Jago i zastanawiał się, czy błogosławić, czy przeklinać Giselę Mundt.

Marcantonio podsunął mu jego szklankę i zaczął go podpytywać.

- Sprytną dziewczynę pan znalazł, Max. Co pan myśli o jej pomysle?

- Teoretycznie wspaniały. A w rzeczywistości to szansa jedna na milion. Claudio wie jak wygląda archiwum... To tysiące i tysiące ksiąg, foliałów, plików zbutwiałego papieru. Wasze szanse na znalezienie jakiegoś istotnego śladu są jak jeden do milionów. Nie byłoby was stać na zapłacenie mi nawet połowy wynagrodzenia za taką pracę. Ale może wytłumaczę, co będzie się działo, a w czym ani wy ani ja nie będziemy mieć żadnego udziału.

Objął dokładnie po kolei, jak Seldes i Henri Berchmans połączyli się w zespół i jak przez swoją światową sieć kontaktów będą przeczesywali rynek w poszukiwaniu każdego śladu zaginionych dzieł mistrza. Dał krótką lekcję przepisów o pochodzeniu i ograniczeniach własności oraz trudnościach dowodzenia tytułu do niej. Na koniec powiedział:

- Ale jeśli tylko Seldes i Berchmans znajdą dostęp do tych przedmiotów, możecie zapomnieć nawet o myśli o ich przejęciu. Ci dwaj będą was trzymać na odległość, krążących wokół przez dwadzieścia lat, a Rafaele zapadną się pod ziemię, zanim zdołacie wypowiedzieć Sanzio. Czy w ogóle wiecie, ile wszystkie te rzeczy razem są warte na obecnym rynku?

- Miliony - powiedział Ruspoli.

- Ale ile milionów? - dopytywał się Palombini, dodając z przygnębieniem: - Tylko dla porównania, potrzebujemy dwudziestu w ciągu dziewięćdziesięciu dni!

- Portrety warte są co najmniej pięćdziesiąt milionów dolarów każdy. Nie wykluczone, że moglibyście dostać sto. Ryciny, nie mniej niż po półtora miliona za sztukę. Powinniście więc zadać sobie pytanie, jakie wynagrodzenie, względnie jaką prowizję bylibyście gotowi wypłacić za dostarczenie ich - ze sprawdzoną autentycznością i nieuszkodzonych. Proszę pamiętać, że nie może to być mniej niż dziesięć procent, ponieważ tyle może za obiekt oferować ubezpieczający.

- Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia - jakie to ma znaczenie? - zapytał Marcantonio. - Płacisz tylko za wyniki - i ja zapłaciłbym z radością dwadzieścia, aby tylko mieć teraz w naszej kieszeni osiemdziesiąt milionów. Pomyśl o tym Claudio.

- Myślę o tym - odpowiedział mu Claudio. - Ale chciałbym usłyszeć, czy Max również chce o tym pomyśleć.

- Mógłbym... na pewnych warunkach.

- A jakie by one były?

- Jedynie na warunkach jasnego, korzystnego dla nas obu, kontraktu.

- Jestem pewien, że moglibyśmy szybko taki zawrzeć.

- Oraz jedynie wtedy, gdybym miał wolną rękę, bez zadawania żadnych pytań.

- Nie rozumiem tego - zaproponował Gianni Ruspoli. - Gdybyśmy płacili, musielibyśmy mieć prawo do...

- Nie płacilibyście ani centa, jeżeli i dopóki obiekty nie byłyby dostępne - przerwał Mather. - Jeżeli ktoś ma do nich legalny tytuł własności, nie ma innego sposobu ich nabycia jak po cenie rynkowej. Ale jeżeli ktoś ma tytuł, ale nie właściwy, lub wątpliwy, wtedy być może - ale tylko być może - można wypracować rozwiązanie dziesięcioprocentowe. Ale nieunikniony będzie warunek: żadnych pytań, żadnych odpowiedzi. Inaczej nie będzie się dało tego załatwić.

- Powiedzmy piętnaście procent i przyjmijmy ofertę - zasugerował Ruspoli.

- Nie mówmy niczego, dopóki Max i ja nie porozmawiamy we Florencji. - Claudio z powrotem przejął inicjatywę. - Myślę, że rozumiem stanowisko Maxa. Nie chce się nam narzucać. Ma swoje własne, dochodowe plany. Jeśli go chcemy, musimy zaproponować kontrakt. Prawda, Max?

- Prawda, Claudio... a teraz dobrze by było, abyśmy wszyscy pomyśleli o poduszce.

- A może powiedział by pan, gdzie naprawdę znalazł tę małą Giselę?

- Dlaczego nikt mi nie wierzy? - zapytał żałośnie Mather. - Mówiłem wam. Jest moim adwokatem w Zurychu.

- A ja myślałem, że Szwajcarzy, a zwłaszcza prawnicy, to tacy nudziarze.

- Lepiej nie będę się wypowiadał na ten temat - powiedział Mather. - Podniósł kieliszek - za nasze nie ustające zdrowie!

Gdy spełnili toast, zrozumiał z całkowitą jasnością istotę wiecznego potępienia: nakłada się je samemu sobie i jest nieodwracalne. Trzeba jeść potrawę, którą się przyrządziło, pomimo że pali ogniem w gardle. Pije się zdradziecki kielich do dna, ale zanim się go odstawi, znowu jest pełen żółci i piołunu. Wypowiedziane kłamstwa wryte są w kamieniu, dźwiganym rękami ponad głowę jako oznaka niesławny.

Gdy przybyli w poniedziałek rano na stację w Zurychu, Gisela wyciągnęła grubą kopertę i wręczyła mu ją, mówiąc:

- To moje podziękowanie za cudowny weekend.

- Co to jest?

- Trzygodzinna praca w czasie twojego snu. To jest moja wersja kontraktu i to jedynie takiego, jaki powinieneś podpisać z Claudio Palombinim. Myślę, że jest to dobry dokument, jestem z niego dumna.

- Jak mam ci podziękować?

- Pocałuj mnie tylko - i zadzwoń.

Wykonał pierwsze i obiecał drugie. Potem wgramolili się do taksówki i trzymali za ręce aż do jej domu, gdzie zmieniała się natychmiast w Fraulein Doktor Mundt, adwokata, wykładowcę prawoznawstwa i europejski autorytet w dziedzinie prawa o ruchomościach.

W swoim mieszkaniu Mather znalazł czekające na niego wiadomości, listy i paczki. Panna Loredon dzwoniła z Nowego Jorku, jak również pan Bayard. Spali teraz głęboko, zadzwoni więc do nich później. Był również list od Henriego Berchmansa z Paryża:

„Wyświadczył mi pan szczególną grzeczność. Wszystko, co mogę, to odwdziżyć się panu. Proszę poinformować pannę Loredon, że na otwarcie galerii będzie mi miło wystawić moje obrazy Madeleine Bayard, jako obiekty - Nie do sprzedaży. Z przyjemnością oczekuję tej okazji.”

Była też paczka od Anny-Marii z przeźrocami, próbnymi odbitkami katalogu i notkami biograficznymi. Zatelefonował do młodego dealera, któremu je obiecał. Dealer zaaranżował odebranie ich przez kuriera. Był pod wrażeniem sprawności i szybkości działania Mathera, usiłował więc być równie energiczny. Wnioskował normalny rabat dealerski w razie wspólnej transakcji. Mather naturalnie zgodził się i sprawa została tak ustalona. Był na koniec list od Leonii Danziger:

„Mój drogi Max,

Pański artykuł o Madeleine Bayard nadszedł w piątek. Przeczytałam go natychmiast, a potem jeszcze trzy razy w ciągu dnia. Zostałam nim oszołomiona. Nie mogłam zrozumieć - i nadal nie mogę - jak Pan, który nigdy się z nią nie spotkał, zdołał tak szybko i pewnie uchwycić istotę natury tej kobiety i zadziwiającego wpływu, jaki wywarła na tak wielu ludzi, w tym również i na mnie.

Jestem pewna, że nigdy nie mówiłam Panu o moich stosunkach z Madi, ale jasne jest, że Pan musiał o nich wiedzieć i jeszcze jaśniejsze, że Pan tak bardzo się zbliżył do zrozumienia ich złożonej istoty. Wyraża Pan obawę, że mogę poczuć się zagrożona wtargnięciem Pańskiego tekstu w moje życie prywatne. Przeciwnie, czuję się wzbogacona Pańskim zrozumieniem. Nie mogę mówić za innych, mówię tylko za siebie.

Dałam kopię Bayardowi, o co Pan prosił. Dostarczyłam mu osobiście, mówiąc o swobodzie, której mi pan udzielił jako swemu wydawcy. Poprosił mnie, abym zaczekała u niego w gabinecie zanim nie przeczyta tekstu. Wywarł on na nim ogromne wrażenie. Wyraz jego twarzy zmieniał się z

chwili na chwilę. Uśmiechał się, marszczył, w pewnym momencie myślałam, że wybuchnie łzami. Gdy skończył, zdjął okulary, przetarł oczy, następnie szkła... wykonał całą serię gestów opóźniających komentarz. Wszystko, co zdołał powiedzieć, to: „Jak on, u licha, mógł tyle wiedzieć?” Gdy powiedziałam, że powinien być wdzięczny za tak sympatyczne epitafium, jedynie skinął głową. Ciągle był zbyt poruszony, aby mówić więcej, ale zgodził się na publikację.

Teraz Anna-Maria Loredon. Wpadłam do niej, jak pan prosił. Była bardzo spokojna, bardzo powściągliwa, ciągle nie może pogodzić się z faktem, że własny ojciec pozbawił ją udziału w swojej ostatniej drodze.

Ostatni na mojej liście jest Harmon Seldes. Przekonywałam go, że artykuł będzie lepiej pasował do New York Times Review i będzie o wiele bardziej przydatny dla wystawy pan Bayard. Zachował się jak pies ogrodnika. Ponieważ jest Pan współredaktorem i że Pan z nim uzgodnił ten artykuł... wszystko to prawda. Prawdą również jest, że on wie, iż jest piękny, wzruszający, sensacyjny - i nie chce go wypuścić. Spieraliśmy się przez godzinę, zgodził się w końcu wydrukować go jako luźną wkładkę do kwietniowego numeru - i tu jest pies pogrzebany - Anna-Maria ma zapłacić za ogłoszenie na tylnej stronie wkładki. Zgodziła się łatwo na ten wydatek, uznając wagę artykułu. Wszystko jest więc umówione. Będzie pan mógł dostać odpłatnie odbitki, doskonale nadające się do rozprowadzania na prowincji i za granicą.

Na koniec moje sprawy, mój drogi Max. Co teraz? Łatwiej mi odpowiedzieć niż myślałam. Po śmierci Hugh'a Loredona, z wyjątkiem mnie nie ma już nikogo, kto mógłby drwić z moich szaleństw czy osłabiać moje samopoczucie. To, co Pan napisał podnosi mnie, jak podniósł Pan Madeleine Bayard - na wyższy poziom, z którego mogę patrzeć na stan rzeczy. Spotkałam nową przyjaciółkę. Nazywa się Carol. Jest artystką jak Madi. Wprowadziła się do mnie. Uczymy się być szczęśliwe razem. Mam nadzieję, że Pan ją polubi.

Więcej, dużo więcej, powiem, gdy się spotkamy. Mogę powiedzieć teraz coś, czego nie mogłam nigdy dotąd. Kocham Pana, Max, na swój specjalny sposób. Życzę Panu wszystkiego lepszego niż Pan mógłby oczekiwać.”

Danny

Pierwszy raz użyła tak ciepło jego imienia. Dziwnie się wzruszył, patrząc na nie na papierze. Powiedziało mu to, że tym razem - jak nigdy przedtem ani potem - wyłamał się poza skorupę erudycji i opowiedział żywą prawdę życia.

Podniósł słuchawkę i nakręcił numer pracowni Niccola Tolentiniego w pałacu Pittich we Florencji. Głos, który mu odpowiedział, był dziesięć razy potężniejszy od karlej postaci jego właściciela - głęboki, aksamitny baryton, wydobywający się gdzieś z podeszew jego butów.

- Tu Tolentino, kto mówi?

- Max Mather.

- Max, drogi przyjacielu. Co za przyjemność! Gdzie jesteś?

- W Zurychu. Przyjeżdżam spotkać się z tobą po pojutrze. Wszystko już załatwione. Przyjeżdżasz do Nowego Jorku.

- Nie wierzę.

- Obiecałem.

- Wiem, że obiecałeś, ale większość obietnic jest jak Madame Butterfly - „pewnego pięknego dnia”.

- Tym razem daty będą pewne, bilety kupione. Będziesz mieszkał w moim mieszkaniu. A oto mój program: przylatuję do Mediolanu w środę, wcześniej rano. Po południu lecę do Pizy, a stamtąd jadę do Florencji. Możemy zjeść obiad?

- Oczywiście. O dziewiątej. W Gallodoro. Czy mogę wziąć Guida?

- Nie. Tym razem tylko ty i ja. Mamy mnóstwo do omówienia, wielkie decyzje do podjęcia.

- Niemożliwe! - powiedział Niccolo Tolentino - gdy już zostałem zadowolonym niedowiarkiem, zdarza się cud.

Maxowi Matherowi też był potrzebny cud. Jego następny telefon skierowany był do międzynarodowej centrali telefonicznej w Mediolanie, w celu znalezienia w spisie numeru wdowy o nazwisku Eberhardt, która mogła jednak powrócić do panieńskiego nazwiska Dandolo, lub do połączenia obu.

Nie było to samo w sobie zadaniem niezwykłym, ale włoskie telefonistki, jak powszechnie wiadomo, w razie najmniejszej trudności odłączały się, pozostawiając rozmówcę na linii, ogłuszonego

sygnałem zajęcia. Ale tym razem stał się cud. Telefonistka była pogodna i uważna. Znalazła numer w dwadzieścia sekund: signora Camilla Dandolo-Eberhardt, Via del Orso 81. Mather zapisał numer i adres, i flirtował z nią jeszcze przez 15 sekund, aż zachichotała i wyłączyła się. Wtedy, z cichą modlitwą o jeszcze jeden cud, wykręcił numer Dandolo-Eberhardt. Po chwili, która wydała mu się wiekiem, odezwała się służąca. Zapytała, kto dzwoni i w jakiej sprawie. Mather tłumaczył ze swoim najlepszym toskańskim akcentem.

- Jestem starym przyjacielem rodziny Palombinich... z Ameryki... piszącym książkę o divach La Scali... i tak dalej, aż dziewczyna, przekonana jego elokwencją, zdecydowała się przekazać go swej pani. Camilla Dandolo wydała mu się rześka, ale była rozdrażniona i podejrzliwa. Mather musiał opowiedzieć wszystko na nowo i odpowiedzieć na jeszcze dwadzieścia pytań, zanim zdecydowała się przyjąć go w środę o jedenastej. Obiecał zadzwonić z lotniska, gdyby zdarzyło się jakieś opóźnienie.

Potem Mather pojechał do biura Aloisa Lieperta. Czy zna solidnego agenta podróży? Zna. Czy jego skretarka mogłaby dokonać kilku rezerwacji i znaleźć mu hotel we Florencji? Wszystko możliwe, natychmiast do rąk. Na koniec Mather zapytał niezobowiązująco, czy Alois Liepert mógłby rzucić okiem na projekt kontraktu? Teraz, jeśli to możliwe? Liepert bardzo uważnie przeczytał dokument i podniósł na Mathera kpiące spojrzenie.

- Z pańskiego punktu widzenia jest to cudowny kontrakt. Daje panu wyłączne prawa do pertraktacji w imieniu rodziny w sprawie Rafaelów. Nie może ich pan sprzedać ani zastawić, ale nie musi pan ich wydawać dopóki nie otrzyma pan wynagrodzenia. Nie jest pan zobowiązany deklarować, w jaki sposób wszedł pan w ich posiadanie. Może pan robić wszystko, z wyjątkiem czynów przestępczych... i ma pan wyłączność kontaktu z rodziną. Mogę sobie jedynie zadać pytanie, kto będzie na tyle głupi, aby podpisać taki kontrakt z panem.

- Ale zgadza się pan, że warto spróbować?

- Jeżeli Palombini go podpisze, zafunduję panu najlepszy obiad w Zurychu.

- Przyjęte. Czy mógłbym pana prosić o danie go do przepisania i powielenia dla mnie?

- Małe pytanie, kto go panu przygotował? Mather uśmiechnął się i zaczerwienił z wdziękiem.

- Gisela Mundt. Właśnie byliśmy w weekend na nartach w St. Moritz. Alois Liepert odchylił się na oparcie krzesła i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.



- Mój Boże, moja żona miała jednak rację. Mówiła, że widziała elektryczność pomiędzy wami dwojgiem. Nie wierzyłem jej. Ona jest niepoprawną swatką. Cóż mogę powiedzieć? Jestem uradowany - mam nadzieję, że to będzie trwałe.

- A nie zapomniał pan o kontrakcie?

- Nie, do licha. Mogę tylko powiedzieć, że nie miałbym tupetu, aby go ułożyć. Ale jeśli się panu uda, pani będą się należały brylanty.

- Jeżeli Rafaele będą prawdziwe.

- To, oczywiście, jest wielkie jeźli. - Liepert zaśmiał się znowu. Trzymam zakład. Zafunduję wam obojgu obiad.

Z dokumentami podróży i kontraktem w kieszeni Mather poszedł do banku, podjął pieniądze na podróż, a potem odebrał zrobione przed miesiącami fotografie portretów Rafaela i pięciu rycin. Zdawał sobie sprawę, że posiadanie ich przy sobie jest ryzykowne, ale jeżeli Palombini podpisze kontrakt, ryzyko zniknie natychmiast. Jeżeli nie podpisze, będzie musiała zostać przyjęta inna strategia, zaś do tego fotografie mogą być potrzebne.

Z mieszkania połączył się trzykrotnie z Nowym Jorkiem. Pierwsza rozmowa była z Bayardem w jego biurze, a pierwsze pytanie dotyczyło Anny-Marii.

- Jak ona się trzyma?

- Lepiej powiedzieć, że się nie trzyma - powiedział zgnębiony Bayard. - Bardzo się kontroluje, jest zamknięta i pracuje na okrągło. Jak długo cię nie będzie?

- Jeszcze kilka tygodni. Jesteśmy już tutaj całkiem nieźle zorganizowani. Posłałem wam materiały z Amsterdamu i Zurychu.

- Janzoony są świetne. Ceny również w porządku. Pomówimy o tym jak tylko przyjedziesz. I, Max?

- Tak.

- Twoje wspomnienie o Madeleine - przeczytałem je. Byłem głęboko poruszony. Ciągle nie mogę zrozumieć, jak zdołałeś tak w to wnikać. Chciałbym zapytać...

- Nie pytaj, Ed. Niech ten dokument mówi sam za siebie.

- Masz rację. Oczywiście.

- Mam dla was dobrą nowinę. Berchmans zgodził się, aby jego obrazy zostały pokazane pod jego firmą na wystawie.

- To bajeczne. Pieniądze w banku. Jak to załatwiłeś?

- Grzeczną perswazją.

- Zapewne. Jest coś, co powinieneś wiedzieć, Max.

- Co?

- Wczoraj miałem wizytę policji.

- Z jakiegoś specjalnego powodu?

- Tak, pytali czy istniał jakiś związek pomiędzy Maxem Matherem i moją nieboszczką żoną.

- A ty ich zapewniłeś, że nie było żadnego.

- Oczywiście. Powodem pytania był list, napisany na dwa dni przed śmiercią przez Hughę Loredona i umieszczony wraz z innymi dokumentami do przekazania, w ambasadzie USA w Hadze. W liście stwierdza on jawnie, że po powrocie do USA będziesz mógł ujawnić pewne fakty, co doprowadzi do zaniknięcia sprawy. Czy rozumiesz, o co w tym chodzi?

- Świetnie rozumiem. I bardzo mi się to nie podoba.

- Czy mogę pomóc?

- Być może później.

- Co przypuszczasz, że Hugh Loredon chciał zrobić?

- Na razie zatrzymam to dla siebie - zachowując dyskrecję przez telefon. A więc do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Następna rozmowa była z Anną-Marią. Nie był przygotowany na tak nagły wylew emocji w jej wypowiedziach.

- Max, dzięki Bogu, że dzwonicz! Myślałam już, że zwariuję. Po tym, jak zachowałam się wtedy, myślałam że już nigdy nie będziesz chciał ze mną rozmawiać. Ja wiem, że źle się zachowałam,

ale nic na to nie poradzę. Nikomu na świecie mniej nie chciałam robić przykrości jak tobie, przecież to wiesz, prawda?

- Oczywiście, wiem. Jak się czujesz teraz?

- Dużo lepiej, gdy usłyszałam twój głos.

- Mam dla ciebie dobre nowiny.

- Powiedz.

- Berchmans pożyczy obrazy na wystawę.

- Cudownie!

- Posłałem już przeźrocza naszemu szwajcarskiemu przyjacielowi. Będziemy musieli udzielić mu rabatu jak dla galerii. Jestem pewien, że to nabywca. W Amsterdamie jest cudowny, młody ekspresjonista, który nazywa się Cornelis Janzoon. Jestem przekonany, że moglibyśmy wystawić go u nas... i wyjeżdżam w środę do Florencji, aby sfinalizować sprawę wizyty Tolentina.

- Wspaniałe wiadomości, Max... Dziękuję.

- Jak idzie budowa?

- Szybciej niż przypuszczałam. Windy są zainstalowane, cała hydraulika i większość robót elektrycznych, alarmy i tak dalej. Twoje mieszkanie jest prawie gotowe. Większość tego, co zostało do zrobienia to wykończenie. Będziemy gotowi do otwarcia, które ma być w drugim tygodniu kwietnia.

- Zrobimy z tego miażdżący sukces.

- Czytałam twój artykuł.

- Mam nadzieję, że ci się podobał.

- To niewłaściwe słowo. Wzruszył mnie. Nawet wzbudził we mnie coś w rodzaju wielkiej zazdrości. To tak, jakbyś był w niej zakochany. Ale jest cudowny i dokona cudów dla wystawy. Dostałeś coś do niego od Hugh'a, tak?

- Dużo.

- Jak dużo ci powiedział?

- Więcej, niż chciałem usłyszeć.

- A to, co chciał, żebyś przeczytał?

- Co takiego?

- No wiesz, w... o! - Wydała zduszony okrzyk zaskoczenia i zrozumienia - zapomnij o tym. Musiałam pomyśleć o czymś innym. Mam tyle teraz na głowie.

- Wszyscy mamy, kochanie. A jak sprawy pomiędzy tobą i Bayardem?

- Spokój. Jest bardzo opiekuńczy, bardzo uważny. Ja wiem, że mu ulżyło, iż Hugh'a już nie ma, ale nie mam mu tego za złe.

- A ty? Jak ty się czujesz?

- Do chwili gdy zadzwoniłeś, nie czułam się wcale. Twój telefon był chyba pobudzający. A przy okazji, jak twoje życie miłosne?

- Nie wtrącaj się, siostró Anno - pamiętaj, co się zdarzyło w zamku Sinobrodego.

- Czyż mogłabym zapomnieć?

Powiedziała to dosyć lekko, ale sposób mówienia kazał mu zastanowić się, czy sekret Hugh'a Loredona był jeszcze sekretem. Ten cholerny aktorzyzna nie umiał przyzwoicie umrzeć, aby ocalić swoją duszę. On się urodził, aby zostać zadkiem konia z pantomimy - który wychodzi chwiejnym krokiem z pierdnięciem i ostatnim machnięciem swojego przeklętego ogona.



## ROZDZIAŁ 12

Lot do Mediolanu opóźnił się o piętnaście minut w Zurychu i o następne piętnaście w kolejce do lądowania na lotnisku Linate. Kolejne dwadzieścia minut zostało stracone przy kontroli paszportów, ponieważ podróżny z Libanu miał przeterminowaną wizę. Matherowi wystarczyło czasu zaledwie na kupienie koszyka wędnących fiołków, zanim zdążył wpaść do taksówki, dwa kroki przed rozgorączkowanym tłumem i dojechać na miejsce, spóźniony o kwadrans.

Mieszkanie Camilli Dandolo znajdowało się na pierwszym piętrze dziewiętnastowiecznego palazzo, o wysoko sklepionych sufitach i miłośiennie chłodnych klatkach schodowych. Jędzowata służąca wprowadziła go i pozostawiła do ochłonięcia w salonie pełnym ciężkich mahoni, fotografii w srebrnych i romantycznych pejzaży w złotych ramach.

- Wygląda okropnie, prawda? - powiedziała od drzwi Camilla Dandolo. - Ale wynajęłam z umeblowaniem za przyzwoity czynsz.

Była bardzo już starszą, ale ciągle jeszcze dobrze prezentującą się damą. Miała na sobie brokatową domową suknię, na nogach złote pantofle, a siwe włosy były związane z tyłu złotą wstążką. Dłoń, którą po królewsku podała do ucałowania, okryta była pierścieniami. Mather niemal spodziewał się usłyszeć anielski głos, intonujący „Celeste Aida”.

Grał bezwstydnie przed nią, mimo braku uzdolnień aktorskich: niski ukłon, wargi ledwie muskają stary pergamin jej skóry, mowa pełna grzecznościowych zwrotów. Nawet w ten sposób nie uniknął w pewnej chwili wpadki. Dama nie ulegała łatwo pochlebstwom. Pochyliła na bok głowę jak podstarzała papuga i dopytywała się:

- Jak ktoś tak młody, jak pan, może coś wiedzieć o Camilli Dandolo? Czy pamięta pan jakąkolwiek z moich ról, moich głównych partnerów? Jestem pewna, że nie.

Mather obdarzył ją rozbrajającym uśmiechem i zaczął mętnie tłumaczyć.

- Dowiedziałem się o pani w bardzo romantyczny sposób, gdy byłem archiwistą w Tor Merla u rodziny Palombinich. Byłem zafascynowany historiami, które starzy służący opowiadali mi o pani wielkiej miłości z Luką. Pani imię usłyszałem również w ostatni weekend, zostało wymienione - muszę powiedzieć, że z wielkim afektem - przez jednego z członków Corviglia Club w St. Moritz. To on właśnie powiedział mi, że mąż pani odszedł z tego świata i że pani mieszka obecnie w Mediolanie.

- A, teraz to staje się jasne. - Była ubawiona i poczuła się pochlebiona. - Ta książka nie jest więc o divach, lecz o skandalach w La Scali?

- Nie całkiem. To będzie dokładna praca. Wiem na przykład, że pani śpiewała Olgę w Fedorze z Giglim w 1939, że Guarnieri dyrygował pani w L'Amico Fritz i że pani śpiewała Mimi z Malpiero... - Przerwał ze śmiechem. - Widzi pani, naprawdę odrobiłem swoje lekcje! Jednakże moje zainteresowanie panią jest innego rodzaju. Była pani przyjaciółką sławnych i potężnych ludzi, jak Luca Palombini. Była pani nie tylko piękną kobietą, pani sama również miała władzę. Wszystko to wiem we fragmentach i ze słyszenia, chciałbym usłyszeć to z pani ust i zarejestrować w serii wywiadów na taśmie.

- Brzmi to dla mnie zbyt groźnie. Jestem starą kobietą. Moja pamięć nie jest już pewna.

- Na to - powiedział Mather - my, specjaliści od wywiadów mamy różne triki, małe zabawy ze skojarzeniami, które otwierają drzwi do pamięci... Mogę pokazać pani, co mam na myśli?

- Proszę, niech pan pokaże.

- Proszę zamknąć oczy.

Wyciągnął rękę, wziął fotografię w srebrnej ramce ze stolika i trzymając ją przed jej oczami powiedział:

- Gdy poproszę o otwarcie oczu, proszę skierować spojrzenie na przedmiot przed panią i opowiedzieć mi o nim wszystko. Proszę otworzyć teraz.

Po chwili, potrzebnej do skupienia wzroku, wyrecytowała jak dobrze ułożona uczennica:

- To jest fotografia moja i mojego męża Franza, na naszej farmie blisko Brazylii. Inni, to niemiecki konsul generalny i jego żona. Indianie w tle, to robotnicy, budynki - to stodoły i szopy na maszyny.

- Dziękuję. A teraz spróbujmy jeszcze raz. Proszę zamknąć oczy.

Tym razem trzymał przed jej oczami fotografię jednego z portretów Rafaela, panny Beaty Palombini. Otworzyła oczy, skupiła wzrok, wpatrywała się w obraz przez dłuższą chwilę i powiedziała niezdecydowanie:

- Wygląda jak obraz, który mieliśmy w naszym domu.

- Spróbujmy jeszcze raz. Proszę zamknąć oczy. Teraz trzymał drugi portret, donny Delfiny.

- Proszę otworzyć! Tym razem nie wahała się:

- To na pewno jeden z naszych obrazów.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Wzruszyła ramionami z irytacją.

- A cóż mogę powiedzieć? Nigdy nie interesowałam się sztuką. Mój mąż był kolekcjonerem.

- Proszę więc powiedzieć mi to, co pani wie.

- Franz nabył w czasie wojny dwa obrazy od Luki Palombiniego. Nie znam szczegółów. On zawsze rozglądał się za takimi rzeczami w czasie swoich wypraw. Zabrał je ze sobą do Brazylii i gdy pobraliśmy się i pojechaliśmy tam zamieszkać, te obrazy ciągle tam były. Były w naszym domu do jego śmierci. Wtedy - ponieważ nie chciałam ciągnąć wszystkiego do Włoch - sprzedałam je wraz całą posiadłością. Okazały się bardzo wartościowe - Joaquin Camoens, który jest jednym z najważniejszych naszych dealerów w Rio, dał mi za nie bardzo dobrą cenę.

- No widzi pani? - Mather uśmiechnął się do niej z radosną aprobatą. - Widzi pani, co miałem na myśli, mówiąc o skojarzeniach? Już jest tło całej historii: pani mąż, to co robił we Włoszech w czasie wojny i później, jego stosunki z Luką i z panią. Od razu cała historia zaczyna się kształtować.

- Nie jestem pewna, że to jest taki dobry pomysł - powiedziała Camilla Dandolo. - Musiałabym to bardzo dokładnie przemyśleć.

- I to właśnie jest celem mojej wizyty - powiedział Mather uspokajająco. - Aby przedstawić pomysł i sprawdzić pani reakcję. Jeśli to sprawia pani trudność, to proszę o tym zapomnieć. Nic się nie stanie - a ja miałem przyjemność i honor poznać panią. Jadę teraz do Florencji. Czy pozwoli pani, że przekażę rodzinie Palombinich pani pozdrowienia?

- Myślę, że nie. - Starsza pani była bardzo zdecydowana. Rodzina Luki uważa, że ich obrabowałam. Faktem jest, że kilka razy ocalałam im skórę, ale nigdy do tego się nie przyznali. Skąd ma pan te fotografie?

- Zostały mi przysłane przez dealera z Paryża. - Mather skłamał bez najmniejszego skrupułu. - Nie podał skąd zdobył te obrazy, ale prosił mnie o ustalenie ich pochodzenia. Pan Joaquin Camoens musiał je wystawić na międzynarodowym rynku.

- Ale jak pan je skojarzył ze mną? - Była niestrudżonym bojownikiem. Nie chciała oddać niczego bez walki.

Mather przeciwstawił się szarmancko. - Jest na to najprostsza odpowiedź, droga pani. Wiedziałem dużo o interesach handlowych Luki... i tak jak pani, kochałem kogoś z Palombinich.

- Kogo?

- Pię. Zmarła w zeszłym roku.

- A więc powinniśmy pozwolić jej odpoczywać w spokoju, powiedziała Camilla Dandolo. - Świat się nie zawali, jeśli nie napisze pan książki. Miło mi było pana poznać, panie Mather. Szkoda, że jestem za stara, aby kontynuować znajomość. Służąca wyprowadzi pana.

Mather ustalił więc bez żadnych wątpliwości, że wykonano jedną parę, a może i więcej kopii portretów Rafaela, co zresztą zawsze uważał za możliwe. Nie miał na razie żadnych podstaw do rozstrzygnięcia, czy egzemplarze będące w jego posiadaniu były oryginałami czy kopiami. Jednego mógł być pewien - w momencie, gdy wystawi je na rynek - te drugie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej pojawią się natychmiast i wybuchnie nieunikniona walka o prawdziwość. Nie będzie mógł wygrać jej w pojedynkę, postanowił więc przedsięwziąć pewne środki zabezpieczające.

Miał jeszcze trochę czasu przed odlotem do Pizy. Poszedł do urzędu pocztowego na lotnisku Linate i zatelefonował do Berchmansa do Paryża. Berchmans był na parterze z klientem i trzeba było przekonać sekretarkę, aby przywołała go do telefonu. Jak zwykle był obcesowy.

- Mam nadzieję, że to warte pańskich pieniędzy i mojego czasu.

- Znowu jest pan niegrzeczny, panie Berchmans. Obiecałem panu przekazywać informacje o Rafaelach. Właśnie to robię. Ma pan czas; aby je odebrać?

- Oczywiście, oczywiście.

- Jestem w Mediolanie. Na lotnisku. Właśnie odwiedziłem Camillę Dandolo, wróciła do Włoch po śmierci swojego męża w Brazylii.

- Skąd pan o tym wiedział?

- Byłem na nartach w St. Moritz, gdzie spotkałem jednego z jej dawnych wielbicieli. Mogę mówić dalej?

- Proszę, niech pan mówi.



- Po dłuższym kluczeniu ustaliłem, że jej mąż nabył dwa portrety Rafaela od Luki Palombiniego, na nieustalonych warunkach. Obrazy te zostały sprzedane wraz z całą kolekcją dzieł sztuki dealerowi z Rio, nazywającemu się Joaquin Camoens.

- Znam go - powiedział Berchmans z podnieceniem. - To kanciarz. Sprzedałby zwłoki swojej babki za cenę złota z jej zębów. Coś jeszcze?

- Nie. To wszystko.

- Co pan teraz zamierza?

- Jadę do Florencji odwiedzić starych przyjaciół. Przy okazji, dziękuję za wypożyczenie pańskich Bayardów.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- A teraz może mi pan podziękować za to kosztowne połączenie telefoniczne i tę cenną wiadomość. Berchmans zaśmiał się swoim przykrym, rechocącym śmiechem.

- Za wiele pan wymaga, Mather. Niech mi pan przyśle rachunek za oddane usługi. To znacznie mniej kłopotliwe.

Siedząc w barze nad piwem i nieświeżą kanapką, wytracając pozostały czas, Mather zastanawiał się, jaki może być następny ruch Berchmansa. Będzie musiał najpierw zlokalizować obrazy w Brazylii, następnie poddać je pełnemu sprawdzeniu autentyczności, potem nabyć je warunkowo lub całkowicie i na koniec wystawić na rynek. Cały czas będzie się zastanawiał - jak i sam Mather - czy Luca Palombini nie podrzucił fałszerstw Franzowi Eberhardtowi. Będzie się zastanawiał, ile fałszerstw istnieje i jak szybko zaczną się pokazywać na rynku.

I to był główny powód, dla którego należało zawrzeć przymierze z Niccolem Tolentinem. On był jedynym człowiekiem na świecie, zdolnym do niewątpliwego odróżnienia kopii od fałszerstwa.

Problem polegał jednak na tym, że im więcej ludzi uwikła się w sprawę Rafaela, tym bardziej Max Mather będzie narażony na niebezpieczeństwo. Posuwało go to o jeden krok bliżej do najstarszego i najbardziej paradoksalnego ze środków zaradczych: otwartej spowiedzi. Jakże łatwo byłoby powiedzieć: zobaczcie, jakim byłem chciwym głupcem. Zostawcie mi tylko moją reputację, dajcie mi skromną korzyść a będę zadowolony.

Ale nie było to takie łatwe. Został poddany takiej samej boskiej ironii jak rabin, który grał w golfa w sobotę i od razu trafił do dołka. Anioł, który zapisywał wyniki, zażądał kary. „Daj spokój!” -

zawołał Bóg - „Komu będzie to mógł opowiedzieć?”. Tak też wyglądała kara Mathera, który zaczynał budować swój wspaniały wielki dom, wart miliony dolarów, cały czas wiedząc, że jest on posadowiony na piaskach i jedna fala może go zwalić.

Wtedy, dlatego że był z powrotem we Włoszech i sady na równinie tokańskiej były w pełnym rozkwicie i że Palombini może być na tyle głupi, aby podpisać kontrakt, co wyciągnęłyby go z kłopotów, i że wieczorem będzie jadł kurczaka po diabelsku z makaronem, popijając tokańskie wino z Niccolem Tolentinem, powiedział sobie: do diabła z tym i zamówił następnego drinka.

Start opóźnił się o pół godziny. Po przylocie, autostrada do Florencji była już zapchana przez powracających. Dojazd do miasta był pełen wrzawy klaksonów i okrzyków kierowców. Gdy wreszcie osiągnął stosunkowo zaciszny hotel, czuł się jak przybysz z Marsa, który wylądował na obłąkanej planecie. Wykąpał się, ogolił, przebrał w odpakowane zwykłe ubranie, a zdjęte odesłał do odprasowania, zadzwonił do Palombiniego i umówił na lunch następnego dnia i powoli, jak dekompresujący się nurek, doszedł do siebie. Uzbroił się na wieczór w katalog galerii, korektorskie odbitki artykułu do Belvedere i fotografie Rafaelów i poszedł do Gallodoro.

Jego pierwszym gambitem było potwierdzenie wizyty Tolentina w Ameryce.

- Otwieramy galerię w połowie kwietnia. Byłoby cudownie, gdybyśmy cię mieli na otwarciu. Chcielibyśmy, aby seria wykładów rozpoczęła się nie później niż w tydzień potem. Możesz mieszkać w moim mieszkaniu, albo gdzie indziej, jak będziesz wolał. Podróż płatna w obie strony, gwarancja tysiąca tygodniowo przez cztery tygodnie plus pięćdziesiąt procent dochodu - i wszystkie prywatne zamówienia, które otrzymasz, zatrzymujesz dla siebie. Jak to ci się podoba?

- To brzmi jak niebiańska muzyka - powiedział Tolentino. - Skrzypce i flety, i cherubińskie chóry. Nawet nie wiesz, co dla mnie robisz, Max... Ale musisz także wyłożyć mi, co byś chciał, abym tam zrobił. Muszę się przygotować. Moja angielszczyzna jest wystarczająca, ale to nie wszystko. Muszę się odwdziżyć tobie i ludziom, którzy zapłacą, aby mnie słuchać... również i temu miastu i wielkim, którzy tu pracowali. Powiedz mi więc, czego oczekujesz.

Chciałbym, abyś wykładał i demonstrował. W audytorium będą oczywiście studenci - wierzę, że wielu - ale mam nadzieję na liczną obecność starszych zawodowców: nauczycieli, kustoszów, konserwatorów. Oni będą chcieli, abyś podzielił się z nimi swoim doświadczeniem, pokazał swoją technikę, dyskutował z nimi. Będą chcieli mówić o fałszerzach i ich metodach, o dealerach jako mecenasach i pośrednikach. Chciałbym przygotować czterotygodniowy program o trzech sesjach w tygodniu. Mam zamiar pobierać dużo pieniędzy, nie chciałbym więc przeciążać cię. Jeśli sprawa powiedzie się, zawsze będziemy mogli ją przedłużyć. Będziesz dysponował całym piętrem ponad

galerią. Pomieści się tam swobodnie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób. Jeżeli będzie duży napływ rezerwacji, będziemy musieli podwoić sesje. Co o tym myślisz? Dasz radę?

- Ciągłe czuję się wspaniale - powiedział Tolentino.

- Dostaniesz zwolnienie z Pittich?

- W każdej chwili.

- Świetnie! Czy teraz mógłbym ci zadać delikatne pytanie?

- Oczywiście. Mów.

- Musisz wystąpić o amerykańską wizę. Czy nie ma czegoś, co mogłoby spowodować problemy?

- Co na przykład?

- Na przykład kłopoty z policją, może w młodości?

- Nigdy!

- Były plotki - mówiliśmy o tym - o fałszerstwach. Mówiły, że byłeś w tym bardzo dobry.

- Plotki mówiły jedno, a fakty mówią drugie. Wyłumaczę ci to... Nie przejmuj się. Wiem, dlaczego pytasz, więc się nie gniewam. Mówiłem ci już przedtem. Nie jestem fałszerzem, jestem kopistą - prawdopodobnie najlepszym na świecie. Mogę skopiować każdy obraz, który położysz przede mną i mając właściwe materiały, mogę skopiować go tak dobrze, że mistrz, który stworzył oryginał niemal uwierzy, że to jego praca, łącznie z podpisem. Ale nie będzie to fałszerstwo. Fałszerstwo będzie wówczas, gdy przedstawię swoją kopię jako oryginał. Ja tak nigdy nie robię. Kto inny może to robić z moimi pracami, ale nigdy za moją wiedzą lub zgodą. Ale czekaj... mówię nigdy. Były chwile w czasie wojny, kiedy agenci Goeringa i ludzie Himmlera uganiaли się za rabunkiem dzieł sztuki, katując ludzi dla wymuszenia wiadomości. Wtedy tak... byłem bardzo młody i nie całkiem tak sprawny jak teraz, ale popełniłem kilka bardzo dobrych fałszerstw. Czy to odpowiedź na twoje pytanie?

- Tak, dziękuję ci. Mogę teraz spokojnie podpisać dla ciebie formalne zaproszenie na przyjazd do Stanów Zjednoczonych w sprawach galerii. Przedstawisz je razem ze swoim podaniem o wizę.

- Powinniśmy wypić za to jeszcze raz.

- Poczekajmy jeszcze z winem. Mam ci jeszcze coś do pokazania. Zamknij oczy i otwórz, kiedy ci powiem.

- Zamknąłem.

Mather położył dwie fotografie Rafaelów na stole przed Tolentinem i kazał mu otworzyć oczy. Rozpoznał je natychmiast i twarz rozjaśniła mu się radością. Jego głęboki głos zniżył się do szeptu.

- Mój Boże, takie dawne dzieje, a teraz to ty mi je pokazujesz! Jak? Dlaczego? Gdzie one są?

- Nie tak szybko, stary przyjacielu. - Mather chwycił zdjęcia i schował je do kieszeni. - Bardzo ważne, abyśmy postępowali systematycznie. Co przedstawiają te fotografie?

- Dwie kobiety, matkę i córkę z rodu Palombinich, malowane przez Rafaela w roku 1505.

- Gdzie one teraz są?

- Nie wiem.

- Ale widziałeś je?

- Widziałem? Max, mój przyjacielu, ja żyłem z nimi całe tygodnie stojącymi pionowo przede mną. Kopiowałem oba te portrety, punkt po punkcie.

- Dla kogo?

- Dla Luki Palombiniego.

- Musiałeś być wtedy jeszcze chłopcem.

- Miałem dwadzieścia sześć lat. Była wojna, ale ja byłem niezdolny do służby wojskowej. Właśnie tu przybyłem i pracowałem u starego Cesariniego. On był świetny w swoim czasie, ale wtedy nie miał już zbyt pewnej ręki, a jego oko przestawało być pewne koloru. Przekazał mi więc zadanie... ale, mój Boże, wziął połowę honorarium!

- A więc zrobiłeś tylko po jednej kopii?

- Tak jest.

- Co Palombini zrobił z kopiami?

- Nie wiem, nie pytałem. W tych czasach nie było mądrze zadawać zbyt dużo pytań. Przypuszczam, że dał je komuś jako łapówkę.

- Gdybyś miał przed sobą, leżące na tym stole oryginały i kopie, potrafiłbyś wskazać różnice?

- Ja mógłbym, ale ty nie. W ogóle odrzuciłbym orzeczenia większości tak zwanych ekspertów, z wyjątkiem wydanych na podstawie długich i wyczerpujących badań... Chyba, że znalazłby moją małą sztuczkę.

- A na czym ona polega? - Mather nalegał brutalnie. - Muszę to teraz wiedzieć, Niki. Tolentino wyciągnął szkicownik i narysował podstawowy monogram:

TN

Potem go wytłumaczył.

- Tolentino, Niccolo: moje inicjały. Na wszystkich obrazach, które kiedykolwiek namalowałem, te inicjały są gdzieś umieszczone. Jest to jak widzisz moja obrona, gdyby ktokolwiek oskarżył mnie o fałszerstwo. Kopiowałem mistrza - to jest zresztą mój zawód - ale nawet gdy kopiowałem jego podpis, przecież jest to w końcu część całości, podpisywałem swoją pracę. Robię to nawet przy restauracji, tylko że z tyłu:

RTN

Restauravit: Tolentino, Niccolo.

Pogrzebał w kieszonce kamizelki i wyciągnął lupę.

- Spójrzmy jeszcze raz na te fotografie. Zbliź się do mnie, będziesz lepiej widział.

Mather wstał ze swojego krzesła i stanął za starszym panem, zaglądając mu przez ramię, gdy wskazywał końcem swojego ołówka.

- Weźmy najpierw matkę... Donna Delfina. Umieściłem mój monogram w krajobrazowym tle w jednym z malutkich okien. A teraz córka. Mój znak powinien być na samym brzegu najniższej fałdy sukni.

Zbadał starannie obie fotografie, potem zaproponował Matherowi obejrzenie przez szkło wskazanych miejsc. Max potrząsnął głową.

- Nic nie widzę.

- I ja nic nie mogę zobaczyć - powiedział Tolentino. - Rozmiary są zbyt zmniejszone.

- A jeśli nie ma tam znaków?

- Wtedy to są oryginały.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się Mather. - Mogą być jeszcze inne kopie niż twoje.

- Niemożliwe - powiedział Tolentino z naciskiem. - Znam na pamięć pociągnięcia pędzlem Rafaela. Powiem ci też jeszcze jedno. Deski, na których zrobiłem kopie, są inne niż oryginalne. Moje są z sezonowanego dębu. Oryginały z cedru... ale może powiesz mi teraz, co to wszystko znaczy?

- Powiem - obiecał Mather. - Ale jeszcze nie teraz. Chcę, abyś był absolutnie bezstronny i był gotów to przysiąc.

- Myślisz...

- Myślę, że jedziesz do Nowego Jorku, gdzie staniesz się sławny w ciągu jednego dnia i że zapomnisz, iż kiedykolwiek widziałeś te fotografie, dopóki nie postawię cię przed samymi obrazami i nie poproszę, abyś powiedział światu, czy są to dzieła mistrza.

- I to wszystko, co mi powiesz?

- Teraz jest to wszystko, co mogę ci powiedzieć. Ale jak tylko będzie więcej do powiedzenia, ty będziesz wiedział pierwszy. I ostatnie pytanie: czy mógłbyś na zawołanie pojechać do Zurychu?

- Mogę jechać zaraz - powiedział Tolentino z uśmiechem. - Tylko że jestem ci winien obiad, najszcześniejszy obiad w moim życiu.

- A ja zafunduję jutrzejszy - zaproponował Mather. - Musimy porozmawiać jeszcze raz przed wyjazdem. Zapraszam również Guida. Będziemy świętować razem.

Mówiąc to, westchnął w myśli błagalnie, żeby było co świętować. Zmarnował wiele czasu i pieniędzy, jeśli to, co trzyma w Zurychu to kopie. Jeśli to oryginały, zaś Claudio Palombini odmówi podpisania z nim kontraktu, będzie żeglował bardzo, bardzo ostro pod wiatr.

Lunch w Tor Merla, którym Mather został przyjęty, był znacznie mniej obfity niż przyjęcie w Gallodoro. Kobiet nie było, widać było mniej służby. Otoczenie Willi miało zrujnowany wygląd, ale i wewnątrz się zmieniło: mniej było obrazów na ścianach, meblowanie także wydawało się przerezione. Przyjęty został przez Claudią, jego kuzyna Marcantonio i młodego człowieka, którego

nigdy przedtem nie widział, przedstawionego jako awocato Stefano Stefanelli. Claudio usprawiedliwiał się.

- Widzi pan, co się dzieje? Oszczędzamy gdzie się da, ale jeszcze prowadzimy własną kuchnię i opłacamy kucharza.

Mather poprosił o pozwolenie przywitania się ze służbą. Przyjęli go ciepło, ale nieufnie. Oni również czuli dym bitewny. Jedynie dwoje go uściskało. Zarządca, domu, Matteo i osobista służąca Pii, Chiara, pomarszczona jak suszona śliwka, ale ciągle wojownicza i zawzięta.

- Inaczej było, gdy signora żyła, a pan był tutaj. Nawet jak była umierająca, było z czego się pośmiać. Teraz jest jak na cmentarzu po północy.

Mather ucałował ją i pogłaskał po policzku i poszedł dołączyć do pozostałych przy stole. Jedzenie nadal było dobre, podobnie dobrze dojrzałe własne wino. Claudio nalegał, ażeby przed serami i owocami nie rozmawiać o interesach. Wtedy rozpoczął pertraktacje.

- Niewątpliwie potrzebujemy kogoś do reprezentowania naszych interesów i aktywnego poszukiwania dzieł Rafaela. Również niewątpliwie pan ma do tego ważne, niezawodne kwalifikacje. Mógłby pan, jak pan powiedział, rozważyć kontrakt.

- Ten oto kontrakt - powiedział Mather i położył go na stole. - Tylko ten. Proszę go spokojnie przeczytać, a ja, jeśli można, napiję się jeszcze kawy.

Dokument miał tylko sześć stron, ale minęło dziesięć minut, zanim ktoś z nich podniósł głowę, aby go skomentować. Adwokat odezwał się pierwszy.

- Jeśli pan mi wybaczy, panie Mather, wydaje mi się - jakby to powiedzieć - że jest to bardzo arbitralny dokument.

- Tak jest. - Mather był wcieloną łagodnością. - Jest on również nie do dyskusji.

- Mógłbym wiedzieć dlaczego?

- Naturalnie. Punkt pierwszy: znalezienie Rafaelów i ich zwrot Palombinim jest w najlepszym razie przedsięwzięciem bardzo spekulatywnym. Punkt drugi: obecna sytuacja finansowa nie pozwala Palombinim zagwarantować ani grosza na koszty. Punkt trzeci: z chwilą opublikowania mojego artykułu, z początkiem przyszłego miesiąca - artykułu, o którym zostaliście wyczerpująco poinformowani - na rynku dzieł sztuki zapanuje prawdziwa gorączka złota. Punkt czwarty: będę

działał w dżungli pośród dobrze przystosowanych do niej zwierząt, potrzebuję więc najlepszej możliwej osłony.

- Wszystko to akceptujemy bez zastrzeżeń - powiedział Claudio Palombini. - Ale nasz prawnik uważa, że pewne przesłanki powinny zostać ustalone jako wstęp do kontraktu.

- Ma prawo o to występować, a ja mam równe prawo odmówić. Chciałbym zwrócić pańską uwagę na pierwsze zdania kontraktu:

„Rzeczony Maxwell Mather nie będzie składał żadnych oświadczeń co do kompetencji, wiedzy specjalnej lub kwalifikacji, ani specjalnych okoliczności dotyczących zadania, którego się podejmuje. Nie będzie zabiegał o wejście do tego kontraktu stron trzecich. Nie oferuje żadnych innych gwarancji niż dołożenie najlepszych starań, których koszt sam poniesie”. Wydaje się to, panowie, wystarczająco jasne.

- To jest oczywiście całkiem jasne - powiedział Marcantonio - ale czy jest pan gotów odpowiedzieć na kilka pytań?

- Nie. - Mather odpowiedział w bardzo zdecydowany sposób. - Ponieważ każda odpowiedź, którą dam, będzie mogła być później dowolnie interpretowana.

Claudio poczuł się urażony.

- Czy pan uważa, że jesteśmy aż tak brutalni?

- Historia mówi, że tak, Claudio, odpowiedział mu Mather z uśmiechem. - Nie potępiam pana. Nie powinniśmy się o to kłócić. Przecież jesteście od stuleci kupcami poszukującymi zysków. Nie zmieniacie się. Nie ma powodów, abyście się zmieniali. Ale byłbym głupcem, podając wam rękę i pozwalając ją sobie odgryźć.

- Przesadza pan, Max.

- Czyżby? Mogę panu przypomnieć, że musiałem z panem walczyć o pielęgniarkę na całą dobę dla Pii. Musiałem staczać bitwy o codzienne wizyty lekarza u niej. Z panem się ciężko negocjuje, wiem to bardzo dobrze. To jest jedyny interes, który mogę z panem ubić. Albo się pan decyduje, albo nie. Przejdę się do wieży. Da mi pan odpowiedź, gdy wrócę.

Spacer do wieży nie był dobrym pomysłem. Spowodował zawrotny napływ wspomnień: Pii, dającej mu swobodę korzystania z posiadłości, Pii uwięzionej przez swoją chorobę, własnej ucieczki z



Rafaelami, upchanymi w bagażu, pocenia się przez całą drogę do Szwajcarii. Gdy wrócił do domu, Claudio zaproponował mu lampkę brandy i dwie poprawki do kontraktu.

- Uważamy, że piętnaście procent to za dużo, biorąc pod uwagę milionową wartość dzieł.

- Nie ma zgody. Jeżeli ktoś jest w posiadaniu obrazów nielegalnie, musi zostać postraszony i spłacony. Dziesięć procent jest normalną ofertą ubezpieczeniową. Oprócz tego, muszę dostać zapłatę za mój trud. Jeżeli uważacie, że można to osiągnąć taniej, to wycofuję się i róbcie to sami.

- Dobrze. Niech będzie piętnaście. Ale pańskie upoważnienie musi być ograniczone w czasie.

- Jak proponujecie?

- Jeżeli nie będzie pan mógł nic zrobić przed końcem czerwca, jesteśmy skończeni - trzy miesiące?

- Ale z drugiej strony, o ile będę miał wyniki, zaś do zwrotu dzieł trzeba będzie dopiero doprowadzić, z pewnością uzyska pan od swoich banków przedłużenie. Ja potrzebuję dziewięciu miesięcy - do końca roku.

Claudio spojrzął na prawnika, który skinął głową.

- Niech będzie dziewięć miesięcy - powiedział Palombini i uśmiechnął się po raz pierwszy. I zapytał: niech pan teraz powie, Max, jakie są nasze szanse?

- Najpierw podpiszmy - Mather był nieugięty - wtedy panu powiem!

Z kontraktem w kieszeni czuł się i lepiej i gorzej, jak chory na febrę na huśtawce: odczuwał drżenie z zimna i poty z gorąca. Kontrakt chronił go przed więzieniem. Nie mógł być zatem oskarżony o bezprawne posiadanie, sprzeniewierzenie, kradzież u chlebobawcy. Dopóki wynagrodzenie nie zostanie mu wypłacone, będzie w niekwestionowany i nienaruszalny sposób władał Rafaelami. Ale teraz był zmuszony do działania, nie mógł się już wycofać.

Gdy wracał do miasta wypożyczonym samochodem, który groził popsuciem się w każdej chwili, Mather zastanawiał się, dlaczego ta sytuacja tak go dręczyła - dlaczego jego sumienie, tak długo uspione, że aż prawie zanikło, obudziło się teraz tak żywe i dokuczliwe, jak bywa małżonka.

I nagle, z czystego błękitu nieba spłynęło wspomnienie ojca, pożółkłego i pomarszczonego od raka, który go w końcu zabił, siedzącego przy oknie swojej sypialni, przyglądającego się brunatnemu zmierzchowi letniego krajobrazu. Tłumaczył się, prosząc o spóźnione zrozumienie.

„Ja wiedziałem, czego twoja matka potrzebowała, wiedziałem czego chciała dla nas, ale cena była dla mnie za wysoka. Wymagała zdrady jedynej całkowitej własności, jaką posiadałem - siebie samego. Nie umiałem temu sprostać. Nie mógłbym znieść, widząc co dzień w swoim lustrze obcego... lub być może podwójny obraz dwóch twarzy, nie wiedząc, która jest która”.

Teraz jego gnębił uśmiech podwójnego wizerunku. Ten Max Mather, który odbijał się w oczach jego kobiet, nie był pełnym wyobrażeniem, ale obrazem, który one sobie wybierały. Obrazy wytworzone sobie przez Berchmansa i Lieperta były jeszcze inne i tak samo iluzoryczne. Teraz będzie musiał wrócić do Zurychu, stanąć przed Gisela Mundt i patrzeć, jak jej oczy rozbłyskują na wiadomość, że kontrakt został podpisany... i wtedy co? Gdy wrócił do hotelu, pytanie to wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Zatrzymał się przy kontuarze, aby poprosić dyżurnego o załatwienie rezerwacji z powrotem do Zurychu, dla siebie i dla Niccola Tolentiniego. Zadzwoił do Guida Valente z zaproszeniem na obiad. Potem rozebrał się, wymoczył w wannie i zdrzemnął trochę, do chwili gdy trzeba było wychodzić.

Guido Valente, kustosz działu autografów Biblioteki Narodowej, był w świetnym humorze. Podzielał radość z szczęśliwego trafu, jaki przydarzył się jego przyjacielowi, Niccelowi Tolentiniemu, który wyjeżdżał do Ameryki. On sam również miał jechać, choć nie w tym samym czasie, na stypendium z wymiany, zorganizowanej przez Amerykański Związek Bibliotek. Kwaterował będzie w Waszyngtonie, ale będzie w rozjazdach, studiując amerykańskie metody biblioteczne, najnowsze metody magazynowania i konserwacji oraz programy wymiany międzybibliotecznej. Miał nadzieję, że nie jest za stary na skorzystanie z tej praktyki, ale nominacja nowego sekretarza w jego biurze przekonała go, że jego pragnienie jest na razie tylko piękną możliwością.

Wypytywał się więc dokładnie o Annę-Marię. Mógłby, być może mógłby, zdążyć na czas otwarcia galerii. Miał też dobre wiadomości dla swojego starego przyjaciela, Maxa. Dzięki szczodrobliwości pani Marchesa - Amerykanki, która dawno temu wyszła za Włocha - w Bibliotece ufundowano borsę, stypendium podyplomowe dla Amerykanów. Wysokość była znaczna, temat podpadał pod specjalność Maxa. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł polecić swego starego przyjaciela na pierwsze miejsce. Fakt, że tenże stary przyjaciel skierował archiwum Palombinich do Biblioteki, nie może nie liczyć się mocno. Więc...

Więc Mather był mocno wzruszony. Obiecał przemyśleć głęboko sprawę i dać odpowiedź tak szybko, jak będzie mógł. Guido powinien zrozumieć, że ma kilka możliwości do wyboru i że teraz właśnie jest dla niego moment krytyczny. Tak krytyczny, że uważa, iż potrzeba więcej wina. Niccolo zgodził się, ale zanim wypije, też jeszcze musi złożyć oświadczenie. Wiele trudności mu przysporzył wybór podarunku dla jego drogiego przyjaciela, Maxa. Wybrał na koniec ten. Wyjął małe, płaskie

pudełko, w którym, na podłożu z tkaniny, umieszczony był mały, miedziany prostokąt z głową chłopca.

To jest, mój drogi Maksie, moja pierwsza akwaforta, którą wykonałem. Głowa mojego brata, który zginął na wojnie. Daję ci ją, bo jesteś mi bratem, szczerym i wielkodusznym... a pod spodem - uniósł płytkę - są ponumerowane odbitki, zrobione specjalnie dla ciebie.

- Brawo! - Guido Valente gwałtownie wytarł nos - ciągle to powtarzam, Max, jesteś bardzo kochanym człowiekiem.

Mocno już wstawiony Max również miał łzy w oczach, ale chochlik na ramieniu szeptał mu do ucha zgrzyźliwie i szyderczo: - Gdyby wiedzieli, braciszku, gdyby tylko wiedzieli!

W Zurychu był piątek, samo południe ponurego, marcowego dnia z zimnym wiatrem, hulającym nad jeziorem i ludźmi, nadal zakutanymi po uszy. Wielkie płaty śniegu pokrywały niższe szczyty. Zima się kończyła, ale nie było jeszcze prawdziwej wiosny. Niccolo Tolentino, przycupnąwszy na pacholku, szkicował przy nabrzeżu. Max przygotowywał w kuchni swojego mieszkania plastry zimnego mięsa i sałatki na lunch dla Giseli Mundt. Zapowiedziała, że przyjedzie późno. Jej piątkowy wykład kończył się dopiero w południe, powinna więc być o pół do pierwszej. Zdecydował, że to ma być dzień prawdy - czarny piątek, lub wielki piątek, zależnie od wyniku. Nie mógł już dłużej znieść tego życia z dnia na dzień, huśtany od obietnic wspaniałej przyszłości, do nie dających się pogrzebać głosów oskarżenia z przeszłości. Zabezpieczony teraz przed oskarżeniem przez kontrakt z Palombinim, mógłby zacząć negocjować z resztką swojego sumienia jeśli nie pokój, to przynajmniej rozejm.

Gisela przyjechała bez tchu, zarumieniona i zażądała pocałunku i drinka. Spełnili toasty za siebie, potem za kontrakt. Nie było jej spieszno do jedzenia, Mather więc od razu wskoczył na głęboką wodę.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- O, czas na zwierzenia?

- Można tak to nazwać.

- Powiesz mi o sobie, a ja o sobie.

- To nic zabawnego.

- Wiem - widzę, że jesteś śmiertelnie poważny.

- To w sprawie Rafaelów...

- Tak?

- Zdecydowałem się. Wybieramy wariant dziesięcioprocentowy.

- Sądzę, że to mądrze.

- Myślałem - powiedział Mather z uśmiechem - myślałem, że mi powiesz, iż jestem szlachetny i że już nie zasługuję na potępienie.

- Skąd mam wiedzieć, Max? - Uśmiechnęła się do niego czarująco. Cieszę się twoim ciałem, świetnie się czuję w twoim towarzystwie, ale ciągle tak mało wiem o twojej duszy.

Skwitował to cierpko.

- Jeśli o to chodzi, moja droga Doktor, jest na sprzedaż jak wszystko inne, tylko za odpowiednią cenę.

Tego samego popołudnia, krótko przed zamknięciem, Max Mather wszedł do podziemia z sejfami depozytowymi w Union Bank na Bahnhofstrasse - z Gisela, Liepertem i Tolentinem. Tam rozerwał niepewnymi rękami wosk na płóciennej torbie, rozpruł zszywającą ją szewską dratwę i położył zawartość na szklanym blacie stołu, we wnęce pomiędzy rzędami boksów. Ryciny pozostawił zakryte przed światłem i odsłonił dwa portrety kobiet, donny Delfiny i panny Beaty.

W ciszy, która nastąpiła, Niccolo Tolentino przyglądał się im długo, trzymając każdy w wyciągniętych rękach. Potem wyjął z kieszeni swoją lupę i zbadał każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Odłożył lupę i zeszkrobał odrobinę drewna z tyłu każdego z obrazów oraz dokładnie obejrzał pył na dłoni, przed jego zdmuchnięciem.

Po zakończeniu badania położył obrazy i przykrył je z powrotem. Wziął ryciny do ciemniejszego rogu wnęki, kazał Matherowi stanąć na drodze światła, aby wywołać głębszy cień i wtedy z czcią, jak gdyby brał opłatek komunii, wyjmował każdy z arkuszy do zbadania. W końcu położył je i przykrył z powrotem. Wydawało się, że wieki minęły zanim zaczął mówić, zaś jego głęboki głos był matowy i niepewny.

- To są oryginały, które kopiowałem.

Przerwał. Mather był wstrząśnięty, widząc, że płacze. Objął opiekuńczo ramieniem zgarbione plecy. Stary człowiek powoli dochodził do siebie i zaśmiał się drżącym śmiechem.

- Son' pazzo, zwariowałem. Za każdym razem, gdy patrzę na coś tak cudownego czuję, że tylko Bóg mógłby - przecież nie tak szkaradne zwierzę jak człowiek - stworzyć tak piękne rzeczy? Niepokoiłem się rycinami, ale trzymają się dobrze. Klimatyzacja w tych podziemiach jest dla nich niemal dobra. Ale bez światła. Koniecznie bez światła. Włóż je z powrotem w płótno, ale nie zaszywaj. Nie ma potrzeby.

- Następną sprawą, którą musimy załatwić - powiedział Alois Liepert - to wrócić do mojego biura i wziąć od pana oświadczenie, Niccolo, że widział je pan i zidentyfikował oraz że są autentyczne i w dobrym stanie.

- Muszę stamtąd zatelefonować do Berchmansa - powiedział Mather.

- Czy to rozsądne? - Liepert miał wątpliwości.

- Myślę, że to konieczne. Jeśli nie zawiadomię go, że te obrazy w Brazylii są fałszywe, będzie myślał, iż go oszukałem. Jego nie chciałbym mieć za wroga.

- Ale proszę być ostrożnym - ostrzegł go Liepert. - Proszę nie mówić mu za dużo przez telefon. A gdyby chciał zagłębiać się w dyskusję, proszę skierować go do mnie.

- Fur aufklaren und konfirmieren, słusznie?

- Słusznie! - zgodził się Liepert. Gisela dała mi dokładne instrukcje na pana temat.

- Mam pytanie do was obu - powiedziała cierpko Gisela. - Gdzie są te drobiazgi ubezpieczone?

Tolentino, jak się wydawało, nie słyszał. Był zajęty umieszczaniem obrazów w swoich opakowaniach, obchodząc się z nimi delikatnie jak z niemowlęciem.

Mather i Liepert spojrzeli po sobie. Liepert zaś powiedział:

- Pomówmy o tym w biurze.

Oświadczenie, które Liepert przygotował po włosku, do podpisu dla Tolentina, było bardzo szczegółowe.

W dniu dzisiejszym ja, obywatel Republiki Włoskiej, zatrudniony obecnie i przez ostatnie trzydzieści siedem lat jako stały kopista i konserwator malarstwa w galerii pałacu Pittich we Florencji, przybyłem do podziemi Union Bank, znajdującego się przy Bahnhofstrasse w Zurychu. Razem ze mną byli adwokaci Alois Liepert i Gisela Mundt oraz pan Maxwell Mather, oficjalny przedstawiciel rodziny Palombinich z Florencji. Zbadałem dwa portrety, wykonane na deskach cedrowych, które według mnie są autentycznymi dziełami Raffaella Sanzio, oraz pięć rycin tego samego mistrza. Portrety te są mi dobrze znane, ponieważ z początkiem roku 1941 ówczesny ich właściciel, sig. Luca Palombini z Florencji, zamówił u mnie wykonanie ich kopii. Ryciny nie są mi znane, ale zidentyfikowałem je, tak jak i portrety, jako najprawdopodobniej prace tego samego mistrza. Rzeczone prace są w świetnym stanie i były przechowywane w dobrych warunkach - w suchym powietrzu, stałej temperaturze i minimalnej ekspozycji na światło. Nie udzielono mi żadnej informacji, ani o nią nie pytałem, w sprawie ich ostatniego pochodzenia. Nie oferowano mi, ani nie oczekiwałem żadnego wynagrodzenia za moją usługę, którą oddaję jako wyraz szacunku dla rodziny Palombinich i ich przedstawiciela, pana Maxa Mathera.

Następnie odbyła się rozmowa telefoniczna Mathera z Berchmansem w Paryżu. Odbyła się tym razem z aparatu telekonferencyjnego, co zostało odpowiednio zakomunikowane Berchmansowi.

- Tu znowu Max Mather. Dzwonię do pana z aparatu telekonferencyjnego z biura mojego prawnika w Zurychu. Pan Berchmans, pan Liepert.

- Dzień dobry panu, panie Liepert. Możemy więc zaczynać. Po co te formalności?

- W sprawie brazylijskich obrazów.

- Co o nich?

- To są kopie. Dobre, ale kopie.

- Potrzebny mi będzie dowód.

- Proponuję więc po prostu ostrożność, zanim będę miał okazję przedstawić panu fakty.

- Pertraktuję na odległość z Camoensem, jest to dla mnie niekorzystne. Może próbować licytować się ze mną o minimalną cenę. Muszę więc spytać panie Mather, jak pewna jest pańska informacja?

Liepert włączył się szybko.

- Oferuję opinię prawnika, panie Berchmans. Informacja pierwszej jakości. Informator jest bez zarzutu.

- W takim razie dziękuję obu panom. Czy Harmon Seldes został poinformowany?

- Nie. - Max Mather podjął bardzo spokojnie. - Moja pozycja wobec Seldesa jest dwuznaczna. On zatrudnia mnie do pewnych usług i ten fakt wpływa na nasze stosunki. W tej sprawie komunikowałem się tylko z panem, ale pan może przekazywać moje informacje komu pan zechce.

- Jednakże osobista pozycja pana Mathera zmieniła się, o czym on chciałby, aby pan wiedział.  
- To było od Lieperta.

- Na czym to polega?

- Rodzina Palombinich zwróciła się do pana Mathera o oddanie raz jeszcze swojej wiedzy akademickiej do ich dyspozycji, aby działał dla nich w sprawie portretów Rafaela. Właśnie wynegocjowałem jego kontrakt, który stanowi między innymi, że pan Mather będzie jedynym pośrednikiem w tej sprawie, pomiędzy rodziną a rynkiem. Chciał on, abym panu pierwszemu zakomunikował tę informację, która będzie ogłoszona w stosownym czasie.

- To oznacza - powiedział w swoim brutalnym stylu - że on mnie wyrolował.

- Przeciwnie - powiedział Mather. - Jest pan dokładnie w tym samym położeniu co przedtem, poza tym, że ma pan sojusznika w sądzie - jeśli zechce mnie pan za takiego uważać. To zależy od pana. Nic się nie zmienia, poza tym, że staję się punktem odniesienia dla rodziny i jestem wynagradzany przez nią i nikogo więcej.

- W takim razie - Berchmans wycofał się niechętnie - dziękuję za wiadomość. Będziemy w kontakcie.

- Tak będzie rozsądnie. A bionto, panie Berchmans. Gdy odłożył słuchawkę, Niccolo Tolentino wydał policzki i wydał głośny dźwięk.

- Bou! Tyle gadania. Taka zachłanność! To są piękne przedmioty, dzieła wielkiego mistrza. To nie kości, o które psy się gryzą. Wybaczcie mi, zbyt łatwo złoszczę się teraz. Muszę się chyba przejść i pogadać z kaczkami.

- Nie możesz - powiedział twardo Mather. - Musimy teraz przygotować twoją podróż do Nowego Jorku, wypełnić dla ciebie czek, napisać list, który załączysz do swojego podania o wizę... Alois, proszę, czy mógłby pan zlecić swojej sekretarce napisanie kilku listów?

- Tyran. - Tolentino wzniósł oczy i ręce ku niebu. - Tyran oszalały z żądy pieniędzy.





## ROZDZIAŁ 13

Próbne egzemplarze kwietniowego numeru *Belvedere* zostały dostarczone na biurko Harmona Seldesa na dziesięć dni przed publikacją. Do jego przejrzenia zwołał cały zespół. Wszyscy zgodnie uznali, że jest to pierwszorzędna robota - znakomity materiał, piękny układ, doskonały kolor. Jego artykuł wstępny współgrał z całością, fotografie były tak prowokujące, jak chciał. Tekst Mathera o lokalnej gospodarce tokańskiej był nieco wymęczony, ale wyrównywał to komentarz Danny Danziger.

Niespodzianką numeru była wkładka o Madeleine Bayard. Anna-Maria Loredon, zamiast konwencjonalnego ogłoszenia na ostatniej stronie, wolała umieścić na jego miejscu kolorową reprodukcję „Żebraczki”, głównego dzieła przyszłej wystawy. Była to świetna ilustracja, która doskonale pasowała do bardzo emocjonalnego tonu wspomnienia, napisanego przez Maxa Mathera.

To była niespodzianka! Ze strony na stronę, w tym samym numerze, mozolny erudyta zamieniał się w poetę. Kilka osób spośród głównego zespołu redakcyjnego zwróciło na to uwagę - pamiętając, aby przypisać zasługę mądrości Harmona Seldesa, twórcy i łamaczowi talentów. Jeszcze w czasie obrad tego towarzystwa wzajemnej adoracji zadzwonił telefon z wiadomością od jednego z wicedyrektorów macierzystej firmy, z pochwałami i gratulacjami z góry.

Ale dość pochwał! Jest jeszcze robota do wykonania. Seldes wypchnął wszystkich ze swojego gabinetu, oprócz sekretarki, z którą zasiadł do najbardziej męczącej z rozrywek: „robienia rynku”. Zaczynało się od najlepiej zaprzyjaźnionych - dyrektorów i kustoszy, ważniejszych dealerów, recenzentów - którzy, jako uprzywilejowani, otrzymywali wcześniej egzemplarze tygodnika, poprzedzone zawsze telefonem od samego szefa:

- Karol, przyjacielu! - Albo: Kochana Anno! Tu Harmon Seldes. Mam dla ciebie prawdziwą niespodziankę w tym miesiącu. Tak, jest właśnie w drodze do ciebie przez kuriera. Zwróć zwłaszcza uwagę na artykuł o Rafaelach u Palombinich. Oczywiście, że o nich nie słyszałeś, to wyjątkowość *Belvedere*. Naprawdę wyjątkowość Harmona Seldesa, ale co tam, skromność mi nie pozwala. Wierz mi, nie powinienes tego pominąć. Henri Berchmans i ja utworzyliśmy zespół do dalszych poszukiwań. Ale zwróć też uwagę na wkładkę... Madeleine Bayard. To może być pierwsza i ostatnia okazja zrobienia interesu.

W trakcie tego miłego zajęcia zadzwonił z Paryża Henri Berchmans, aby powiedzieć, że Max Mather zawarł kontrakt na reprezentowanie Palombinich. Seldes był oburzony.

- Po tych wszystkich oświadczeniach o jego braku zainteresowania! A jakie w ogóle są jego kwalifikacje? Ten człowiek jest paleografem. On nic nie wie o sztuce. To pretensjonalny szczeniak!

Berchmans roześmiał się swoim ostrym, chrapliwym śmiechem.

- Wygląda, jakby twój szczeniak wyrósł na mastiffa. Jakiego postępu dokonałeś w swoich poszukiwaniach?

- Nie było przecież wiele czasu, nieprawdaż? Próbne egzemplarze naszego kwietniowego numeru dotarły na moje biurko zaledwie pół godziny temu.

- Nie o to chodzi, przyjacielu. Mather już wytropił kopie dwóch portretów w Brazylii. Przytrzymuję je, ale nie spodziewam się po nich dużo. Co mnie uderza, to energia i pomysłowość tego człowieka.

- Chciałbym móc to samo powiedzieć o jego uczciwości.

- Zaczął na mnie wywierać dobre wrażenie - powiedział Berchmans - jest ze mną bardzo szczery.

- A ze mną wcale nie. - Seldes zaczynał okazywać rozdrażnienie. - Jestem w końcu jego zwierzchnikiem w redakcji, jest na moim garnuszku.

- Staraj się, aby nadal jadł z twojej ręki. Ceni ludzi uprzejmych.

- W obecnym stanie ducha raczej bym go wyrzucił.

- To mógłby być kosztowny błąd. Raczej wolałbym go mieć po naszej stronie.

- Zastanawiam się, czy nie ma jeszcze dla nas jakiejś nowej niespodzianki.

- Chcę się teraz dowiedzieć, co on wie i skąd.

- Pytałeś mnie o cechy charakterystyczne Rafaela. Obecnie nadal najlepszym autorytetem w tej dziedzinie jest Passavanti. Warto by było, żeby zobaczył te brazylijskie obiekty.

- Najpierw muszę je dostać w swoje ręce. Camoens to twarda sztuka. Nie ustąpi ani na cal, bez pieniędzy w ręce.

- Mógłbyś mnie wysłać do Rio, aby z nim pogadać.

- Myślałem o tym. Lepiej przyhamuj, Harmon. Nasz młody przyjaciel pracuje za nas. Ale on nie zbliży się na krok do rynku. W końcu Palombini spadną jak gruszki do naszego koszyka.

Seldes przeżuwał jeszcze tę interesującą możliwość, gdy do jego gabinetu weszła Leonia Danziger i oświadczyła energicznie:

- Potrzebuję pomocy, Harmon.

- Dla ciebie, Danny - wszystko. Ten numer wygląda wspaniale, prawda?

- Jeden z najlepszych. Gratulacje!

- Coś ci się nie podoba?

- Nie podoba mi się. Miesiączka. Czy prowadzisz dziennik biurowy?

- Oczywiście. Najważniejsza lekcja, jakiej się nauczyłem: nie wyrzucaj notatek. Nigdy nie wiadomo, kiedy będą potrzebne. Jaką datę chcesz sprawdzić?

- Osiemnastego lutego, zeszłego roku.

- A co szczególnego łączy się z tą datą?

- Tego dnia została zamordowana Madeleine Bayard.

- O!

- Policja chce wiedzieć - a ja muszę wiedzieć - co robiłam od świtu do zmroku. Dotąd rozmawiałam już z nimi o tym z tuzin razy. Wydawało mi się, że zaakceptowali, iż nie mam alibi, ale teraz znów do tego wrócili. Teraz mniej pamiętam, niż na początku. Wyrzucam moje notatniki, gdy tylko je zużyję. I nie praw mi kazań, Harmon, nie mogę tego znieść. Tylko... tylko spójrz w swoje zapiski. Zobacz, czy nie miałeś mnie tutaj na jakimś zebraniu czy spotkaniu.

- Oczywiście. A teraz odsapnij trochę. Wiesz gdzie są alkohole, nalej sobie drinka.

- Nie, dziękuję.

Seldes wysunął szufladę i natychmiast odnalazł notatnik. Przekartkował strony i przeczytał zapis z osiemnastego lutego.

- Aspen... Aspen... Aspen... cały tydzień. to była wycieczka narciarska Multonów, pamiętam. Przypominam sobie historię sprzedaży ich kolekcji Vanvitello - jedynej poza Italią. To temat dla Mathera... pomniejszy, osiemnastowieczny włoski pejzażysta...

- Harmon, proszę, to poważne. Nad jakim zleceniem pracowałam w tamtym tygodniu?

- Nie mam tego zapisanego tutaj, Danny. A jeśli nie mam, to mogłaś pracować wszędzie, prawda? Nie było mnie w biurze. A ty jesteś przecież niezależna. Spotykamy się. Uzgadniamy zlecenie. Wychodzisz. Nie przychodzisz, dopóki nie skończysz.

- Dziękuję za nic, Harmon.

- Nie bądź taka, proszę! Chciałbym ci pomóc. Czego policja szuka tak późno?

- Nie wiem, ale mają z pewnością wiele materiału na ten temat. - Pomachała mu przed nosem wkładką o Madeleine Bayard. - Dlatego zagadują mnie na temat spraw miłosnych Madeleine, jej zwyczajów seksualnych, jej przyjaciół.

- Do których i ty należałaś, jak rozumiem?

- A kto nie należał, Harmon, jeśli Madi była tak pociągająca?

- Nie przypuszczam, żeby nasz artykuł stał się tego przyczyną.

- Ani ja. Policja robi wzmianki na temat jakiegoś zawiadomienia, które miał napisać Hugh Loredon przed śmiercią, a które nadeszło z ambasady USA w Holandii. Wydaje się, że używają tego tekstu podczas obecnej rundy przesłuchań. Wymieniali również Maxa Mathera. Ale w żaden sposób na świecie on nie mógł być w to wmieszany.

- Nasz złoty młodzieniec rzeczywiście krąży w pobliżu - powiedział Seldes z wyraźnym niesmakiem. - Powinien być z powrotem jakoś za tydzień, więc będziesz mogła zapytać go sama. Tymczasem ja przejrzę wszystkie nasze zapisy, dotyczące osiemnastego lutego zeszłego roku, żeby tylko sprawdzić, czy nie możesz się znaleźć w strefie bezpieczeństwa. Postaraj się nie przejmować.

- Dziękuję ci Harmon. I gratulacje za numer kwietniowy. Jest naprawdę bardzo piękny.

- Dziękuję ci, kochana Danny.

Ale „kochana Danny” była już za drzwiami i kroczyła w stronę wind. Był moment, kiedy nożyczki na biurku Seldesa wyglądały dokładnie jak sztylet i pokusa jego użycia była prawie nieodparta.

W budynku pracowni w SoHo malarze kończyli malować wnętrza, a elektrycy sprawdzali połączenia. W mieszkaniu Mathera, na górnym piętrze, kładziono dywany i zawieszano firanki. Anna-

Maria była w swoim biurze, ze stosem zamówień i stertą listów na biurku, zaś dwaj detektywi od samobójstw pili kawę i prowadzili rozmowę uprzejmie, ale uporczywie. Przyporządkowała wreszcie do każdego nazwisko. Młodszy, o dobrym wyglądzie, nazywał się Sam Hartog, starszy, bardziej gburowaty i mniej ogładzony, Manny Bechstein. Tworzyli dobrze zgrany zespół. Hartog kierował, okazując szacunek i starannie dobierając pytania. Manny stawiał pułapki, zmieniając okoliczności, przekręcając i odwracając odpowiedzi, aż brzmiały całkowicie inaczej. Sam Hartog sączył swoją kawę i drążył cierpliwie pytaniami.

- A więc ojciec powiedział pani, że udaje się do kliniki londyńskiej na badania? A potem pojechał do Amsterdamu?

- Tak.

- Dlaczego tam pojechał?

- Sądzę, że w interesach. Przedmioty i klientela jego aukcji pochodziły z całego świata. Mój ojciec stale podróżował pomiędzy aukcjami.

- Rozumiem. Wtedy pani ojciec poprosił pana Mathera o spotkanie w Amsterdamie?

- Tak.

- Dlaczego Mathera, a nie panią?

- Mather mi wytłumaczył, że chociaż ojciec czuł się bardzo źle i samotnie, nie chciał mnie niepokoić. Wiedział, że Max i ja troszczymy się o siebie... więc zadzwonił do Maxa.

- Ale pani ojciec jednak napisał do pani list, który został przekazany wraz z inną jego korespondencją, przez naszą ambasadę po jego śmierci.

- To prawda.

- Zechciałaby pani pokazać mi ten list?

- Oczywiście. Mam go tutaj.

Sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę z pieczętką ambasady. Sam Hertog otworzył kopertę, przejrzał list i dał go Bechsteinowi, który kiwnął głową i oddał mu z powrotem. Hartog podsumował wiadomość krótko.

- Pani ojciec wiedział, że umiera. Przeprasza, że był obojętnym ojcem. Pisze, że panią kocha i błaga na wszystko, aby pani nie wyszła za Edmunda Bayarda...

- Czego nie mam zamiaru robić.

- Pomimo faktu, że jesteście dobrymi przyjaciółmi i że będziecie razem robić duże interesy?

- Dokładniej należało by powiedzieć, że właśnie dlatego.

- Dlaczego pani ojciec nie lubił Bayarda?

- Miał długi romans z Madeleine. Uważał, że Ed Bayard bardzo ją źle traktował - co zresztą Ed przyznaje otwarcie i czego bardzo żałuje. Ojciec zawsze uważał go za człowieka o wątpliwym charakterze, nieodpowiedniego na męża dla znacznie młodszej kobiety.

- Ale nie widział problemu w tym, aby pani robiła z nim interesy, wynajmując pracownię, urządzając wystawę prac jego żony?

- Ojciec nie miał nic wspólnego z tym porozumieniem. Zawarłam je, nie konsultując się z nim.

- Ale usiłował to pani wyperswadować?

- Bez powodzenia. A teraz, panie Hartog, myślę że jest mi pan winien jakieś wyjaśnienie. Byłam z panem bardzo szczerą.

- Była pani. Doceniam to.

- Myślę więc, że pan będzie ze mną równie szczerzy. Manny Bechstein po raz pierwszy przerwał milczenie.

- Proszę pani, oficerowie policji nie zawsze mogą być szczerzy. Mówię więc tyle, ile mogę. Równocześnie z listem do pani, ojciec pani napisał list do nas, do Nowojorskiego Wydziału Policji. Potwierdził go notarialnie w ambasadzie, ma on więc moc dowodową. Jest to wyjaśnienie morderstwa Madeleine Bayard i jego z nim powiązania.

- A jakie było to powiązanie?

- Współudział po fakcie.

- Co to oznacza?

- Ktoś inny ją zabił. Pani ojciec pomógł tej osobie uniknąć wykrycia.

- A kto ją zabił?

- Tego nie możemy ujawnić. Nie sprawdziliśmy jeszcze tego oskarżenia.

- Uważacie, że mógłby kłamać?

- To jest możliwe.

- Ale dlaczego? Do diabła, przecież on był umierający!

- Co nie znaczy, że napisał prawdę - zaznaczył Manny Bechstein. - Tylko to, że mógł napisać co chciał, i umrzeć.

- Dlatego - powiedział łagodnie Sam Hartog - musimy być ostrożni z wymienianiem nazwisk. Kiedy pan Mather wraca do Nowego Jorku?

- W ciągu tygodnia.

- Odrobimy to z nim wtedy.

- Ale jakie możliwe powiązanie...

- Tak to jest z morderstwem - przerwał Manny Bechstein. - Wiąże najmniej oczekiwane osoby. Dziękujemy pani za pomoc. Musimy iść.

- To moja wizytówka - powiedział Sam Hartog, - w razie, gdyby pani chciała się skontaktować. I zanim zapomnę - Manny i ja chcielibyśmy zostać zaproszeni na otwarcie.

- Wyślę panom zaproszenia. Obowiązuje strój wieczorowy.

- Zgoda. - Wyszło to nieoczekiwanie od Manny'ego Bechsteina. - Moja mama mawiała: „dla okazania szacunku”. Była artystką. Szlifowała kryształy u Corninga. Niektóre z jej prac miały wartość muzealną. Do zobaczenia, panno Loredon.

Gdy poszli, wrzuciła ramionami z rezygnacją i powróciła do sterty na biurku: rachunki, projekty ogłoszeń, szkic programu seminarium Tolentina, listy gości, telefony, na które trzeba odpowiedzieć, korespondencja z artystami i ich agentami. Ale gdzieś w głębi głowy dźwięczał sygnał alarmowy. To oddanie się pracy, ta niechęć do formułowania osobistych pytań, ta potrzeba ucieczki w pracę - były nienormalnymi objawami. Jej żal i wściekłość nie zostały jeszcze zażegnane. Zagadki jej stosunku do Bayard nie zostały rozwiązane. Jej śmierć nie odeszła spokojnie w przeszłość. Niejasny sygnał dźwięczał więc nadal, ale usunęła go ze świadomości z nadzieją, że Max Mather przyjedzie wkrótce, aby podzielić z nią ciężar ostatniego, tajemnego przesłania Hugh'a Loredona:

„...Wiem, że nie byłem dobrym ojcem. Nigdy nie byłem niczym więcej, niż licytатorem i zajmującym towarzyszem w łóżku. Ale nawet wtedy najlepiej się czułem z kobietami, które nie brały mnie i tego, co robiliśmy, zbyt serio. A teraz jest już cholernie za późno i cholernie za mało czasu na cokolwiek innego, niż powiedzieć Ci, że zawsze Cię kochałem i zawsze podziwiałem, jak mądrze zarządzasz sobie życie.

Muszę Ci też powiedzieć - i uwierz mi na słowo - że Bayard nie jest człowiekiem dla Ciebie. On jest pokrętny. Jest inteligentny. Chciałby być szczery i miły, ale nie potrafi. Nie ma w nim żadnej radości. Madeleine nic na to oczywiście nie mogła poradzić, była pokrętna również. Oboje mieli wzloty i upadki, ale nigdy równocześnie. Gdyby byli zdolni do wzniesienia się na tej samej fali, mogli byli to osiągnąć choć kilka razy.

Było nam z Madi dobrze razem jakiś czas, ale ja nigdy nie byłem długodystansowcem. Lubiłem krótki galop i zmianę scenerii. Madi trzymałem się zbyt długo, wiem to, i wszystko się popsuło. Napisałem list do policji, który wszystko - mam nadzieję - załatodzi. Niech zamkną sprawę, a Ty zajmij się sobą.

Max Mather będzie wiedział, o czym piszę. Odpowie na Twoje pytania. Bardzo lubię Mathera, ale nie jestem pewien, czy i z niego jest wytrzymały zawodnik. To już wszystko. Nigdy nie był ze mnie pisarz. Niech więc jeszcze raz Ci to powiem: Kocham Cię. Zostawiłem testament. Wszystko, co zostało, jest Twoje. Nie smuć się. Wypij toast i rozbij szkło.

Hugh”

Gorzko płakała, gdy czytała list po raz pierwszy. Teraz wzbudził w niej tylko gniew. Był zbyt bylejaki i lekki - tandetne przedstawienie złego aktora, pozbawione szacunku dla publiczności. Problem był w tym, że ona, jego córka, nie mogła się zdobyć na przebaczenie. List Maxa Mathera, napisany kilka dni później, strofował ją łagodnie, ale stanowczo:

„Hugh wymknął mi się na koniec, ponieważ tak właśnie postanowił skończyć. Chciał zostać sam ze swoim katem. Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas mógł odmówić drugiemu prawa do tego. A poza tym, nawet gdybyśmy bardzo chcieli, nie mamy prawa własności w stosunku do własnych rodziców. Oni mają takie samo prawo uciec od nas, jak my od nich. Poza tym, w uciekaniu Hugh był wielkim artystą, współczesnym Houdinim. Bądź zła jeśli musisz, uśmiechnij się jeśli możesz, ale na



koniec, dla swojego własnego spokoju, musisz mu wybaczyć. Mam nadzieję, że wybaczysz i mnie, Twojemu niezamierzonemu zastępcy przy ostatniej męce Hugh'a Loredona.

Serdeczności, Max”

Było to najtrudniejsze i najbardziej gorzkie do przełknięcia. Max również jej się wymykał. Drogi, niewierny, niesolidny Max - kompan beztroskich godzin w Toskanii - zmieniał się w kogoś zupełnie innego. Miał teraz swoje zamysły i już mu nie wystarczy rola młodego porucznika przy Annie-Marii Loredon, czy nawet jakiejś innej kobiecie. Jeżeli chce go zatrzymać, a ciągle nie była tego pewna, powinna sięgnąć po niego i pochwycić go, zanim odpłynie z inną kobietą - jak ta Danny Danziger, która ją odwiedziła z wyrazami sympatii i która wydaje się wie znacznie więcej - niż mówi - o Hughu Loredonie i Bayardach.

Z drugiej strony, Anna-Maria nie była pewna, czy potrzebuje kogokolwiek w obecnej chwili. Było zbyt wiele do zrobienia. Nie miała ochoty na seks, chociaż przydałoby się jej coś uspokajającego. Ambicja wywołała wydzielenie znacznej ilości adrenaliny - a oprócz tego zawsze najmocniej przeżywała seks, jeśli był połączony ze śmiechem... zupełnie jak nieboszczyk Hugh Loredon.

Wznowienie przesłuchań przez policję nie było niespodzianką dla Edmunda Bayarda. Od początku było jasne, że wystawa obrazów Madeleine, w samym miejscu morderstwa, na nowo pobudzi plotki i pogłoski. Jasne było również, że policja będzie musiała zrobić jakiś ruch, aby bronić się przed krytyką.

Fakt, że Hugh Loredon poczynił jakieś zwierzenia na łożu śmierci, nie zaskoczył go również. Człowiek ten całe życie był hochsztaplerem, kobieciarzem, wścibskim i nieodpowiedzialnym, wtrącającym się w cudze życie. Cokolwiek napisał, akt spóźnionej skruchy, lub ostateczny testament złej woli, może być dokuczliwy, ale nie będzie miał mocy prawnej, dopóki nie zostanie potwierdzony innymi dowodami, których Bayard się nie spodziewał. Jego własne alibi zostało potwierdzone i sprawdzone. Nadal było murowane.

Co go niepokoiło w nowej serii pytań policji, to napomknienia o papierach, należących do Madeleine, o których nic nie wiedział. Sugerowały one oczywiście, że Mather je widział, co mu umożliwiło napisanie tak wzruszająco o życiu i pracy Madeleine. Jeżeli tak osobiste zapiski istnieją i

jeżeli mogą dostać się do prasy, jego prywatne sprawy, jedyna ostoja spokoju, która mu została w życiu, są zagrożone. Jego wrażliwa miłość własna zostanie zniweczona i żadna siła już jej nie będzie zdolna odtworzyć.

Była to prawdziwa groźba, wisząca gradową chmurą nad jego życiem. Madeleine przyprawiała mu rogi tysiące razy. Co gorsza, robiła z niego durnia, przedmiot drwin wobec swoich kochanków i przyjaciół. Już to raz przeżył i zbliżył się na krok do ocalenia - z Anną-Marią. Ale jeżeli ona zawiedzie i nie odpowie na jego wołanie, będzie to dla niego prawdziwa okropność i koniec świata.

Już przedtem cierpiał od takiego przerażenia. Był to objaw psychozy depresyjnej, która nachodziła go okresowo przez całe życie, a która została zidentyfikowana klinicznie w późniejszych latach. Nauczył się panować nad tą szaloną huśtawką od manii do depresji, pływać na nich jak żeglarz na falach, który bierze je bokiem, nigdy dziobem, zsuwa się z nich i wspina z powrotem, ale nigdy nie pozwoli morzu strzaskać statku... Ale teraz morze podnosi fale wielkie jak góry, zaś zdrowie zdaje się statkiem węższym niż kiedykolwiek.

Gdyby tylko Anna-Maria była mu przychylna. Gdyby tylko mógł przebić przegrodę, oddzielającą odmierzone uczucie od studni namiętności. Ona musi mieć potrzeby seksualne. Nie może żyć zawsze jak zakonnica. Nie zawsze tak robiła, Max Mather tego doświadczył. Więc co? Kto jest więc jego rywalem? Musi dać Annie-Marii spokój do wystawy. Potem powinien, musi, zmusić ją do zdeklarowania się.

Stawiało go to z powrotem twarzą w twarz z Matherem. Ten człowiek miał wszystkie talenty atrakcyjnego łobuza: odpowiednie wykształcenie, dobry smak, kultywowany na koszt innych, uroki poważania, przystojną twarz i atletyczne ciało na dodatek. Tego było za dużo, jak na jednego mężczyznę. Tego było więcej niż za dużo, że to on napisał tak intymny i dokładny portret Madeleine i że odmalował tak tragiczny obraz jej skazanego na zatracenie, niszczycielskiego małżeństwa. Jeszcze gorsze było to, że w opracowaniu Mathera nie było złośliwości, jego współczucie było afromtem. Klient Mather mógł być przyjacielem Anny-Marii, cennym współnikiem w przedsięwzięciu z galeriami, ale w tej mrocznej chwili skupiał wszystkie lęki i podejrzenia, które poprzednio skoncentrowane były na Hughu Loredonie. Chłodny rozum mówił Bayardowi, że to jest nagłe i niebezpieczne szaleństwo, ale wewnątrz chmury gradowej nie było rozumu - jedynie zawirowania, ciemność i zarodki zniszczenia... Dźwięk jego telefonu przywołał go do rzeczywistości. Chwytał słuchawkę, na linii był jeden z członków syndykatu zakupów.

- Ed, chłopcy przejrżeli przezrocza z Holandii - jak się nazywa ten facet, Cornelis Janzoon? Podobają im się bardzo. Chcieliby wiedzieć, czy i kiedy można by zorganizować handlową wystawę w

Nowym Jorku. Gdyby to było możliwe, zdecydowanie powinniśmy kupić trochę tych rzeczy i zatrzymać.

- Wiem, że Max rozmawiał o wystawie z Janzoonem. Prawdopodobnie nie poruszał jeszcze tego z Anną-Marią. Jej ojciec zmarł, jak wiesz, bardzo niedawno. Ale zostaw to mnie. Ja się tym zajmę. Jeżeli będziemy kupowali, to ile przeznaczasz na syndykat?

- Z wystawą pięćdziesiąt tysięcy. Góra sześćdziesiąt.

- Porozmawiam z Anną-Marią i dam ci znać. Spodziewamy się Mathera tutaj gdzieś w ciągu tygodnia.

- Czujesz się dobrze Ed? Wydajesz się rozklekotany.

- Miałem rano kłopoty z klientem.

- Nie daj im sobie wleźć na głowę. Jesteś guru, trzymaj więc ich w nieświadomości i pokorze.

Dobrego dnia!

Bayard odłożył słuchawkę, a potem zadzwonił do Anny-Marii, do pracowni. Zapytał:

- Czy miałaś już okazję spojrzeć na materiały Janzooona, przesłane przez Maxa z Amsterdamu?

- Tak, miałam. Wydaje się bardzo interesujący.

- Czy tak interesujący, aby poświęcić mu wystawę?

- Za wcześnie jeszcze na taką decyzję, Ed. Musimy sprawdzić, jak nam pójdzie z dziełami Madeleine. Następnie, jesteśmy już związani z Oliverem Swannem - to wspólne imię dwojga symbolistów. Myślę, że musimy rozważyć znaczną odmianę dla naszej trzeciej wystawy. Mamy szereg możliwości do wyboru. Chciałabym je wszystkie mieć otwarte. Nie chcę więc być naciskana w tej sprawie, dopóki nie wystartujemy.

- Ja wiem. To członkowie naszego syndykatu są bardzo zainteresowani Janzoonem.

- I chcę się nieco sprzeciwić, ale pozwól, że to ja będę rozeznawać dla nich rynek! Ed, tak to ja nie chcę. Jestem przekonana, że Max również.

- On jest członkiem syndykatu.

- Ale również reprezentuje mnie, jeśli więc jest jakiś konflikt interesów, lepiej to od razu wyjaśnić. Sprawa zaczęła mu się wymykać z rąk. Bayard próbował ją ułagodzić.

- Jestem pewien, że nie ma żadnego konfliktu. Max działał zupełnie właściwie. Przysłał rekomendacje. Teraz zależy od syndykatu, co zdecyduje zakupić, od ciebie zależy, co chcesz wystawić.

- I tak właśnie wszyscy rozumieją zasady!

- Zapewniam cię, że tak. Czy mógłbym cię zaprosić na lunch? Na obiad?

- Z przyjemnością, ale nie w tym tygodniu. Teraz mam roboty po uszy.

- Czemu nie weźmiesz kogoś do pomocy?

- Ponieważ chcę oszczędzić na wydatkach, a mogę to zrobić sama, taniej i szybciej. Aha, miałam dzisiaj wizytę policji.

- A czego u diabła oni chcieli?

- Co myślę o liście, który mój ojciec przed śmiercią do nich napisał.

- Czy ci pokazali ten list?

- Nie.

- Myślę więc, że odmówiłaś komentarzy.

- Mniej więcej. Pytali również, kiedy wróci Max.

- Powtórzę ci moją radę. Nie pozwól się wciągać w komentowanie czy rozważanie materiałów, których ci nie chcą pokazać.

- Zrobię jak mówisz. Zadzwoń w piątek, wcześniej rano.

- Będę czekał. Miałaś wiadomość od Maxa?

- Tylko długi fax o Niccolo Tolentinem, z listą tematów jego dwunastu wykładów. To jest następna sprawa, której promocję muszę rozpocząć. Max zamierza przylecieć samolotem Air France z Paryża w niedzielę, po południu. Miło go będzie znów zobaczyć.

- Bardzo miło - zgodził się Bayard. - Naprawdę bardzo miło.

W Zurychu kończył się dzień. Niccolo Tolentino został wyściskany, ośmielony, zaopatrzone w dokumenty i pieniądze na podróż, zaprzysiężony do milczenia i wyprawiony popołudniowym samolotem z powrotem do Florencji. Max Mather i Alois Liepert konferowali nad następnymi krokami strategii w sprawie Rafaelów. Zalecenia Lieperta były jasne i zdecydowane.

- Teraz potrzebny nam jest okres wyczekiwania - na ochłonięcie. Wiesz, że masz oryginały. Możesz je przedstawić w każdej chwili. Palombini mają czas na płacenie swoich rachunków do końca czerwca. Artykuły są publikowane teraz. Zaciekawienie - a więc i wartość rynkowa - będą rosły. Więc siedź cicho, Max. Zamień się w cierpliwość. Musisz wrócić do Ameryki. Jedź! Daj mi upoważnienie adwokackie, a będę mógł zrobić wszystko, co będzie konieczne. Towarzystwa działają na zasadzie pełnomocnictw, mogą więc dokonywać czynności prawnych bez ciebie. Jeżeli masz zostać dobrym dealerem, Max, musisz nauczyć się jednego: cierpliwości. A nie jesteś - jak się okazało - zbyt cierpliwym człowiekiem.

- Zgadzam się, Alois. Niech tak będzie. Jadę do Ameryki. Zostawię ci tu upoważnienie. Ale co mam zrobić z Giselą?

- Wybacz mi, przyjacielu, ale pośpieszyłeś się z nią również bez zastanowienia. Ona jest bardzo bystrą, nowoczesną, ale również bardzo tradycyjną, szwajcarską dziewczyną. Tutaj ciągle jest kraj reformacji. Kalwin i Zwingli wędrują po górach. Gisela cię kocha. Ona aprobejuje aktywne życie seksualne pomiędzy kochankami. Ale powściągnij się przy najmniejszej próbie mocniejszego wykorzystania w interesach.

Teraz, gdy mamy nasz kontrakt, mogę wytrzymać sytuację z Palombinimi. Znosiłem znacznie gorsze z wielu innymi klientami. Jako prawnik, Giselę znosi ją również, a nawet ją ukształtowała, ale któregoś dnia w rozmowie ze mną wymknęło się jej zdanie, które dało mi do myślenia. Powiedziała:

- W małżeństwie potrzebna jest „zgodność sumień”.

- Zrozumiałem. - Mather wzruszył ramionami - Sądzę, że teraz właśnie postaram się wypracować spłatę długów - materialnych i uczuciowych - bez doprowadzenia się do bankructwa i zrujnowania reputacji, którą właśnie zacząłem budować.

Liepert z powagą kiwnął głową.

- Słusznie. Jest kilka rzeczy podstawowych w ludzkich sprawach, a prawo często jest ryczącym osłem.

- Zgadzą się całkowicie. - Gisela weszła z rumianymi policzkami, przewiana wiatrem po drodze z uniwersytetu. Pocałowała obu i opadła na krzesło. - Masz coś do picia, Alois?

- Co zechcesz. Nalej sobie. Zaraz wrócę, jak tylko podpiszę pocztę i...

Zadzwoił telefon. Liepert podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym podał ją Matherowi. - Ameryka do ciebie.

Mather bez chwili namysłu nacisnął przycisk telekonferencyjny i zniekształcony głos Danny Danziger zaskrzypiał w pokoju.

- Max, tu Danny. Jest u mnie policja. Aresztowali mnie pod zarzutem morderstwa Madi Bayard. To jedyna rozmowa, na jaką mi pozwolili. Błagam, pomóż mi!

- Pomogę. A teraz uspokój się i odpowiadaj mi rzeczowo. Czy odczytali ci twoje prawa?

- Tak.

- Więc trzymaj się ich. Milcz. Nie mów ani słowa, dopóki nie znajdę ci adwokata. Zrozumiałaś?

- Tak.

- Czy Carol jest z tobą?

- Nie, jest na zajęciach.

- Poproś oficera, aby pozwolił ci zostawić kartkę z powiadomieniem jej, co się stało. Niech czeka na telefon ode mnie. Wyjeżdżam jak tylko zdobędę bilet. Wtedy zobaczymy, czy uda nam się wyciągnąć cię za kaucją. Jak dokładnie brzmi oskarżenie?

- Morderstwo pierwszego stopnia.

- O Boże, to niemożliwe! Poproś oficera, aby zechciał ze mną porozmawiać.

Po krótkiej przerwie, wypełnionej szmerem niezrozumiałej rozmowy, odezwał się obojętny głos.

- Tu Sam Hartog, z kim mówię?

- Max Mather. Czy oskarżenie jest takie, jak powiedziała panna Danziger?

- Obawiam się, że tak. Morderstwo numer jeden.

- Wezmę dla niej adwokata.

- To rozsądne.

- Wystąpi oczywiście o kaucję.

- Naturalnie... Kiedy przewiduje pan wrócić, panie Mather?

- Jutro, pojutrze, jak tylko zdobędę bilet.

- Będziemy chcieli z panem rozmawiać natychmiast po powrocie.

- Chęć jest obustronna, proszę dać mi numer telefonu. Dziękuję. Gdzie teraz zabieracie pannę Danziger?

- Do dzielnicy. Im szybciej będzie pan mógł skontaktować ją z adwokatem, tym lepiej. Chce pan zamienić z nią jeszcze słówko?

- Proszę... Danny, zajmę się wszystkim. W ciągu godziny będę miał dla ciebie adwokata. I będę z tobą wkrótce. A teraz odwagi!

- Oh, Max, jak będę mogła ci podziękować?

- Rozłącz się teraz. Będę z tobą jak tylko będę mógł najszybciej. Na razie.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Gisela. - Sir Galahad gotów do usług dla panienki w niebezpieczeństwie. Wytłumaczysz nam to wszystko?

- Wytłumaczę. A teraz uciszcie się i pozwólcie mi działać. Już wykrył biurowy numer Eda Bayarda. Sekretarka poinformowała go, że Bayard zamknął się na konferencji z klientem.

- Proszę go więc wywołać! Proszę mu powiedzieć, że na linii jest Max Mather z Zurychu i że to jest nagła sprawa najwyższej wagi! Gdy Mather zreferował mu sprawę, Bayard milczał, wstrząśnięty.

- Potrzebuję więc dobrego adwokata natychmiast.

- Nie mogę ci pomóc, Mather. Jesteśmy spółką do prawa handlowego i nie praktykujemy w sprawach kryminalnych. Mather wściekł się.

- Co to za odpowiedź, do cholery!

- Rozważna - oziębło odpowiedział Bayard. - Ofiarą jest moja żona. Wydaje się konieczne i rozsądne, abym trzymał się z dala od oskarżonej, nie uważasz?

- To się trzymaj. Daj mi numer telefonu, Ed. Resztę wybiorę po powrocie do Nowego Jorku.

- Poczekaj chwilę.

Czekał trzy długie minuty, zanim do telefonu podeszła sekretarka z informacją.

- Potrzebne panu nazwisko to George Munsel. Numer kierunkowy 212, numer telefonu 735

4141. Zapisał pan?

- Zapisałem - powiedział Mather i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała Gisela.

- Jeszcze nie. Tylko nalej nam po drinku.

Nakręcił manhattański numer i usłyszał chłodny jak w klubie uniwersyteckim głos, którym przedstawił się George Munsel. Mather od razu zreferował okoliczności i sytuację Danny Danziger, na zakończenie czego Munsel zapytał:

- A jak pan do mnie trafił?

- Zwróciłem się do Eda Bayarda, który mnie reprezentuje. Powołał się od razu na ostrożność i konflikt interesów. Ochraniłem go. Jego sekretarka podała mi pana numer. Muszę podkreślić fakt, że nie polecał pana.

Munsel roześmiał się. - Zabrzmiało to odprężające.

- Kto buli za rachunek? - zapytał.

- Ja. Otrzyma pan czek jak tylko przyjadę.

- Kaucja?

- Ona ma stałą i dobrze płatną posadę, ma własne mieszkanie. Zupełnie nie wyobrażam jej sobie jako uciekinierki.

- Jak dużo pan wie o sprawie?

- Nie byłem w to wmieszany, jeśli to ma pan na myśli. Byłem poza krajem cały zeszły i poprzedni rok. Ale z powodu moich powiązań z Anną-Marią Loredon i jej nieboszczykiem ojcem, zostałem w to wciągnięty. Oprócz tego, jestem w posiadaniu prywatnych papierów Madeleine Bayard.

- Gdzie one są?



- Tutaj, w Zurychu.

- Proszę je tam zostawić. Niech pan zabierze ze sobą komplet notarialnych kopii. Powtarzam, notarialnych.

- Zrozumiałem. Czy mogę rozumieć, że pan weźmie tę sprawę?

- Najpierw muszę porozmawiać z panną Danziger. Powinienem już tam jechać. Proszę zadzwonić, gdy pan będzie na Manhattanie.

- Zadzwonię. I dziękuję.

Gisela podała mu dużą whisky. Następnie zatelefonował do galerii, do Anny-Marii Loredon. Właśnie usłyszała tę wiadomość przez radio i nie mogła się pozbierać z szoku.

- To straszne dla nas, Max. Trzy tygodnie przed otwarciem, a tu naraz ta okropna sprawa! Potrzebuję tu ciebie. Sama temu nie sprostam.

- Będę tam jutro. Trzymaj się mocno. Nie będziemy drzeć przed tą groźbą, tylko ją wykorzystamy. Jak tylko przyjadę, zwołamy zebranie naszych agentów od reklamy i public relations. Miałaś wiadomość od Bayarda?

- Nie. A ty?

- Tak, rozmawiałem z nim. Prosiłem go, aby mi wyszukał adwokata dla Danny Danziger. Odmówił. Możesz mu powiedzieć ode mnie, że jest gówniarzem.

- To niesprawiedliwie, Max. Ta kobieta została oskarżona o zamordowanie jego żony. Jak możesz oczekiwać, że będzie jej bronił?

- Nie spierajmy się kochanie! Gorsze przed nami. Musimy trzymać się razem. Zadzwonię jak tylko przyjadę. Urządzimy u mnie przy drinku naradę wojenną.

- Co mam mówić prasie?

- Będziesz zaskoczona, będziesz wstrząśnięta, nie będziesz mogła uwierzyć. Ufasz, że sprawiedliwości stanie się zadość... a brzmi osobliwe echo greckiej tragedii, którą oni również dostrzegą, gdy zobaczą wystawę - która najprawdopodobniej rozpocznie się w terminie. Zapisz to, zanim zapomnisz. Do zobaczenia!

- I następna zagrożona kobieta nabiera otuchy przed obliczem tego młodego rycerza - tu Gisela wykonała operowy gest. - Jak dotąd dwie. Ile jeszcze?

Mather roześmiał się, wbrew sobie.

- No tak, mógłbym udać się do jednej z moich bogatych wdów, po pieniądze na kaucję. Gdyby nie dała, musiałbym po prostu poszukać czegoś na nią w mojej kartotece. Ale na poważnie, to jest zupełnie makabryczne. Tę historię opowiedział mi w Amsterdamie Hugh Loredon. Nazwałem go kłamcą. Ale najwyraźniej, w liście który napisał, musiał wskazać na Danny Danziger jako morderczynię. Dlaczego? Dlaczego człowiek miałby kłamać wobec nadchodzącej pewnej śmierci?

- Bo nie ma doskonalszego momentu - poddała Gisela. - Nie dojdiesz do niczego. Zadzwońmy do Swissairu, by sprawdzić, jakie loty do Nowego Jorku mogą zaproponować.

Było jedno miejsce na lot do portu lotniczego Kennedy'ego o 11 rano. Zostawało mu po południu tylko tyle czasu, aby pójść do banku i wyposażyć się w pieniądze, fotokopie i dokumenty. Zamówił samochód na 8.15 rano, zaś przez Swissair limuzynę na lotnisku Kennedy'ego. Pozostała mu jeszcze jedna rozmowa telefoniczna, przed opuszczeniem biura Lieperta.

Matherowi zależało na rozmowie z Berchmansem w Paryżu. Starzec zareagował miękko.

- Myśli pan, że ona to zrobiła?

- Wiem, że nie.

- Może pan tego dowieść?

- Mam nadzieję. Muszę panu jedną rzecz powiedzieć. Biorę ze sobą kopie papierów i szkicowników Madeleine. Mogą zostać wzięte jako dowody. Jest pan w jednych i drugich, ale w sposób ani specjalnie rzucający się w oczy, ani skandaliczny.

- Nie ma pan sposobu, aby mnie z tego wyłączyć?

- Obawiam się, że nie. Szczerze mówiąc, wszystko, co media mogą zrobić, to ordynarnie wyśmiewać.

- Czy mogę zawierzyć pańskiemu sądowi?

- Obawiam się, że pan musi.

- Dobrze. Wkrótce jadę do Nowego Jorku. Niech pan zadzwoni tam do mojego biura, to podadzą panu dokładną datę. Powinniśmy spotkać się znowu. Załatwiłem, że dwa brazylijskie Rafaele zostaną przysłane pod zastawem do ekspertyzy. Chciałbym, ażeby pan zobaczył je wraz ze mną.

- Dziękuję. Mam też nadzieję na dalsze wieści o oryginałach.

- Które oczywiście muszą zostać sprawdzone?

- Oczywiście.

- Powinniśmy pomówić, jak mogłyby one zostać wystawione na rynek.

- To również.

- Należy się panu ode mnie rada. Niech się pan strzeże Seldesa, on pana nie lubi. Może być niebezpieczny.

- Dziękuję, że mi pan to mówi.

- Ręka rękę myje, powiedział Berchmans i wyłączył się.



## ROZDZIAŁ 14

George Munsel, obrońca Leonii Danziger, miał zadziwiający wygląd. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był chudy jak tyczka, miał długie ręce, wielkie stopy, skandynawską, kwadratową twarz, kudłatą blond czuprynę i uśmiech niewinnego dziecka. Wydawało się, że głównym problemem jego życia było dostosowanie się do skali zwykłych śmiertelników. Schylał się, przechodząc przez drzwi, przesuwiał się bokiem koło mebli, niezgrabnie rozkładał się na krzesłach, pochylał się, słuchając rozmówcy. Mather odnosił wrażenie, jakby jakiś dawny nordycki mędrzec pochylał się ze współczuciem nad zwykłym ludem. Wyciągnął swoje długie nogi pod stołem jadalnym w niewielkim mieszkaniu Mathera, wyłożył notatki i blok papieru, i głębokim barytonem zaczął recytować swoje sprawozdanie.

- Szybko, w skrócie. Klientka akceptuje mnie, ja akceptuję klientkę. Potrzebuję dziesięć tysięcy zaliczki. Wszystkiego jeszcze nie ujawniono, ale biuro prokuratora okręgowego wydaje się całkiem pewne wniesienia oskarżenia o morderstwo numer jeden. Dziewczyna odrzuca oskarżenie, ale przyznaje się do powiązań i okoliczności obciążających: lesbijski związek z ofiarą, kłótnie, wizyta w pracowni w dniu morderstwa, telefon do Hugh'a Loredona. Spodziewam się wniesienia oskarżenia. Instynkt mi mówi, żeby je odrzucić, poprosić o rozsądną kaucję i bronić się.

- Kaucja - zapytał Mather. - Ile?

- Za wcześnie o tym mówić - i to nie pan jest za to odpowiedzialny.

- Chcę pomóc, jeśli mogę.

- Dlatego, że redaguje pańskie teksty?

- Dlatego, że jest znakomitą redaktorką i z tego powodu mam wobec niej zobowiązania.

- To interesujący punkt widzenia. Ta pani jest, według jej własnego zwierzenia, lesbijką.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedział Mather. - Co jeszcze?

- Co jeszcze pan ma do powiedzenia, panie Mather?

Mather opowiedział mu spokojnie i bez upiększeń, dziwiąc się sam sobie w trakcie opowiadania, jak głęboko i w jak krótkim czasie został wplątany w życie tych wszystkich ludzi. Munsel słuchał, przerywając tylko przy wyjaśnianiu jakiegoś szczegółu, lub gdy musiał coś zanotować. Potem dwukrotnie odtworzył Matherowi każdy szczegół z jego spotkania z Hugh'em Loredonem, poczynając

od ich początkowego lunchu w hotelowym apartamencie, a kończąc na ostatnim uścisku ręki w Amsterdamie.

Zwrócił następnie uwagę na list, który napisała do niego Danny Danziger i na fotografie z policyjnego śledztwa, które mu przysłała. Jego komentarz sprecyzował uczucie, które Mather miał, gdy sam czytał list po raz pierwszy, ale którego nie umiał wtedy nazwać.

- Niepokoi mnie to - powiedział Munsel - że ona pisze to z całkowitą obojętnością, jak gdyby podsumowywała informacje otrzymane od innych. Jedyne odstępstwo od tego tonu jest w słowach „wielu z nas jest w to wmieszanych” i dalej. Krótko mówiąc, list jest całkowicie fałszywy.

- Gdy to czytałem, niepokoiło mnie to również - zgodził się Mather. - Nie wiedziałem jednak wtedy wszystkiego, co wiem teraz. Gdy przeczyta pan diariusz Madeleine Bayard, zrozumie pan przypuszczalną przyczynę tych kłamstw... Niech pan czyta, ja przygotuję napoje. Czego panu nalać?

- Poproszę o wódkę z tonikiem. - Był już zagłębiany w czytaniu.

Mather przyniósł napoje, po czym wszedł do sypialni, aby zatelefonować do Anny-Marii. Rozmawiali krótko. Była zadowolona, że wrócił. Przyjdzie do niego na obiad o ósmej. A, dobrze by było, żeby zatelefonował do Eda Bayarda. Dlaczego? Ed bardzo żałuje, że tak się zachował. Chciałby przeprosić i pozostać w przyjaznych stosunkach. Na zasadzie, że nieco lepiej mieć nawet takich przyjaciół jak Bayard, niż wrogów, Max zgodził się zatelefonować do niego następnego dnia rano. Zadzwoił następnie do Harmona Seldesa i został zaskoczony wylewnym powitaniem.

- Drogi Maksie. Cieszę się, że jest pan z powrotem! Mój Boże, moment nie mógłby być lepszy, wychodzi pański artykuł o Bayard, aresztowano Danny Danziger. Oczywiście okropna pomyłka. Nie może być inaczej. Wszyscy trzymamy jej stronę.

- W takim razie, z pewnością by się przydało, aby pan poparł jej prośbę o wypuszczenie za kaucją.

- Jak mam to zrobić?

- Przyjść do sądu. Być przygotowanym do poświadczenia, że jest stale zatrudniona, że bardzo wiele znaczy dla magazynu... takie rzeczy. To będzie dobre również dla morale personelu, Harmon!

- Zobaczą, co będę mógł zrobić. A teraz powiedz mi coś o Rafaelach. Berchmans mówi, że robisz duże postępy, a ty, stary lisie, zahaczyłeś się ponownie o Palombinich.

- Prosim, żebym ich reprezentował. Niegrzecznie byłoby odmówić.

- Oczywiście. Kiedy cię zobaczę?

- Przedstawienie oskarżenia nie będzie w sądzie długo trwało, porozmawiamy potem. Mam propozycje na temat dalszego postępowania w sprawie Rafaelów.

- Porozmawiajmy o tym koniecznie. Ja tymczasem zrobię, co będę mógł w sprawie wystąpienia o kaucję. Nie mogę się doczekać, aby usłyszeć, w jakim jesteś stadium w sprawie Rafaelów. Wiem, że rozmawiałeś z Berchmansem, ale on wydziela informacje jak gdyby to były pieniądze... Ty i ja musimy mieć czas na rozmowę. To bardzo ważne. I jeszcze raz - witam z powrotem!

George Munsel ciągle siedział zatopiony w rękopisach i szkicownikach Madeleine Bayard. Gdy Mather wchodził, spojrzął na niego i zapytał nagle:

- Dlaczego Hugh Loredon dał panu te materiały?

- Nigdy do tego nie doszedłem. Wydawało mi się: że uważa je za broń przeciwko Bayardowi. Skłoniłem się ku temu, gdy je przejrzałem.

- Dlaczego pan je zatrzymał? Dlaczego ich pan nie oddał?

- Powiedział mi, abym je zatrzymał.

- Podał przyczynę?

- Tak. Powiedział: „Dla policji to dowody, dla ciebie skarb jak znalazł”. Biorąc pod uwagę okoliczności, jest tak rzeczywiście. Munsel uśmiechnął się swoim szerokim, dziecinny uśmiechem.

- Ale dlaczego dał to panu, a nie swojej córce?

- Bo wiedział, że byliśmy kochankami. Uważał mnie zawsze za rodzaj jej opiekuna.

- Policja zada panu inne pytanie.

- Jakie?

- Panie Mather, czy pan wie, co to jest zaniechanie doniesienia o przestępstwie?

- Wiem. To znaczy zatajenie zbrodni.

- Co więc powie pan policji?

- Papiery Madeleine Bayard nie mają nic wspólnego ze zbrodnią, dotyczą jedynie szaleństw jej przyjaciół i bliskich.

- Które mogą oczywiście być powiązane z dokonaną zbrodnią.

- Ale ja nie jestem i nie byłem kompetentny, aby rozstrzygać o takim powiązaniu.

- Hugh Loredon niewątpliwie uważał, że był pan.

- Naprawdę? Jak można to ustalić?

- To dobre pytanie, panie Mather. Jak pan odczytał intencję Hugh'a Loredona?

- Nie byłem jej pewien. Przypuszczałem, że chciał osłonić córkę przed komplikacjami i skandalem po swojej śmierci. Mógł również chcieć ją wzbogacić o wartościową dokumentację Madeleine Bayard - nie mógł jednak zrobić tego bezpośrednio, bez wplątania jej w ukrywanie dowodów. Zwrócił się więc do mnie, pewien, że będę bronił jej interesów.

- Wypiłbym drugą wódkę - powiedział Munsel. - Tym razem bez toniku.

- Już daję.

- Zrobię teraz pewne założenie. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że Hugh Loredon prowadził swoją ostatnią, przebiegłą grę.

- Zmierzając do czego?

- Do pogrążenia człowieka, którego najbardziej się obawiał i którego najbardziej nienawidził: Edmunda Bayarda.

- I w tym celu oskarżył zmyśloną historią niewinną kobietę? To wariactwo.

- Nie takie wariackie. Niech pan obserwuje, co się stanie po wniesieniu oskarżenia. Sąd ma notarialne zeznania, będące równocześnie oskarżeniem. Oskarżyciel nie żyje i nie może być przesłuchany. Przy braku jakichkolwiek innych dowodów - a przypuszczam, że jakieś mają, ale za mało - są w bardzo niezręcznej sytuacji. Zwłaszcza, gdy ja dostarczę dokument obalający oskarżenie, tak mocny, jak ten materiał, który dostałem do rąk.

- Ale to jest wszystko, co można przeciwstawić faktom.

- Oprócz człowieka, który je zinterpretuje.

- To znaczy kogo?

- Pana, panie Mather!

- Nie rozumiem, dokąd mnie pan prowadzi.

- Jest pan naukowcem, panie Mather. Przyjrzałem się panu. Przeczytałem oba pańskie artykuły z Belvedere, do których skierowała mnie Danny Danziger. Pańską specjalnością nie są sztuki piękne, tylko paleografia, badanie manuskryptów, dawnych i współczesnych. Według mojej encyklopedii, oznacza to umiejętność poprawnego czytania starych rękopisów, badanie manuskryptów pod kątem świadectwa wewnętrznego (to znaczy zawartości) i świadectwa zewnętrznego, dostarczanego przez inne dokumenty. Pan wielokrotnie przestudiował papiery Madeleine Bayard. Stworzył pan wzruszający i pouczający artykuł. Chciałbym, aby pan przestudiował jeszcze raz te same materiały jako paleograf, przyglądając się wewnętrznemu i zewnętrznemu świadectwu życia i śmierci Madeleine Bayard. Jeśli moje domysły są słuszne, będę mógł zrobić z pana głównego świadka obrony.

Mather wpatrywał się w niego w osłupieniu.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, czego pan wymaga? To nie jest zabawa. Dla mnie to nie jest zręczna żonglerka kaprysami i fantazjami wyobraźni zmarłej kobiety, które tworzyła dla zabawy, szokowania, lub mistyfikacji - to jest gra o wolność kobiety. Nie mógłbym tego nawet próbować!

- Nawet gdybym trochę panem pokierował?

- Nie wiem, jakby pan mógł.

- Niech pan więc spróbuje tego - Munsel przekartkował diariusz do dwóch ostatnich stron. - To początek zapisu z ostatniego dnia życia Madeleine: „Jest strasznie zimno. Pracownia jest jak grób. Włączyłam wszystkie grzejniki. Nawet teraz nie tak panuję nad moimi palcami, jak potrzeba, aby sprawnie pisać. Ale stare przyzwyczajenie zmusza mnie, że musi to być o tej godzinie i w ten właśnie sposób zrobione, gdyż inaczej reszta mojego dnia nie mogła by upłynąć gładko”. Niech pan to zinterpretuje dla mnie, panie Mather.

- No więc... - Mather przeczytał tekst trzy razy, zanim odpowiedział. - „To jest robota kopisty”... to jest właśnie to. W diariuszu ona używa bardzo konwencjonalnego i regularnego pisma, opartego na starym, francuskim, gotyckim stylu, zwanego *écriture financiere*. Jego forma nazywana jest *ronde* albo rondo, bo jest zaokrąglone, proste, o zaakcentowanych łaskach, jest wolniejsze w pisaniu i wymaga znacznie więcej starania, niż kursywa lub zwykłe pismo. „O tej godzinie i w ten właśnie sposób zrobione, gdyż inaczej reszta mojego dnia...” To mi mówi, że używała diariusza jako swego rodzaju rozgrzewki przed rysowaniem i malowaniem. Również, wiedząc trochę o jej sprawach



domowych, powiedziałbym, że było to prawdopodobnie aktem wyzwania się i upustu myśli, po pełnej napięć nocy małżeńskiej. Jest to ślad zabobonu - rytuał musi zostać dokonany, gdyż w przeciwnym wypadku dzień będzie nieudany. „Pracownia jest jak grób”... A co to było za ogrzewanie? Na pewno nie centralne.

- Brawo! - George Munsel przerwał mu oklaskami. Wspaniale. To jest właśnie to, o czym mówiłem. Spróbuj pan tego? Moglibyśmy spotykać się co dzień, albo co dwa i dyskutować nad tym, co pan odkryje.

- Warto spróbować... ale, co powiem policji, gdy wezmą mnie w ogień krzyżowych pytań?

- Jeszcze jedno pytanie zanim odpowiem. Gdzie są oryginały tych zapisów i rysunków?

- W sejfie depozytowym w Szwajcarii.

- Kto nimi dysponuje?

- Towarzystwo, któremu je powierzyłem - Artifax SPA.

- A jeśli policja zażąda ich do wglądu?

- Z przyjemnością skontaktuję ich z adwokatem, który działa w imieniu towarzystwa.

- Dobrze. Gdy będę siedział przy panu na tym przesłuchaniu, będę kierował pańskimi odpowiedziami. Ja pójdę również na policję i umówię z nimi czas i miejsce przesłuchania. Będzie pan osiągalny, ale bardzo trudny do izolowania.

- Kiedy będę mógł się zobaczyć z Danny?

- Jeśli się uda, wyjdzie jutro za kaucją, równocześnie z postawieniem w stan oskarżenia. Jeśli nie, umówię dla pana widzenia z nią zaraz potem. Ale po przeczytaniu tego materiału i usłyszeniu tego, co mi pan powiedział, sądzę że kaucja będzie ustalona na rozsądnym poziomie. Dziewczyna ma dostateczne zasoby, aby dogadać się z poręczycielem kaucji. Nie chciałbym, aby pan był zbyt obciążony, czy związany z nią. Potrzebuję pana jako świadka w roli eksperta i tak chcę pana przedstawić na rozprawie.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, że moje zeznania będą dotyczyły wielu ludzi? Przede wszystkim Eda Bayarda, ale też Anny-Marii z powodu jej ojca, nie mówiąc już o innych, mężczyznach i kobietach, występujących w jej diariuszu i na szkicach.

- Weźmy ich po kolei. Ed Bayard? Wypije to, co mu zostanie podane. My go nie ścigamy, bronimy klienta. Anna-Maria Loredon? To już gorzej. Jej ojciec z pewnością zostanie skompromitowany. Może stracić premię ubezpieczeniową, jeżeli firma ubezpieczeniowa zdecyduje się uznać śmierć Loredona za samobójstwo. To bardzo przykre, ale ona jest wolna, a nasza klientka w więzieniu i czeka ją proces. Reszta... to ich sprawa, czyż nie? Jednym z problemów swobodnych środowisk - roznoszących AIDS, herpes, grzybice i syfilis - jest to, że zostaje się wciągniętym wraz z innymi w jedno stado gęsi i nie wiadomo, kto lub co może naraz zapukać do drzwi. W tym przypadku będzie to człowieczek z wezwaniem do sądu z perspektywą spędzenia miłego dnia na rozprawie. Ma pan jeszcze inne pytania?

- Skąd pan wziął pomysł użycia mnie jako eksperta na rozprawie?

- Z tego, co pan napisał do Belvedere i z oceny pańskiego talentu przez Leonie Danziger.

- A jak pan ją ocenia?

- Nie jestem jeszcze pewien swojej oceny. Jest inteligentna, dobrze wykształcona, namiętna i tkliwa, co jest w pewnym sensie sprzeczne. Jest niepohamowanie niezależna, ale rozpaczliwie potrzebuje kogoś, od kogo mogłaby zależeć. Potrafi również silnie się przywiązywać - pomimo lesbijskich upodobań, przywiązanie takie rozwinęła do pana - i według mnie jest zdolna do morderstwa. Ale biorąc pod uwagę afekt, wszyscy wówczas bylibyśmy do tego zdolni. W skrócie, ma ona bardzo skomplikowany charakter, który jeszcze nie w pełni zrozumiałem i nie mam najmniejszego zamiaru brania jej przed pulpity dla świadków. Niech więc pan teraz mi powie, co pan o niej sądzi, panie Mather.

Mather wyjaśnił ze znużeniem:

- Harmon Seldes skierował Danny do mnie jako moją redaktorkę. Powiedział mi również, że to intelektualistka o odmiennych upodobaniach seksualnych.

- I jest taka?

- Tak.

- Jak pan to sprawdził?

- Powiedziała mi to.

- I co...?

- I nic. Pracowaliśmy dalej razem. Jest znakomitą redaktorką. Bardzo mi pomogła. Nie mogę jej teraz tak zostawić.

- A co będzie, jeśli okaże się winna? A może się okazać, pan wie.

- A pan myśli, że co ja powiem? Do czego by mnie to na miłość boską doprowadziło?

- Będzie pan mówił - powiedział Munsel. - Spotkamy się o dziesiątej w sali nr 3. Dziękuję za drinki.

Zebrał swoje papiery, rozprostował swoje chude ciało i wysunął się bokiem z pokoju. Było pół do siódmej - Mather miał półtorej godziny na zrobienie zakupów i przygotowanie potraw, przed przybyciem Anny-Marii.

Spodziewał się, że spotkanie to będzie trudne. Nie chciał, aby doszło do niego w miejscu publicznym. Wszystko, co dotyczyło Anny-Marii było obecnie bardzo aktualne: jej nazwisko, spadek, kariera, interesy i prywatne powiązania z Edem Bayardem. Dla niego tematy te były równie ważne. Jego kariera powstawała na dwóch fundamentach, na Rafaelach i na reprezentowaniu przez niego szanowanej nowojorskiej galerii. Aresztowanie i proces Danny Danziger były jakby pierwszym dudnieniem trzęsienia ziemi, które mogło zniweczyć wszystkie ich starannie przygotowywane projekty.

Jak trzęsienie ziemi, zbrodnia powodowała przypadkowo niezwykle skutki. Morderstwo Madeleine Bayard wpływało na życie ludzi we Florencji, Zurychu, Paryżu, Rio i Nowym Jorku. Sprawa Rafaelów nabierała innych wymiarów w kontekście nowojorskiego procesu. Jego doraźne stosunki z Anną-Marią nakładały się teraz na jego rosnącą więź z Giselą Mundt. Ed Bayard, którego ustanowił swoim prawnym doradcą, stał się naraz wrogi, a teraz równie nagle wystąpił o zawieszenie broni. George Munsel był nowym katalizatorem, dobierającym różnego rodzaju reakcji chemicznych do konstrukcji obrony swojej klientki. A Max Mather stał się człowiekiem niestałym, prawdziwym kameleonem, zmieniającym swój kolor i kształtowanie, aby jak najlepiej dopasować się do tła i uchronić przed drapieżcami, unoszącymi się zawsze ponad sceną katastrofy.

Po powrocie z zakupów przygotował w kuchni stół i zaczął wykladać składniki. Rozmyślnie przygotowywał sobie zajęcia na czas gambitu otwarcia z Anną-Marią. Chciał, aby ostatnią sceną do zagrania była konfrontacja interesów i opinii. Oprócz tego, chciał przywołać pokrzepiające echa Florencji, gdy podawał koktajle na jej tarasie, aby później objąć kuchnię dla przygotowania wieczornego posiłku. Trochę nostalgii mogłoby nieco przytępić ostrość tego wieczoru. Przykre prawdy sytuacji mogą brzmieć odrobinę milej, gdy zostaną wyrażone florenckimi słowami...

Wszystkie te przygotowania odpadły, gdy Anna-Maria przybyła, holując Eda Bayarda. Mather był wściekły, ale stłumił swój gniew do chłodnej uprzejmości.

- Obawiam się Ed, że mogę ci zaoferować tylko jednego drinka, potem wyrzucę cię. Mamy z Anną-Marią mnóstwo spraw do omówienia, a ja muszę jutro być na ogłoszeniu aktu oskarżenia i stawić się na przesłuchanie na policji.

Bayard był wyraźnie zakłopotany.

- Nie chciałem się narzucać, Max, ale Anna-Maria nalegała. Naprawdę chciałem przeprosić cię za moje zachowanie, gdy telefonowałeś z Zurychu. Byłem zaaferowany - trudna konferencja, szokująca wiadomość, twoje żądanie, abym z kapelusza wynalazł obrońcę. W każdym razie jest mi bardzo przykro, że tak się zdarzyło. Gdybym mógł w czymś pomóc...

- Nie, dziękuję, George Munsel wydaje się rozgarniętym człowiekiem.

- Obawiam się, że to nie ja go wybrałem. To moja sekretarka.

- Więc zadzwonię do niej z podziękowaniem.

- Ona to doceni.

Nastąpiła niezręczna przerwa, wtedy Anna-Maria wyjąkała pytanie:

- Max... Ed chciałby wiedzieć, czy mógłby zobaczyć materiały, które dał ci mój ojciec.

- Obawiam się, że to niemożliwe, nie mam ich.

- Gdzie więc są?

- W Szwajcarii.

- Max, bardzo nie chciałbym nalegać - Bayard z trudem starał się być uprzejmy - ale papiery mojej żony stanowią część jej mienia, którym zarządzam. Jestem zmuszony zażądać, aby zostały mi zwrócone.

- Mam na to dwie odpowiedzi, Ed. Po pierwsze, Hugh Loredon twierdził, że Madeleine mu je dała. Jeśli to prawda, miał wszelkie prawa dać je komukolwiek - w tym przypadku mnie. Każde więc żądanie musi zostać dowiedzione przed sądem. Po drugie, w twoim własnym domu sugerowałem, że może wypłynąć taki materiał jak ten i że powinieneś rozważyć jego zakup. Powiedziałeś, jeśli dokładnie pamiętam: „Niech mnie diabli wezmą, jeśli ja je będę kupował!”. Powiedziałem wówczas,

że ja je będę zbierał na własną rękę - dokładnie takie były moje słowa... Przypominasz sobie tę rozmowę?

- Teraz tak, chociaż o niej zapomniałem. Twierdzisz więc, że papiery Madeleine są teraz twoją własnością?

- Już nie. Przeszły przez moje ręce. Jeśli chcesz, skontaktuję cię z adwokatem, który reprezentuje ich obecnych właścicieli.

- To niepotrzebne. Z pewnością przestudiowałeś je, inaczej nigdy nie mógłbyś napisać tego portretu Madeleine dla Belvedere.

- Tak, przestudiowałem je.

- Jaki... jaki dają one obraz mnie i naszego małżeństwa?

- Bardzo intymny - spokojnie powiedział Mather. - Intymny i, muszę powiedzieć, ujemny.

- Czy ty, lub obecni właściciele macie zamiar je opublikować?

- Ja nie. Obecni właściciele mogą mieć taki zamiar, ale nie sądzę, aby to zrobili. Ale myślę, że jest całkiem możliwe, iż zostaną zobowiązani do przedstawienia ich jako dowody obrony. George Munsel to właśnie ze mną przedyskutował.

- Czy widziałeś, lub może wiesz, co Hugh Loredon napisał policji?

- Nie widziałem. Wiem tylko, co powiedział mi w Amsterdamie, a co jestem gotów ujawnić tylko Annie-Marii.

- Chcę żeby to usłyszał, Max! - przerwała szybko rozmowę Anna-Maria. - On ma prawo. Wszystko, co teraz się dzieje, jego też dotyczy. Sprzedaję obrazy jego żony. Reprezentuję jego kolekcję. Oświadczenie mojego ojca dotyczy jego życia... a ty otrzymałeś papiery Madeleine.

- Rzeczywiście ja. - Mather na raz stał się wrogi. - Ja więc decyduję, komu powiem. Nie uznaję do tego praw Eda Bayarda, tylko twoje. Co mu potem powiesz, to twoja rzecz.

- To głupota i zawziętość.

- Nie, moja droga. - Bayard był znowu sobą, umiarkowany i układowy. - Max ma całkowicie rację. Popełniłem błąd, że tu przyszedłem. Zadzwoń do ciebie rano do galerii. - Odstawił swoją szklankę i ruszył w kierunku drzwi. - Muszę powiedzieć, Max, że zmieniłeś się od czasu jak ostatnio się widzieliśmy.

- To był bolesny proces. - Mather uśmiechnął się z odrobiną humoru. - Widocznie późno się uczyć.

Zaledwie zamknęły się drzwi za niepożądanym gościem, gdy opuściło go opanowanie i obrócił się do Anny-Marii.

- Co za diabeł cię podkusił, że przyprowadziłaś go bez porozumienia i bez mojej zgody? To mój dom, na miłość boską! Ty jesteś przyjaciółką, której chcę pomóc. Bayard to nic dobrego. Przyczepiłaś się do niego. Ja chcę być od niego z dala.

- On tylko chciał przeprosić...

- Do diabła z nim! On chciał wiedzieć, czego ja się dowiedziałem w Amsterdamie, co jest w papierach Madeleine i w jakich jest on tarapatkach. Nic więcej! On ustalił te reguły, nie chcąc kiwnąć palcem w sprawie znalezienia obrońcy dla Leonii Danziger. Wolał być z dala od tego. I na Boga, dopiął tego. No a teraz mogłabyś przygotować dla nas drinki, w czasie gdy ja zajmę się obiadem.

- Nie chcę obiadu, chcę porozmawiać z tobą.

- To będę jadł sam. Możemy porozmawiać w czasie, gdy będę gotował.

- Max, to zbyt poważne, żeby się kłócić.

- Masz rację. To śmierć i nieszczęście. Dlaczego więc wprowadziłaś Eda Bayarda do mojego mieszkania? Żeby pogorszyć sprawę?

- Przykro mi. Po prostu wydawało mi się to teraz naturalne. Max, proszę, nie krzycz już na mnie. Ty nie wiesz jak to było, ojciec umarł, ty byłeś daleko, jak to wszystko na mnie ciążyło. Dzisiaj na przykład. Wydawało się, że wszystko idzie świetnie. Zrobiłam mnóstwo roboty... materiały w sprawie twojego Tolentina wysłane, zaproszenia na otwarcie. Wydaje mi się, że nieźle sobie radziłam z prasą. I wtedy postanowiłam przejść przez cały lokal, z góry na dół. Wygląda dobrze, Max, naprawdę. Robotnicy wszystko zrobili dobrze i przyzwoicie. Twoje mieszkanie wygląda ślicznie. Ale opadł mnie strach, kiedy tam byłam. To tam wszystko się wydarzyło. Wydawało mi się, że otoczenie zmienia się w moich oczach. Tak jakby Madeleine tam była i trzymając mnie kurczowo usiłowała coś mi powiedzieć. Przeraziłam się, zbiegłam na dół i zatelefonowałam do Eda. Obiecał natychmiast przyjechać. Wysłałam do Negroniego i czekałam, dopóki nie przyjechał. Przeszliśmy potem razem przez cały lokal i wszystko znowu było normalne. Gdy więc zaproponował, przyprowadziłam go ze sobą, wydawało mi się to najnaturalniejsze pod słońcem. Jestem zmęczona, Max. Boję się wszystkiego. Mógłbyś mi sprzedać Most Brooklyński, gdybyś tylko mówił do mnie łagodnie.

- Wszystko w porządku. Przygotuj drinki, a potem usiądź na stołku i dotrzyмай mi towarzystwa... Będę mówił słodko i czule.

Co nie było tak łatwe, jak obiecał, skoro jej pierwsze pytanie było tak zasadnicze i brutalne.

- Jak umarł ojciec?

- Był umierający. Nie umiał sprostać perspektywie męki umierania, wybrał więc zabójstwo z litości w holenderskiej klinice. Zaproponowałem mu, że będę przy nim. Ale chciał być sam z lekarzem, który tego dokonał.

- Jak to zostało wykonane?

- Zastrzykiem.

- Potrafię zrozumieć, dlaczego tam mnie nie chciał. Co napisał policji?

- Nie wiem. Przypuszczam, że coś bardzo podobnego do historii, którą mi opowiedział.

- Ja muszę wiedzieć, Max.

- Ale musisz uzbroić się w cierpliwość. Najpierw muszę objaśnić ci tło, rodzaj życia, jakie pędziła Madi, własny świat, jaki sobie tam stworzyła.

Pracował w trakcie mówienia. Mechaniczne czynności przygotowywania - mycie, siekanie, mieszanie - rozpraszały nieco ponurość opowiadania. Pomimo, że nie chciał, nie mógł jednak uniknąć swojego nieubłaganego wniosku: Hugh Loredon oskarżył Leonie Danziger o morderstwo, które sam popełnił. Nie śmiał wyrazić tego słowami, ale miał uczucie, że Anna-Maria już to sama rozumiała.

Był to osobliwy widok: Mather w rzeźnickim fartuchu przy kuchennym stole, z tasakiem w ręku; Anna-Maria usadowiona na stołku, błada, nieporuszona, jak kamienna rzeźba.

W końcu powiedziała słabym, nieswoim głosem:

- Słyszę, co mówisz, Max, ale nie mogę... nie mogę tego przyjąć. Chcę, ale nie mogę. Mogłabym jeszcze jednego drinka?

- Oczywiście. I możesz nalać jednego dla mnie.

Zatrzymała się z butelką w ręku i ciągle pustą szklanką, pytając:

- Czy to wszystko... zastanawiam się, czy masz zamiar to wszystko powiedzieć w sądzie?

- Muszę.

- Jesteś więc prawdziwym oprawcą, czy nie tak? Jesteś tym, który trzyma topór, ponieważ nikt nie wie tyle, co ty.

- Czy spodziewasz się, że pozwolę, aby niewinna kobieta poszła do więzienia?

- Na tym problem polega, Max. Nikt nie jest niewinny. Każdy przyłożył rękę do śmierci Madeleine - Bayard, Hugh, sama Madi i wszyscy ci bezimienni kochankowie. Wszyscy, Max, oprócz ciebie i mnie. Ale teraz, ponieważ ja sprzedaję obrazy Madi, zamieszałam ten muł na nowo. A ponieważ mój ojciec jednym tchem powiedział ci prawdy i kłamstwa, ty jesteś człowiekiem z mocą życia i śmierci.

- Ale nie w stosunku do twojego ojca. On jest już poza zasięgiem.

- A co myślisz, stanie się z Edem Bayardem?

- Nie wiem. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Hugh nie wskazał palcem również jego. Był tak mocno przeciwny twojemu małżeństwu z Bayardem, że zrobiłby wszystko, aby temu zapobiec.

Anna-Maria naląła dwa drinki i podała jeden Matherowi. Ciągle zdawała się pogrążona w zagadkowej zadumie, niemal do siebie mówiła.

- Ed Bayard jest smutnym człowiekiem. Nie ma żadnej, lekkości, nie ma w nim śmiechu. Być z nim blisko, to tak, jak stać przed więzieniem i obserwować twarz - szlachetną, dobrą twarz - która wygląda przez kraty, a potem znika. A mój ojciec to ktoś, kto mi się całkowicie wymyka. Znałam go i kochałam jako buńczuczny, nieudolny, romantyczny faceta, który stał na trybunie i sprzedawał na uderzenie młotka przedmioty warte miliony. Kupował mi ekstrawaganckie prezenty i uczył mnie rozumieć, co to znaczy być kobietą, której się pochlebia i nadszkuje. Max, gdybyś był dziewczyną, to byś wiedział, że do tego właśnie potrzebni są ojcowie. Ale oto jest i druga jego strona - przerażająca, mroczna, mściwa, knująca - której nie znam zupełnie... Zupełnie nie wiem, jak ją umiejscowić w moim życiu.

- Nie próbuj - powiedział twardo Mather. Zajął się ponownie pracą nad jedzeniem, rozmyślnie przesadnymi gestami, oczyszczaniem cielęciny, pobijaniem jej tłuczkiem. - Musisz myśleć o swojej przyszłości, a ona jest związana z galerią. Ty i ja mamy zdobyć to miasto - prasę, krytyków, nabywców. Musimy obrócić to piekielne nieszczęście w triumf. Jutro idę na ogłoszenie aktu oskarżenia. Potem oddaję cały swój czas pracy z twoimi ludźmi od public relations i reklamy, oraz



przejmę wywiady z dziennikarzami. Mamy oboje zmarłych do pogrzebania. Złożmy ich w ziemi, zmówmy modlitwy i oddajmy ich Bogu.

- A co z żywymi, Max? Co z Edem Bayardem?

- On jest w tobie zakochany. Co czujesz, jaki on jest?

- Opiekuńczy, wdzięczny... niecierpliwy!

- Nie słyszę: pożądamy, namiętny, seksowny...

- Oczywiście nie!

- Prowadzisz więc wobec niego grę, prawda? Używasz go jak tratwy ratunkowej. On się z tym nie pogodzi na dłuższą metę. Tak go przedtem traktowała Madeleine. I pamiętaj, że ostatnim zleceniem twojego ojca dla mnie było zapewnienie, abyś nigdy nie wyszła za niego. Cóż więcej mogę powiedzieć? Jesteś już dużą dziewczynką.

- Mógłbyś powiedzieć, że mnie kochasz i że byłoby miło znowu być we Florencji, sączyć koktajle na tarasie, patrząc jak słońce zachodzi za dzwonicami.

- Mógłbym - cicho powiedział Mather. - Ale to nie byłaby prawda. Mam zamiar się ożenić.

- O Boże! - Anna-Maria zakrztusiła się drinkiem. - Trzeba zapisać to w księgach, Max Mather żeni się. Kim ona jest, Max? Musi być bogata. Ile ma lat... czy ja ją znam?

I wtedy nagle rozplakała się, nie panując nad sobą, a gdy próbował ją powstrzymać, zaczęła tłuc go pięściami po piersi, odepchnęła go i pobiegła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Mather był wstrząśnięty wybuchem jej uczuć. Na skutek szeregu dorywczych przygód, a nawet tak nieskrępowanego przywiązania jak to, jego poczucie własnej wartości na tyle się obniżyło, że akceptował, a nawet oczekiwał, że jest jak mebel w życiu Anny-Marii. Mogłaby go przesunąć, sprzedać, podarować i nie miałby do niej żalu. Przypominał sobie urywek z dawnego utworu Browninga „On a Toccata of Galuppi's”: „zastanawiam się, co z duszy pozostało, gdy pocałunków nadszedł kres”.

Po raz pierwszy Mather zaczynał naprawdę rozumieć, co działo się pomiędzy nim a Giselą. To nie było nagłe oczarowanie. Było to raczej powolne rozkwitanie czegoś w rodzaju miłości, co było dla niego czymś zupełnie nowym. Gisela wymagała od niego więcej, niż wszystkie inne kobiety. Pocałunki i namiętne pieszczoty były wspaniałe, ale nie wystarczały. Sięgała znacznie dalej i głębiej, aby poruszyć i utrzymać jego serce i jego wolę.

Jeśli chodzi o samego siebie, to Mather zdawał sobie sprawę z powstawania w nim nowych jakości. Stał się wojowniczy na jej temat. Był zazdrosny o zainteresowanie, które jej okazywali inni mężczyźni. Jej głęboka erudycja wyzywała go do dążenia do lepszych osiągnięć osobistych i - musiał to przyznać - wstydił się swoich zbyt lekkich wyobrażeń o życiu i miłości.

Lubił Annę-Marię. Przykro mu było widzieć ją zranioną lub zagrożoną. Ale wobec Giseli był kochankiem i to zakochanym, konkurentem pragnącym sprawdzenia się.

Gdy w godzinę później poprosił Annę-Marię na obiad, była już spokojna, włosy miała uczesane, a rozmazane łzy wytarte. Była gotowa do otrząśnięcia się po wybuchu.

- Potrzebowałam tego, Max. Rozumiesz mnie, prawda?

- Oczywiście.

- Nic mi nie mówiłeś o swojej przyszłej żonie.

- Z wystarczającego powodu: jeszcze ją o to nie poprosiłem!

- Kto to jest?

- Ona jest moim adwokatem w Zurychu, Gisela Mundt. Jest młoda, bystra, ładna. Wykłada również prawo na uniwersytecie. Obudziła moje serce i moje uśpione sumienie. Cóż więcej mówić?

- Myślę, że to wyjaśnia wszystko. Czy ona zna przygody twojej przeszłości?

- Nie recytowałem jej pełnego wykazu. Ale tak, zna.

- Gdzie myślisz osiedlić się?

- Na kontynencie, Zurych lub Florencja.

- Co oznacza, że możemy nadal współpracować?

- Oczywiście.

- Opowiedz mi o swoim syndykacie.

Opowiedział jej. Wtedy ona powiedziała mu o prośbie Bayarda o wystawę Cornelisa Janzoona. Mather był wściekły.

- Boże, jak ja nie lubię być traktowany jak szkapę ze szkoły jazdy konnej! Trucht, cwał, galop. Nie mam żadnego udziału w tym nonsense. Ale z drugiej strony, radziłbym ci zorganizować licytację Janzoonów. On jest w tradycyjnym rodzaju holenderskich mistrzów.

- Nie stać mnie na dalsze wydatki, Max. Jesteśmy teraz całkowicie uzależnieni od wystawy Bayard.

- Pomówmy więc o kampanii. Co wczoraj działo się z prasą?

- Przeważnie telefonowali chcący się dowiedzieć czegoś o historii sprzed dwunastu miesięcy. Kierowałam ich do Eda Bayarda, który ma bardzo dobry system obrony w swoim biurze. Na tyle co wiedzieliśmy, mówiłam im, że będzie konferencja prasowa gdy tylko przyjedziesz i że będzie specjalny pokaz dla prasy, na którym będziemy też odpowiadali na dalsze pytania. Będziesz musiał przejąć te obowiązki, Max.

- To nie będzie takie łatwe. Możesz być wypytywana o ojca i jego związki z Madeleine Bayard. Jak będziesz odpowiadała?

- Mój ojciec żył własnym życiem, ja żyję swoim.

- Świetnie. Niech nam pani powie, panno Loredon, gdzie w pani życiu mieści się Ed Bayard?

- Jest właścicielem posesji, gdzie mieści się moja galeria. Sprzedaję obrazy jego świętej pamięci żony i reprezentuję jego własną kolekcję.

- Żadnych specjalnych powiązań?

- Żadnych.

- Mówi, że ożeniłby się z panią w każdej chwili.

- Trzeba dwojga do takiej decyzji. Ed Bayard jest bardzo dobrym przyjacielem i mam nadzieję, że powie panu, iż ja jestem bardzo dobrym dealerem dzieł sztuki... Jak wypadam, potrzeba korepetycji?

- Świetnie. Tego się trzymaj.

- A jaki będzie twój udział w wywiadzie?

- Dostarczę informacji handlowych: znaczne zainteresowanie z zagranicy, oferta nowych artystów i oczywiście Niccolo Tolentino. Chciałbym, żebyś rozważyła zlecenie mu otwarcia wystawy.

- Wobec tych wszystkich manhattańskich piranii? Zjedzą go żywcem.
- Nie licz na to. To wyjątkowy człowiek, który spędził całe życie w towarzystwie wielkich mistrzów i na ich widok jest zdolny do łez. Nie sądzę, żeby piranie chociaż kłapnęły na niego.
- Pozwól, że się nad tym zastanowię. Ludzie oczekują całkiem zwyczajnej rutyny przy otwarciu.
- Wiem. Grog, kanapka i katalog w rękę, obejść wkoło z mądrą miną, rzucać zręczne komentarze, aby obecni patrzeli na niego, nie zaś na obrazy. Zróbmy coś troszkę innego. Czy ci się spodoba czy nie, będzie w każdym razie inne.
- Boję się ich zmrozić, Max.
- Nie dopuścimy do tego. Może będziemy mieli publiczność ze złych powodów, ale będziemy ją mieli. Jak wyglądasz finansowo? Obrzuciła go szybkim, badawczym spojrzeniem.
- Nie oczekiwałam od ciebie takiego pytania, Max. Dlaczego pytasz?
- Wytrzymaj jeszcze chwilę. Czy twój ojciec miał polisę ubezpieczeniową?
- Tak. Wartości około pół miliona.
- Która, jak przypuszczam, przypada tobie?
- Tak mi powiedziano. Dlaczego?
- Ponieważ, jeżeli rodzaj śmierci twojego ojca będzie publicznie znany, towarzystwo ubezpieczeniowe mogłoby - jedynie mogłoby - wszcząć dochodzenie o to, że było to samobójstwo, a wtedy twoje roszczenie pozostałoby otwarte.
- Czy istnieje powód dojścia tego do publicznej wiadomości?
- Ja jestem tym powodem. Jestem świadkiem obrony w procesie Danny Danziger. Muszę odpowiedzieć na każde zadane mi pytanie. To pytanie nie musi zostać postawione, ale jeśli będzie, odpowiedź cię zrukuje.
- Nie będzie to przecież koniec świata. Nieoczekiwanie okazało się, że jest jeszcze fundusz powierniczy w wysokości ćwierci miliona. Nie wiedziałam o jego istnieniu, dopiero przed kilku dniami dostałam list z biura adwokackiego Lutz & Hengst, które jest powiernikiem funduszu. Widocznie należy mi się z niego dochód. Kapitał może być podjęty jedynie za ich zgodą. Zawsze jest to bufor w razie potrzeby.

- Uważam, że powinnaś przewidzieć jakieś większe sumy na reklamę i public relations.

- Myślałam o tym. Jestem przygotowana na ten wydatek, jeżeli będziemy musieli.

- Kto ustanowił powiernictwo?

- Mój ojciec. Przed mniej więcej dwunastoma miesiącami, musiało to chyba być w czasie, gdy dowiedział się, co go czeka. Ty i ja byliśmy wtedy w Europie. Twoja Pia zachorowała chyba w tym samym czasie.

- Mniej więcej, tak.

- Czy czasem myślisz o niej teraz, Max?

- Czasem.

- Jak?

- Bardzo czule.

- Dobrze to słyszeć.

- To dziwne... Pewnego razu, w ostatnim złym okresie powiedziała: „Wiesz Max, nie mogłabym bardziej ci ciążyć, niż gdybym była twoją żoną!” Roześmialiśmy się na to, ale ona miała rację. To był okres, w którym byliśmy sobie najbliżsi, sądzę że nawet bardziej niż małżeństwo.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Max.

- Mogę zostać dziwniejszym.

- Na przykład?

- Jeśli szczęście dopisze, jutro Danny Danziger wyjdzie za kaucją. Mam zamiar przyprowadzić ją ze sobą na otwarcie galerii. Wpatrywała się w niego w kompletnym osłupieniu.

- Nie możesz!

- Mogę. I zrobię to!

- Max, na miłość boską! To jest moja galeria. To jest budynek Bayarda. Wystawiamy w nim obrazy jego zmarłej żony - i ty proponujesz wparować z kobietą oskarżoną o jej zamordowanie? Co ty ze mną wyprawiasz?

- Chcę zrobić z twojego pokazu sukces zamiast klapy. Mam zamiar rozdmuchać go w najbardziej skandaliczny sukces dekady. Będą kolejki aż do przecznicy, a środki przekazu od ściany do ściany. Pytanie tylko, czy wytrzymasz to nerwowo?

- Znasz mnie - mała sierotka Anusia. Zawsze stawiam czoło. Ale co z Edem Bayardem?

- To samo pytanie. Sam się powstrzyma, czy ty go powstrzymasz? Minęła dłuższa chwila zanim się odezwała. Nie była to odpowiedź, tylko jej ponure pytanie:

- Dlaczego tak jest, byliśmy tak dobrymi przyjaciółmi, a ty naraz mi grozisz?

Oskarżenie Leonii Danziger przeszło zupełnie bez echa. Prasa zostawiła to zwyczajnym reporterom sądowym, którzy na zasadzie, że aresztowanie zostało już opisane, zaś błyskotliwe wydarzenia będą później, nie poświęcili temu wiele uwagi. Na miejscach dla publiczności byli jedynie Harmon Seldes, Max Mather, prosta pulchna dziewczyna, która przedstawiła się jako Carol i pół tuzina porannych gapiów, którzy przyszli by się ogrzać.

Prokurator odczytał akt oskarżenia, George Munsel wniósł o uznanie swojej klientki za niewinną, zapowiedział bardzo energiczną obronę i poprosił o zwolnienie jej z aresztu za kaucją. Podkreślił, że ma ona nieposzlakowaną przeszłość, że jest korzystnie zatrudniona w znakomitym miesięczniku, że posiada własne mieszkanie na Manhattanie i że nigdy nie występowała o paszport. Prokurator nie wniósł sprzeciwu. Kaucję ustalono w wysokości pięciu tysięcy dolarów; Sprawa została odroczone na trzy miesiące, w celu dokonania przesłuchań.

Leonia Danziger sprawiała wrażenie oszołomionej. Uścisnęła Maxa Mathera, podziękowała Munselowi i Seldesowi, i zwróciła się z oddaniem do dziewczyny w dresie, jak rekonwalescentka do swojej pielęgniarki. Gdy wychodzili z budynku, Munsel wydawał serię poleceń prawniczych.

- Carol, tylko pani odbiera telefony. Danny nie jest, powtarzam: nie jest dostępna dla środków przekazu. Potrzebuję Maxa i Danny w moim biurze, dokładnie o dziesiątej jutro rano. Proszę przewidzieć co najmniej dwie godziny na dyskusję. Max, proszę przynieść dokumenty, o których wczoraj mówiliśmy i potrzebuję szczegółowego zapisu wszystkich pańskich rozmów w Amsterdamie. To wszystko.

Odszedł - postać wysoka jak tyczka, górująca nad lokalnymi pigmejami. Carol oznajmiła stanowczo:

- Zabieram teraz Danny do domu.

Gwizdnęła na przejeżdżającą taksówkę, wepchnęła Danny Danziger do środka i odjechały, nawet bez machnięcia ręką.

- Kwoka ze swoim nowym kurczędkiem - skomentował to Harmon Seldes. - Nasza Danny raczej zmiękała, co?

- Ona jest zszokowana, na miłość boską... a dwie noce w celi to nic zabawnego.

- Danny jest twardsza niż wygląda. - Seldes roześmiał się. - Jak i ty w takich sprawach. Nie doceniałem ciebie.

- Chciałeś rozmawiać w sprawie Rafaelów?

- Tak, rzeczywiście.

- Jak dużo powiedział ci Berchmans?

- Że wytropiłś dwie kopie w Brazylii i że jesteś teraz agentem Palombinich, upoważnionym do negocjowania odzyskania oryginałów. Nie znam oczywiście żadnych szczegółów.

- Ta umowa jest wynikiem przypadku. Palombini był w St. Moritz w tym samym czasie co ja. Wtedy mi to zaproponował. Nie okazałem entuzjazmu, mam wiele własnych spraw. Ale on naciskał, zaproponował korzystne warunki. Zgodziłem się... po prostu.

- Ale te kopie w Brazylii, kopie czego?

- Dwóch portretów. O rycinach, jak na razie, nic nie wiadomo.

Gdy opowiadał znajomą już historię, Mather starał się ją rozciągać bez końca szczegółami i anegdotami, aby odwrócić uwagę Seldesa od zasadniczego pytania: jak mógł uznać obrazy za kopie, bez porównania ich z oryginałami? Ale Harmon Seldes był za bystry na tak dziecinne podstępny. Nieuniknione jak śmierć, pytanie w końcu padło. Mather odpowiedział z rozważną ostrożnością:

- Kluczem był Niccolo Tolentino. Był wtedy oczywiście młodym człowiekiem. Luca zlecił mu skopiowanie dwóch portretów. Oryginały wraz z kopiami wręczył Luce. Uważa on, że kopie zostały zabrane do Brazylii. Wydaje się naturalne, że Luca chciał zatrzymać oryginały. Ale Tolentino ma niepodważalny sposób na identyfikację swoich prac - własny monogram, wkomponowany w sam obraz.

- A wiesz, jaki to monogram, Max?

- Tak, wiem.

- Jak możesz wiedzieć, jeżeli nie widziałeś ani kopii ani oryginału?

- O, człowieku małej wiary! - Mather zażartował z niego. - Toż to człowiek, który skopiował te cholerne obrazy. Tygodnie i miesiące pracy. Naszkicował mi je z pamięci, pokazał mi dokładnie, jak je rozpoznać i gdzie ich szukać.

- Możesz mi pokazać?

- Pokażę wam obu, tobie i Berchmansowi, gdy obrazy nadejdą z Brazylii... ale nie widzisz sedna, Harmon? Obaj jesteśmy specjalistami. Obaj zaangażowaliśmy się w publikowanie na ten temat i jak dotąd nasze teorie pięknie się sprawdzają.

- Bardzo bym nie chciał widzieć - Seldes był mniej niż zadowolony - jak my, dwaj specjaliści, sprawdzają swoje hipotezy, a Henri Berchmans zabiera nagrodę.

- Nie mogę mówić za Berchmansa, ale nie wydaje mi się, żebym stanowił jakąkolwiek groźbę dla ciebie. Otrzymam wynagrodzenie od Palombinich jedynie wówczas i jedynie wtedy, gdy te dzieła zostaną przez rodzinę odzyskane. Nie znam szczegółów twojej umowy z Berchmansem, ale wydaje mi się, że muszą dotyczyć spraw sprzedaży, czy aukcji. W takim przypadku nie widzę żadnego konfliktu interesów pomiędzy tobą i mną.

- Tylko to, Max: sztuki piękne, sztuka renesansowa, to moja specjalność. To całe moje życie. To moje nazwisko użyczyło autorytetu twojemu artykułowi w Belvedere. W każdym razie to ja otworzyłem jego stronicę przed tobą. Ja ciebie przedstawiłem Berchmansowi. Ja przyjąłem twoją pracę o Madeleine Bayard i nic z tego nie mam.

- Nie kłóćmy się o te sprawy. - Mather mówił najłagodniej jak umiał. - Postaw sprawę jasno. Czy domagasz się ode mnie procentu od sumy, którą wypłacą mi, jeżeli w ogóle, Palombini? Czy żądasz jakiegoś wynagrodzenia, premii, lub czegoś jeszcze w związku z Madeleine Bayard? To nie ode mnie zależy, jak widzisz. Ale jesteś wyraźnie zmartwiony. Co mógłbym zrobić, aby cię zadowolić?

- Jedno słowo, Max, jak na człowieka o skromnych osiągnięciach, za dużo sobie pozwalasz. Jesteś nowicjuszem!

- Przykro mi, jeśli to tak wygląda.

- A tak, wierz mi. Całe moje życie handlowałem z Berchmansem. Wydałem z nim miliony w galeriach. A teraz on rozmawia z tobą, a nie ze mną. Narobiłeś szumu na temat kopisty z Galerii



Pittich. Boże, widziałem, kupowałem, sprzedawałem dzieła największych mistrzów naszych czasów... Myślałem, że to tylko grzeczność umieścić nazwisko Palombinich koło mojego.

- Ochłoń, Harmon. Zamknij się i odpręż zanim powiesz za dużo. Jesteś wielkim erudytą w sprawach renesansu. Przyznaję. Nie ma kwestii. Jestem znacznie skromniejszym facetem, ale nie najgorszym paleografem. A to, w czym jestem najlepszy, to metoda... bez niej nie można wykonywać mojego zawodu. Wspominanie przeze mnie twojego nazwiska, Berchmansa, czy twoich szwajcarskich kolegów, z którymi się blisko zaprzyjaźniłem, nie miało zupełnie żadnego sensu. Co każdy z was przedstawia dla Palombiniego na tym etapie? Nic, poza bardzo kosztownymi nazwiskami - przyszłymi odbiorcami prowizji! On jest kupcem, na miłość boską! On żyje i oddycha zyskami i stratami. Ja, w jego rozumieniu - jestem dawnym domownikiem rodziny, dawną legendą rodzinną. On wie, do czego się nadaję, co robię, jak postępuję. Krótko, on mi ufa. On również będzie mi ufał gdy, lub czy - wiedząc, gdzie są Rafaele, jak mogą zostać zdobyte i sprzedane na rynku - powiem mu, że czas wezwać ekspertów, takich jak ty i Berchmans, i może Hiirlman w Zurychu. Ale to jeszcze nie teraz, Harmon. Jeszcze mu nawet nie opowiedziałem o Eberhardtzie i Dandolo, czy o obrazach w Brazylii. Jest jeszcze jeden ważny powód, ale nie mogę go teraz ujawnić. To wszystko, Harmon, ale powtórzę jeszcze, że znam Palombiniego, a on zna mnie i że uważam, iż to jest najlepszy sposób postępowania z nim. Jeśli to jest powodem uważania mnie za nowicjusza, to bardzo mi przykro.

- Przepraszam, wyraziłem się w sposób zbyt impulsywny. Ale z pewnością rozumiesz mój niepokój?

- Oczywiście. Zapomnijmy więc o sprzeczce i pomówmy o poszukiwaniach Rafaelów.

- Tym razem - powiedział Seldes - ja to będę robił. Pozwoli mi to poprowadzić sprawę w sposób, który ty, jako reprezentant rodziny, możesz nie chcieć robić.

- Ty dajesz zlecenia jako wydawca. Czy chciałbyś zobaczyć moje notatki na inny temat: „Sztuka i przestępczość”?

- Oczywiście. Daj mi znać gdy będziesz miał je gotowe - to pomówimy. Muszę wracać do biura. Weźmiemy razem taksówkę?

- Nie, dziękuję. Przejdę się trochę. Zadałeś mi dużo do myślenia.

Najgroźniejszą wydała mu się myśl, że Harmon Seldes ze swoją obrażoną erudycją, zadraśniętą próżnością i widoczną zachłannością, może bardzo skomplikować życie Maxa Mathera. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby przewidzieć, że kiedy Seldes zacznie się wtrącać do delikatnego mechanizmu negocjacji i informacji, który uruchomił, cała maszyna może się rozpaść.

Max martwił się tą myślą przez pół godziny, po czym wypił dwie kawy, zjadł jednego, niedosmażonego pączka i skierował się do dzielnicy willowej do swojego mieszkania, aby zatelefonować do Giseli Mundt i Aloisa Lieperta.



## ROZDZIAŁ 15

- Masz już wszystko, Alois?

- Każde słowo. - Liepert wydawał się znużony. Rozmowa trwała już dwadzieścia minut. -  
Proszę, przeczytaj mi to jeszcze raz.

- Punkt pierwszy: dla zabezpieczenia się przed ewentualną próbą zagarnięcia lub zajęcia dzieł sztuki, portrety i ryciny należy umieścić w trzech oddzielnych depozytach.

- Punkt drugi: ryciny idą do ekspertyzy do Giseviusa w Bazylei, a potem pod czasową opiekę i konserwację w muzeum na nasz koszt. My będziemy odpowiadać za ubezpieczenie, na co zresztą w obecnej chwili nas nie stać.

- Punkt trzeci: jeżeli Gisevius zgodzi się na przechowanie, to drugi z portretów weźmiesz do swojego sejfów. Zgadzamy się jeden oddać na przechowanie.

- Punkt czwarty: zatelefonuję do Claudia Palombiniego i powiem mu, że wydaje nam się, iż jesteśmy na tropie obrazów. Prosimy go, aby był gotów przybyć na konferencję w Stanach Zjednoczonych, Londynie czy gdzie indziej w Europie.

- Punkt piąty: poinformuję Palombiniego, że ty zapewnisz ekspertyzę autentyczności dzieł i prowadzisz negocjacje z obecnymi posiadaczami. Ty będziesz prowadził wstępne rozmowy z Berchmansem w Nowym Jorku, z Hurlmanem w Zurychu, z Christie's w Londynie i z innymi, których uznasz za przydatnych do wprowadzenia dzieł na rynek, o ile zostaną odzyskane. Ty wprowadzisz w odpowiednim momencie

Palombiniego do tych rozmów, ale tylko wtedy, gdy zostanie osiągnięta zadowalająca pozycja negocjacyjna.

- Punkt szósty: będę ci dawał pilnie znać o postępie lub problemach. Podejmuję pieniądze na wydatki i opłaty.

- To ostatnie, to wstawka, Alois.

- Ale widzę, że chcesz mnie pożreć, drogi Max.

- Chcę, ale bez przesady.

- Może powiesz mi teraz, dlaczego tak sobie i nam komplikujesz życie.

- Bo na wypadek jakiegoś zagrożenia - niedotrzymania umowy, zaniedbania kontraktu - będziemy zabezpieczeni. Negocjujemy każdy obiekt osobno.

- Czemu zaniepokoiłeś się tak nagle?

- Pewnie dlatego, że jestem z powrotem w Nowym Jorku. To jest bardzo pieniackie miasto. Od razu nasiąka się tą atmosferą.

Była to przyczyna połowiczna, a gdy odłożył słuchawkę, ujawniła się i jej druga, nie nazbyt miła część. Ogarniała go teraz chciwość. Był odpychający i drażliwy jak głodny pies w strachu, że ktoś może mu porwać miskę z jedzeniem. Aby powrócić znów do człowieczeństwa, potrzeba mu było kilku minut miłosnej pogwarki z Giselą, jej przyptywów emocji, jej zwierzeń, pół na pół ze śmiechem i płaczem.

- Nie mogłam w to uwierzyć, Max. Chwila, w której odjechałeś, stała się wielką, czarną dziurą w moim życiu.

- W moim to nie jest dziura. To po prostu cały ten pokój, ze mną w środku i z lustrem, w które nie lubię patrzeć i z mnóstwem ludzi, których nie chciałbym widzieć, ale którzy się tłumnie gromadzą. Chciałbym, żebyś była tu ze mną.

- Nie mogę. To ty musisz przyjechać do mnie. Opowiedz mi, co się dzieje.

Opowiedział jej, ale opowiadaniu brakowało autentyczności, ponieważ nagle uświadomił sobie niezabezpieczenie linii telefonicznych przed przypadkowym przejęciem przez kogoś jego cennych sekretów.

Gisela zdawała się to rozumieć i ostrzegła go:

- Max, boję się o ciebie. Mówiliśmy o tym przedtem. Jesteś bardzo niecierpliwy. Wydaje ci się, że każdy ruch z czyjejs strony wymaga od ciebie odpowiedzi. Bardzo niebezpiecznie się w ten sposób odślaniasz. Siedź spokojnie, powstrzymuj się, czekaj...

- Będę próbował.

- Myślę, że dobrze robisz, rozdzielając dzieła i oddając je różnym opiekunom. W razie potrzeby ja sama mogę zająć się jedną z partii, a gdybyś potrzebował kuriera?

- Będziesz pierwsza na mojej liście. Kocham cię, Gisela *mia*.

- Kocham cię, Max. Zadzwoń wkrótce znowu.

- Obiecuję.

Reszta dnia, który go czekał, pozbawiona była osłody, za to pracowita, pełna pilnych zadań. Telefonując do Munsela, zastał go wychodzącego właśnie na lunch. Opowiedział mu swoją wieczorną rozmowę z Anną-Marią Loredon. Potem rzucił pomysł:

- Po pierwsze, czy może pan sprawdzić, czy jakiegokolwiek amerykańskie towarzystwo ubezpieczeniowe lub reasekuracyjne odmówiło, lub wstrzymało wypłatę z powodu eutanazyjnego zgonu w Holandii? Po drugie, Anna-Maria poinformowała mnie o istnieniu powiernictwa, ustanowionego przez jej ojca około dwanaście miesięcy temu, a zarządzanego przez firmę Lutz & Hengst. Przyszło mi do głowy, że pan mógłby ustalić drogą prawniczych kontaktów, jakie mogą być konsekwencje moich zeznań na temat eutanazji, a także - kto ustanowił powiernictwo i skąd pochodzą jego fundusze. Znając styl życia Hugh'a Loredona wątpię, żeby kiedykolwiek w swoim życiu miał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Ma pan niecodzienne pomysły, panie Mather. - Munsel wydawał się ubawiony. - Ale sprawdzę to. Bardzo dobrze, że pan zadzwonił. Po naszej dyskusji, jutro rano, mamy spotkanie z dwoma oficerami śledczymi w tej sprawie. Mam tu ich nazwiska - Hartog i Bechstein. Powinno się to skończyć koło pierwszej. Myślę, że potem zechce mnie pan zaprosić na lunch.

- Z przyjemnością.

- Dobrze. Mam również z biura prokuratora okręgowego wyciąg z zeznań w sprawie Danziger. W świetle tego, co otrzymałem, zapis pańskich rozmów w Amsterdamie i pańska interpretacja diariusza stają się niezwykle ważne.

- Przygotuję notatki do rozmów. Diariusz będzie jednak wymagał dużo żmudnej pracy.

- Będzie pan miał dość czasu. Rozprawa będzie za trzy miesiące. Do zobaczenia o dziesiątej, panie Mather.

Potem już był czas na przechadzkę do Gina, na plotki przy barze i jednodaniowy lunch, a następnie do Bloomingdala, aby kupić sobie coś do ubrania, bo do letnich upałów było jeszcze trzy miesiące. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów był bez kobiety i wstydził się zapolować na jakąś. Przypomnił sobie pewien długi wieczór, kiedy siedział o zmroku z ojcem na werandzie, a młody, ale już starczo wyschnięty człowiek mówił mu:

- Przychodzisz synu sam i wychodzisz sam. Przez całe swoje życie starasz się uniknąć samotności. Nigdy ci się to nie uda, dopóki jej nie zaakceptujesz. Pewnego dnia usiądziesz w

spokojnym miejscu i zaczniesz sobie pogwizdywać lub mrużyć jakąś melodię, albo recytować dziecinne wierszyki dla nabrania otuchy. I wtedy, wyobraź sobie, nie będziesz już nigdy sam ze sobą. Są tak samo samotni ludzie, którzy usłyszą twoją melodię, przyłączą się, podejmą rytm. Gdy odejdiesz... podążą za tobą. Nie ma na to rady, ponieważ ich głowy są zajęte, tak jak i twoja, własnymi sprawami. Ale nie będziesz już nigdy sam. Będziesz mógł czuć się samotnie, ale nie będziesz sam. Czy to ma sens?

Wtedy to mogło nie mieć sensu... ale teraz? Dobrze byłoby zafundować mu drinka i talerz makaronu u Gina.

Już z mieszkania zadzwonił do galerii Berchmans et Cie. Dziesięć minut zajęło mu ustalenie, że tak, pan Berchmans przyjechał, że tak, pan Berchmans oczekuje pańskiego telefonu i że tak, tak, tak, pan Berchmans zostanie z pewnością zawiadomiony, gdy tylko powróci z lunchu. Oczekując na telefon, Mather wyjął notatnik i zaczął rekonstruować, słowo po słowie, swój dialog z nieboszczykiem Hughem Loredonem w Amsterdamie.

Berchmans zadzwonił o czwartej po południu. Będzie w galerii do szóstej. Gdyby pan Mather zechciał wpaść, będzie mu miło przyjąć go i pokazać mu piękne rzeczy... co musiało znaczyć, że nadeszły obrazy od Camoensa z Rio i że Berchmansowi bardzo się podobały. Mather zakończył ostatnią stronę swojego amsterdamskiego dialogu, wystroił się w szare spodnie, błękitny blezer i klubowy krawat, po czym ruszył wzdłuż Madison, oglądając wystawy, aby się uspokoić i stłumić swoje rozdygotane nerwy.

Miało to być kluczowe spotkanie, starcie z wielkim rekinem, w czasie którego wypróbowane będą do końca wszystkie jego siły, a wszystkie słabości zostaną bezlitośnie wykorzystane. Przechodził koło małego sklepu z kosztownymi artykułami optycznymi. Pod wpływem impulsu wszedł i kupił lupę. O przecnicę dalej skręcił do sklepu z drobiazgami i kupił miniaturowy scyzoryk, który zawiesił na breloczku z kluczami. Potem, w porwywie sentymentu, wstąpił do kwiaciarni i zamówił kosztowną wiązanekę dla Giseli w Zurychu i niewielką roślinę doniczkową na przywitanie w domu, dla Leonii Danziger. Jako ostatni gest wyzwania kupił sobie czerwoną różę do butonierki. Wtedy, z udaną beztróską, wszedł na stopnie galerii Berchmansa, pałacu z szarego kamienia na Siedemdziesiątej Trzeciej, pomiędzy Madison i Piątą.

Odźwierny w liberii wprowadził go z powagą. Ładna dziewczyna powitała go z uśmiechem i zawiozła małą, ozdobną windą na pierwsze piętro, gdzie przyjął go Berchmans w długiej galerii, z której usunięto wszystkie obrazy, gdzie stały dwie sztalugi, każda zasłonięta aksamitną zasłoną.

- A więc, mój drogi przyjacielu, jest pan jak zwykle punktualny. Dziś rano nasze damy przybyły z Brazylii, a po południu sam pan się stawia. Przyjrzyjmy się razem tym pięknościom. Potem porozmawiamy.

Odsłonił obrazy i skierował Mathera w miejsce, z którego można je było najlepiej obserwować. Mather patrzył na nie długo, podczas gdy Berchmans obserwował Mathera.

- Czy może je pan nazwać?

- Ta na lewo to donna Delfina, na prawo jej córka, panna Beata. Przepraszam na chwilę.

Zbadał portret donny Delfiny przy pomocy lupy. W prawym górnym rogu znajdowała się grupa domów, nad którymi górowała kwadratowa wieża z blankami i romańsko sklepieniami oknami w ścianach. W najwyższym oknie był malutki, ale wyraźny monogram Tolentina:

TN

Mather zwrócił się do portretu dziewczyny i w cieniu najniższej fałdy jej sukni znalazł ten sam znak.

- Czego pan szuka? - Berchmans był zaintrygowany.

- Jeszcze nie skończyłem. Niech pan go potrzyma z łaski swojej.

Wtedy, tak jak to robił Tolentino w Zurychu, poskrobał maleńką powierzchnię z tyłu każdego obrazu, wystarczającą do rozróżnienia słoików i struktury drewna. Były to gesty czysto teatralne. Sam nie potrafił odróżnić jesionu od brzozy, ani dębu od dziury w zagruntowaniu, ale monogramy powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Gdy umieścił obrazy z powrotem na sztalugach, Berchmans niechętnie powiedział:

- To było interesujące przedstawienie, panie Mather. Niech pan teraz powie, co oznaczało.

Mather wręczył mu lupę i pokazał na obrazach miejsca, które powinien obejrzeć.

- Czego mam szukać?

- Niech pan mi najpierw powie, co pan widzi. Zogniskowanie lupy i obejrzenie obrazów zajęło Berchmansowi sporo czasu. Powtórzył to jeszcze raz. Potem zapytał:

- Pan skrobał deskę, żeby sprawdzić rodzaj drewna, które zostało użyte?

- Tak.

- Od jednego rzutu oka powiedziałbym panu, że to dąb.

- Niech pan teraz powie, co pan zobaczył na obrazach.

- Wygląda jak coś w rodzaju szyfru.

- To monogram. - Mather wyjął kartkę i naszkicował go. - Taki?

- Taki właśnie. Co on oznacza?

- To monogram człowieka, który je skopiował z oryginałów, które, nawiasem mówiąc, były namalowane na cedrze, nie na dębie. Nazywa się Niccolo Tolentino.

- Może to pan udowodnić?

- Sam będzie pan mógł to zrobić, panie Berchmans. Ściągam Tolentina do Nowego Jorku w połowie kwietnia.

- A tymczasem, panie Mather, myślę że powinniśmy poważnie pomówić o interesach.

- Myślę dokładnie tak samo.

- Chodźmy zatem do mojego biura.

Już miał zarzucić aksamitne zasłony na obrazy, gdy wstrzymał się i rzucił:

- Ten Tolentino sam jest dobrym malarzem. Powinien pan się z nim dobrze obchodzić w Nowym Jorku.

- On wzbudza szacunek - Mather powiedział cicho. - Zmusił mnie do sprawdzenia własnego sumienia.

- Nie jest to przyjemne zadanie - skomentował oschle Berchmans. - Pomówmy o interesach.

Po raz pierwszy w zmiennych kolejach ich znajomości Berchmans rozchmurzył się na tyle, aby mówić do niego po imieniu i zaprosił go do swojego prywatnego biura, gdzie udzielał gościny i porad bogatym klientom. Był to mały pokoik, wyłożony jasnym jesionem, na którego ścianach wisiały



Gauguin, Manet i dwa Cezanne'y: martwa natura ze śliwek i gruszek i wersja skał w Estaque, której Mather nigdy przedtem nie widział. Na propozycję whisky Mather wybrał wodę mineralną.

Berchmans zapytał,

- A więc Max, co z naszym skandalem?

- Danny Danziger wyszła za kaucją. Munsel wydaje się dobrym obrońcą. Nie ma sposobu, aby zapobiec cytowania diariusza Madi jako dowodu. To, co mogę zrobić, to dać kserokopie fragmentów, odnoszących się do ciebie. Będziesz więc przynajmniej przygotowany.

- Jestem bardzo wdzięczny.

- A mógłbyś coś zrobić dla mnie?

- Oczywiście, jeśli będę mógł. W czym problem?

- Harmon Seldes. Powiedziałeś mi, że on jest zazdrosny. On myśli - i powiedział tak - że ja jestem nowicjuszem, kłusującym na jego gruntach i przejmującym jego stosunki z tobą, które, jak rozumiem, mają jakieś finansowe podstawy.

- Mają.

- On myśli, że ja im zagrażam. A to nieprawda. Proponuje również napisać kolejny artykuł o Rafaelach. Jest do tego całkowicie uprawniony. Może jednak zrobić z siebie - i z ciebie - durnia.

- A czego oczekujesz ode mnie w tej sprawie?

- Powiedz to, co ja tobie powiedziałem... czy tyle, ile uważasz za roztropne.

- Rozumiem, że masz dla mnie propozycję, Max?

- Nie, Henri. Dam ci pewną informację, a ty dasz mi pewną radę. Z tej wymiany może wyniknąć korzystna sytuacja.

- Korzystna dla ciebie, czy dla mnie?

- Dla ciebie. Mój kontrakt wiąże mnie z Palombinimi. Oni mi płacą. Nie mogę przyjąć żadnych korzyści od kogokolwiek innego.

- Krótko mówiąc - w tonie Berchmansa zabrzmiało trochę drwiny - sprawa najczystszej moralności.

- Niezupełnie. - Mather roześmiał się. - Sprawa pewnych słabych punktów, z powodu których potrzebne jest ściśle legalne postępowanie.

- Zaciekawiasz mnie - powiedział Berchmans. - Proszę, mów dalej.

- Po pierwsze, jestem agentem rodziny, ustanowionym kontraktem do odnalezienia Rafaelów i negocjowania ich sprzedaży. Jednakże ja nie mogę zawrzeć końcowego kontraktu. Oni muszą to zrobić. Zostaną wprowadzeni, gdy zasady już będą przedyskutowane. Czy mówię jasno?

- Wspaniale - odpowiedział Berchmans. - Nie jest tylko dla mnie całkiem jasne, dlaczego stara kupiecka rodzina wynajmuje ciebie jako agenta, zamiast zająć się tym sama?

- Z szeregu powodów. Obecna generacja Palombinich nie zdawała sobie sprawy z istnienia Rafaelów, dopóki ja nie odkryłem zapisu w archiwum. Nie zdawali sobie również sprawy - i woleli, aby tak pozostało z powodów politycznych - z licznych transakcji, dokonanych przez ich patriarchę z czasów wojny, Lukę l'ingannatore. Luca przeżył dzięki różnego rodzaju podstępom, nie wszystkie z których pachną dzisiaj zbyt dobrze. Układ z Niemcem Eberhardtem jest w tym przypadku kluczowy. Nikt więc nie ma ochoty odkopywać rodzinnych szkieletów. Wolą pozostawić je w spokoju w grobach. Ja jednak jestem jednym z tych rodzinnych szkieletów, byłem kochankiem ostatniej matrony, Pii. Ze mną rodzina nie musi bać się szantażu. Ja zorganizowałem gest dobrze widziany przez włoskie władze: darowiznę archiwum Palombinich dla Biblioteki Narodowej we Florencji. Również - co jest dla nich ważne - nie będą podnoszone przez Belle Arti żadne sprawy, odnośnie do nielegalnego wywozu narodowych skarbów. Jestem więc użytecznym emisariuszem - oczyszczam drogi zanim przejdzie procesja!

- Rozumiem. - Berchmans przytaknął ciężko. - To ma dosyć pokrętny sens. Ale dlaczego, nawet zanim się dowiedzieli, gdzie te cholerne obrazy są, już mówią o sprzedaży?

- Z najprostszej przyczyny - Mather powiedział z ponurym grymasem - ponieśli straty w trakcie październikowego załamania rynku. Teraz mają dwadzieścia milionów dolarów na minusie, a termin upływa w czerwcu. Kiedy napisałem do nich o moim odkryciu w archiwum, nie wykazali większego zainteresowania. Później, gdy spotkaliśmy się przypadkowo w Szwajcarii, zmienili zdanie. Teraz mają nadzieję, że Rafaele staną się dla nich tratwą ratunkową.

- O ile zostaną na czas odnalezione. Ale jeżeli rodzina jest bez grosza, skąd wezmą pieniądze na ich odkupienie? A potem na odsprzedanie z zyskiem? Ktokolwiek je posiada, musi zdawać sobie sprawę z ich wartości i musiał sobie utworzyć jakiś tytuł własności.

- Ja przypuszczam - Mather nie próbował odpiąć tego argumentu. - Ja przypuszczam, że ten tytuł nie istnieje, jest słaby, lub co najwyżej dyskusyjny. Sam wiesz, że ostatnio w szeregu spraw sądy amerykańskie nakazały zwrot dzieł sztuki, przywłaszczonych w czasie okupacji hitlerowskiej. W każdym razie jest to najlepsza hipoteza, do jakiej doszedłem.

- Jest to więc wszystko, do czego, jak dotąd, doszedłeś, tak?

- Nie całkiem - powiedział Mather z uśmiechem. - Wiem, gdzie jest jeden z obrazów, donna Delfina. Co więcej, jestem pewien, że jestem w stanie go nabyć, lub - dokładniej - zapewnić jego zwrot rodzinie.

- Która natychmiast zaoferuje go na sprzedaż.

- Tak właśnie.

- Jak dowiodą jego autentyczności?

- Dałem już go sprawdzić Tolentinowi. To ten, z którego zrobił kopię, którą masz na dole.

- Czego więc chcesz ode mnie?

- Takiej samej porady, o jaką proszę dealerów i licytatorów z niewielkiej listy: najlepszej propozycji wystawienia Rafaelów na rynek. Gdy przedstawię swoje rekomendacje co do tych propozycji, Claudio Palombini zadecyduje, kto otrzyma kontrakt na sprzedaż.

- A kim będą moi współzawodnicy w tej raczej osobliwej loterii?

- Drugi dealer, Landsberg z Zurychu.

- Znam go, odpowiedni człowiek do tego okresu.

- Dwaj licytatorzy: Christie's w Londynie i Hurlman w Zurychu. W Nowym Jorku ty.

- Dlaczego wybrałeś, Max, tych dwóch szwajcarskich kandydatów?

- Ponieważ według moich informacji mają dobrą klientelę i są niezmiernie dyskretni w swoich transakcjach. Jedynym cieniem, wiszącym nad tą sprawą jest Sovrintendenza delle Belle Arti we Włoszech. Nie chciałbym, aby oni zażądali powrotu dzieł do Włoch jako skarbów narodowych. Przecież Palombini tam mieszkają. Najgorszy dla nich byłby przewlekły spór prawny z rządem. Jestem więc przygotowany, a tym bardziej Palombini, w nieco mętny sposób przedstawić pochodzenie obrazów.

- Co nie przyczyni się do uzyskania dobrej ceny na aukcji.

- Ale co nie musiałyby stanowić przeszkody przy sprzedaży prywatnej - rodzaju sprzedaży, w których ty i Landsberg jesteście mistrzami. Moje więc pytanie, Henri. Czy byłbyś zainteresowany prywatną sprzedażą dla nas?

- Tak.

- Na jaki procent?

- Muszę to rozważyć.

- Pamiętając oczywiście, że jeśli damy na licytację, zapłacimy dwadzieścia procent.

- Ale pamiętając także, że licytator sprzedaje mnie lub ludziom mnie podobnym, działającym dla wielkich instytucji, takich jak Getty czy Metropolitan - i że czasami w stosunku do dzieł wyjątkowych stosuje się umowy, aby ceny utrzymać w granicach rozsądku.

- Innymi słowy, klika.

- Max, mój drogi, to oszczerstwo!

- Oczywiście. Z mojego punktu widzenia prowizja sprzedawcy musi być konkurencyjna i musi być minimalna cena dla zabezpieczenia interesów mojego klienta.

- Dla obiektów tej wartości i rzadkości byłby wskazany syndykat dealerów. Każdy wielki dealer ma swój wyłączny krąg klientów. Syndykat oznacza, że masz dostęp do szerszego rynku, bez rozgłosu aukcji. Ale tak można prorokować, jeśli spełnione są trzy warunki. Po pierwsze: że możesz zaoferować jasny tytuł własności obrazu. Po drugie: że autentyczność może zostać dowiedziona. Po trzecie: że ktokolwiek kupi pierwszy obraz i da zadowalającą cenę, będzie pierwszym na liście w stosunku do pozostałych, gdy się pokażą.

- Doradzę Palombiniemu, aby przyjął te warunki, o ile wysokość pierwszej prowizji będzie sensowna.

- Nie wiem - powiedział Berchmans - czy wiesz, za co płaci się prowizję?

- Myślę - Mather powiedział ze szczególnym szacunkiem - że mogę zacytować Whistlera: „doświadczenie całego życia, zaufanie całego życia”. Wierz mi, ja to doceniam. Chciałbym kiedyś osiągnąć choć ułamek tego doświadczenia i zaufania, ale aby dojść do tego, muszę tak działać jak

teraz działam, aby bronić interesów moich klientów. Ja jestem bardzo małe piwko, Henri. Zmarnowałem swawolnie wiele lat. Ale teraz nie bawię się... Robię co mogę, aby uczyć się od mistrza.

- Powiedziałbym, że szybko się uczysz. - Nie było wiadomo, czy to była drwina czy komplement Mather słuchał dalej. - Ale ja nie przyjmuję uczniów ani terminatorów. Mam dwóch synów, którzy odziedziczą interes, obcych używam więc tylko do moich własnych celów. A ci, dla których ja jestem użyteczny, muszą być warci mojego zaufania.

- A zatem rozumiemy się nawzajem. Masz dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź w sprawie wysokości prowizji. Inaczej zakładam, że nie jesteś zainteresowany. Jest jeszcze inny warunek: właściwy układ notarialny, zabezpieczający przekazanie pieniędzy i przedmiotów.

- Zazwyczaj wystarcza nazwisko Berchmansa.

- Podpis na obrazie Rafaela w twojej galerii jest doskonały... ale nie autentyczny.

- A skąd wiesz, że jest doskonały?

- Widziałem oryginał. Trzymałem go w rękach. W trakcie przekazywania będzie leżał w moim sejfie. Widzisz więc, dlaczego tak stawiam sprawę.

- Widzę również - powiedział powoli Henri Berchmans - że jesteś znacznie dalej na swojej drodze, niż przypuszczałem. Wobec tego moja prowizja wyniesie dwadzieścia procent.

- Czy będziesz gotów do operacji z syndykatem?

- Niechętnie, ale może zupełnie nie być potrzebna. Dwie kopie na dole znakomicie nadadzą się jako pomoc do sprzedaży. Może się zdarzyć, że już wkrótce zwrócę się do ciebie z ofertą.

- W takim razie mam dla ciebie propozycję - coś nadającego transakcji trochę stylu, trochę staroświeckiej ostentacji.

- Co za głupstwa masz na myśli, Max?

Zabrało mu to trochę czasu, ale Henri Berchmans słuchał każdego słowa, a na koniec Matherowi wydawało się, że zobaczył błysk w jego ciemnych, przebiegłych oczach. Jednakże mógł to być równie dobrze błysk światła, odbijającego się od granitu.

Gdy wyszedł od Berchmansa, poczuł zmęczenie jak uderzenie młota. Jego polem bitwy był teraz Manhattan. Każda godzina oznaczała nowy najazd i nową utarczkę. Nie było już żadnej kobiety, do której mógłby się zwrócić po siłę lub pociechę. Szybko zjadł coś bez smaku w barze, wrócił do domu, wymoczył się w wannie, włożył pidżamę i szlafrok, i zasiadł do jeszcze jednej analizy diariusza Madeleine Bayard. Tym razem postanowił przeanalizować jej relacje z wszystkimi, z kim miała do czynienia w życiu i porównać jej wersje z własnym doświadczeniem. Ed Bayard był pierwszy na liście, nie tylko jako jej mąż, lecz także dlatego, że codzienny zapis łączył się z ich ostatnim spotkaniem. Nie wszystkie były wrogimi starciami czy nawet utarczkami. Zdarzały się chwile pogodne, rzadziej czułe. Osobliwe było to, że zapisy po starciach były ożywione, nawet radosne, a po łagodnych momentach były pełne złości i frustracji:

„Ostatni wieczór był tak zwykły, tak miło mieszczański, że prawie komiczny. Ed pracował nad sprawą sądową, a ja szkicowałam, słuchając Claudia Abado, grającego koncert fortepianowy Mozarta. Mówiłam sobie cały czas, żeby nic się nie stało i tego nie zepsuło. I nic takiego się nie wydarzyło. Poszliśmy do łóżka, kochaliśmy się, zasnęliśmy. Ale dziś rano nie mogłam się doczekać wyjścia z domu! Gnębi mnie nuda, ciąży mi jak ołowiana peleryna, dusi mnie. Obejrzałam szkice, które zrobiłam wczoraj wieczór. Nudne, banalne i akademickie. Tylko wtedy, gdy jestem w tej pustej przestrzeni, nabieram ognia. Ostatniego wieczoru patrzyłam na Eda z miłością i czułością. Dziś rano, przy śniadaniu z trudem byłam dla niego uprzejma. Pragnęłam, aby zrobił coś, co by mnie rozwścieczyło, ale nie, on odłupywał kawałek po kawałku jak rzeźbiarz, usiłujący wyciosać anioła z tego niemożliwego kawału skały. Udało mu się za to wywołać diabła. Wzięłam Petera jako modela na dziś rano - teraz jest inny rodzaj diabła: bezmyślny, próżny, okrutny - ale jego ciało jest doskonałe i gdy mu płacę, jest cały mój. Nauczyłam się poskramiać go wzgardą, bo mogę takich jak on kupić dwudziestu i on o tym wie.”

Kilka dni później ton emocjonalny był już całkowicie odmienny:

„Ed wymaga ode mnie nieustannego zainteresowania, gdy tylko ma kłopoty w pracy. Muszę natychmiast rozumieć złożoność sprawy, spierające się osobowości. Muszę otaczać go sympatią i troskliwością. Mówię mu, że tego nie potrafię. Mój umysł, moje uczucia nie działają w ten sposób.

Nie umiałabym oczekiwać od niego, aby niańczył mnie jak dziecko za każdym razem, gdy mam problemy z obrazem. Jeśli potrzebuje tego rodzaju pociechy, to może ją sobie kupić w łaźni lub u dziewczynki na telefon. Mnie by to nie przeszkadzało. Mnie przeszkadza i bardzo złości szarpanie mnie w ten sposób, traktowanie - jakbym była szmacianą lalką. Ale od pierwszej chwili tutaj jestem znowu spokojna. Zadzwoiłam po Danny. Powiedziała, że przyjdzie i będzie pozować do Kobiety przy oknie. Rozmawialiśmy w czasie pozwania. Opowiedziała mi wszystkie swoje kłopoty z kobietami i z mężczyznami. Uspokajałam ją łagodnymi słowami. Tyle mi dało przyjemności obserwowanie jak rozluźniają się jej napięte mięśnie i jak jej białe ciało zaczyna przekazywać swój obraz fluidami na płótno. Gdy skończyłam, całowałyśmy się trochę, trochę piłyśmy i kochałyśmy się pokrzepiająco.”

W innym miejscu wspominała maniakalne przejawy charakteru Bayarda:

„On nie pozwala sobie na brutalny gwałt. Nie bije ani nie rozbija przedmiotów. Czasami myślę, że byłoby zdrowiej, gdyby tak robił. Jego wściekłość kieruje się raczej do wewnątrz i zamienia się w coś innego - wystudiowaną groźbę, jak u czarnego charakteru w wielkiej tragedii. Tylko, że to nie jest sztuka teatralna, ale rzeczywistość i przyznaję się, że okropnie mnie przeraża. To tak, jakby patrzeć w twarz Sziwy Niszczyciela. Usiłowałam uchwycić na szkicu jego podobiznę, łudząc się, że ją odczytnie przez umieszczenie na płótnie, ale ręka odmówiła mi posłuszeństwa, a pamięć zbladła. Zupełnie nie mogę dzisiaj znieść samotnie pracowni. Powinnam wyjść, ale to by znaczyło, że zostałam pokonana przez Edmunda. Zamiast tego, postanowiłam zadzwonić do Hugh'a Loredona. On, jak zwykle, przychodzi na kiwnięcie palcem - ale wiem, że tak samo reaguje na każdą ładną kobietę. Hugh nie jest dla mnie żadnym zwycięstwem. Mogę go przywoływać jak dworskiego błazna, pewna że da okazję do pośmiania się - ze mnie i z niego. Ale gdy opowiedziałam mu o Edzie i jego wybuchach wściekłości, potrząsnął głową z desperacją i powiedział mi: Jeśli się nie rozstaniecie, jedno z was zostanie zabite, wspomniesz moje słowa, Madi. Nie rozumiem, jak ty znosisz takie życie. To jak kociołek czarownicy, kipiący i bulgocący na ogniu. Powiedziałam, że przesadza, ale w głębi czuję, że mówi prawdę. Chciałam się z nim kochać, ale spieszył się - mówił, że na pokaz, ale wiem, że oszczędzał się dla jednej z klientek. Utrzymać go, to jak łapać żywe srebro.”

Jedyny obszar ich życia, który wydawał się wolny od profanacji, to wspólna pasja kolekcjonowania dzieł sztuki. Uwagi Madeleine o wspólnych zakupach były pouczające:

„To jak zmiana partnerów w trakcie tańca. W momencie, gdy zobaczy coś, co mu się podoba - tym razem Georgia O'Keefie, zbielałe skały i kwiat kaktusa, gigantyczny na pustej podłodze - zmienia się natychmiast. To jest jak egzorcyzm: demony wypędzone, człowiek pusty, niewinny, drżący. Odwraca się do mnie i mówi: Ogromnie mi się to podoba. Mogłabyś z tym mieszkać? Powiedz. Zawsze się zgadzam. Inaczej byłabym potworem, bo jego instynkt ma zawsze rację. Ja również zachwycam się tym dziełem, ale między nim a mną są wszystkie bariery wiedzy i - muszę to powiedzieć - wszystkie zawiści jednego artysty, zazdrośczonego talentu drugiemu. Próbowałam wytłumaczyć to Henriemu Berchmansowi, gdy przyszedł spędzić ze mną kilka godzin. Roześmiał się tylko i powiedział mi: Wy artyści jesteście niegrzecznymi dziećmi Boga. On pozwala wam zerkać do raju, a wy tylko chcielibyście robić babki z piasku w piekle!. Wziął mnie potem - jak wiejski chłopak na sianie, szybko i brutalnie. A jednak i mnie rozśmieszył, i w pewien dziwny sposób pomógł mi, abym wybaczyła sobie. To jest problemem z Edmundem. Gdy egzorcyzm skończony, a dom cichy i pusty, demony wracają - liczniejsze niż przedtem i strasznie, strasznie niewybaczające.”

I w tym, wydawało się Matherowi, był klucz całej tragedii: dwoje ludzi, którzy nigdy nie mogli sobie wybaczyć, że byli tacy, jacy byli. Madeleine była tak samo nieprzejednana jak jej mąż. Nawet akt miłosny stawał się aktem zemsty. Wszystkie obrazy, które malowała, przedstawiały pojmanych, daremnie usiłujących się uwolnić. I co dziwne, jedynie fantazje erotyczne, których uczestnicy byli jak towarzysze zabaw dziecięcych w jakimś pierwotnym raju, były prawdziwie radosne. Ale nawet ta iluzja okazała się zbyt wątłą pociechą.

„Wiem, że Edmund kupuje sobie seks, którego mu odmawiam, tak jak ja go kupuję, lub domagam się albo uwodzę kochanków, których potrzebuję zamiast niego. Henri Berchmans ma rację. Jesteśmy oboje niegrzecznymi dziećmi, obładowanymi darami, którymi nie umiemy się dzielić. Dzisiaj przyszedł mnie odwiedzić Hugh Loredon. Powiedział, że ma raka i że rokowania nie są dobre. Wiedziałam, że potrzebuje pocieszenia. I nagle nie miałam mu nic do zaoferowania. Obecność choroby odpychała mnie, wzdrygnęłam się od jego dotyku. Był ogromnie dotknięty. Nigdy nie widziałam nikogo tak zmrożonego gniewem, tak wypełnionego odrazą. Ale nic nie mogłam poradzić. Po raz pierwszy, odkąd go znam, Hugh nie miał nic do powiedzenia. Na sztaludze był nie dokończony obraz. Modelką był młoda dziewczyna od Negroniego, tancerka. Hugh patrzył na nią w ciszy, potem chwycił pędzel i długimi pociągnięciami zamazał obraz. Potem powiedział: Któregoś dnia ktoś cię



zabije, Madi. Może ja zrobię sobie tę przyjemność zanim umrę. Z ust człowieka takiego jak Hugh zabrzmiało to jak biblijna klątwa. Gdy poszedł, wycięłam płótno z blejtramu i zaczęłam zupełnie inną pracę.”

Mather zaznaczył ten ustęp, wiedząc jednak, że było to zbyt łatwe i zbyt kuszące wytłumaczenie śmierci Madeleine. Hugh Loredon w każdym razie je przeczytał i mógł użyć jako wskazówki, tworząc swoją fikcję. Była północ. Oczy go piekły. Już miał zamknąć książkę, gdy inny ustęp przyciągnął jego uwagę:

„Chłopcy i dziewczęta od Negroniego zawsze eksperymentowali z różnymi rodzajami narkotyków. Przyjęłam za zasadę, że u mnie niczego nie będzie się używać. Peter, głupiec, próbował to zlekceważyć, pali trawkę, bierze kokę. Dziś rano w obecności Danny i Pauli zrobił przedstawienie, więc wyrzuciłam go. Nie chciał wyjść. Gdy podeszłam do telefonu, aby wezwać policję, usiłował wyrwać mi z ręki słuchawkę. Wzięłam sztylet, którego używam jako noża do papieru i skierowałam ostrze na jego krocze... odstąpił i wyszedł. Powiedziałam mu, żeby nigdy, nigdy tu nie wrócił. To i incydent z gwałtem, to było za dużo.

Paula wyszła zaraz potem, ale Danny została. Była bardzo zła. W ostrych słowach robiła mi wyrzuty: Kochałam cię Madi. Dla ciebie zrobiłabym wszystko na świecie. Wierzyłam ci. Brałam udział w twoich gierkach, bo myślałam, że coś znaczą dla nas obu. Uważałam cię za najpiękniejszą, najbardziej utalentowaną kobietę na świecie. Popatrz na siebie teraz! Rozdzierasz siebie i wszystkich na strzępy. Wyglądasz jak kocmołuch, od tygodni nie zrobiłaś żadnej przyzwoitej pracy. Wściekła, bo wiedziałam, że ma rację, rzuciłam się na nią i uderzyłam ją. A ona porwała nóż i podeszła z nim do mnie. Opuściłam ręce i stałam bez ruchu. Zamarła w swoim geście, a potem rzuciła sztylet na stół. Błagałam, aby została i wypić ze mną drinka. Mogłybyśmy zacząć wszystko na nowo: nowe obrazy, nowi przyjaciele. Potrząsnęła głową i wyszła. Wzięłam czyste, białe płótno ze stojaka i zaczęłam przygotowywać tło do obrazu z burzą. Około pół godziny później przyszedł Edmund. Po raz pierwszy zdarzyło mu się przyjść bez zapowiedzenia. Powiedział: Miałem bardzo dziwne uczucie, że możesz mieć kłopoty. Pomyślałem, że mógłbym wstąpić po ciebie i zabrać cię do domu. Podziękowałam mu, powiedziałam, że mi miło, iż przyjechał i że jestem gotowa do wyjścia.”

Mather zamknął książkę, włożył ją do teczki wraz z innymi dokumentami, przygotowanymi na poranną konferencję z Munselem i późniejsze spotkanie z policją. Był zmęczony do cna, ale po lekturze myśli kłębiły mu się w głowie. Nalał sobie whisky, włączył telewizor na nocny western i

usiadł, aby odpocząć. Wtedy zatelefonował portier. Był to Anglik, niedawny przybysz, robiący wszystko, aby przyswoić sobie manhattański akcent. „Czy pan Mather jest w domu? Sądzę, że w foyer jest pan Bayard”.

- Proszę go wpuścić na górę - powiedział Mather ze znużeniem.

Bayard był lekko pijany, ale wyglądał całkiem świeżo, zalaatywał od niego zapach taniego mydła kąpielowego i olejku do masażu. Powiedział:

- Wiem, że jestem intruzem, ale jest bib... biblijne zalecenie: „Nie pozwól nigdy, aby zachód słońca zastał cię w gniewie”. Słońce zaszło, ale księżyc jest na niebie. Obaj byliśmy w gniewie poprzedniego wieczoru.

- Jesteś teraz tylko zmęczony. Nie przedłużajmy męczarni, Ed. Czym mogę ci służyć?

- Dzwoniła Anna-Maria. Mówiła, że chcesz przyprowadzić tę Danziger na otwarcie.

- To prawda.

- Chciałem tylko, abyś wiedział, że zgadzam się... to właściwe słowo. Całkowicie się zgadzam.

- Cieszę się, że tak na to patrzysz.

- To jedyny sposób widzenia, Max. Niewinna, dopóki nie dowiedzie się winy... sprawiedliwości musi stać się zadość ... tak. We właściwy sposób. Potrzebowałbym trochę kawy. Tam, gdzie chodzę, kobiety są drogie, ale trunki darmowe. Wypiłem sporo, więc moje osiągi były trochę przyhamowane. Wiesz, co mam na myśli?

- Zrobię kawę.

Bayard poszedł za nim do kuchni, cały czas mówiąc.

- Zgadzam się z twoją polityką w sprawie wystawy, Max. Teraz kij został wsadzony w mrowisko. Niech więc się roi... niech się robi szum. Cóż możemy stracić? Nic. Co możemy zyskać? Tylko pieniądze. Więc powiedziałem Annie-Marii: idź na to, ciałem i duszą, na całego! Bez cukru, bez mleka, tylko czarna i mocna! Jeszcze coś chciałem powiedzieć, Max...

- Wypijmy naszą kawę w pokoju, dobrze?

- Oczywiście. Jeszcze jedną rzecz chciałem powiedzieć, Max. Jestem rad, że nie jesteśmy już rywalami.

- O ile wiem, nigdyśmy nimi nie byli.
- Myślałem, że byliśmy, co na jedno wychodzi. A teraz, jak słyszę, żenisz się ze Szwajcarką?
- A więc?
- A więc gratulacje.
- Dziękuję.
- A ja mam zamiar poprosić Annę-Marię, aby za mnie wyszła zaraz po wystawie.
- Wydaje mi się, że lepiej to odłożyć do tego czasu, ona jest teraz pod silnym stresem.
- To, że jesteś z powrotem to wielka pomoc, Max, naprawdę wielka pomoc. A jeśli chodzi o tę drugą, biedną dziewczynę. Danziger...
- Co o niej, Ed?
- Ona tego nie zrobiła.
- Ja wiem, że nie zrobiła, Ed, ale to musi zostać dowiedzione na rozprawie przed sądem Nowego Jorku. Jeśli wiesz cokolwiek, co mogłoby pomóc w jej obronie...
- Wiem, że tego nie zrobiła.
- Już to mówiłeś. Skąd wiesz?
- Ten cios, Max. Ta broń. To wszystko nie pasuje do kobiety, zwłaszcza tej kobiety.
- Dlaczego więc mnie zwymyślałeś, gdy dzwoniłem z Zurychu?
- Bo nie miałem czasu tego przemyśleć. To było tak, jakbym dostał w zęby basebalową piłką.
- Czy jesteś gotów zeznawać na rozprawie?
- Max, Max, jesteś dzisiaj tępy. To jest moje przekonanie, a nie dowód. To w sądzie gorzej niż bezużyteczne. Ale na wypadek, gdyby coś innego się pojawiło, będę w kontakcie.
- Ed, jest bardzo późno, zwykle kładę się spać znacznie wcześniej. Po co właściwie przyszedłeś?
- A, o to chodzi? No, z kilku powodów. - Zaczął wylizywać je na palcach. - Po pierwsze, czarna kawa, która mi świetnie zrobiła. Po drugie, aby powiedzieć ci o Annie-Marii i o mnie. Po trzecie,

pogratulować ci zaręczyn. Po czwarte, powiedzieć ci, że twój florencki kolega raczej nie będzie otwierał wystawy obrazów Madi, Lebrun zrobi to bardzo ładnie. I po piąte, co do cholery było piąte? Aha, zaprosić cię na obiad u mnie, w przyszłą środę. Będzie to rodzaj uroczystego otwarcia wystawy, będzie śmietanka śmietanki manhattańskich koneserów. Dwadzieścia osób, czarne krawaty. Anna-Maria będzie moją gospodynią. Będziesz towarzyszył pani Lois Heilbronner. Powiedziała mi, że znaliście się kiedyś całkiem dobrze. - O Boże - pomodlił się w duchu Mather. - Dlaczego teraz?

Dlaczego ja?

Ale znał odpowiedź. Bóg jest praktycznym żartownisem, który opiekuje się pijanymi i obłąkańcami jak Bayard, ale nie ma zupełnie litości dla utalentowanych Casanovów, takich jak Mather.



## ROZDZIAŁ 16

- Pani usiądzie u szczytu stołu, panno Danziger. - George Munsel przygotowywał scenę porannej konferencji. - Max usiądzie po jednej pani stronie, nieco cofnięty, ja będę siedział naprzeciwko niego. Będzie więc pani odizolowana, tak jak na rozprawie, jak każdy świadek przy pulpicie. Będzie to sprawdzianem nerwów i koncentracji. W czasie obecnej próby ani ja ani Max nie będziemy pani przyjaźni. Jesteśmy jak dawni inkwizytorzy, przesłuchujemy tylko w celu wykrycia prawdy. Każdy z nas posiada informacje, których pani nie zna, więc to, co pani powie będzie porównywane z tym, co już wiemy. Czy to jasne?

- Tak.

- Nie będzie żadnych ustępstw przy przesłuchaniu, żadnych uprzejmości. Czy jest pani na to przygotowana?

- Tak.

- Jeżeli ja przywołam panią do pulpitu - ale jeszcze nie zdecydowałem o tym - zostanie pani zaprzysiężona. Nieprawdziwa odpowiedź będzie krzywoprzysięstwem. Będzie pani teraz odpowiadać tak jak pod przysięgą. Zgoda?

- Zgoda.

- Jak długo znała pani Madeleine Bayard?

- Około dwóch lat.

- Jak się poznałyście?

- Pracowałam nad artykułem do Belvedere, zatytułowanym „Artyści i modele”. Seldes wyszukał trochę starych fotografii i wydawnictw o Montparnasse, Via Margutta w Rzymie i Cafe de Paris w Londynie.

Chciał pokazać obecną tego kontynuację w SoHo i Village. Jednym z lokali, do których poszłam, był Negroni. Jedną z osób, które spotkałam i z którymi rozmawiałam, była Madeleine Bayard.

- Zaprzyjaźniłyście się?

- Tak.

- Pozowała jej pani czasem?

- Tak.

- Jak długo przedtem nim zostaliście kochankami?

- Przypuszczam, że parę miesięcy.

- Czy panią seksualnie pociągają wyłącznie kobiety?

- Wtedy nie, teraz tak.

- Skąd ta zmiana?

- Myślę, że dlatego, iż nie staram się już być tym, kim nie jestem.

- Czy związek pani z Madeleine Bayard był wyłączny?

- Nie. Miała innych kochanków.

- A pani?

- Szłam za jej przykładem.

- Czy znajdowała pani upodobanie w różnorodności?

- Nie. Przekonałam się, że... że nie jestem do tego stworzona.

- Może to pani wytłumaczyć?

- Czułam, że dzielę siebie na małe kawałki, jak tort weselny i rozdaję siebie do zjedzenia.

Bałam się, że te kawałki nigdy nie zostaną z powrotem złożone razem. Potrzebowałam... potrzebuję pewności stosunku jednostki z jednostką.

- Innymi słowy jest więc pani osobą bardzo zaborczą?

- Tak.

- Zazdrosną?

- Tak.

- Jak zazdrosną? Bardzo, szalenie, chorobliwie?

- Bardzo.

- Tak, żeby zabić?

- Tak, żeby zastanawiać się, czy mogłabym zabić.

- Brała pani jednak dobrowolnie udział w rozmaitych seksualnych zabawach z osobami obu płci. Zabawy te były organizowane przez Madeleine Bayard w pracowni.

- Brałam udział. Nie zawsze dobrowolnie.

- Czy pani oponowała?

- Przeważnie miałam milcząco za złe.

- Kiedy pani protestowała?

- Kiedy byłam zmuszana przez mężczyznę, którego nie lubiłam, do tego, czego nie chciałam.

- Podczas gdy Madeleine przyglądała się?

- Tak.

- I zachęcała do tego?

- Tak.

- A gdy pani protestowała?

- Zażądała zaprzestania.

- I jak pani się czuła?

- Nienawidziłam jej.

- Potem już zawsze?

- Nie, nie umiem tak. Nie mogę kochać czy nienawidzić zbyt długo, albo zbyt mocno.

- Pozwól, George. - Mather włączył się do przesłuchania. - Chciałbym, aby Danny skomentowała pewne notatki, które mam tutaj. Są to dosłowne cytaty z dziennika Madeleine. Czy wiesz, że prowadziła dziennik, Danny?

- Tak. Ale nigdy mnie, ani nikomu innemu, nie pozwoliła go czytać.

- Weźmy kilka fragmentów o tobie: „Paula i Danny były o siebie zazdrosne. Odsunęłam się od nich i zachęcałam je do pieszczot z Lindy. Wtedy spowodowałam, że Peter włączył się do gry. Ciągle

tłumaczyłam, że miłość powinna być zabawą, a nie ształem...” . Czy odnosi się to do przypadku, o którym właśnie mówiłaś?

- Tak.

- Czy możesz powiedzieć, że jest to dokładny opis tego wydarzenia?

- Absolutnie nie. Brzmi to tak, jak gdyby była to beztraska swawola z Madi jako... mistrzem ceremonii. Ale to wcale nie było tak. Było to brutalne i okrutne, i... niebezpieczne.

- Weźmy więc to - przeczytał jej długi opis epizodu o narkotykach i jej ataku na Madeleine ze sztyletem. - Czy jest to prawdziwy opis?

- Nie, nieprawdziwy. Po pierwsze, Pauli tam wtedy nie było, tylko Peter, Madi i ja. Madi kłamie pisząc, że nie pozwalała na narkotyki w pracowni. Bez nich nigdy by nie mogła urządzić swoich przyjęć. Ale sama w ogóle ich nie używała. Zbyt obawiała się o ich wpływ na swoją pracę - jedyne, co szanowała. Ale ludek od Negroniego przynosił je ze sobą... wtedy Peter zaproponował mi kokę. Odmówiłam. Dla mnie również to zbyt duże ryzyko, zależę wyłącznie od talentu. Wtedy Peter zaczął się robić agresywny. Zachowywał się zawsze tak samo. Zaczynał od pieszczot, potem stawał się figlarnie okrutny, wreszcie zupełnie niepohamowany. Madi stała tylko i obserwowała z boku. Złapałam w jedną rękę sztylet, a w drugą słoik z terpentyną. Chlusnęłam mu terpentyną w twarz. Oślepiłam go. Wtedy wybiegłam, pozostawiając go Madi do obmycia. Nie wiem, pod jaką datą jest ten zapis, ale nigdy tam nie wróciłam, aż do dnia jej śmierci, kiedy do mnie zatelefonowała.

- A więc mówi pani - Munsel przejął śledztwo - że diariusz Madeleine jest dokumentem niewiarygodnym?

- Mówię, że nie jest to dokument. To jest opowieść, którą tworzyła każdego dnia, aby móc wytrzymać sama ze sobą. Proszę pomyśleć, znała moją do niej słabość, znała moje niezdecydowanie co do mojej seksualnej osobowości. Ale stręczyła mnie temu... temu umięśnionemu zbirowi, Peterowi. No i oczywiście straciła nad tym kontrolę. Mogłabym go zabić - albo on mógłby mnie mocno poranić.

- Mogłaby pani zabić Madeleine?

- Kilka razy, tak.

- Zrobiła to pani?

- Nie.



Munsel zajrzał do swoich notatek, po czym kontynuował badanie w ten sam oschły, obojętny sposób.

- Morderstwo zostało dokonane 18 lutego. Proszę mi dokładnie powiedzieć, co pani robiła tego dnia.

- Nie umiem opowiedzieć dokładnie. Rano pamiętam dostatecznie, ale popołudnie całkiem mi się zatarło.

- Proszę więc powiedzieć to, co pani pamięta.

- Wstałam o siódmej i robiłam jogging do ósmej. W górę Piątą do ulicy Siedemdziesiątej, w poprzek do Madison, w dół Madison do Grand Central i przez miasto do domu.

- Jaka była pogoda?

- Ładnie, ale ostry mróz.

- A potem?

- Wzięłam tusz, zrobiłam śniadanie i pojechałam do Biblioteki Miejskiej, wyszukać informację.

- Na jaki temat?

- Falszerstwa Michała Anioła.

- Nic mi to nie mówi.

- Michał Anioł sfalszował patynę na figurze śpiącego kupidyna dla mediolańskiego dealera, który sprzedał ją kardynałowi San Giorgio jako antyczną.

- Znalazła więc pani informację. Co potem?

- Wstąpiłam do sklepu papierniczego, aby kupić koperty z grubego papieru i etykiety samoprzylepne. Potem wypłam kawę.

- Gdzie?

- Gdzieś na Czterdziestej Siódmej ulicy. Potem wzięłam taksówkę i pojechałam do domu. W moim aparacie była wiadomość od Madi, z prośbą, aby do niej zatelefonować.

- I zadzwoniła pani?

- Nie od razu. Uwolniłam się od niej nie tak dawno. Zupełnie nie miałam ochoty dać się znowu wciągnąć.

- Kiedy więc pani odpowiedziała na telefon?

- Było coś w jej głosie, co mnie niepokoiło, był bełkotliwy i jękający, jakby była pijana. Wtedy pomyślałam, że może miała atak... widziałam jak się to przydarzyło mojej ciotce. Pamiętam to bardzo żywo.

- Więc zadzwoniła pani w końcu?

- Tak.

- I Madeleine odebrała telefon?

- Tak.

- Jak wtedy brzmiał jej głos?

- Lepiej, ale wciąż nieswojo. Na moje pytanie, czego jej potrzeba, odpowiedziała, że nie czuje się dobrze i żebym przyjechała i zjadła z nią lunch. Spytałam, czy jest sama. Powiedziała, że tak. Zgodziłam się przyjechać i z nią spotkać.

- Która to była godzina?

- Koło południa.

- Przed czy po?

- Tuż po.

- Skąd pani wie?

- Włączyłam radio jak przyszłam. Właśnie zaczęły się południowe wiadomości.

- Jak dojechała pani do pracowni?

- Taksówką.

- O której pani przyjechała?

- Mniej więcej za dziesięć pierwsza.

- Jak pani weszła?

- Frontowym wejściem. Zadzwoiłam i Madi wpuściła mnie.

- Jak była ubrana?

- Jak zwykle w dzień roboczy. Kitel na sweter i spodnie.

- Co robiła, gdy pani weszła? Czy coś malowała, rysowała, pisała...?

- Malowała. Na sztaludze był niedokończony obraz.

- Ale pani mówiła, że była niedysponowana.

- Nie. Mówiłam, że jej głos brzmiał tak, jakby źle się czuła i że powiedziała mi, iż czuje się nienajlepiej. Wyglądała źle i blado i rzeczywiście mówiła nie całkiem normalnie.

- I co dalej?

- Zapytałam o co jej chodzi. Powiedziała, że lekarz zalecił jej środki uspokajające, ale że okazały się za silne i za bardzo ją osłabiły. Spostrzegłam butelkę whisky i szklankę. Ostrzegłam ją, że nie powinna pić, biorąc środki uspokajające, ale powiedziała, że wypła tylko troszeczkę. Pomogłam jej zdjąć kitel, buty i położyć się. Przykryłam ją, usiadłam na brzegu łóżka i rozmawiałyśmy, zanim nie zasnęła. Całkiem nie wiedziałam co robić. Nie chciałam tam zostać. Nie chciałam też jej zostawić. Zeszłam więc na dół i zawiesiłam na drzwiach kartkę z napisem „Będę o 5.30”. Potem zadzwoniłam do pana Bayarda, do jego biura. Usłyszałam, że wyszedł na lunch i czy chcę zostawić wiadomość? Pomyślałam, że lepiej nie. Spróbowałam więc połączyć się z Hughem Loredonem. Wiedziałam, że okropnie się o coś pokłócili, ale Hugh zawsze był bardzo opiekuńczy w stosunku do niej - i do mnie w tych sprawach. Kochaliśmy się z nim kilka razy, nie było wspaniale, ale źle też nie. Hugh był w swoim biurze. Hugh powiedział mi, żebym nie czekała, tylko sprawdźła czy Madi jest przykryta i czy grzejniki są włączone. Powiedział, że będzie w ciągu piętnastu czy dwudziestu minut. Od czasu epizodu z Peterem wystrzeżałam się paczki od Negronego. Wysłałam więc tylnymi drzwiami, minęłam pół tuzina przecznic i wzięłam taksówkę do miasta.

- Jeśli pozwolisz, George - wtrącił się Mather do opowiadania - chciałbym zapytać się w sprawie grzejników. Ten lokal to wielka, zimna stodoła. Musieliśmy zainstalować klimatyzację, żeby go przystosować do zamieszkania. Czego używała Madeleine Bayard?

- Grzejników gazowych - powiedziała Leonie. - Takich z butlą, na kółkach. Można je przemieszczać z miejsca na miejsce, zmieniać wysokość i kierunek grzania. Trzy były na pierwszym piętrze, a sześć na górnym, bo nie było izolacji pod krokiewiami i oziębiało się bardzo szybko.

- Więc - powiedział Munsel - przedstawiła pani nam swoją historię. Pozwoli pani, że ja teraz przedstawię pani tę, którą prokurator zamierza przedstawić sądowi wraz z pewnymi popierającymi ją dowodami. A potem jeszcze Max swoje wariacje na ten sam temat. Ale zanim przejdziemy do tego, ma on jeszcze do pani jedno pytanie.

- Przysłałaś mi do Zurychu wyciąg z policyjnych i prasowych raportów w tej sprawie. Przysłałaś mi fotografie. Ale nie wymieniłaś jednego z faktów, które dziś ujawniłaś. Dlaczego?

- Bo nie miałam pojęcia, że jestem podejrzana. Nie widziałam powodu, aby komplikować sobie życie niepotrzebnymi rewelacjami. A stosunki między nami - tobą i mną, Max - miały wtedy ściśle ograniczone ramy.

- To jasne. Dziękuję. Teraz ty, George.

- Dla oskarżenia sprawa, jak to pani usłyszy na rozprawie, wygląda jak następuje. Po pierwsze, czas. Świadek, który pił kawę u Negroniego, zezna, że weszła pani frontowymi drzwiami dziesięć po drugiej. Nieboszczyk Hugh Loredon twierdzi w oświadczeniu potwierdzonym notarialnie tuż przed swoją śmiercią, że zatelefonowała pani do niego za piętnaście trzecia i powiedziała, że Madeleine nie żyje. Że powiedział pani, żeby pani wzięła broń, wyszła z pracowni tylnymi drzwiami i odeszła na pewną odległość, zanim weźmie taksówkę do domu... i że on zajmie się resztą. Tego dnia później - tej części dnia pani nie pamięta - Loredon przyszedł do pani mieszkania, gdzie opowiedziała mu pani jak to wszystko się stało, a on pani poradził, aby pani siedziała cicho a wszystko dobrze się ułoży. Prokurator zapyta więc, co pani na to, panno Danziger?

- To nieprawda. Po prostu to nie jest prawda.

- Ale jak pani tego dowiedzie? Widziano, jak pani wchodziła do pracowni więcej niż godzinę później, niż pani twierdzi. Przyznaje pani, że wezwała Loredona. On twierdzi, że pani była tam jeszcze, gdy on przyjechał i że pani przyznała się do zabójstwa Madeleine. Narzędzie było pani znane. Według diariusza już nim pani groziła Madeleine. Nawet w swojej wersji groziła nim pani Peterowi. Twierdzi pani, że dzwoniła najpierw do Bayarda, ale nie zostawiła wiadomości, nie ma więc śladu po tym telefonie. Loredon twierdzi, że przyjechał później do pani mieszkania. Pani mówi, że niewiele pamięta z tego popołudnia. Dlaczego?

- Poszłam do Roxanne.

- A kto to jest Roxanne?

- To jest klub, klub kobiecy. Nazywają go Zdrojem Saficznym. Spotkałam kilka przyjaciółek i - trochę za dużo wypiliśmy. Kilka z nas postanowiło przejść się dla wytrzeźwienia. Spacer stał się rozchichotaną wólczą od baru do baru. Jedyne, co dobrze pamiętam, to bardzo późny powrót do domu i konieczność pożyczania od portiera na taksówkę.

- I nie pamięta pani wizyty Loredona?

- Nie.

- Wróćmy do Madeleine. Mówi pani, że położyła ją do łóżka w ubraniu?

- Tak.

- Policja twierdzi, że była naga, a jej ubranie było starannie ułożone na krześle. Sugeruje to oczywiście, że przyjmowała kochankę - kobietę, ponieważ nie było śladów stosunku z mężczyzną. Miałyście już ze sobą w przeszłości takie doświadczenia, prawda?

- Tak.

- Czasami, jak pani nam mówiła, kończyły się one kłótnią?

- Tak.

- Tym razem także?

- Nie kochałyśmy się. Było dokładnie tak jak mówiłam.

- Jeśli to nie pani zabiła Madi, to kto?

- Obserwator od Negroniego. Sam Hugh Loredon. Skąd mogę wiedzieć?

- Kto był obserwatorem od Negroniego?

- To musiał być Peter. Wystarczająco mnie nienawidził, aby mnie w to zrobić.

- Ale skąd mógł wiedzieć, że pani tam będzie?

- Mógł namówić Madi, aby mnie zaprosiła. Już to przedtem robił. Madi pracowała nad męską postacią. Możliwe, że on był modelem.

- Przypatrzmy się drugiej możliwości - Hugh Loredon. Czy może sobie pani wyobrazić go jako mordercę?

- Nigdy nie rozszyfrowałam go do końca. Po pierwsze, lubiłam go, wszyscy go lubili. On... on był dla mnie dobry w bardzo złym okresie. On był świetny do pierwszej pomocy, ale nie nadawał się do pielęgnacji. Ale było w nim coś niepokojącego i czasem myślę, że Madeleine to obudziła.

Mather ponownie wtrącił się do dialogu. Pokazał szkicowniki Munselowi, który milcząco skinął z przyzwoleniem głową, po czym zwrócił się z nimi do Danny Danziger.

- Te szkicowniki uzupełniają diariusz. Widziałaś je?

- Nie sędzę.

- Przygotuj się więc na wstrząs. Gdy skończysz, będę chciał, żebyś nazwała każdą osobę, którą rozpoznasz na każdej stronie.

Podał jej szkicowniki. Obaj obserwowali z natężeniem jak przyjęła pierwszy wstrząs, a potem jak zaczęła uważnie przewracać kartki. Na koniec zamknęła okładki i podniosła wzrok. Powiedziała spokojnie:

- Są jak diariusz - myślenie życzeniowe, namiętność wspominana na długo po tym jak wygasła. Są jak rysunki Beardsleya - doskonale wytworne, nic zbędnego, nic fałszywego. Ale gdybyś mógł obserwować jej pierwsze pociągnięcia, tę brawurę, to niedbałe mistrzostwo... Gdzie są teraz te szkice? Wiem, że istniały, ponieważ byłam przy ich powstawaniu.

- Może - delikatnie zasugerował Munsel - zniszczyła je po przetworzeniu w to, co ma pani przed sobą.

- Możliwe. - Zostało to jednak powiedziane z powątpiewaniem.

- Teraz - Munsel zwrócił się do niej - przejrzyjmy jeszcze raz szkice. Niech pani poda nazwisko każdego, czyją twarz pani rozpozna. Gdy skończyli, Mather znów wtrącił się do rozmowy.

- Coś mnie w tym niepokoi. Możemy założyć motyw Hugh'a Lore-dona do zabójstwa Madi. Ale dlaczego miałby zwać winę na ciebie? Nie, nie mów nic jeszcze... chcę przeczytać ci to, co mi powiedział w Amsterdamie. Nie będzie to całkiem dosłownie, mniej więcej tak: „Byłem jej pierwszym mężczyzną - z czego byłem bardzo dumny - specjalny rodzaj zwycięstwa. Jezus, jaki ja byłem naiwny! Było to okropne dla nas obojga”. Prawda czy fałsz, Danny?

- Prawda - powiedziała z zimną złością. Było okropne - taka mała upokarzająca szarpanina. Obrócił to w żart. Taki miał sposób. Byłam obolała wewnątrz i zewnątrz. Nienawidziłam go za

to. A dlaczego zwałił na mnie? On mógłby zwalić na własną matkę, gdyby mu to było wygodne. Tylko dokąd mnie to prowadzi? Madi i Hugh nie żyją. Kto się za mną wstawi?

- Ja. - George Munsel uśmiechnął się po raz pierwszy. - A Max Mather wykonuje tu dla mnie świetną robotę, wyręczając mnie w wypytywaniu. Wytrzymała pani nieźle trudną rozprawę, myślę więc, że dojrzała pani do wysłuchania jasnego stwierdzenia, nie robiąc sobie jednak fałszywych nadziei. Chodzi o to, że ja nie chcę, żeby ta sprawa w ogóle trafiła na salę sądową. Nikt z niej nie wyszedłby czysty, wiele osób zostałoby splamionych na całe życie, prasa miałaby używanie, a nie służyłoby to sprawiedliwości. W obecnej chwili pozycja oskarżenia nie jest mocna, ale nasza też nie. Od dziś do terminu rozprawy musimy przygotować dokument, który mógłbym rzucić na biurko prokuratorowi i który by go przekonał, że zostanie głupcem, jeśli będzie dalej sprawę prowadził... Nie będzie to łatwe, może sobie pani wyobrazić, proszę na to zbytnio nie liczyć, ale spróbujemy.

- A co mam tymczasem robić?

- Pracować. Normalnie żyć. Trzymać się na uboczu, omijać lokale w rodzaju Roxanny i nie rozmawiać o sprawie z nikim, oprócz mnie.

- Nawet z Maxem?

- Nawet. On jest świadkiem. Ja jestem pani adwokatem... co oznacza...

- Mojżesza z ognistymi rogami, schodzącego z góry! - powiedział Mather, szczerząc zęby w uśmiechu.

- To znaczy również - powiedział Munsel - że panna Danziger wręczy ci czek na dziesięć tysięcy dolarów, jako zwrot zaliczki na opłaty, którą otrzymałem.

- Stać cię na to Danny?

- Stać mnie - odpowiedziała. - Ale i tak jestem twoją dłużniczką, Max. Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć. Max potrząsnął głową. Dotknął jej ręki.

- Nie ma długów. Teraz jesteśmy kwita. Stać nas na pozostanie przyjaciółmi. Mamy również razem pracę do wykonania.

- Niech pani idzie teraz do domu - żywo powiedział Munsel. - Mamy z Maxem jeszcze robotę. Zaledwie wyszła, Munsel zabrał się za nowy temat.

- Zabójstwo z litości, na życzenie pacjenta pod obcą jurysdykcją... dotychczas żadne z amerykańskich towarzystw ubezpieczeniowych nie występowało o uznanie tego za samobójstwo.

Jeżeli pod jurysdykcją, pod którą nastąpiła śmierć, wystawiono prawomocne świadectwo zgonu, przeniesienie tytułu własności zostanie uznane za naturalne i ubezpieczenie będzie wypłacone. W razie więc odkrycia przez policję sposobu, w jaki umarł Hugh Loredon, nie będzie podstaw do wyrzutów sumienia. Następną sprawą: ćwierćmilionowy fundusz powierniczy na rzecz Anny-Marii Loredon, ustanowiony przez Hugh'a, a zarządzany przez firmę Lutz & Hengst. Początkowo zapis wynosił dwieście tysięcy dolarów, reszta to narosłe odsetki. Ustanowienia dokonał rzeczywiście Hugh Loredon.

- Co niewiele nam dało, prawda?

- Poczekaj, nie bądź taki szybki. Poczekaj! Fundusz został otwarty czekiem na Citybank. A ten czek był płatny z prywatnego konta Edmunda Justina Bayarda. Data transakcji to 25 lutego.

- W tydzień po śmierci Madeleine Bayard?

- Dokładnie.

- A to nam mówi...

- Niczego nam nie mówi. - Munsel podniósł rękę ostrzegawczo. - Ale to stawia przed nami pytanie: co takiego mógł zaoferować Edmundowi Bayardowi Loredon, notoryczny rozrzutnik w zamian za dwieście tysięcy dolarów?

- To było więcej niż dwanaście miesięcy temu - przypomniał Mather - Anna-Maria mieszkała wtedy za granicą, a Hugh otrzymał pierwszą wiadomość o wyroku śmierci.

- Pomyślmy o tym - powiedział Munsel. - Zaraz będziesz musiał stawić czoła dwóm naszym oficerom śledczym od zabójstw, Hartogowi i Bechsteinowi. Twoja pozycja, to pełna współpraca pod moim doradztwem. Ponieważ jesteś przedstawiany jako świadek ekspert, oni będą musieli postępować rozważnie, a ty możesz być tak życzliwy, jak tylko twoja pogodna natura będzie ci dyktować.

- Moja pogodna natura potrzebuje filiżanki kawy.

- W czasie, gdy ją będę robił - powiedział Munsel - zastanów się nad tym... Hugh Loredon wziął wysokie C. Miał wyrok śmierci. Ed Bayard odsiadywał dożywocie z błyskotliwą, ale złej sławy żoną. Loredon miał również swoje problemy z tą samą panią, zaproponował więc korzystny układ: „Ja ją załatwię, a ty zaopatrzysz mnie w jajeczko do gniazdka mojej ukochanej córki”... Mleko i cukier?

- Czarną proszę.



Gdy Munsel wrócił z kawą, Mather przeczytał mu fragment z dziennika, opisujący spotkanie przez Loredona o swojej chorobie: „Wzdrygnęłam się od jego dotyku... Nigdy nie widziałam nikogo tak zmrożonego gniewem, tak wypełnionego odrazą ... Powiedział: któregoś dnia ktoś cię zabije, Madi. Może ja zrobię sobie tę przyjemność...”.

Munsel ściągnął powątpiewająco usta, a potem swoją wątpliwość wyraził słowami.

- Nie możesz używać dziennika równocześnie na dwa sposoby, Max.

Jeśli uznajesz go za częściowo zmyślony, nie możesz go naraz uważać za dowód.

- A posłuchaj tego, George - wrócił do swoich notatek. - Rozmawiałem raz z Bayardem w czasie obiadu u niego w domu. Rozmawialiśmy o Hughu Loredonie. Bayard powiedział: „Ja go za nic nie potępiam. Nie mogę potępić żadnego z jej mężczyzn za to, że brali to, co oferowała”. Pytanie: dlaczego Bayard był tak tolerancyjny w stosunku do człowieka, który zrobił z niego rogowca?

- To nie wystarczy, żeby o to zaczepić sprawę, Max.

- Ależ bracie! Próbujemy!

- Rzeczywiście próbujesz. A teraz przejdźmy przez korytarz i zobaczmy, jak sprostasz najlepszej w Nowym Jorku parze cęgow. Hartog i Bechstein rzeczywiście byli doświadczoną parą. Mather zgłosił od razu swoją chęć współdziałania. Munsel, jak czujny rozjemca, sformułował zasadnicze reguły.

- Pan Mather stawiał się tutaj z własnej woli z gotowością pomocy, w każdy możliwy sposób. Jednakże będzie on ważnym świadkiem obrony, muszę więc od czasu do czasu udzielić mu instrukcji, odnośnie do jego odpowiedzi. Czy to jasne, panowie?

Było jasne. Sam Hartog rozpoczął dialog.

- Jakie są pańskie powiązania z oskarżoną, panną Danziger?

- Jest redaktorką, przydzieloną mi przez Belvedere, miesięcznik dla którego pracuję. Bardzo dobrze wykonuje tę pracę. Nasze stosunki są przyjazne i produktywne.

- A pańskie powiązania z nieboszczykiem Hughem Loredonem?

- Zostały zapoczątkowane przez moją znajomość z jego córką, którą poznałem we Włoszech i z którą obecnie współpracuję. To ona mnie z nim poznała.

- Czy wasze stosunki były bliskie?

- Nie, ale on wiedział, że byłem bliskim przyjacielem jego córki. Widział mnie w... roli jej obrońcy.

- Obrońcy, przed czym? - to Bechstein zadał to pytanie.

- Przed błędami w interesach. Właśnie rozpoczynała ryzykowne przedsięwzięcie.

- Czy wiedział pan, że jest chory?

- Nie, dopóki mi tego nie powiedział w Londynie, zanim się z nim spotkałem w Amsterdamie.

- Przed swoim wyjazdem z Nowego Jorku dał panu teczkę.

- Zgadza się.

- Co ona zawierała?

- Jak się później przekonałem, diariusz, listy, notatniki i szkicowniki, należące kiedyś do Madeleine Bayard.

- Nie zdawał pan sobie sprawy, że był to materiał dowodowy w sprawie o morderstwo?

- Nie przedstawiało mi się to w ten sposób. Morderstwo zostało dokonane ponad rok przedtem, gdy pracowałem we Włoszech. Widziałem w tym wartościowy materiał, ilustrujący życie świetnej artystki, której prace miały być pośmiertnie wystawione.

- Wobec tego - powiedział George Munsel - że śledztwo doprowadziło do aresztowania i oskarżenia, materiał ten będzie użyty przez obronę i we właściwym czasie zostanie przedstawiony oskarżycielowi.

- Pańska wizyta u Hugh'a Loredona w Holandii. - To znów pytał Bechstein. - Jak do niej doszło?

- Gdy rozmawiałem z nim w Londynie, powiedział mi, że jest w ostatnim stadium raka. Wybierał się do Holandii, aby umrzeć. Nie chciał, aby jego córka wiedziała o tym, ani aby przy nim była. Poprosił więc mnie.

- Aby co zrobić?

- Wziąć go za rękę, wysłuchać ostatnich zwierzeń.

- Tak jak ksiądz?

- Coś w tym rodzaju.

- Co więc panu powiedział?

- Banialuki - powiedział stanowczo Mather - o tym, jak Danny Danziger zamordowała Madeleine Bayard, potem zatelefonowała do niego, a on jej powiedział, żeby wyszła i że on przygotowuje wszystko dla policji. To w skrócie. Mam dokładne notatki.

- Tylko nie teraz - powiedział George Munsel.

- A jak pan zareagował na te informacje? - Pytanie zadał Sam Hartog, Bechstein czatował jak kot.

- Powiedziałem mu, że jest cholernym kłamcą - odpowiedział Mather. - Że ta historia jest pełna dziur, jak ser szwajcarski.

- A jak na to odpowiedział?

- Przyjął do wiadomości.

- Dlaczego pan nie przekazał nam tego? Wiedział pan, że prowadzone jest śledztwo.

- Ponieważ wiedziałem, że on umrze następnego dnia. Zaaranżował sobie śmierć z litości w stylu holenderskim. Cóż to za dowód z rozmowy w cztery oczy? Nie wiedziałem oczywiście, że napisał uprzednio do was, denuncjując Danny Danziger jako morderczynię.

Bechstein spojrzał ostro. - To niezwykle słowo, panie Mather - denuncjując.

- Długo mieszkałem we Włoszech. To zdanie: robić *denuncia*, znaczy donosić na kogoś. Dawno temu w Wenecji wystarczyło wsunąć anonimowy liścik do lwiej paszczy. Potem przejmowała sprawę Rada Dziesięciu.

- To ciekawa metafora - powiedział Munsel. - To, co panowie macie, to oskarżenie napisane *in articulo mortis* przez człowieka, który zapłacił za zabicie siebie... i zaprzysiężone oświadczenie świadka od Negroniego.

- Skąd do diabła pan wie, kto jest naszym świadkiem? - Sam Hartog był wyraźnie poruszony.

- Pokażę panu wizerunek. - Munsel stał się niezmiernie łagodny. - Nie teraz oczywiście, ale gdy posuniemy się trochę dalej. Poradzę teraz panu Matherowi, aby odpowiadał tylko na wasze pytania, zachowując resztę informacji dla sądu. O ile oczywiście staniemy przed sądem.

- Jak mam to rozumieć? - Bechstein, jak dobry pies gończy, natychmiast był na tropie.

- Sądy są zatłoczone, sądownictwo przepracowane. Gangsterzy i mordercy chodzą wolni. Jeżeli naprawdę chcecie zadość uczynić sprawiedliwości, to porozmawiajcie z Manem, powiedzcie mu, że nie wygra sprawy i że chętnie mu to prywatnie udowodnimy, zanim wygłupi się publicznie.

- Chce pan wnieść zarzut?

- Żadnych zarzutów. - George Munsel stał się naraz sztywny. - Żadnych umów. Wasze źródła są brudne. Wasza sprawa trudna. Siedzicie na dynamicie.

- Pomówimy z Manem - powiedział Bechstein.

- Nie będzie mu się to podobało - powiedział Hartog.

- Nie podoba mu się teraz - powiedział Bechstein. - Ale to nie znaczy, że nie zmieni zdania. Na drugie imię ma Billy. Pokaż mu kamienny mur, a będzie próbował rozwalić go głową.

- Nakarmcie go tym - zaproponował pogodnie Munsel - po łyżeczce. Później, gdy szli na lunch, wysunął nieco inną propozycję.

- Wystąpiliśmy szczerze i odważnie. Ale to nie wystarczy, bo prawo nie działa w ten sposób. Chłopcy wiedzą, że mają kiepską sprawę, wie to też prokurator. Ale on wie również, że my nie chcemy oglądać we wszystkich gazetach orgii, lesbijskich kochanek i rozkładających się małżeństw. Trzeba więc będzie wykalkulować, czy warto brać ciągi w sądzie, za inscenizację staroświeckiego polowania na czarownice - sex w SoHo i to wszystko. Ta matematyka zajmie sporo czasu: elementarna sprawiedliwość, czy dobrze zainscenizowane ludzkie poświęcenie.

Dwa dni później Max Mather przeżywał rodzaj obrzędu własnej śmierci - przeprowadzkę siebie i swoich ruchomości do nowego mieszkania w pracowni w SoHo. Firma, którą wynajął, „miłych żydowskich chłopców”, którzy ogłaszali się w czasopiśmie New York, gwarantowała ochronę jego i jego dobytku przed wszelkimi szkodami i pozostawienie go odpoczywającego w luksusie, na zakończenie dnia.

Nie było ich winą, że padało, że były zatory na głównych ulicach, że ciężarówki spóźniły się, że dwóch tragarzy bolały plecy, a trzeci miał problemy z żoną. Nie było też ich winą, że było już po północy, gdy Mather wyrzucił ostatni worek śmieci do śmietnika, usunął odkurzaczem ostatni pyłek z nowego dywanu i pozostał sam, jak zwierzę zagubione na obcym terytorium.

Pod nim były dwa puste, pachnące świeżą farbą piętra. Kraty windy lśniły wypolerowanym mosiądzem i czernią stalowej konstrukcji. Drzwi wejściowe na parterze były zaryglowane i zamknięte na głucho, okna zakratowane. Na zewnątrz był obcy widok i obce plemię, poruszające się po wrogich ulicach. Jedynym jego towarzyszem nocy był delikatny, cichutko popiskujący duch Madeleine Bayard.

Próbował trochę czytać, aby zasnąć, gdy zadzwonił telefon. Na linii była Anna-Maria.

- Max, gdzie jesteś? Szkoda, że tak się pokręciło z przeprowadzką. Żałuję, że nie mogłam pomóc, ale byłam zabiegana przez cały dzień... serce mi się kraje, nie mogę znieść myśli, że sam spędzasz swoją pierwszą noc w tej wielkiej stodole. Właśnie wybrałam kolację z szampanem w Chantilly. Zrobimy sobie nasze prywatne obalewanie mieszkania. Nie martw się, wynajęłam samochód... Kierowca poczeka przy drzwiach, dopóki mi nie otworzysz. Nie zaśnij zanim nie przyjadę.

Nie był to, powiedział sobie bez zbytniego przekonania, zakazany owoc, ale niezasłużony podarek losu, którego nie można nie przyjąć.

W tym psim świecie powinno się dziękować za drobne dobrodziejstwa i mieć zawsze ciepłe miejsce na macie, dla niespodziewanych gości.

Był to rodzaj święta miłości. Ze wzruszeniem dzielili się wspólnymi wspomnieniami - larum niedzielnych dzwonów we Florencji, napoje w barze u Harry'ego na Lung'arno, niedzielne żeglowanie w Porto Santo Stefano, wszystkie wspólne nadzieje, które teraz realizują się w dziwny i pokrętny sposób. Jedli kawior, pili szampana i spacerowali razem po pustym budynku, planując gdzie powiesić ten czy tamten obraz, jak urządzić audytorium, aby nabrało wyglądu miejsca spotkań uczonych i uczniów. Wjechali windą na górę, sprzątnęli bałagan po kolacji, a ponieważ nie było innego sposobu zakończenia wieczoru i porzucenia nostalgii, usadowili się na wielkim łożu, zgasili światło i obserwowali jak wielki żółty księżyc wschodzi ponad dachami. Kochali się, śmiejąc się w ciemności, przypominając sobie swoje dawne zbliżenia i łóżkowe zwyczaje. Ale potem powoli napłynął podstępny smutek i cisza niewyjawionych sekretów.

Anna-Maria przysunęła się do niego i powiedziała:

- Cieszę się bardzo z tego, Max. To jest dobry sposób rozstania, prawda?

- Najlepszy, cara. Najlepszy. Daje nam obojgu czysty start.

- Ale jeszcze nie teraz, Max. Ja wiem, że opiekujesz się mną przez czas wystawy. Ja wiem, że wyjedziesz, gdy będzie już po wszystkim i będziemy tylko przyjaciółmi i kolegami. Ale to nie będzie tak łatwe jak teraz, Max. Nie możesz zostawić mnie na środku pola minowego, kiedy nie wiem, czy coś nie wybuchnie mi w twarz. Musisz być ze mną szczerzy teraz, inaczej to miejsce pozostanie dla mnie wrogim terytorium przez resztę mojego życia.

- Wymagasz ode mnie, abym zadał ci ból - wielki ból.

- Lepiej teraz, Max, lepiej tutaj, niż później, z innym mężczyzną, który nie rozumie.

Przyciągnął jej ciało mocno do swojego i wtedy, bez upiększania i usprawiedliwiania opowiedział jej o jej ojcu, o Madeleine i Edmundzie Bayard i Danny Danziger - i nawet o ponurym podejrzeniu, wiszącym nad funduszem powierniczym. W czasie całego opowiadania nie powiedziała ani słowa. Jediną jej odpowiedzią była wilgoć łez na jego piersi i drgnięcia, którymi przyjmowała każdy kolejny szok, jak bokser pod gradem morderczych ciosów.

Potem, gdy długa smutna opowieść się zakończyła, leżała bezwładnie przyciśnięta do niego i wydawało się, że każdy najmniejszy ruch zada jej nowy ból. Pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, miały dziwnie sybilliczny ton.

- Pamiętasz starego Guida Valente we Florencji? Zwykle czytał z mojej ręki przy obiedzie. Powiedział, że to, co jest zapisane na ręce, to *graffito* Pana Boga i że jesteśmy za głupi, aby je odczytać.

- Pamiętam. Guido przyjeżdża na otwarcie twojej wystawy.

- Nie jestem pewna, czy będę umiała temu sprostać, Max.

- Będziesz umiała. I sprostasz. Najgorsze już poza nami.

- Nie dla Eda. On wszystko stracił, prawda? Włączając mnie. Ma mi zaproponować małżeństwo... wiesz o tym.

- Oczekaj więc, aż zaproponuje i powiedz mu delikatnie: nie, dziękuję! Na tym się skończy. A teraz zawiń się i śpij, niedługo będzie rano.



## ROZDZIAŁ 17

Rankiem zadzwonił telefon od Aloisa Lieperta z Zurychu. Wszystko szło zgodnie z planem. Gisevius z Bazylei był szczególnie pomocny w sprawie rycin. Był też tak zadowolony z ich posiadania, nawet pod czasową opieką, że nawet je włączył gratis do swojej listy ubezpieczeń - dla zachęty, jak powiedział, do późniejszego ich wystawienia. Palombini został zawiadomiony o możliwości bliskiego spotkania. On także stawał się coraz bardziej niecierpliwy i zaciekawiony. Liepert musiał mu przypomnieć surowe warunki kontraktu, aby go przyhamować. Potem okazało się, że jego niepokój został wzmożony telegramem niejakiego Harmona Seldesa, który prosił go o specjalny, wyłączny wywiad dla miesięcznika Belvedere.

Mather wybuchnął.

- Sukinsyn - tylko tego nam było trzeba.

- Dokładnie to samo powiedziałem Palombiniemu, który odpowiedział mu krótką odmową i poinformował, że kontaktować się może wyłącznie przez ciebie.

- Dostanie ode mnie więcej niż krótką odmowę.

- Daj sobie spokój, Max. Wszystko tutaj jest w porządku. Gdzie chcesz spotkać się z Palombinim?

- W Zurychu. Potrzebuję tam ciebie - zadzwonię jutro i podam ci datę. Jak się ma Gisela?

- Dobrze... czeka niecierpliwie na wiadomość od ciebie.

- Powiedz jej, że zacznę rano, czasu szwajcarskiego, od telefonu do niej.

- To znaczy, że jesteś czynny do późnych godzin w Nowym Jorku, Max?

- Właśnie przeprowadziłem się do mojego nowego mieszkania. Jeszcze nie zdążyłem się do niego przyzwycząć. Zadzwoni przy okazji do swojego przyjaciela w galerii i powiedz mu, że spodziewamy się ożywionego handlu w czasie wystawy. Jeżeli chce zarezerwować jakieś obrazy spośród tych na przeźroczach, które przesłaliśmy, to powinien dać mi znać teleksem, a ja zarezerwuję je dla niego. Przekaż też wiadomość Hurlmanowi, że mógłbym chcieć z nim pokonferować, gdy wrócę. Ale nie wspominaj jeszcze o Palombinim.

- Wygląda na to, że jesteś zapracowany, Max.

- Więcej niż zapracowany. Już zaraz otwarcie. Wyciągnęliśmy Danny Danziger za kaucją, ale trzeba jeszcze będzie walczyć.

- Bez obrazy, Max, ale to podwoi waszą sprzedaż.

- Masz moralność rabusia grobów, Alois.

- To biznes dzieł sztuki, Max. Przyciągnie pewnie oszustów i próżniaków. Co jeszcze trzeba zrobić?

- Skontaktuj się z Tolentinem. Upewnij się, czy ma wizę i bilet. Daj mi znać, kiedy przylatuje, a ja odbiorę go na lotnisku. Zadzwoń również do Biblioteki Narodowej we Florencji i sprawdź, czy mogą ci dać kontakt do Guida Valente w Waszyngtonie. Chciałbym, żeby był również na otwarciu, jeśli jest w Stanach Zjednoczonych.

- Zabierasz ze sobą Giselę?

- Tak. Ale ona jeszcze o tym nie wie.

- Ale zanim ona tam przyjedzie, usuń lepiej wszystkie inne panie, Max. Ona jest bardzo do ciebie przywiązana i jeżeli przyłapie cię, jak spoglądasz na inną kobietę, zobaczysz sztylety w jej oczach, a węże w jej włosach!

- Będę pamiętał - roześmiał się Mather. - Dziękuję za pomoc. Będę w kontakcie.

Gdy zadzwonił do Henriego Berchmansa i powiedział o niedyskrecji Seldesa, Berchmans zaklął potoczyście. Mather dodał kilka dosadnych uwag.

- Palombini mu odtelegrafował, żeby zwracał się wyłącznie przeze mnie. Gdy go spotkam, wygramę mu, co myślę, a to da mu pretekst, aby mnie wylać. Nie potrzebuję tych pieniędzy, ale moja pozycja w Belvedere jest dla nas wszystkich użyteczna w obecnej chwili. Dla niego również użyteczna, tylko że on jest za głupi, żeby to wiedzieć.

- Spróbuję mu to wytłumaczyć. - Ton Berchmansa był rozważny i umiarkowany. - Ta okazja - ten interes, o którym mówiliśmy. Czy miałbyś zastrzeżenia, aby dać mu w tym udział... coś, co by uśmierzyło jego urażoną próżność?

- Żadnych. Tak długo, jak robi to, co powiedział.

- Spróbuję mu to przekazać - zasugerował spokojnie Berchmans - tak, aby zgodził się robić to, o co jest proszony.



- Zostałem zganiony. - Roześmiał się z goryczą Mather. - Ale dziękuję, Henri.

- Jesteś nowy w interesach - powiedział Berchmans wyrozumiale, jak nauczyciel. - Masz tremę przed premierą.

Trema Mathera jeszcze bardziej się nasiliła, gdy zjechał na pierwsze piętro, aby poprowadzić konferencję prasową, którą Anna-Maria i jej ludzie od public relations przygotowali dla niego. Anna-Maria wyglądała na zmęczoną. Miała podkrążone oczy, ale była bardzo opanowana, a w jej sposobie mówienia i postawie zaznaczały się godność i dystans. Wziął ją za rękę i zaprowadził do spokojnego kąta sali, poza zasięg uszu dziennikarzy, którzy napływali pomiędzy rzędy krzesel.

- Jak się trzymasz, cara!

- Dobrze, Max, zapewniam cię. Jestem teraz opanowana i duchy już mnie nie straszą.

- Za kilka minut niektóre wystawią głowy.

- Nie boję się, czuję się tylko jak zbita.

- Jak się nazywa twoja pani rzecznik prasowy?

- Chloe Childers

- Mój Boże, niemożliwe.

Chloe - wielka, śmiała i obsesowa - zagarnęła go, aby mu udzielić ostatnich instrukcji.

- Są zwykli harcownicy od stronic artystycznych, ale większość jest z aktualności. Są wszystkie stacje telewizyjne, jak i radiowe. Będę przewodniczyła i prowadziła zebranie. Pan odpowiada na pytania. Gotów?

- Jak chrześcijanie przed lwami - powiedział Mather. - Chodźmy.

Gdy tylko stanął przy pulpicie, bez żadnych notatek w ręku, natychmiast zrozumiał, że to nie żarty. To byli drapieżcy: szybkołapy, spragnieni świeżego mięsa. Pierwsze pytanie nadało ton.

- Panie Mather, jakie są pańskie powiązania z Galerią Wyzwolenia?

- Reprezentuję ją zarówno jako nabywca, jak i jako sprzedawca, zwłaszcza na rynku europejskim, gdzie jest już żywe zainteresowanie tą wystawą.

- Jak żywe, proszę pana?

- Właśnie odszedłem od telefonu. Oczekuję potwierdzenia szeregu zamówień od szwajcarskiego dealera.

- Madeleine Bayard została zamordowana w tym budynku.

- To prawda - piętro wyżej.

- Czy możemy zobaczyć to miejsce?

- Obawiam się, że nie. Teraz jest to moje prywatne mieszkanie.

- Czy jest nawiedzane?

Pytanie wzbudziło śmiech, ale zdecydował potraktować je poważnie.

- Tak, jest nawiedzane. Cały budynek przepełniony jest wspomnieniami o tragicznie zmarłej kobiecie o ogromnym talencie. Za kilka dni parter zostanie zawieszony jej dziełami, niektóre z nich przedstawione są na fotografiach rozdanych państwu. Wulgaryzmem byłoby mówić o nawiedzaniu jedynie w kategoriach strachu. Jesteśmy nawiedzani również przez piękno - przez to, co Wordsworth nazwał „znamieniem nieśmiertelności”.

- Co pan nam może powiedzieć o jej śmierci, panie Mather?

- Nic. - Mather uciął lakonicznie. - Jeżeli potrzebujecie państwo tych informacji, znajdziecie je w swoich archiwach.

- A co o tej kobiecie, która jest oskarżona o jej zamordowanie - Leonii Danziger?

- Ona nie przyznaje się do winy i została zwolniona za kaucją. Jej sprawa jest sub judice i nie mam nic do dodania, z wyjątkiem tego, że będzie tutaj obecna na uroczystym otwarciu galerii, za pełną wiedzą i zgodą pana Edmunda Bayarda.

To im się podobało. To był kawał surowego mięsa, którego pragnęli. Zaczęli okazywać pewien respekt wobec faceta, który im je cisnął ze źle ukrywanym lekceważeniem. Następne pytanie postawiła kobieta.

- Panie Mather, mówi się, że Madeleine Bayard prowadziła bardzo barwne i... no, bezładne życie seksualne. Co ma pan do powiedzenia na ten temat?

- Po pierwsze, proszę pani, pomimo mojego młodego wieku, jestem człowiekiem staroświeckim. Zostałem tak wychowany, że nie opowiadam o pocałunkach, ani nie mówię źle o

zmarłych, którzy nie mogą się bronić. Wchodzi także w grę sprawa żywych, którzy, jak pani dobrze wiadomo, mogą skarżyć o zniesławienie.

- Ale, panie Mather, czy pan nie myśli...

- Proszę pani, postawiła pani pytanie, proszę pozwolić mi na nie odpowiedzieć. W rzeczywistości moralność Madeleine Bayard jest tu nieistotna. Gdy patrzy pani na wspaniałość Kaplicy Sykstyńskiej, czy obchodzi panią, że Michał Anioł był udręczonym homoseksualistą? Kto pamięta, że Caravaggio był rozpustnym i kłótliwym facetem, który zabił człowieka w trakcie burdy i umarł gwałtowną śmiercią? Takim rodzajem materiału zajmujecie się zwykle w Małym Detektywie... a tu jest galeria sztuki, a nie knajpa. Materiał, jaki mamy zaszczyt sprzedawać, to marzenia, które wszyscy i tak będziemy musieli na koniec porzucić.

- Mówiąc o marzeniach... - to - szepnęła Chloe - jest New York Times - zdaje się, że ma pan kilka własnych, panie Mather. Jak rozumiem, ma pan zamiar zorganizować serię seminariów w galerii?

- W tej sali - odpowiedział. - Pierwszym naszym gościem będzie Niccolo Tolentino, uznawany we Włoszech za jednego z wielkich konserwatorów. Wygłosi serię dwunastu odczytów w formie seminarium, na temat wszystkich aspektów swojego kunsztu.

- I sądzi pan, że będą słuchacze tego rodzaju prelekcji?

- Tak się wydaje. Wiadomo mi, że od czasu ogłoszenia naszego pierwszego zawiadomienia otrzymaliśmy ponad setkę zgłoszeń - około połowa, to studenci starszych roczników, reszta to personel zatrudniony w instytucjach posiadających kolekcje.

- Panie Mather, w ostatnim Belvedere opublikował pan artykuł, w którym jest mowa o zaginionych, jak dotąd, dziełach Rafaela. Czy wywołało to jakiś oddźwięk?

- To zadziwiające, ale tak. Kopie dwóch obrazów - mówiąc dokładnie: jedna kopia każdego - zostały odszukane i zidentyfikowane.

- To znaczy fałszerstwa?

- Nie, to znaczy dokładnie to, co powiedziałem: kopie. Nie mogę nic więcej teraz panu powiedzieć, ze względu na wymaganą poufność, ale można oczekiwać wkrótce dalszych komunikatów.

- Na temat oryginałów?

- Mam nadzieję.

Nastąpiła chwila przerwy w pytaniach, była to jednak cisza przed burzą. Dziewczyna z tylnego rzędu podniosła w górę arkusz papieru rysunkowego.

- Jest to, jak mi powiedziano, szkic wykonany przez Madeleine Bayard w jej pracowni. Jest bardzo erotyczny, niektórzy mogliby go nazwać pornograficznym. Jak pan to skomentuje, panie Mather?

- Dam pani dobrą radę. Niech pani tego nie wypuszcza z ręki, bardzo szybko nabierze dużej wartości.

- Czy Madeleine Bayard tworzyła pornografię, panie Mather?

- Jeżeli pyta mnie pani, czy malowała lub rysowała studia erotyczne, to odpowiem, że z całą pewnością tak. Nie akceptuję jednak pani punktu widzenia. J.M. Turner był podglądaczem i bywał w londyńskich burdelach, aby rysować oglądane sceny. John Ruskin, który nie był najlepszy w dziedzinie seksu, podjął się go zniszczyć. Zysk czy strata? Czy to ważne? Czy jeszcze jedna notka do spuścizny wielkiego malarza? Decyzja należy do pani.

- Panie Mather? - Płaczliwy głos ze środka sali należał do wysokiej, kanciastej kobiety w nieokreślonym wieku i o bardzo wydatnej szczęce. - Wydaje mi się, że pan nas gani. Dlaczego pan to robi?

Całe napięcie naraz w nim opadło. Uśmiechnął się szeroko, wzruszył ramionami i usprawiedliwił się z wymownym gestem.

- Dlaczego? Bo ja jestem nowy i jak ktoś mnie popchnie, to i ja go popchnę. Ale prawdziwy powód jest przed wami. - Dał krok do tyłu i zerwał białe prześcieradło zasłaniające sztalugę i pokazał główne dzieło wystawy: „Żebraczkę”. Przypatrzcie się dobrze, panie i panowie, a potem zdecydujecie, co jest istotne a co nie.

Gdy schodził z mównicy, rozległy się jakieś rozproszone oklaski, a potem rozpoczął się zgodny ruch do oglądania obrazu, podczas gdy kamerzyści przepychali się, żeby zrobić swoje ujęcia. Chloe Childers pokazała mu dyskretnie kciuk do góry. Anna-Maria ścisnęła za rękę i szepnęła podziękowanie.

A więc, na dobre czy na złe, było po wszystkim. Zatrzymał się na chwilę z Anną-Marią do fotografii, kilku słów do telewizji i kilku cukierkowych pytań plotkarskich dziewczyn. Potem wycofał się na górę, aby zatelefonować do Munsela i zwierzyć mu się z ostatnich godzin.

- Powinieneś wiedzieć, że wczoraj wieczór miałem długie spotkanie z Anną-Marią Loredon. Ed Bayard ma prosić ją o rękę - uważałem, że powinna znać całą prawdę.

Reakcja Munsela była łagodniejsza, niż się spodziewałem.

- Nie sądzę, żeby to było rozważne. Zgadza się, że prawdopodobnie było konieczne. Jak to przyjęła?

- Wydaje mi się, że całkiem dobrze.

- Jakie ma zamiary względem Bayarda?

- Odmówić z podziękowaniem.

- Problemy okażą się później. Ale co my z nim zrobimy?

- W jakim sensie?

- Ostrzec go, czy uderzyć? Jesteśmy na powrót przy nieujawnieniu przestępstwa, jak widzisz. I tak i tak niezręcznie, nie wiadomo jak lepiej. Nie musisz się specjalnie przejmować. Chcę tylko, żebyś wiedział, że to ja będę miał złe sny.

- A za co klient ci płaci, George? Ja jestem tylko świadkiem, służącym sprawiedliwości. Wróciłem właśnie z wyczerpującej konferencji prasowej.

- Mam nadzieję, że byłeś dyskretny.

- Byłem.

- Ciekawy jestem, co z ciebie zrobią.

- Spodziewam się, że posiekają na hamburgery.

- Ale chciałbym, żebyś przedtem skończył swoją analizę diariusza. Jeżeli potrzebujesz pomocy komputerowej, to służę.

- Dziękuję, ale zrobię to w staroświecki sposób: kolorowe pisaki i poliniowane kolumny. Nie jestem bardzo wykształcony, George.

- Wiem. Nadrabiasz wrodzonym sprytem. To okropnie ryzykowne. Miłego weekendu.

Naraz poczuł brak czegoś. Był piątek. Nie miał ochoty na samotne spędzenie weekendu w SoHo. Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe, szósta wieczór w Zurychu. Zatelefonował do Giseli.

- Zwariuję, jeśli zostanę tutaj na weekend. Spróbuję dostać nocny lot i wylądować w Zurychu jutro, wcześniej rano. Moglibyśmy spędzić razem weekend. Tymczasem daję ci telefon do Claudia Palombiniego. Znajdź go, gdziekolwiek jest. Powiedz mu, że muszę się z nim spotkać w poniedziałek w Zurychu w moim mieszkaniu, bez świadków, że to sprawa życia i śmierci. Zrób to zaraz, dobrze, kochanie? Zadzwoń do ciebie za dwie godziny. Tak... przyjadę oczywiście w każdym razie. Miałaś rację. To jest miasto zbyt pełne pokus dla chłopca ze wsi. A, tak, najnowsza wiadomość to twój przyjazd do Nowego Jorku na otwarcie galerii... Alois cię zwolni. Możesz opuścić jeden wykład na uniwersytecie, zachorować, cokolwiek. To na mój rachunek. Wiem, że wydaję pieniądze jak pijany marynarz, ale od poniedziałku będę albo bogaty, albo w więzieniu.

Gdy powiedział o tym Annie-Marii, zdziwiła się trochę, ale potem kiwnęła głową.

- Rozumiem. Ale wrócisz do przyjęcia u Eda w środę? Nie umiałabym stawić temu czoła bez ciebie.

- Ja również nie umiałabym bez ciebie. - Powiedział jej o duchu ze swojej barwnej przeszłości, pani Lois Heilbrunner i ucieszył się usłyszawszy jej śmiech.

- To jest Max, którego znałam. Bałam się, że go już całkiem straciłam. Byłeś wspaniały dziś rano z prasą. Chłopcze, oni nie byli przygotowani na to, co im zaserwowałeś. Chloe mówi, że podczas gdy jedni byliby cię zjedli, galeria dobrze wypadła, a ujęcia telewizyjne będą świetne.

- Taka to gra - Mather wzruszył ramionami. - Oni uważają, że mogą cię albo wylansować, albo złamać. Mogą, ale tylko wtedy, gdy im pozwolisz. A w końcu to się liczy, co wisi na ścianie. Marzenia to bardzo trwałe towary.

Miał dość poczucia przyzwoitości, żeby sobie uświadomić, jak osobliwie brzmią te słowa w ustach człowieka, który gra w kości o Rafaele, wartości stu milionów dolarów. Gdy pakował się do podróży - ubranie, dokumenty, diariusz Madeleine Bayard, wszystkie ważne papierki - strach ścisnął mu serce. Co innego było grać o rozgłos na Manhattanie, a co innego grać z wielkimi graczami o całą stawkę w pełnym świetle, z wszystkimi konsekwencjami,

Po całonocnym locie wylądował w Zurychu o dziewiątej rano. Gisela przyjechała, aby go przywitać, przywieźć do swojego mieszkania na długie rozkoszowanie się kąpielą, miłością i lunchem. Było to uznanie, późne ale prawdziwe, że to, czego najbardziej mu w życiu brakowało, to poczucie wracania do domu, bycia po choćby najdłuższej nieobecności wśród skrzatów własnego domu. Ten dom mógłby być miejscem ruchomym, ale domowe ognisko i kobieta, która pilnuje, aby nie zgasło, jest jego sercem i wyznacza jego obszar.

Gisela zorganizowała weekend z niezawodną, szwajcarską precyzją.

- Sobota jest wolna dla nas, tylko dla nas. W niedzielę wyjedziemy na wieś i spędzimy dzień w miejscu mojego urodzenia, które jest teraz moim dziedzictwem. Nie wiedziałeś, że jestem posiadaczką ziemską, prawda? Małżeństwo, które prowadzi dla mnie gospodarstwo, zrobi nam lunch. Alois Liepert z rodziną przyjedzie do nas, ponieważ przypuszczam, że chciałbyś z nim pomówić zanim spotkasz się w poniedziałek z Palombinim. Przyjedzie o dziesiątej. Alois proponuje, że weźmie was obu na lunch do Ja'gersverein. Poniedziałek wieczór - dla ciebie i dla mnie. Na wtorek zarezerwowałam ci lot z powrotem do Nowego Jorku. A teraz opowiedz mi o wszystkim, co robiłeś...

Było to długie i często chaotyczne opowiadanie i doprowadziło w końcu do pytania Giseli.

- Co ty naprawdę chcesz zrobić ze swoim życiem, Max?

- Nie jest mi łatwo odpowiedzieć. Spróbuję wyrozumować coś z twoją pomocą, bo właśnie zaczynam dochodzić do porozumienia z samym sobą. Opowiadałem ci o mojej matce i moim ojcu, i długoletnim konflikcie pomiędzy nimi. Nie potrafiłbym sprostać tego rodzaju walce w moim własnym życiu małżeńskim. Najprostszym więc rozwiązaniem byłoby nigdy się nie ożenić i zachować zawsze wolność odejścia od niezadowolającego związku. No dobrze. Ale co było zadowolającego we mnie? Poza wszystkim, jestem całkiem dobrym naukowcem, mam gruntowne wykształcenie. Mój doktorat był niezły. Zawdzięczam to wszystko mojemu ojcu - fundamentalny szacunek dla wiedzy. Mojej matce zawdzięczam wiele niezaspokojonych pragnień i przekonanie, że świat winien mi jest lepsze życie niż mam... i, mówiąc szczerze, zabrałem się za korzystanie z niego. Pytasz mnie, co chcę zrobić ze swoim życiem. Dwie rzeczy. Chcę załatać dziury w mojej erudycji - i równocześnie zarabiać na sobie i na ciebie swoimi zdolnościami. Cieszy mnie to, co teraz robię - pośpiech, krzątanie. A jestem najlepszy, gdy wierzę w to, czym się zajmuję - jak na przykład kolekcja Bayard. Rozumiem Niccolò Tolentina i Guida Valente. Myślę, że rozumiem ciebie, a wiem, że ciebie kocham. Ty jesteś z tego rodzaju ludzi, którzy w takich jak ja podtrzymują uczciwość. Więc w idealnym świecie, co chciałbym robić? Zarabiać dość pieniędzy na tym co robię, aby ożenić się z tobą i założyć rodzinę. Mieć dość czasu na stypendium, którym Guido Valente pomachał mi przed nosem i zacząć porządkować swoją akademicką wiedzę... - Przerwał, śmiejąc się z siebie, trochę zażenowany. - To jest plan gry. Bóg jeden wie, czy będę umiał go wprowadzić w życie.

- Jestem pewna, że będziesz umiał, kochanie. - Gisela położyła chłodną rękę na jego policzku.

- Ale nic z tego się nie stanie, dopóki...

- Dopóki cena za pannę młodą nie zostanie zapłacona i nie zostaną obmyty krwią jagnięcą! - przerwał Max. - To chciałeś powiedzieć, prawda?

- Nie, Max! To okrutne. Dla ciebie i dla mnie.

Jej oczy były pełne łez. Wziął ją w ramiona i trzymał długo przyciśniętą do siebie, patrząc ponad jej ramieniem w bardzo niepewną przyszłość.

Gdy Claudio Palombini przyjechał w poniedziałek za piętnaście jedenasta przed południem do mieszkania w Sonnenbergu, Mather czekał na niego ze świeżą kawą i niewielkim plikiem poukładanych dokumentów i notatek. Podał kawę, po czym rozpoczął bez wstępu.

- Claudio, jesteśmy bardzo blisko sukcesu. Poprosiłem tu ciebie, ponieważ następne ruchy są zasadnicze i zanim zostaną zrobione, wymagają całkowitego zrozumienia z obu stron. Cokolwiek zostanie w tym pokoju powiedziane, jest poufne i nie będzie nigdy mogło być przedmiotem dochodzenia przed sądem. Czy mówię jasno?

- To, co mówisz jest jasne, Max. Ale motyw jest wciąż tajemniczy. Mamy kontrakt, podpisany i potwierdzony notarialnie - wydaje więc mi się, że nie ma żadnej potrzeby jego zmiany?

- Żadnej - powiedział Mather. - To jest nasz punkt wyjścia. Popatrz teraz na to. - Położył przed nim na stole fotografie obu portretów i pięciu rycin.

Palombini patrzył na nie w zdumieniu. - Uważasz...?

- To jest twój przodek, donna Delfina. To jest jej córka, panna Beata. To jest pięć rycin do ołtarza w kaplicy wotywniej św. Gabriela, która istniała na terenie posiadłości Palombinich.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Rzeczywiście istniała. Była sceną gwałtu i morderstwa wiejskiej dziewczyny. W siedemnastym wieku została zsekularyzowana i zburzona.

- I wiesz, gdzie są te dzieła?

- Wiem. Widziałem je... Sprawdziłem ich autentyczność. Nawet widziałem kopie tych dwóch portretów. Ale odśwież tym sobie swoją rodzinną pamięć.

Wręczył mu listy otrzymane przed kilku tygodniami od Guida Valente. Palombini przeczytał go wolno, po czym oddał mu z powrotem. - Powiedział cicho: - już dawno powiedziałem, Max, że cię nie doceniałem. Mów dalej, proszę.



- Eberhardt umarł w Brazylii. Gdy byliśmy razem w St. Moritz, dowiedziałem się, że Camilla Dandolo wróciła do Włoch i mieszka w Mediolanie. Byłem u niej. Pokazałem jej fotografie. Rozpoznała dwa portrety jako te, które jej mąż nabył w czasie wojny od Luki Palombiniego. Po jego śmierci, sprzedała je brazylijskiemu dealerowi. Teraz są w Nowym Jorku, oferowane Henriemu Berchmansowi z firmy Berchmans et Cie, o którym niewątpliwie słyszałeś. Palombiniemu wydłużyła się twarz.

- Więc straciliśmy je.

- Nie. Osobiście sprawdziłem w obecności Berchmansa, że są to kopie. Monogram kopisty jest namalowany na każdym z nich, a deska jest dębowa zamiast cedrowej. Teraz przeczytaj to.

Podał mu kopię oświadczenia, jakie złożył Niccolo Tolentino po obejrzeniu portretów. Palombini przeczytał je i zaczął bić się dłonią w czoło.

- Głupiec, głupiec! I to wszystko w naszym mieście, pod moim durnym nosem, a ja niczego nie wiedziałem. Wreszcie zaczynam rozumieć, za co płacę. Ale najważniejsze pytanie: gdzie są teraz te dzieła?

- Wszystkie bezpiecznie przechowywane w oddzielnych miejscach. Ryciny są pod specjalną opieką w warunkach muzealnych.

- Kto je posiada?

- Spółka, która handluje dziełami sztuki i innymi rzeczami.

- Czy sprzedadzą? Czy zgodzą się na sumę, którą wymieniłeś w twoim kontrakcie - dziesięć procent opłaty windykacyjnej?

- Mam podstawy do przypuszczenia, że tak.

- Więc na co czekamy?

- Na rozwiązanie problemu - dwóch problemów w rzeczywistości, chociaż jeden zależy od drugiego. Pierwszy problem, to tytuł własności i pochodzenie. Wyobraź sobie, że uzyskujesz teraz te obrazy i chcesz je wystawić na sprzedaż - legalnie, a nie na czarnym rynku - musisz okazać jasny tytuł własności. Możesz go udowodnić na podstawie dokumentu z 1505 roku. Możesz go udowodnić, aż do luki w czasie wojny. Potem następuje długa przerwa ponad czterdziestu lat. Teraz, nawet przy prywatnej sprzedaży, bez rozgłosu aukcji, będzie to niepokoiło nabywcę z dużymi pieniędzmi. Nigdy nie mógłby być pewny, że jego własność jest niepodważalna. Drugi problem, który jest mniej ważny,

ponieważ dzieła te są de facto poza granicami Włoch, to sprawa wywozu dzieł sztuki, ale wobec czterdziestoletniej przerwy w historii, tę trudność dałoby się prawdopodobnie obejść.

- To mi mówi - Claudio udzielił mu aprobaty skinieniem głowy - że znalazłeś już rozwiązanie.

- Jest najlepsze, jakie mógłbyś uzyskać.

- Jednak już mnie wystraszyłeś - powiedział Palombini. - Pamiętaj, że z końcem czerwca tak czy owak zbankrutuję.

- Polegaj na mnie, Claudio... pazienza! Zaczął wyklądać na stół dokumenty.

- Po pierwsze: list Valente'a i oświadczenie Tolentina wyraźnie wskazują na różnego rodzaju wojenne transakcje wywozowe Luki Palombiniego. Sama rodzina wykazuje się od długiego czasu ciągłą obecnością handlową w Szwajcarii. To mniej lub więcej tłumaczy sprawę wywiezienia.

- Po drugie: Pia i ja byliśmy kochankami. Ona od czasu do czasu robiła mi kosztowne prezenty. Oto kartki przez nią własnoręcznie napisane. To dwa z jej podarków - stary zegarek, warty co najmniej sto tysięcy dolarów i puzderko na cukierki, Ludwik XIV, warte trzydzieści.

- Po trzecie: fotokopia własnoręcznego testamentu Pii, którą mi wręczyłeś w dniu, w którym został odczytany w willi. Zauważ, że wśród jej zapisów dla mnie jest obiekt z archiwum, pod warunkiem, że nie jest to manuskrypt i nie spowoduje uszczerbku w historii rodziny.

- Po czwarte: to przedmiot, który wybrałem - nawoskowana torba płócienna, zaszyta dratwą, którą wywoziłem zapieczętowaną z kraju. Nikt - nawet ty, Claudio - nie zaprzął sobie głowy, aby zapytać mnie, co sobie wybrałem. Bez chwili wahania zgodziłeś się oddać całe rodzinne archiwum do Biblioteki Narodowej i ta torba byłaby z nim poszła.

- Po piąte: prawni pełnomocnicy spółki, która obecnie posiada te dzieła sztuki, zrobią dokładnie to, co im zalecą akcjonariusze.

- A więc, tak wygląda twój tytuł własności i pochodzenie tych dzieł, gdybyś zechciał ich użyć. Jeżeli chcesz o nie walczyć, będziesz oczywiście walczył wbrew własnemu interesowi, natychmiastowa sprzedaż obrazów nie będzie możliwa, a ślad sporu będzie na niej ciążył przez dekady.

Przez długą chwilę Claudio siedział, wpatrując się w rozłożone przed nim papiery i fotografie. Mather napełnił ponownie kawą jego filiżankę i przysunął ją do niego. Palombini pociągnął letniego płynu, a potem przyłożył do ust jedwabną chusteczkę.

W końcu martwym, zimnym głosem zapytał:

- Czy to wszystko jest w ramach początkowego kontraktu? Jeśli nie, to ile więcej będzie to mnie kosztowało?

- Kontrakt mówi o piętnastu procentach tego, co otrzymasz - czyli po odjęciu prowizji licytatora lub dealera.

- Tak jest.

- Wiesz, że oni wezmą dwadzieścia.

- Tak.

- Za znacznie mniej pracy, niż ja zrobiłem. Beze mnie, Claudio, te dzieła wyszłyby całkiem z twoich rąk, a jak mi powiedziano, te dokumenty umożliwiają, we Włoszech lub poza ich granicami, sądowe wygranie praw do tych dzieł sztuki. Własnoręczny testament jest bardzo przekonującym narzędziem, jak wiesz. Skala podarunków Pii była zawsze bardzo wielka... Ja byłem nie tylko po prostu jej kochankiem, ja byłem jej wiernym przybocznym sługą.

- Jesteś *mascalzone*, Max, kanciarzem. Mather uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Ja to mogę powiedzieć, Claudio, ty nie, ponieważ dokumenty mówią coś przeciwnego. Jestem kupcem, tak jak ty - ostrym kupcem, ale zawsze jedną nogą w granicach prawa a pół kroku poza nimi, jak Luca l'ingannatore, nie?

- Na miłość boską - skończmy z tą komedią. Podaj cenę.

- Pięć procent.

- To w sumie daje dwadzieścia - tylko dla ciebie.

- Przyznaję, że to dużo, ale beze mnie nie miałbyś nic, prawda?

- Nie spierajmy się dłużej. Jak to załatwimy?

- Najpierw... - Mather mówił niezmiernie łagodnie - najpierw pójdziemy do Ja'gersverein na lunch z Aloisem Liepertem. Potem do jego biura, gdzie kilka dokumentów czeka na twój podpis. Pierwszy dokument to uznanie, że Rafaele przechodzą na mnie, częściowo jako dar, częściowo jako spadek po Pii. Drugi dokument jest rachunkiem, zgodnie z którym sprzedaję ci Rafaele za sumę pięciu milionów dolarów. Trzeci dokument jest zrzeczeniem, które podpisujemy obaj, stwierdzającym, że żadna ze stron nie będzie wysuwać dalszych roszczeń. Całkowity koszt dla ciebie wynosi pięć procent

ceny rynkowej, tylko trzecia część tego, co jesteś zobowiązany mi zapłacić na zasadzie istniejącego kontraktu.

Claudio Palombini wpatrywał się w niego z kompletnym niedowierzaniem

- Nie mogę w to uwierzyć. Oddajesz prawie dziesięć milionów dolarów. W czym jest haczyk?

- W tym, co by było, gdybym tego nie zrobił. Na podstawie tych dokumentów ja mam większe prawa niż ty. Napisałeś do mnie list, zrzekając się wszelkich praw do Rafaelów, pamiętasz? Również ja jestem dla rządu włoskiego bezkarny... a ty jesteś. Pomimo tego, moje roszczenie mogłoby zostać zakwestionowane, cała więc transakcja mogłaby zakończyć się w mamrze. Z mojego punktu widzenia oceniam, że zarobiłem tyle, ile mi się należy, bo ty po prostu nie mógłbyś zrobić tego, co ja zrobiłem, windując Rafaele na najwyższy poziom rynkowych cen. D'accordo!

- D'accordo - zgodził się Palombini. - Jest jednak jeden haczyk: ja nie mam pięciuset tysięcy dolarów do wydania, co więc mówić o pięciu milionach.

- To proste - powiedział śmiejąc się Mather. - Zatrzymamy obrazy, dopóki nie zostaną sprzedane. Alois Liepert ma dokumenty i okaże je w razie potrzeby. Jednakże jeszcze jedna sprawa... będziesz musiał zdecydować, kto wystawi obrazy na sprzedaż i gdzie. Mam pewne propozycje w tej sprawie... a jedna z nich, to żebyś przyjechał do Ameryki.

- Zostaw to do lunchu - powiedział Palombini. - Teraz najbardziej mi potrzeba mocnego drinka.

- Jest nas do tego dwóch.

Gdy nalewał drinki, Claudio zapytał:

- Dlaczego, Max? Wyjechałeś wolny. Wróciłeś i zrobiłeś taki parszywy interes. Dlaczego?

- Przeczytałem mojego Dantego. - Mather uśmiechnął się szeroko do niego ponad szklanką. - „O dignitosa coscienza e netta”. Ja tylko odkryłem moją.

Po raz pierwszy Claudio odpowiedział na uśmiech i podniósł swoją szklankę do toastu.

- Palombini należą do innego wieku. My połamaliśmy nasze zęby na Machiavellim.

Po lunchu w Jagersverein przyszła kolej na wizytę w podziemiach, dla obejrzenia portretu donny Delfiny, która obecnie była jedynym tam pozostawionym Rafaelem. Reakcja Palombiniego była

niemal taka sama jak Tolentina. Trzymał obraz w wyciągniętych rękach, wpatrując się w niego ze łzami w oczach. Potem odwrócił się do nich z drżącym uśmiechem.

- Musicie mi wybaczyć, ale w tym momencie ona wygląda jak cudowny obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Nie umiem wam opowiedzieć, jak się czułem przez ostatnie miesiące, obserwując jak tonie przedsiębiorstwo, które budowali moi przodkowie... Muszę cię przeprosić, Max. Paskudnie cię nazwałem... a ty już drugi raz przychodzisz w odsiecz mojej rodzinie.

- Łatwo się wzruszam, Claudio.

- Wszyscy powinniśmy się wzruszyć - powiedział Alois Liepert. - Chodźmy do biura podpisać te papiery.

- Idźcie razem z Claudiem. Dołączę do was później - idę kupić pierścionek zaręczynowy.

- Idź do Barziniego - poradził Claudio. - To tylko parę kroków stąd, po lewej. Daj mu tę kartę, a udzieli ci przyzwoitego rabatu. To nasz, budynek - i pozostanie nasz, o ile mistrz Rafael z Urbino zapłaci nasz dług hipoteczny!

Przy obiedzie, tego wieczora Mather wsunął pierścionek na palec Giseli i cicho powiedział:

- Chciałbym żebyś wiedziała, kochanie, że jesteś najdroższą kobietą, jaką kupiłem. Kosztowałaś mnie dzisiaj dziesięć milionów dolarów! Na co odpowiedziała w swoim wiejskim, lojalnym stylu:

- Jestem pewna, że uznasz, iż jestem tego warta co do centa - i jestem całkiem pewna, że będę nią dłużej niż tamte.



## ROZDZIAŁ 18

Natychmiast po przybyciu na lotnisko Kennedy'ego, Mather zatelefonował do Berchmansa i umówił się, że wpadnie do niego do galerii, po drodze do miasta. Rozmowa była żywa i rzeczowa.

- Palombini ma teraz pełne prawa własności do Rafaelów, pod warunkiem wypłacenia mojej należności - rozpoczął Mather. - Wciąż więc kontroluję sytuację. Pochodzenie jest czyste i udokumentowane, raczej jednak nie powinniśmy go rozgłaszać.

- I wszystkie dokumenty są koszerne?

- Całkowicie: własnoręczny testament, dedykacje do prezentów, umowa sprzedaży...

- A moja pozycja?

- Palombini przylatuje na wystawę Bayard, ale głównie na spotkanie z tobą. Skontaktowałem go już z twoimi szwajcarskimi kolegami, ponieważ mam nadzieję później robić z nimi interesy, tak samo jak z tobą. Sugerowałem albo waszą współpracę przy wszystkich pozycjach, albo ich podział pomiędzy was. Twoja konferencja z Palombinim może doprowadzić do innych rozwiązań. Zrobiłem tak, jak obiecałem. Reszta zależy od ciebie.

- Doceniam to, co zrobiłeś. Jesteś bardzo skrupulatny.

- Jeszcze jedno. Palombini przywiezie ze sobą oryginalną donnę Delfinę. Będzie miał swoją obstawę w samolocie, ale będzie potrzebował twoich ludzi tutaj, bezpiecznego przechowania w twoich podziemiach i ekstra zabezpieczenia podczas pokazu. Będziesz mógł skorzystać z okazji do zainteresowania nabywcy, zwłaszcza wobec obecności tutaj Tolentina. Czy procedura związana z wystawą jest uzgodniona?

- Oczywiście.

- Będzie wzmianka o wspaniałomyślnym wypożyczeniu przez ciebie wczesnych prac Bayard.

- Dziękuję. Pięknie się zarumienię - odpowiedział Berchmans.

- Czy Harmon Seldes będzie czynił honory, gdy przedstawię na górze Tolentina?

- Początkowo był bardzo niechętny - ciągle jest bardzo uczulony na ciebie - ale teraz, gdy poczuł pieniądze, znowu będzie się łaślił. Ale przy okazji, jak na parę nowicjuszy, ty i panna Loredon nie wypadliście najgorzej w prasie, a telewizyjne ujęcie „Żebraczkii” było znakomite. Już ją zarezerwowałem dla siebie.

- Myślę więc, że na dzisiaj wszystko jest w najlepszym porządku.

- A jak jest z resztą, Max? Z policją, z tą Danziger, z samym Bayardem?

- Wokół jest ciągle sporo min. Mam nadzieję, że żadna nie wybuchnie przed wystawą. A, byłbym zapomniał. Tu są fotokopie, odnoszących się do ciebie fragmentów dziennika Madeleine Bayard - a to kilka szkiców, które mogłyby ci się przydać do reklamy!

Berchmans przejrzał je szybko i roześmiał się w swój chrapliwy i hałaśliwy sposób.

- Ależ ona wierzy w moją potencję. Mój Boże, co za dowody uznania!

- Miło mi, że cię ucieszyły.

- Weź to w ten sposób, Max: nie będę musiał za nie płacić żadnej łapówki.

- Tu masz numer lotu Palombiniego i oczekiwany czas przylotu. Jeśli wyślesz limuzynę i obstawę, tutaj zatrzymamy się najpierw po drodze i będziesz mógł go przejąć. A teraz muszę iść. A *bientot!*

- A *bientot...* i jeszcze raz moje gratulacje. Bardzo skrupulatnie i bardzo starannie to przygotowałeś.

- Jeszcze chciałbym ci coś przypomnieć, Henri.

- Tak?

- Palombini wyszedł już z ukrycia. Nie próbuj go więc zbyt mocno naciskać.

- Jesteś za mądry, jak na swoje lata. - Berchmans machnął za nim ręką. - Pouczać, to możesz swoją babcię!

Anna-Maria była rozczochrana i zajęta, ale weselsza niż w ostatnim okresie. Miała teraz w biurze pomocnika o śmiałej twarzy, miłym uśmiechu i zanikających obecnie już manierach. Pokazała Matherowi pierwsze wycinki prasowe, które zajmowały w albumie ponad osiem stron. Większość była dobroduszna, kilka całkiem pochlebnych, a wszystkie wspominały nagły, teatralny gest odsłonięcia „Żebraczki”.

- Naprawdę nie mogliśmy spodziewać się lepszego wyniku, Max... już sprzedaliśmy pięć sztuk. Twoi znajomi ze Szwajcarii zamówili trzy. Berchmans chce „Żebraczkę”, a jeden z uczestników konferencji prasowej jest wydawcą z dziedziny sztuki, ale również kolekcjonerem. Kupił jedno z mniejszych płócien - „Chłopca przy gołębniku”. Wydaje się, że zaczęła się nasza szczęśliwa passa.

- Jestem tego pewien. Co słyszeć u Eda Bayarda?

- Niewiele. Przesłał mi listę gości na swój obiad. Wszyscy są z wielkich instytucji kolekcjonerskich - MOMA, Metropolitan, Whitney, Guggenheim - oraz kilku wielkich dealerów. Zauważyłam, że nie zaprosił Berchmansa. Zastanawiam się, dlaczego?

- Nie pytaj. Czy była jeszcze mowa o małżeństwie?

- Nie wprost. Ciągłe mówi o dyskusjach, zastanawianiu się, na czym stoimy - po wystawie oczywiście. On rozpaczliwie potrzebuje twojego przyzwolenia, Max. Teraz, gdy wie, że jesteś zaręczony z inną kobietą, bierze cię, zdaje się, za kogoś w rodzaju mojego starszego brata czy ojca. Powiedział również, że policja chce znów z nim rozmawiać. Czuję się okropnie, wiedząc to wszystko...

- Nie myśl o tym. Nie współczuj. - Mather był stanowczy. - Obiecałaś trzymać język za zębami. Rób więc tak dalej i zajmij się robotą.

- Dlaczego jesteś wobec niego taki brutalny, Max?

- To nie o niego chodzi, tylko o ciebie. Dla Anny-Marii Loredon litość może być tak mordercza jak cykuta. Chodźmy teraz na górę, rozpakuję się i opowiem kilka dobrych nowin. Będziemy mieli otwarcie, jakiego w Nowym Jorku nie widziano od lat: podwójne...

- Nie, Max, proszę.

- Kobieto, nie proś mnie. Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć.

Słuchała, protestowała, przekonywał ją, w końcu zgodziła się. Będzie to wieczór podwójny. Gdy zaproszeni goście zrobią zwyczajową rundę wokół wystawy i nie będzie już trzeba wydawać czerwonych etykietek, wszyscy pójdą do sali konferencyjnej na piętrze spotkać się z Niccolem Tolentinem i wysłuchać prezentacji programu jego seminariów.

Było to ryzykowne. Nie tylko publiczność będzie ospała po szampanie, kanapkach i recenzenckiej biegunce; ale manhattańskie bawoły artystyczne nigdy nie odznaczały się tolerancją i dobrymi manierami. W końcu, po kilku drinkach Anna-Maria powiedziała:

- Po co mamy się martwić o naszą dobrą passę. Będziemy jej dosiadać, dopóki nie spadniemy! Potem wzniosła swoją szklankę w toaście, z kwaśną refleksją.

- A więc mój Max w końcu wpadł. Z góry jej nienawidzę, tej twojej Giseli. Ale życzę wam obojgu jak najlepiej. Naprawdę.



Przyjęcie u Edmunda Justina Bayarda było jakby odbiciem jego samego: formalne, punktualne, pełne zawodowych talentów, zalatujące pieniądzem, starym i nowym. Rozmowa toczyła się w klubach i klikach, zainteresowanie skupiało się zawsze gdzieś ponad ramieniem rozmówcy. W przypadku pani Lois Heilbronner składało się to akurat dobrze, ponieważ interesowała się bardziej nowym, młodym dealerem z 57-ej Ulicy niż Maxem Matherem, którego przesunęła do rejestru „drogich przyjaciół i mądrych ludzi”.

Jednakże zgromadzenie było trafnie dobrane. Było czterech wielkich dealerów. Reszta to byli szefowie instytucji kolekcjonerskich i ich damy, przewodniczący komitetów, gromadzących fundusze, grup ochotniczych przewodników i grup rekrutacji nowych członków. Byli arbitrzy smaku, jeśli nie tylko mody. To, co oni dziś kupują, będzie jutro dość pewne na rynku sztuki, ale co będzie trwałe, a co czas pochłonie, tylko sam czas pokaże.

Rytuał wieczoru był dokładną kopią procedury dyplomatycznej. Bayard i Anna-Maria witali gości, kelnerzy częstowali ich szampanem i kanapkami i kierowali dyskretnie do salonu, gdzie wisiała prywatna kolekcja Bayarda. Salon był dostatecznie duży i urozmaicony, aby rozbić tłum na grupki i dostarczyć im tematów do rozmów i pretekstów do jednej czy drugiej złośliwej uwagi. Nie było wulgarnych etykietek z nazwiskami. Była to jakby prawdziwa rodzina starszych, do których Mather zwracał się wytrwale z kurtuazją: - Nie spotkaliśmy się jeszcze. Nazywam się Max Mather, współpracuję z Anną-Marią. - Jeśli miał szczęście, doprowadzało to krótkiej rozmowy, jeśli nie, słyszał grzeczne odmruknięcie, które pozwalało mu oddalić się po nowy kieliszek szampana.

Obiad podano w dużej sali jadalnej, gdzie po raz ostatni zostały wystawione obrazy Madeleine Bayard - pomysł teatralny, który nawet najbardziej zahartowanym znawcom zaparł dech z wrażenia. Uwaga była nieustannie podzielona pomiędzy potrawy i obrazy, a ciepły strumień pochwał płynął do Bayarda z jednej strony stołu, a do Anny-Marii z drugiej. Jednoznacznie domagano się przemówienia - jeśli nie oracji

- Bayard wygłosił je pomiędzy deserem a serami.

- Moi drodzy przyjaciele, dziękuję wam za to, że jesteście ze mną w ten wieczór, ostatni, jaki spędzam z obrazami Madeleine w tej sali. Jutro zostaną przewiezione do galerii panny Loredon, pokazane na publicznej wystawie i wystawione na sprzedaż. Oznacza to dla mnie koniec jednego życia, wierzę jednak, że może być początkiem drugiego, lepszego. Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi.

Nie jest tajemnicą, że Madeleine i mnie nigdy nie udało się stworzyć szczęśliwego małżeństwa, ale choć brzmi to dziwnie, było ono trwałe i wyrosły z niego jak maki na pobojuwisku, cudowne, naprawdę cudowne dzieła, które was otaczają. Toast ten, który teraz wznoszę do was, zawiera zarówno mój salut dla kobiety, która je namalowała, jak i moje podziękowanie dla odważnej młodej kobiety, która zaryzykowała wszystko co ma, aby wystawić je w nowej galerii. Łączę się z nimi obiema w tym toaście, ponieważ artystka nie może żyć bez patrona, który ją prezentuje, a bez artystki patron jest pozostawiony - tak ja będę - w pustej sali. Madeleine, żegnaj! Anno-Mario, witaj!

Nawet dla Maxa, który znał wiele tajemnic, było to wzruszające przedstawienie. Wiele kobiet płakało otwarcie, a mężczyźni wycierali nosy i nieco za głośno zawtórowali toastowi. Mather zerknął na Annę-Marię. Miała szarą jak popiół twarz, palce splecione na stole i wpatrywała się w swoje zbielałe kostki. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, która kusiła go do powstania i wygłoszenia za nią krótkiego przemówienia z podziękowaniem, ale powstrzymał się. To było prywatne zgromadzenie Bayarda, niech prowadzi je na swój sposób. W końcu wstał ktoś od Whitneya, wygłosił odpowiednią i taktowną odpowiedź i usiadł wśród zasłużonych oklasków.

Potem wydawało się, że to już zakończenie. Podano kawę i likiery. Nikt nie chciał palić. Przyjęcie zmierzało do stosownego zakończenia. Ku zaskoczeniu Mathera, Anna-Maria wyszła pierwsza, odwieziona do domu przez służącego Bayarda. Nie zaproponowała mu odwiezienia, ale zanim wybiegła, szepnęła mu w przelocie - zadzwoń, gdy będziesz w domu.

Gdy Mather zabrał się do wyjścia, Bayard przytrzymał go.

- Proszę, nie idź jeszcze. Muszę z tobą porozmawiać. Przejdź do mojego gabinetu - jest tam kawa i brandy.

Nie było żadnego powodu aby odmawiać. Zrobił to, o co został poproszony. Gdy Bayard wrócił po kilku minutach, wydawał się wystarczająco trzeźwy, ale zdenerwowany i napięty.

- Moje przemówienie wytrąciło Annę-Marię z równowagi. Była, jak się wyraziła, zła i zażenowana. Powiedziała mi, że chce być sama. Czy powiedziałem coś obraźliwego?

- Obrażliwego nie, uważam że było to bardzo stosowne i godne przemówienie. Ale łączenie tych dwóch kobiet w jednym toaście było trochę nietaktowne.

- O Boże, nie myślałem o tym w ten sposób - to miałem na myśli, co powiedziałem.

- To było oczywiste.

- Zwłaszcza na temat rozpoczynania nowego... czy to jest możliwe, jak myślisz?

- Ogólnie biorąc zawsze jest możliwe.

- Ale w szczególności dla mnie?

- Ed, to nie jest właściwe pytanie. Co ja wiem? Co mogę wiedzieć o twoich potrzebach, co może być dla ciebie nowym startem?

- Wiesz, że jedno - małżeństwo z Anną-Marią.

- Wiem, że chcesz się z nią ożenić - ale to nie o to chodzi, prawda? Daj spokój, Ed. Jest późno... - Próbował obrócić to w żart. - Nie jestem na małżeńskim targu. Jestem w końcu po słowie i właśnie kupiłem bardzo drogi pierścionek zaręczynowy dla mojej Giseli, którą zresztą poznasz na otwarciu.

- Mam nadzieję, że nie jest artystką.

- Nie. Jest prawniczką, jak ty. Wykłada prawoznawstwo w Zurychu.

- Masz więc szczęście. - Bayard zaczął tracić panowanie nad sobą. W jego wyglądzie i sposobie mówienia było obłądne natężenie. - Madi i ja... nie mieliśmy, do diabła, najmniejszej szansy. Widzisz Max, artystki różnią się od nas. One przynależą do innej płaszczyzny bytu. One są święte, magiczne - jak prostytutki świątynne albo westalskie dziewice. To nie znaczy, że są dobre lub złe - one są inne. One nas nie potrzebują. Gdy są smutne, zadowolone, czy przerażone nie zwracają się do nas, wspinają się do swojej wieży milczenia i patrzą na krajobrazy, których nigdy nie poznamy, a kiedy schodzą, są oczyszczone i odświeżone, i przynoszą swoje prace jak talizmany pocieszenia. Ale nie dla nas, Max. My ciągle się martwimy o nie i o naszą stratę. Z Madi to nie były niewierności, perwersje. Mógłbym to znieść... znosiłem to. Ale nie mogłem nigdy wytrzymać osobności, różnicy, nigdy, nigdy niedzielenia się niczym ze sobą. Czy ty wiesz cokolwiek o mitologii, Max?

- Trochę. Dlaczego?

- Nemezis, Max. Nemezis była kobietą. Była córką Nocy, mścicielką na tych, którzy byli zuchwali wobec bogów, którzy nie umieli rozumieć i respektować porządku rzeczy. Madi była moją Nemezis. Ja sądziłem, że mogę zmienić to, co zostało wykute w granicie pierwszego dnia stworzenia. Próbowałem zmienić świętość w zwyczajność, magię w banał. Dzisiaj próbowałem to odwrócić, przywrócić magię, wznieść z powrotem święte znaki. Ale to nie działa. A więc córka Nocy zbliża się do mnie, aby wygzekwować zemstę.

- Ed, mój przyjacielu, jest późno. Objedliśmy się i opili winem, które bardzo idzie do głowy. Powiedzmy sobie dobranoc, co?

- Przykro mi. Powinniśmy. Musimy. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie, Max, tylko jedno.

- Słucham.

- Jeśli poproszę Annę-Marię, aby wyszła za mnie, czy mi odpowie tak, czy nie?

- Nie mogę dać ci na to odpowiedzi, Ed. Zapytaj ją.

- Próbowałem dziś wieczór. Przerwała mi i zażądała odwiezienia do domu.

- Nie możesz jej winić. Miałeś bardzo emocjonalne przemówienie, które wstrząsnęło wielu ludźmi. Przedstaw sobie, jak na nią wpłynęło.

- A czy możesz sobie wyobrazić jak to na mnie działa? Ja jestem na kolanach, ja błagam. Czy prosić o oszczędzenie dalszych upokorzeń to za dużo? Ty ją znasz, Max. Powiedziała mi tak: „Max rozumie. Maxowi nie muszę długo tłumaczyć. Max się zgodzi...” Powiedz mi więc, Max, czy mam szansę? Czy warto czekać?

- W pokoju zapanowała lodowata cisza. Mather miał przed oczami bladą i nieobecną Annę-Marię, siedzącą na miejscu Madeleine przy stole. Miał sucho w ustach, z trudem formułował słowa.

- Nie, Ed, nie masz szans. Ona nigdy za ciebie nie wyjdzie.

- Czy powiedziała dlaczego?

- Wiemy to obaj, Ed.

- Tak. - Bayard uspokoił się nagle. Była to niesamowita zmiana.

- Tak, myślę że wiemy. - Wstał i wyciągnął rękę. - Dziękuję ci, że przyszedłeś, Max. Dziękuję ci, że byłeś uczciwy wobec mnie. Możesz powiedzieć Annie-Marii, że nie będzie już więcej niepokojona. Zobaczymy się na wystawie - będziesz mógł przedstawić mnie twojej szwajcarskiej pani.

- Nie będziesz nadzorował rozwieszania obrazów?

- Nie, to byłoby niestosowne. One nie są już w moich rękach... nic nie jest w moich rękach. Czy chciałbyś zostać odwieziony przez mojego kierowcę?

- Nie, dziękuję. Przejdę się kawałek i złapię taksówkę. Jeszcze raz dziękuję za wieczór.

- Było mi miło. Dobranoc, Max.

Mather nie wrócił prosto do domu, tylko poszedł do mieszkania Anny-Marii. Siedziała w szlafroku i pantoflach przed telewizorem, z kieliszkiem stojącym obok. Poczęstowała go brandy. Odmówił i zapytał:

- Co się dzisiaj stało? Dlaczego tak wybiegłaś?

- Z powodu tego przemówienia, Max. Było niesamowite. To było tak, jakby wobec tych wszystkich ludzi zarzucał na mnie sieć i czułam, że jeśli zostanę złapana, to już nigdy się nie uwolnię. Wtedy, gdy po kawie wszyscy snuli się wkoło, wziął mnie do swojego gabinetu i zaoferował mi, jak to nazwał, szczęśliwy podarunek na otwarcie. Był to zaręczynowy pierścionek Madi... i to była ostatnia kropla. Musiałam wyjść, albo zaczęłabym histerycznie krzyczeć. Boję się najbliższych dni.

- Nie musisz. Rozmawiałem w twoim imieniu... powiedziałem mu, że nigdy go nie poślubisz.

- Jak to przyjął? Czy był zły? Urażony?

- Był zupełnie obłąkany gdy zaczął, ale potem zupełnie się uspokoił. Już po wszystkim, dziewczyno. Nie wracaj do tego, nie próbuj wygładzać i porządkować, aby wyglądało pięknie i ładnie. Nie jest ładne, to paskudna sprawa, ale ciebie nie dotyczy. Nie siedź teraz w domu. Czy mnie słuchasz?

- Słucham cię. Czy chcesz zostać na noc? Za miasto kawał drogi.

- Lepiej będzie jak pójdę, ale w każdym razie dziękuję.

- Czy to znaczy, że poprawiłeś swoją reputację, Max?

- To znaczy, że próbuję. Miałem szczęście i udało mi się znaleźć sobie dom. Jeżeli to zmarnuję, drugiej szansy mogę już nie mieć. Sogni d'oro, bambina, złotych snów!

Niccolo Tolentino przyleciał następnego dnia i został zakwaterowany w pokoju gościnnym w mieszkaniu Mathera. Spędzili kilka godzin na dyskutowaniu programu uroczystości otwarcia i tematów jego wykładów seminaryjnych. Potem Mather wypożyczył go Annie-Marii, aby ocenił krytycznym okiem rozmieszczenie obrazów Bayard. Starszy pan zaaprobował to co zobaczył, po czym wdał się w elokwentne pochwały talentu, tak przedwcześnie zgasłego.

Mather udał się do centrum, aby uczestniczyć w pierwszym spotkaniu z Palombinim i Henrim Berchmansem, którzy nadzorowali właśnie z nabożeństwem jak donna Delfina była starannie odpakowywana i ustawiana w światłach. Palombini przeżegnał się. Berchmans odetchnął z ulgą, co zabrzmiało bardzo podobnie do westchnienia: „Mon dieu! quelle merveille!”. Gdy wznowili rozmowę, nie była to już słowna szermierka, lecz pełna nieomal czci dyskusja - jak to cudo, któremu udało się przetrwać wieki, powinno być pokazane nabywcom. Po spełnieniu swego zadania, Mather pozostawił ich przy tym i poszedł do redakcji Belvedere, zawrzeć pokój z Harmonem Seldesem.

Gest ten miał natychmiastowy efekt - nie bez wpływu faktu, że Seldes miał teraz udział w bardzo zyskowej transakcji Berchmansa. Był również pochlebiony zaproszeniem do przedstawienia Tolentina - a jeszcze bardziej zainteresował się propozycją Mathera, sponsorowania seminariów przez Belvedere. Propozycja ta, w połączeniu z odkryciem Rafaelów uzyskała natychmiastowy dostęp do naczelnej dyirekcji. Seldes obiecał szybką odpowiedź, która jeśli byłaby pozytywna, zostałaaby ogłoszona w czasie uroczystego otwarcia wystawy. Jeśli chodzi o samego Mathera, oczywiście wobec tych wszystkich wydarzeń, jakiś jego awans mógłby zostać rozważony, gdyby chciał kontynuować współpracę.

Max chciał. Jego szczęśliwa passa trwała. Nie miał wyboru, mógł tylko z niej korzystać. Niedobre było tylko - i to bardzo - sprawozdanie Munsela z jego pierwszej konferencji z oskarżycielem.

- Jak na razie są bardzo twardzi, przysięgają że sprawa jest pewna i są gotowi walczyć do końca. Zgodzą się przyjąć naszą prośbę o niski wymiar kary, ale to wszystko, na co mogą pójść w tym momencie. Ale mamy jeszcze trochę czasu. Czy posunąłeś się naprzód w analizie diariusza?

- Niewiele. Miałem dużo własnych spraw na głowie.

- A ja mam na głowie życie kobiety, a sam korzystam z wolności.

- Przykro mi, George. Jak tylko wystawa zostanie otwarta, będziesz miał mnie w całości do dyspozycji. Co mi przypomina... przywożę na otwarcie Giselę. Czy mógłbyś przywieźć Danny Danziger i ją pilotować? To jest chyba właściwy dobór - obrońca i klient.

- Bardzo właściwy - zgodził się Munsel. - Opowiedz mi teraz o przyjęciu u Bayarda.

Śluchał z wielkim zainteresowaniem, jak Mather relacjonował mu wieczorne wydarzenia i poprosił o powtórzenie przemówienia i ich końcowej rozmowy w gabinecie. Jego komentarz był pełen niepokoju.

- Problem z Bayardem polega na tym, że on jest sentymentalny.

- Mów dalej, George.

- Jedno zdanie tkwi w mojej pamięci od dwudziestu lat. George Meredith... zastanawiam się, czy ktokolwiek go jeszcze teraz czyta?

- A co on do diabła ma wspólnego z Bayardem?

- W czymś, wydaje mi się, że to było w Sandra Belloni, napisał: „Rozpacz to sprawa świadoma... wrodzona sentymentalnym ludziom wyższego rodzaju”.

- To bardzo snobistyczny sposób wyrażania się!

- Zastanawiam się, czy tak jest. - Munsel był zamyślony. - Jakkolwiek byś ją definiował, rozpacz jest przypadkiem ostatecznym. Dawni teologowie nazywali ją grzechem przeciwko Duchowi Świętemu. No, ale zobaczymy. Lepiej będzie jak zadzwonię do Danny Danziger i umówię się jako Zaczarowany Książę.

- Miałbyś więcej szans jako księżniczka, George.

- Wiem, ale nie mam odpowiedniej do tego figury.

Trwały jeszcze przygotowania, próby świateł, chodzono nerwowo tu i tam, ludzie klepali się bez żadnego powodu po plecach. Niccolo Tolentino wymknął się ze szkicownikiem i pudełkiem farb, aby uchwycić swoje pierwsze impresje z Małych Włoch. Guido Valente telefonował z Waszyngtonu, że przyjedzie późno, ale że najprawdopodobniej będzie. Błąd w instalacji oświetleniowej został szybko usunięty i obrazy wyglądały pięknie na neutralnych panelach. Mather pojechał na lotnisko Kennedy'ego po Giselę, która była podniecona na widok Manhattanu jak uczennica. Anna-Maria powitała ją bardziej wielkodusznie, niż się spodziewał i szepnęła mu w przelocie:

- Dobra robota, Max. Gratulacje!

Uwertura zaczęła się trzy godziny później, kiedy przed galerię zajeżdżał pancerny furgon Brinksa. Mała armia uzbrojonych ludzi rozstawiła się wokół wejść i na każdym piętrze budynku, a dwaj zaufani ludzie Berchmansa wnieśli do wnętrza dwa starannie zawinięte pakunki, odpakowali je na drugim piętrze, ustawili na podwójnych sztalugach i przykryli Inianymi prześcieradłami. W

mieszkańcu Mathera Anna-Maria i Gisela ubierały się w jednej sypialni, podczas gdy w drugiej Mather wiązał Tolentinowi muszkę i niezdarnie zakładał spinki z perłami do jego koszuli ze staroświecko wykrochmalonym gorsem. O szóstej trzydzieści strażnicy byli na pozycjach, uzbrojeni i czujni, kelnerzy stali z tacami z napojami i kanapkami. Księga gości leżała otwarta, ze złotym piórem, zabezpieczonym cienkim, złotym łańcuszkiem. Ekspedient siedział gotów do rejestracji zakupów. Anna-Maria, Ed Bayard i Max Mather zajęli swoje miejsca w szeregu przyjmujących, a Niccolo Tolentino, dumny jak włoski wujaszek, wziął Giselę pod rękę i odprowadził na bezpieczną odległość od wejścia. Hartog i Berchstein zjawili się jak z pod ziemi - Hartog elegancki jak z żurnala, Bechstein wymięty, w sztywnym kołnierzyku. I nagle nadszedł czas podniesienia kurtyny i rozpoczęła się tragikomedialna uroczystość jeszcze jednego manhattańskiego otwarcia.

Anna-Maria obawiała się pustki, a tymczasem były niemal zamieszki. Zjawiała się każda osoba z listy zaproszeń. Ulica była zatłoczona gapiami i chętnymi do wślizgnięcia się, przyciągniętymi niezwykle na południe od Houston spektaklem uroczystych strojów, z obstawą wystarczającą do utrzymania porządku na meczu bokserskim. Ceremonia otwarcia zaplanowana była na godzinę siódmą, ale było piętnaście po siódmej, gdy drzwi wreszcie zostały zamknięte i Mather przecisnął się do mikrofonu, aby przywitać zebranych.

- Panna Loredon poprosiła mnie, aby w jej imieniu powiedzieć kilka słów i powitać wszystkich państwa na tym pierwszym pokazie w Galerii Wyzwolenia. Jest kilka powodów do takiego jej wyboru: pracuję tutaj, muszę więc zarobić na moją kolację, jestem od niej wyższy i mam silniejszy głos - chociaż nie całkiem tak ładnie wyglądam; wreszcie nie chciała sama mówić o tej wystawie, bo uważa, że wystawa mówi sama za siebie. Jednakże zarówno panna Loredon, jak i pan Bayard sądzą, że najlepiej będzie, jeżeli wystawa zostanie formalnie otwarta przez człowieka, który pierwszy, naprawdę pierwszy w Nowym Jorku, kupił obrazy Madeleine Bayard - pana Andre Lebruna!

Jednakże, zanim poprosi do mikrofonu pana Lebruna, chciałby zwrócić uwagę wszystkich obecnych na szczególny punkt programu. O godzinie ósmej, gdy już wszyscy nacieszą się obrazami Bayard, na dźwięk dzwonka, zostaną poproszeni, aby w kolejności udali się na piętro i zostali świadkami historycznego na miarę światową wydarzenia. Wydarzenie to zostało przygotowane dzięki uprzejmości rodziny Palombinich i pana Henri'ego Berchmansa, który był uprzejmy wypożyczyć, dla uświetnienia tej wystawy, swoje zbiory obrazów Madeleine Bayard. Wydarzenie to zostanie zaprezentowane przez pana Harmona Seldesa, redaktora miesięcznika Belvedere, sponsorującego rozpoczynające się wkrótce seminaria pana Tolentina. A teraz, bez dalszej zwłoki, prosi pana Lebruna o otwarcie wystawy.



Wystąpienie Lebruna okazało się pomyłką, jednak nie katastrofalną. Był podekscytowany. Mówił rozwlekle. Jego akcent został zniekształcony przez mikrofon. Nikt jednak nie miał wątpliwości co do szczerości jego pochwał i podkładu patosu historii, której nie umiał opowiedzieć. Publiczność dała mu spore oklaski, zanim rozeszła się oglądać eksponaty.

Henri Berchmans klepnął Mathera w ramię i mruknął swoją pochwałę.

- To było dobre - krótko i na temat. Obrazy się ogląda, a nie przesłuchuje. Do zobaczenia na górze. Anna-Maria rzuciła mu wiadomości w przelocie.

- Już piętnaście czerwonych etykietek i ruch przy biurku. Trzymaj kciuki.

- A co z Bayardem?

- Myślę, że dobrze. Wymieniliśmy parę słów, to wszystko.

- Berchmans chwali.

- Wiem. Podpisał ostatecznie zakup „Żebraczkii”.

- Świetnie.

- Zbieram same pozytywne uwagi.

- Ja też. Wystartowałaś, kochanie.

- Niech Bóg błogosławi ten statek...

- ...i wszystkich, którzy nim żeglują.

Trącili się kieliszkami i wypili właśnie, gdy nadszedł Edmund Bayard, uśmiechnięty i rozluźniony.

- Możemy wznieść ten toast raz jeszcze? Chciałbym spełnić go z wami. Wypili ponownie. Bayard powiedział:

- Moje gratulacje i podziękowania dla was obojga. To wspaniały wieczór. Nie spodziewałem się ani w połowie tak dobrego.

- To dzieło Madi, Ed.

- Plus wiele serdecznego starania. Sprzedaż idzie dobrze, jak się wydaje.

- Bardzo.

- Czy macie coś przeciwko, jeśli wślizgnę się przed ceremonią na górę? Mógłbym potem zażyć trochę spokoju - na pewno mnie rozumiecie.

- Oczywiście. Czy potrzebny ci transport?

- Nie. Mój kierowca czeka.

Odłączył się od nich i przecisnął przez tłum. Wtedy nadszedł George Munsel z Danny Danziger i Carol. Był uśmiechnięty i w dobrym nastroju, ale Danny była napięta i niespokojna.

- Carol mnie zaraz odwiezie. To wszystko jest dla mnie za dużo. - Najpierw obrazy Madi, a potem te spojrzenia i szeptki gdy przechodzę.

- Nie chciałybyś zobaczyć Rafaelów? Miałaś w tym spory w końcu udział.

- Chciałabym, Max, ale naprawdę...

- Ona ma dość - wtrąciła obcesowo Carol. - Odwiozę ją do domu. Gratuluję wystawy, jest wspaniała. Może mogłabym kiedyś pomówić z panią o moich pracach?

- W każdej chwili - powiedziała Anna-Maria. - Szczęśliwej drogi. Mather spojrział na zegarek.

- Czas zaprowadzić ich na górę. Pójdę i dam sygnał.

Prawie dziesięć minut zabrało zgromadzenie wszystkich bez kieliszków i zakąsek na piętrze i rozmieszczenie ich w rzędach krzeseł, ustawionych przed parą sztalug, pod czujnymi spojrzeniami ludzi z ochrony. Berchmans i Palombini stali z tyłu, gwarząc przyjaźnie. Mather zabrał Giselę i przyłączyli się do nich. Palombini ucieszył się z ponownego z nią spotkania, a ciemne oczy Berchmansa zaświeciły się z uznaniem. Na znak Maniera, Harmon Seldes wszedł na mównicę i w swoim nieco pompatycznym stylu opowiedział historię ich pierwszego spotkania z Matherem i decyzji opublikowania jego materiału w Belvedere. Odśpiewał pochwalną pieśń o potędze prasy i zaskakującego zasięgu nawet tak eklektycznego wydawnictwa jak Belvedere - które, jak może z radością ogłosić, będzie sponsorować seminaria.

Wtedy, zanim odsłonił obrazy, powiedział:

- Panie i panowie, wszyscy tutaj mamy wykształcenie z dziedziny sztuk pięknych - jedni lepsze, inni gorsze; ale wszyscy jesteśmy zdolni do oceny autentyczności i podstawowej wartości dzieła. Pokażę państwu dwa portrety - portrety tej samej osoby: szesnastowiecznej florenckiej matrony. Jeden jest autentycznym oryginałem pędzla Rafaela Sanzio z Urbino... jest to jedno z zaginionych dzieł, o których właśnie mówiłem. Drugi jest kopią, wykonaną przez jednego z uznanych

współczesnych mistrzów tego rzemiosła, maestra Niccola Tolentina, który jest tutaj dzisiaj obecny. Zapraszam was do wskazania ręką, który według waszej opinii jest oryginałem, a który kopią. Możecie państwo podejść i obejrzeć je z bliska, ale proszę powstrzymać się od dotykania powierzchni. Jesteście gotowi? Voila!

Uniósł płótna i rozległ się szmer zaskoczenia, gdy ukazały się dwa obrazy. Była to reakcja masowa, teatralna odpowiedź na prawdziwie teatralny gest. Potem, uszeregowana przez strażników, publiczność defilowała powoli przed portretami, przyglądając się im w milczeniu. Gdy już wszyscy z powrotem usiedli, Seldes zarządził wytypowanie oryginału przez podniesienie ręki. Wynik był sześć do czterech na korzyść kopii.

Wtedy zabrał głos Niccolo Tolentino i w bardzo florenckim, kwiecistym stylu podziękował za wynik głosowania, będący uznaniem dla jego umiejętności - ale zaszczyt z żalem przekazał maestrowi Raffaello z Urbino. Słuchaczom bardzo podobał się ten styl. Klaskali. W całkowitej ciszy słuchali jego opowiadania o historii zamówienia, technicznych wymaganiach, z jakimi miały się zmierzyć jego malarskie umiejętności, poszukiwaniach tradycyjnych barwników i materiałów, przygotowaniu desek, różnicach pomiędzy różnymi rodzajami drewna... różnicach pomiędzy kopią i fałszerstwem.

Odniósł natychmiastowy sukces jako *conferencier*. Jego mała, zgarbiona figura promieniowała siłą i autorytetem, a jego ciężki akcent dodawał uroku żywej i egzotycznej rozprawie, zaś jego końcowa reasumpcja oczarowała ich do reszty.

- Jaka jest różnica pomiędzy mną a dawno zmarłym Mistrzem, który namalował ten obraz? Porównując poszczególne pociągnięcia pędzla, linie - żadna. Wiem to, co on wiedział - właściwie to nawet więcej. Mam do dyspozycji znacznie szerszy wachlarz materiałów, środków pomocniczych, barwników, rozpuszczalników, niż mógł mieć on. Mam dostęp do znacznie większego wyboru narzędzi i technik. Ale pomimo to, gdy stanę obok Mistrza, jestem jak pigmej koło olbrzyma. Jestem pierwotną gliną zanim Bóg tchnął w nią oddech życia. Przyglądałem się wam wszystkim dzisiaj w galerii poniżej, gdy czytaliście katalogi, dyskutowaliście o cenach i licytacjach, i co, kto, za ile sprzedał. Kogo to obchodzi? Jakie to ma znaczenie? Znaczenie ma to, że byliście tak jak i ja wzruszeni żywym duchem kobiety zmarłej zbyt wcześnie, zanim osiągnęła pełny rozkwit swojego geniuszu. A może nie. A może ona powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia - i kto będzie miał dość śmiałości, aby powiedzieć, że w pełni rozkwitła róża jest doskonalsza od rozwijającego się pąka? Ja się domyślam, ja wiem. Przyjechałem do tego wielkiego miasta w waszym nowym świecie i ośmielałem się wygłaszać wam kazania. Ale mogę to uzasadnić tym, że stoję każdego dnia przed dziełami wielkich mistrzów. Mały zgarbiony człowieczek, który nie pamięta, kiedy nie miał w ręce pędzla i ciągle niewierny wołam

do Boga: „Dlaczego, o Panie... dlaczego jemu a nie mnie? Tylko raz, tylko raz zanim umrę daj mi światło!”

Po czym, jak to George Munsel zauważył w swój oschły sposób, wszystko było już niepotrzebnym dopiskiem. Goście rozchodzili się powoli, zatrzymując się przed wyjściem dla jeszcze jednej rundy wśród obrazów Bayard. Strażnicy odmaszerowali z Rafaelami do furgonu, niesionymi jak cenne relikwie, otoczywszy je zwartym kordonem. Kelnerzy pakowali swoje tace i szkło. Dwaj nocni strażnicy objęli służbę. Personel Anny-Marii i mały krąg doraźnej rodziny, który się wokół niej zgrupował - do której dopuszczono Hartoga i Bechsteina - zgromadził się na ostatniego drinka.

Po tym całym podnieceniu trudno było uwierzyć, że była dopiero dziewiąta trzydzieści, a jeszcze trudniej, że w ciągu tych krótkich trzech godzin sprzedano dwadzieścia obrazów, a cztery dalsze zostały zarezerwowane dla galerii publicznych. Jeszcze bardziej było godne uwagi - choć nie wspomniano nawet o tym - że Berchmans i Palombini zawarli transakcję na czterdzieści milionów za donnę Delfinę, którą dopiero co kupił za pięćdziesiąt wzruszony elokwencją Tolentina mały Japończyk z widowni, ponieważ jego przedsiębiorstwo miało do spieszego wydania kłopotliwie wielką ilość dewaluujących się dolarów.

Palombini upojony i niczym w Nowym Jorku nie skrępowany, szczęśliwy, że Anna-Maria mówi płynnie po włosku, zaproponował uroczystą kolację w Małych Włoszech, gdzie jego daleki krewny posiadał restaurację pod nazwą La Cenerentola. Opuścili więc lokal, pozostawiając go nocnemu strażnikowi, wobec małego prawdopodobieństwa, że ktoś jeszcze zechce zarezerwować obraz, gromadnie wychodząc na ulicę, gdzie czekały ostatnie limuzyny, aby zawieźć nową plutokrację do ich wodopaju.

Edmund Justin Bayard stał w jadalni swojego mieszkania i rozglądał się. Pozbawiona obrazów tapeta pokryta była jasnymi prostokątami i ciemnymi plamami, powstałymi na skutek niejednakowego wystawienia na światło i zapylenia przez system klimatyzacyjny. Całość wyglądała okropnie nędznie. Zdecydował, że musi zostać na nowo ozdobiona. Ale czym? Nową kolekcją? Zamówić freski jak renesansowy książę? Nie jest to niemożliwe. Miła zachcianka zamożnego człowieka. Ale jeden problem: kto weźmie udział w tej zachciance, kto w ogóle będzie miał czas i ochotę, aby ją zrozumieć?

Ale dobrze przynajmniej, że nic już nie pozostało po Madeleine. Tak jakby jej popioły zostały w końcu rozsypane na oczyszczające wiatry. Nie bez czci, oczywiście. Nie bez nabożności i szacunku. Dziś wieczór była stosowna okazja - jak dawniej przenoszenie świętych relikwii z ukrytych miejsc do wielkich bazylik, dla powszechnego oddawania czci. I na Boga, była cześć i szacunek. Ten tłum dzisiaj był prawdziwym konsylium chirurgów, skwapliwie ogłaszającym śmierć ciała, aby móc przystąpić do jego sekcji. Ale tam, w tym miejscu, gdzie umarła, Madeleine żyła, dominowała nad widzami, tak jak uprzednio dominowała nad nim.

W tym był oczywiście problem. Aby dominować, trzeba być obojętnym... na zadawanie bólu, na pozbawianie przyjemności, na ograniczanie praw. Uważał siebie za tolerancyjnego. W czasie swoich wybuchów wściekłości Madeleine krzyczała, że jest tyranem. W rzeczywistości nim nie był. Był człowiekiem inteligentnym, ale zrobionym z gliny zbyt delikatnej do wypalania w piecu namiętności. On więc wyszedł z tego złamany, a Madeleine, po wypaleniu się brudu, pozostała doskonała jak waza z epoki Sung, pai Ting ze łzami w polewie.

Jemu zabrakło już też do wylania. Miał jedynie poczucie spokoju... spokoju wielkiej pustyni, zimnej i bezwietrznej pod jasnym księżycem. Odeszło całe poczucie winy. Nemezis, Córa Nocy, zaakceptowała jego poprawki, wiedząc że kara będzie w całości zapłacona.

Jeśli chodzi o Annę-Marię, prawdopodobnie mogła zapewnić mu przystań, nawet w tym bezwietrznym spokoju wciąż jeszcze czuł chłód żalu. Maj i wrzesień? Cóż, mogłoby się udać. Piękna i Bestia? Czasami, ale rzadziej, udawało się i to.

Max Mather? Ten był kimś obcym. Linoskoczkiem, balansującym wysoko na linie bez siatki, wykonującym swój ostatni, decydujący krok. Człowiekiem, któremu można zazdrościć, ale z którym współzawodniczyć się nie da.

Kiedy więc rozebrał się i włożył swój najlepszy jedwabny szlafrok, wydało się, że rachunki zgadzają się w końcu. Córa Nocy przywołała go. Nadszedł czas ostatniej ofiary. Wszedł do łazienki i wziął z szafki z lekami plastikowy flakon pełen tabletek nasennych. Poszedł potem do swojego gabinetu, nalał sobie whisky i puścił taśmę z dziewiątą symfonią Mahlera. Z półki z książkami zdjął należący kiedyś do ojca tom - *La tres joyeuse, plaisante et recreative histoire du bon Chevalier de Bayard* - zaczął czytać, przedzierając się przez archaiczne zdania i połknął tabletki, popijając whisky.

Ostatnie słowa, jakie zarejestrowała jego niknącą świadomość, składały się na stare przysłowie: „Kiedykolwiek ktoś umiera, ktoś inny gdzieś jest wdzięczny...” Całkowicie się z tym zgodził.

- Pańska klientka jest nadal w narożniku - Bechstein bronił każdego cala terenu. - Miała motyw... upokorzenie seksualne przez Madeleine i jej towarzyszy zabaw, zazdrość, cały splot uczuć. Miała okazję. Była sama z Madeleine we właściwym czasie - co do czego kłamie, ponieważ mamy świadka, który twierdzi, że przysłała o godzinę później. Mamy też pisemne oświadczenie nieboszczyka Hugh'a Loredona, który twierdzi, że Danny telefonowała do niego. Powiedział jej, żeby natychmiast wyszła. Później przyszedł i znalazł Madeleine martwą, zabrał broń i jej papiery. Ma pan w rękach kopię tego listu.

- Pytanie. - Było to od George'a Munsela. - Po co on w ogóle pisał ten list? Wiedział, że umiera. Nie jest to przecież spowiedź, jest to oskarżenie Danny Danziger.

- Uważamy, że zrobił to z tego dokładnie powodu, który tu przedstawił panu Matherowi. Nie chciał, aby jego własna córka uważała ojca za mordercę.

- To nie wystarczy. - Mather zaczynał być zły. - To nie tłumaczy, dlaczego miałby obciążać Danny Danziger. To nie ma sensu jako ostatni czyn człowieka, mającego właśnie zejść z tego świata. To jest zbyt... bezlitosne!

- Dla mnie - powiedział Bechstein - jest to całkiem pospolity zespół: wzgardzony kochanek, odepchnięty gwałcień, niezaspokojony samiec z każdego z tych powodów szuka zemsty przez upokorzenie lub zgładzenie samicy.

- Loredon był urodzonym kłamcą, powiedziałem mu to w oczy.

- A jaka była jego odpowiedź, panie Mather?

- Powiedział tylko: „Udowodnij to”.

- My mówimy dokładnie to samo - Sam Hartog włączył się znów do rozmowy. - My przecież nie usiłujemy bez powodu ukrzyżować tej dziewczyny, ale musi pan nam przedstawić więcej argumentów, jeśli chce pan nas przekonać. Samobójstwo Bayarda stawia nas w jeszcze gorszej sytuacji niż przedtem. Nie zostawił nawet świstka papieru, żadnego pożegnania, niczego o przyczynach i skutkach...

- Mamy właśnie pokazać wam, dlaczego - powiedział mu George Munsel. - I są to udokumentowane dowody.

- To proszę, przedstawcie nam - powiedział ze znużeniem Bechstein.

- Mów, Max.

Mather wyłożył przed nim diariusze, szkicowniki, notatnik i wiązki listów, wyszczególniając je po kolei. Przed sobą położył swoje notatki z rozmów w Amsterdamie i swoje analizy manuskryptów. Następnie rozpoczął z profesorską skrupulatnością.

- Musimy najpierw rozróżnić świadectwo wewnętrzne - które jest zapisane w dokumentach, lub z nich wynika - i świadectwo zewnętrzne, które jest dostępne gdzie indziej. Jeśli oba się zgadzają, jesteśmy na bardzo solidnym gruncie. Zgadza się panowie z tym twierdzeniem?

Hartog i Bechstein przytaknęli.

- Zacznijmy od okresu bezpośrednio poprzedzającego śmierć Madeleine. Wewnętrzne i zewnętrzne świadectwa zbiegają się w następujących punktach: małżeństwo Bayardów było fatalne, Madeleine utrzymywała beładne stosunki z kochankami obojga płci, Hugh Loredon był jednym z tych mężczyzn, a Danny Danziger jedną z tych kobiet. Dlaczego Bayardowie nie rozwiedli się? Wszystko wskazuje na dziwnie perwersyjną zależność jednego od drugiego... grzechy jednego tłumaczą niepowodzenia drugiego.

Przeczytał im krótkie urywki ze swojej rozmowy z Bayardem, z diariusza Madeleine i zapytał:

- Czy zgadzamy się więc, że dowodzi to stabilnej, ale bardzo wybuchowej sytuacji zarówno w małżeństwie Madeleine, jak i w jej prywatnym świecie?

- Zgadzam się z tym - powiedział Bechstein. Hartog kiwnął głową.

- Przyjrzyjmy się teraz - powiedział Mather - bardzo dokładnie świadectwu wewnętrznemu. Najpierw rozmowie z Bayardem. Jest on prawnikiem. Jest przyzwyczajony do dużej ostrożności w wyrażaniu się. Mówi mi na przykład, że nie żywi żadnej urazy w stosunku do Loredona czy innych kochanków żony, że brali to, co dawała. Mówi, że jest pełen podziwu wobec talentu Madi. Ale jego działanie przeczy temu, co mówi. Nie pozwala Madi wystawiać. W życiu domowym jest zręczny, przykry i destrukcyjny. A teraz zwróćmy się do Madi. Diariusz, notatnik, szkicowniki - wszystko świadczy o tym samym, ale obserwowanym z innych punktów widzenia. Mówią prawdę. W niezamierzony sposób zestawiają fakty prawdziwie.

- Trafnie wykazane - pochwalił Munsel.

- Zgubił mnie pan - powiedział Sam Hartog.

- Mój wujek jest rabinem - zagadkowo zaznaczył Bechstein. Mather na nowo podjął wątek swojej kwestii.

- Madeleine była artystką. Jak każdy artysta przeinaczała rzeczywistość - w swojej myśli, na swoich płótnach. Zmieniała światło, uwydatnienie, kompozycję, porządek wydarzeń i ich emocjonalny wydźwięk.

Wracając z powrotem do swoich notatek, przeczytał opisy agresywnego wydarzenia z Peterem w wersji diariusza i Danny. Potem przeszukał stronicę szkicownika i pokazał plastyczną wersję tego samego incydentu. Zniknęła z niego cała brzydota. Pozostała tylko pięknie narysowana i nieco komiczna wersja priapicznego szaleństwa.

- Rozumiecie mnie, panowie? - zapytał Mather.

- Rozumiemy - powiedział Bechstein. - poprawnie pan to wywiódł. Ale niech pan pomyśli trochę dłużej. Madeleine wyreżyserowała swoją pornoscenkę. Został jej obrazek. Peter otrzymał wynagrodzenie jako model i sam się zabawił. Ale Danny Danziger została w gruncie rzeczy zgwałcona - i został jej całkiem niezły motyw morderstwa.

- Którego nie dokonała - dodał Munsel.

- Proszę tego dowieść - wezwał Hartog. Mather wskazał na postać mężczyzny na rysunku.

- To jest pański świadek, prawda? To jest facet, który gotowy jest przysiąc, że widział Danny, przychodzącą godzinę później, niż w rzeczywistości przyszła.

Bechstein i Hartog popatrzyli na siebie. Bechstein powiedział:

- Tak, to ten.

- To przeczytam wam - powiedział Mather - co o nim napisała Madi. - Podał im, słowo po słowie, wersję Madeleine napaści Petera na nią, po czym wrócił znowu do swoich notatek amsterdamskich. - Mając to wszystko w pamięci, chciałbym abyście bardzo uważnie posłuchali wersji Loredona śmierci Madeleine, w której Danny gra rolę mordercy. Słuchali uważnie, gdy czytał, czasami wymieniając ukradkowe spojrzenia. Wtedy zaczął komentować tę historię.

- Hugh Loredon jest bardzo sprytny, ponieważ nadal Madi wywołuje utarczkę, ale tym razem partnerem jest kobieta. Słuchajcie opisu sceny. Jest bardzo dokładnie opracowana - dwie szklanki ze śladami szminki, resztki szampana w butelce. Znaleźliście to, gdy weszliście tam po raz pierwszy? Jestem zupełnie pewien, że nie. Policyjne fotografie dowodzą, że ich tam nie było. Potem są te śliczne



szczegóły o gumowych rękawiczkach, sztylcie i pozbyciu się go przez Danny. Zauważyłem, że wszystko to jest w liście, który wam przysłał. Według jego wersji, wszystko to wydarzyło się pomiędzy drugą trzydzieści a trzecią po południu. Zgadza się?

- Zgadza - przyznał Bechstein.

- Która była godzina, gdy Bayard zadzwonił, donosząc o morderstwie swojej żony?

- Około szóstej trzydzieści.

- A wy tam byliście o której?

- Piętnaście minut później, mniej więcej.

- Bayard kołysał ciało swojej żony i był zboczony świeżą krwią?

- Zgadza się.

- Jeśli ciało leżało blisko cztery godziny, czy krew nie powinna była stać się kleista i gęsta?

- O czym pan mówi?

- Że morderstwo zostało dokonane znacznie później niż o trzeciej - i że Hugh Loredon je wyreżyserował. Rozebrał Madi, która była ciągle w śnie narkotycznym, ułożył starannie jej ubranie na krześle i zawinął ją w kołdrę, aby uniknąć rozbryzgów krwi. Przeszukał jej kieszenie, przejrzał pracownię, aby znaleźć diariusz i szkicowniki, zabił ją tuż przed przybyciem Bayarda i wyszedł tylnym wyjściem, zabierając ze sobą broń.

- Może pan tego dowieść?

- Tak. Gdy zarzuciłem mu kłamstwo, a on to przyznał, powiedział mi, że sam wziął sztylet, a później pozbył się go, wystawiając na licytacji broni antycznej u Christie's. Powiedział, że przyniósł mu dwa tysiące dolarów.

- To łatwo będzie sprawdzić.

- Już to sprawdziłem - powiedział im Mather. - Został kupiony przez kolekcjonera broni antycznej z Connecticut. Udostępni go policji do badania.

- To niczego nie wykaże. Ważne jest, że to Loredon wystawił go na sprzedaż.

- To on. Jest to w dokumentach.

- Jest więc dobry argument dla pańskiej klientki. Co jeszcze chce pan nam dać?

- Motyw Loredona jej zabicia.

- Jaki?

- Pieniądze. Był spłukany, albo prawie spłukany, jak zwykle, ale teraz było inaczej. Miał wyrok śmierci, a chciał zostawić coś Annie-Marii. Było mu wstyd, że nie mógł.

- Ale był kochankiem Madi.

- Ale tym razem bardzo urażonym. Mam na to również kilka notatek.

- Nie ważne. Proszę tylko powiedzieć mi o pieniądzach - ile, kto i kiedy mu zapłacił?

- Dwieście tysięcy dolarów - powiedział Munsel - wpłacone przez Eda Bayarda siedem dni po śmierci Madeleine, na fundusz powierniczy na rzecz Anny-Marii Loredon, zarządzany przez firmę Lutz & Hengst.

- Czy może pan tego dowieść?

- Co do kropki - powiedział Munsel. - I Bayard wiedział, że mogę.

- Skąd miałby wiedzieć? - Bechstein był wytrwały jak łasica.

- Ponieważ - wyjaśnił cierpliwie Munsel - gdy w Lutz & Hengst udzielono mi tych informacji, powiedziano mi, że zgodnie ze zwyczajem powiadomią Bayarda o moim zapytaniu.

Hartog wtrącił uwagę: - A Bayard, będący staroświeckim gentlemanem, doszedł do wniosku, że dosyć to dosyć i wyłączył się z gry.

- On nie był gentlemanem - to Bechstein, jak się zdaje był staroświecki. - Komu innemu zostawił drań sprzątanie po sobie.

- Dosyć. - Nagle powiedział Mather z obrzydzeniem. - On nie żyje. Zostawmy go Bogu.

- Zrobię to z przyjemnością - powiedział Mansel. - Ale najpierw chcę mieć czystą sprawę mojej klientki.

Pierwsze promienie słońca ogrzewały stare kamienie dziedzińca Tor Merla, na którym kiedyś ćwiczyli pikinierzy, a kanonierzy podtrzymywali ogień w żelaznych koszach, kosy zaś krzątały się w koronie kasztana. Na dalekich wzgórzach czerniły się cyprysy na tle porannego brzasku. W dolinie

poniżej dzwonnice przebijały się przez mgłę, a przytłumiony Anioł Pański niósł się czysto kontrapunktem dzwonów.

Max Mather stał w oknie wieży, wdychał wilgotne powietrze poranka i patrzył na krajobraz znany w każdym szczególe, szczyty, pofałdowane zbocza i gospodarstwa rolnicze. Była to chwila dojmującej czułości i żalu, ale rozjaśniająca i uśmierzająca w jakiś sposób.

Claudio Palombini nalegał, żeby przyjechał... Claudio pewny siebie, znów majątny, ale jakiś inny, nawet w połowie nie tak arogancki, jak kiedyś. Rozstrzygającego dnia w Zurychu, gdy wymieniali potwierdzone czeki, a ponury jak karawaniarz urzędnik bankowy przewodniczył ceremonii, Mather czuł się zażenowany i niejasno zawstydzony. Claudio zauważył jego skrępowanie i powiedział:

- Bez dyskusji, Max. Jesteśmy kwita. Tak mówią dokumenty. Ja tak mówię. Zarobiłeś to, co masz. Jeśli tego nie podejmiesz, zabierze to fiskus. Mather wzruszył ramionami i uśmiechnął się ze skrępowaniem.

- W takim razie funduję ci lunch.

Ale dla Claudia to nie wystarczało. Nagle stał się rzeczowy, jak chorąży ustawiający w szereg swoich pachołków.

- Nie zgadzam się tak to zostawić, Max. To nie są już pieniądze, to jest honor, rodzina, fratellanza. Ale nie mam zamiaru stać tutaj i kłócić się z tobą. Musisz przyjechać znów do Tor Merla. Musisz zabrać ze sobą swoją dziewczynę. Potrzeba tego wam obojgu.

- Wrócimy do tego, Claudio, ale nie jestem pewien, czy mógłbym teraz właśnie sprostać takiej sentymentalnej podróży. Już samo małżeństwo jest strasznym przedsięwzięciem.

- Nie masz wyboru. Sam zaproszę Giselę - ona zrozumie, jakie to ważne. A teraz dość dyskusji. Fundujesz mi lunch.

Wszystko to się działo przed tygodniami w Zurychu. Teraz Gisela obudziła się i stała boso koło niego, czekając na całusa. Po pocałunku zapytała:

- Co widzisz stąd, kochany?

- Mnóstwo wczorajszych widoków. Nie wiem, czy było mądrze tu przyjeżdżać.

- A ja jestem rada, że przyjechaliśmy. Claudio miał rację. To podróż, którą musieliśmy odbyć.

- Wciąż nie jestem pewny.

- Dlaczego?

- Jak to mógłbym wyrazić? - Trudno było mu znaleźć słowa, a jeszcze trudniej je wypowiedzieć. - Najlepsze ze mnie zostało tutaj na dziedzińcu, gdzie siedziałem z Pią - gdzie jej czytałem, słuchałem jak grała, rozjaśniałem jej te krótkie chwile, które jej pozostały... Najgorsze ze mnie też tutaj zostało, gdy wyjeżdżałem przez tę bramę i dalej drogą z Rafaelami w moim bagażu, łobuz - tak, to właściwe słowo - w strachu, że stracę to, co nie do mnie należało. Teraz jestem z powrotem, bogaty pieniędzmi, których nie zarobiłem i obdarzony kobietą, na którą nie zasłużyłem.

- Jesteś zbyt dumny, aby je przyjąć?

- Dumny? Mój Boże, gdybym tylko wiedział...

- Ja wiem. Ja wiem, że dopóki nie będziesz mógł sobie wybaczyć i siebie zaakceptować, wciąż będziesz nienawidził człowieka, którego widzisz w lustrze. A jeżeli to cię nurtuje - i nadal będzie nurtowało - zaczniesz i mnie nienawidzić, a wtedy powtórzy się historia Bayarda i Madeleine.

- Niech Bóg broni!

- To racja, Max! Oby Bóg do tego nie dopuścił!

- Ale nie oszukuj się. Kochać Maxa Mathera nie jest tak łatwo, jak się wydaje.

- A kto mówi, że kochanie jest łatwe? Poczekaj, aż będziesz przez pół roku moim mężem!

Na to kosy zerwały się z kasztana i odleciały w stronę wzgórz nierówną, czarną chmurą, a ostatnie dźwięki dzwonów zabrzmiały i zamilkły w ciszy tokańskiego świtu.